

ŻOŁNIERZ Z MGŁY

Nazywam się Latro. Nie wolno mi o tym zapominać. Lekarz mówił, że zapominam bardzo szybko z powodu rany, którą odniosłem w bitwie. Nadał jej imię, jak człowiekowi, nie pamiętam jednak tego imienia. Mówił, że muszę nauczyć się zapisywać tyle, ile zdołam, aby odczytywać to, kiedy już zapomnę. Wtedy właśnie dał mi ten zwój i ten rysik z metalu, z którego robi się paski do proc.

Napisałem coś na piasku na próbę. Ucieszył się, że umiem pisać. Powiedział, że większość żołnierzy nie umie. Chwalił też kształt moich liter, chociaż niektóre z nich nie były mu znane. Potem ja trzymałem lampę, on zaś napisał coś po swojemu. Dziwnie mi to wyglądało.

GENE WOLFE

ŻOŁNIERZ Z MGŁY

Przełożył
Marek Michowski

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
GDAŃSK 1992



Tytuł oryginału

Soldier of the Mist

Redaktor

Bogumiła Szachnowska

Wiersze tłumaczyli:

- *Pod ręką mam w kołczanie wiele jeszcze strzał...* - Stefan Srebrny

- *Dziś jakiś Trak się chlubi mą tarczą...* - Stefan Srebrny

- *Ale nie czekaj spokojnie...* - Seweryn Hammer

- *Z trzema setkami po dziesięć tysięcy...* - Seweryn Hammer

- *Pomnik sławnego, to jest Megistiasa...* - Witold Klinger

- *Zanieś, wędrowcze, tę wieść...* - Witold Klinger

Foto:

© STILLS

Opracowanie graficzne

Maria Dylis

Copyright © Gene Wolfe 1986

© Copyright for the Polish edition

by PHANTOM PRESS INTERNATIONAL

GDAŃSK 1992

Printed and bound in Great Britain

Wydanie I

ISBN 83-85432-77-9

*Książkę tę
poświęcam
z najgłębszym szacunkiem i przywiązaniem
Herodotowi z Halikarnasu*

Naprzód rozgorzała walka o mur z tarcz. Gdy ten runął, wybuchła już zacięta bitwa, aż przyszło do boju wręcz, koło samej świątyni Demetery...

Herodot

Akcja tej książki, choć wymyślona, oparta jest na rzeczywistych wydarzeniach roku 479 p.n.e.



PRZEDMOWA

Jakieś dwa lata temu w suterenach Muzeum Brytyjskiego znaleziono za kolekcją rzymskich lir urnę zawierającą zwoje papirusowe, najwidoczniej nie używane. Muzeum zatrzymało urnę, pozbyło się natomiast zwojów, które katalog Sotheby'ego wymienia jako: „Poz. 183. Kilka czystych zwojów papirusowych, zapewne zapas egipskiego właściciela składu materiałów piśmiennych”.

Zwoje, przeszedłszy kilkakrotnie z rąk do rąk, stały się własnością pana D. A, handlarza dzieł sztuki i kolekcjonera z Detroit. Wpadł on na pomysł, że w drążkach, na których zwinięte były papirusy, coś mogło zostać ukryte, i kazał je prześwietlić. Prześwietlenie wykazało, że drążki są z litego drewna, ujawniło też jednak na przyklejonych do drążków zwojach - tzw. protokollon - linię po linii drobnego pisma. Czując, że jest na progu odkrycia o dużym znaczeniu, obejrzał zwoje pod lupą i przekonał się, że wszystkie są obustronnie pokryte drobnym szarym pismem, które pracownicy muzeum i Sotheby'ego wzięli najwyraźniej za brud. Analiza spektrograficzna wykazała, że narzędziem pisarskim był zaostrzony „ołówek” z metalicznego ołowiu. Wiedząc o moim zainteresowaniu językami martwymi, właściciel zwojów poprosił mnie o sporządzenie niniejszego tłumaczenia.

Oprócz krótkiego akapitu w niezłej grece, pierwszy zwój zapisano archaiczną łaciną, bez interpunkcji. Autor, który sam siebie nazywa „Latro” (słowo to może oznaczać rabusia, rozbójnika, strażnika przybocznego bądź najemnika), miał fatalną skłonność do robienia skrótów - właściwie rzadkością jest znalezienie najkrótszych nawet słów napisanych w całości; możliwość błędnego odczytania jest więc oczywista. Czytelnik winien pamiętać, że wszystkie znaki przestankowe pochodzą ode mnie, w kilku przypadkach dodałem wynikające z tekstu szczegóły oraz pełne brzmienie rozmów, podanych w streszczeniu.

Dla ułatwienia lektury podzieliłem dzieło na rozdziały, przerywając - o ile było to możliwe - w miejscach, w których Latro przestawał pisać. Pierwszych słów każdego rozdziału użyłem jako jego tytułu.

W kwestii nazw miejscowości poszedłem za przykładem autora, który czasem zapisywał je tak, jak je słyszał, ale daleko częściej przekładał ich znaczenie. „Wieżowe Wzgórze” - to prawdopodobnie Korynt, „Długie Pobrzeże” - to zapewne Attyka. W kilku przypadkach Latro jest niewątpliwie w błędzie. Wygląda na to, że słyszał, jak mówiono o kimś milkliwym, że ma lakoński sposób bycia (greckie lakonismos), i wywnioskował z tego, że Lakonia znaczy „Kraj Milczenia”. Wielu niedouczonej mówców jego czasów popełniało

ten sam błąd co Latro, wywodząc pochodzenie nazwy głównego miasta tego kraju od słowa „powróz” (greckie sparton). Wydaje się, że Latro ma pewną wiedzę o językach semickich i że mówi po grecku całkiem płynnie, ale czyta słabo, albo i wcale.

Byłoby może celowe powiedzenie kilku słów o kulturze ludzi, wśród których znalazł się Latro tuż po rozpoczęciu pisania. Ludzie ci nie częściej nazywali siebie Grekami, niż robią to dziś członkowie narodu, który nazywamy greckim. Nie przywiązywali - według naszych pojęć - wagi do stroju, chociaż w większości miast uważano, że kobieta nie powinna pokazywać się nago publicznie, co często czynili mężczyźni. Nie jadano śniadań, chyba że ktoś spędził noc na pijaństwie. Przeciętny Grek wstawał o świcie i zjadał swój pierwszy posiłek w południe; drugi posiłek jedzono wieczorem. W czasie pokoju nawet dzieci piły wino rozcieńczone wodą, w czasie wojny zaś żołnierze narzekali, ponieważ wolno im było pić wyłącznie wodę i często chorowali z tego powodu.

Przestępczość w Atenach („Myśli”) była wyższa niż dziś w Nowym Jorku. Prawo, które zakazywało kobietom wychodzenia samotnie z domu, miało na celu ochronę ich przed napaścią. Wystarczającą eskortę stanowiła inna kobieta, a nawet dziecko. Pokoje na parterach domów nie miały okien, a złodziei nazywano „burzymurkami”. Wbrew nowożytnej legendzie prawdziwy homoseksualizm był potępiany i stanowił rzadkość, mimo że biseksualizm był akceptowany i rozpowszechniony. W ateńskiej policji służyli barbarzyńscy najemnicy, których chętnie zatrudniano, bo Greków łatwiej było przekupić. Ich biegłość w posługiwaniu się łukiem bywała przydatna przy zatrzymywaniu podejrzanych.

Chociaż prawa i zwyczaje były w greckich miastach-państwach o wiele bardziej zróżnicowane, niż większość uczonych skłonna jest przyznać, ożywiona wymiana handlowa wpływała na ujednoczenie pieniądza i jednostek miar. Za obola, zwanego potocznie „splunięciem”, można było kupić prosty posiłek. Wioślarzom na okrętach wojennych płacono dwa do trzech oboli dziennie. Żywiono ich jednak, oczywiście, z zapasów okrętowych. Sześć oboli składało się na drachmę (garść), drachma zaś stanowiła dzienną zapłatę wyszkolonego najemnika (z własnym ekwipunkiem) albo zapłatę za noc z jedną z dziewcząt Kalleos. Złoty stater miał wartość dwóch srebrnych drachm. Monety dziesięciodrachmowe, najpospolitsze, nazywano „sowami” - od rysunku na rewersie. Sto drachm składało się na minę; sześćdziesiąt min na talent - około pięćdziesięciu siedmiu funtów złota albo osiemset funtów srebra.

Talent był również jednostką wagi - około pięćdziesięciu siedmiu funtów. Najczęściej używaną miarą odległości był stadion - około dwustu metrów.

Obrońcy człowieczeństwa akceptują instytucję niewolnictwa, zdając sobie sprawę, że alternatywą dla niej byłaby eksterminacja. My, którzy widzieliśmy zagładę Żydów

europejskich, nie powinniśmy potępiać pochopnie niewolnictwa. Niewolnikami zostawali głównie jeńcy wojenni. Niewolnik najwyższej klasy mógł kosztować i dziesięć min, czyli równowartość trzydziestu sześciu tysięcy dolarów. Ceny były jednak w większości o wiele bardziej umiarkowane.

Gdyby poprosić przeciętnie odczytanego Amerykanina o wymienienie pięciu sławnych Greków, odpowiedziałby zapewne: - Homer, Sokrates, Platon, Arystoteles i Perykles. Krytycy Latro winni przypomnieć sobie, że kiedy pisał, Homer nie żył już od czterystu lat, a nikt jeszcze nie słyszał o Sokratesie, Platonie, Arystotelesie ani o Peryklesie. Słowo „filozof” jeszcze nie weszło w użycie.

W starożytnej Grecji sceptykami nazywano myślicieli, nie zaś prześmiewców. Nowożytny sceptyk powinien zauważyć, że Latro opisuje Grecję tak, jak ją opisywali sami Grecy. Gонец wysłany przez Ateńczyków do Spartan z prośbą o pomoc przed bitwą pod Maratonem, spotkał na drodze bożka Pana i po powrocie złożył dokładne sprawozdanie z rozmowy z nim ateńskiemu zgromadzeniu ludowemu. Spartanie, którzy dobrze pamiętali, kto włada ich krajem, odmówili wymarszu przed pełnią księżyca.

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ I

Czytaj to każdego dnia

Piszę o tym, co zdarzyło się przed chwilą. O świcie wszedł do namiotu lekarz i spytał, czy go sobie przypominam. Kiedy odpowiedziałem, że nie, wyjaśnił mi wszystko. Dał mi ten zwój i ten rysik z metalu, z którego robi się pociski do proc, a który pozostawia ślad, jakby był z wosku.

Nazywam się Latro. Nie wolno mi o tym zapominać. Lekarz mówił, że zapominam bardzo szybko z powodu rany, którą odniosłem w bitwie. Nadał jej imię, jak człowiekowi, nie pamiętam jednak tego imienia. Mówił, że muszę nauczyć się zapisywać tyle, ile zdołam, aby odczytywać to, kiedy już zapomnę. Wtedy właśnie dał mi ten zwój i ten rysik z metalu, z którego robi się pociski do proc.

Napisałem coś na piasku na próbę. Ucieszył się, że umiem pisać. Powiedział, że większość żołnierzy nie umie. Chwalił też kształt moich liter, chociaż niektóre z nich nie były mu znane. Potem ja trzymałem lampę, on zaś napisał coś po swojemu. Dziwnie mi to wyglądało. Lekarz pochodzi z Kraju Rzeki.

Pytał mnie, jak się nazywam, ale wypadło mi to z pamięci. Pytał, czy pamiętam wczorajszą rozmowę z nim. Nie pamiętałem. Mówił, że rozmawiał ze mną kilka razy, ale kiedy znów przychodził, nie pamiętałem o niczym. Jacyś żołnierze powiedzieli mu, że nazywam się „Latro”. Spytał, czy pamiętam swój dom. Opowiedziałem mu o naszym domu i o strumieniu, śmiejącym się wśród kolorowych kamieni. Opisywałem mu matkę i ojca, tak jak ich widzę oczami wyobraźni, ale gdy spytał mnie o ich imiona, umiałem powiedzieć tylko „Matka” i „Ojciec”. Powiedział, że uważa te wspomnienia za bardzo dawne, sprzed dwudziestu albo i więcej lat. Spytał, kto nauczył mnie pisać, ale nie umiałem mu odpowiedzieć. Potem dał mi te przedmioty.

Siedzę przy zasłonie namiotu. Zapisalem już wszystko, co zapamiętałem z jego słów, napiszę więc o tym, co widzę. Będę mógł później wybrać z moich zapisów to, co może mi się przydać.

Widzę błękitny przestwór nieba. Słońce nie wzniosło się jeszcze ponad namioty. Namiotów jest bardzo wiele. Jedne są skórzane, inne płócienne. Większość wygląda zwyczajnie, ale widzę też jeden obwieszony chwościkami z jaskrawo barwionej wełny. Niedługo po odejściu lekarza jacyś ludzie, krzyżąc, przejechali obok na czterech opornych wielbłądach, kroczących na sztywnych nogach. Właśnie wracały obładowane, obwieszone takimi samymi czerwonymi i niebieskimi chwościkami, wzbijając pył, gdy ich poganiacze zmuszali je biciem do biegu.

Żołnierze przechodzą śpiesznie obok mnie, czasem biegnąc, nie uśmiechając się. Większość z nich to niscy, krępcy, czarnobrodzi ludzie. Noszą spodnie i wyszywane turkusowe i złote kaftany na łuskowych pancerzach. Nadszedł ktoś niosący włócznię ozdobioną złotym jabłkiem. Z nim pierwszym wymieniałem spojrzenia, zatrzymałem go więc i spytałem, czyja to armia.

- Wielkiego Króla - odpowiedział, a potem kazał mi usiąść i pośpieszył dalej.

Głowa wciąż jeszcze mnie boli. Moje palce często błądzą po opatrunku, chociaż lekarz zakazał dotykania go. Nie będę tego robił, bo trzymam w ręku ten rysik. Czasem wydaje mi się, że oczy przesłania mi mgła, której słońce nie może rozproszyć.

Znów piszę. Oglądałem miecz i zbroję ułożone przy posłaniu. Był tam hełm - przedziurawiony w miejscu, gdzie odniosłem ranę, Falcata i dwie blachy - na pierś i na grzbiet.

Wydobyłem Falcatę z pochwy i, chociaż jej nie poznałem, ona poznała moją rękę. Inni ranni wyglądali na przestraszonych, schowałem więc miecz do pochwy. Nie rozumieją mnie ani ja ich.

Po tym jak napisałem ostatnie słowa, przyszedł lekarz. Spytałem go, gdzie zostałem zraniony. Powiedział, że przy świątyni Matki Ziemi, gdzie armia Wielkiego Króla walczyła z armią Myśli i Powroźników.

Pomagałem złożyć nasz namiot. Mamy muły do niesienia noszy z tymi, którzy nie mogą chodzić. Lekarz powiedział, że muszę trzymać się innych, a gdybym się odłączył, mam szukać jego łaciatego muła albo jego sługi, który ma tylko jedno oko. „Ten, który przewozi zmarłych” - pomyślałem. Powiedziałem, że mogę nieść ten zwój i nosić na sobie okrągłe blachy i miecz przy pasie. Mój hełm można by sprzedać, bo jest z brązu, ale nosić go nie chcę. Załadowano go razem z posłaniem.

Odpoczywamy nad rzeką. Piszę to, chłodząc w jej nurcie stopy. Droga na przestrzeni wielu mil czerni się od ludzi Wielkiego Króla. Patrząc na to, nie rozumiem, jak ta armia mogła zostać pobita i po co do niej wstępowałem. Jeśli jest w niej tylu ludzi, że nikt nie zdołałby ich policzyć, to jeden mniej czy jeden więcej nie robi różnicy. Mówi się, że nieprzyjaciel podąża za nami, ale nasza jazda stawia mu czoło. Słyszałem to, kiedy patrzyłem na grupę jeźdźców śpieszących ku tyłowi pochodu - ludzie, którzy to mówili, rozmawiali z lekarzem, tak jak ja to robię, a nie w języku, w którym to piszę.

Jest ze mną czarny człowiek. Ma na sobie skórę jakiegoś cętkowanego zwierzęcia, a ostrze jego włóczni stanowi spiralnie skręcony róg. Czasami mówi coś, ale jeśli nawet go zrozumiałem, zapomniałem, co mówił. Kiedy spotkaliśmy się, pytał na migi, czy widziałem podobnych do niego ludzi. Pokręciłem głową, on zaś chyba to zrozumiał. Teraz zerka ciekawie na litery, które stawiam.

Woda w tej rzece, z której piło tak wielu, była przez jakiś czas zmacona. Teraz znów jest czysta i widzę w niej odbicia - swoje i czarnego człowieka. Nie jestem podobny do niego ani do innych żołnierzy Wielkiego Króla. Wskazałem swoje ramię i włosy, spytałem czarnego człowieka, czy widział kogoś podobnego do mnie. Skinął głową i otworzył jakieś dwa woreczki. W jednym było białe mazidło, w drugim cynobrowe. Pokazał mi na migi, że powinniśmy pójść z innymi, i wtedy zobaczyłem w rzece, za jego ramieniem, jakiegoś człowieka o skórze jeszcze bielszej niż moja. Wziąłem go najpierw za topielca, bo twarz miał zanurzoną w wodzie, uśmiechnął się jednak i skinął mi ręką, wskazując w górę rzeki, dokąd maszerowała armia Wielkiego Króla, zanim pomknął z prądem. Powiedziałem czarnemu człowiekowi, że nie pójdę, bo chcę napisać o tym bielszym ode mnie, rzeczonym człowieku, póki jeszcze mogę to zrobić.

Skórę miał białą jak piana, a brodę czarną i kędzierzawą, tak że przez chwilę myślałem, iż utkana jest z rzeczego mułu. Był szeroki w pasie, jak jakiś bogaty weteran, ale był też potężnie umięśniony i rogaty niczym byk. Miał wesołe, zuchwałe oczy - Oczy, które mówiły: Obalę tę wieżę! Wydało mi się, że jego skinienie znaczy, iż spotkamy się ponownie. Nie chcę o nim zapomnieć. Jego rzeka, płynąca ze wzgórz tego kraju do Wody, jest chłodna i spokojna. Napiję się jeszcze i pójdę z czarnym człowiekiem.

Jest wieczór. Wiem, że lekarz dałby mi jeść, gdybym go odnalazł, ale jestem zbyt zmęczony, by daleko chodzić. Pod koniec dnia osłabłem i mogłem jedynie iść wolno. Gdy czarny człowiek usiłował mnie ponaglać, dałem mu do zrozumienia, by szedł dalej sam. Pokręcił głową i zapewne obrzucił mnie wyzwiskami, a na koniec machnął włócznią, jakby chciał mnie zdzielić drzewcem. Wyciągnąłem Falcatę. Opuścił włócznię i podbródkiem - to

jego sposób wskazywania - dał mi znak, bym spojrział wstecz. Tam, w oślepiającym słońcu, tysiące jeźdźców przebiegało równinę. Ich cienie i kłęby pyłu były lepiej widoczne niż oni sami. Jakiś ranny w nogę żołnierz, któremu jeszcze trudniej było chodzić niż mnie, powiedział, że procarze i łucznicy, z którymi wojują jeźdźcy, są niewolnikami Powroźników i że gdyby ktoś, kogo nazwał po imieniu, był jeszcze na tym podświetlonym świecie, uderzylibyśmy na nich. Wydało mi się jednak, że boi się on Powroźników.

Czarny człowiek rozpałił ognisko i poszedł poszukać czegoś do zjedzenia. Czuję, że nie wzmocni mnie to i że jutro umrę - nie z rąk tamtych niewolników, ale padając nagle, obejmując ziemię, naciągając ją na siebie niby płaszcz. Ci żołnierze, których mogę zrozumieć, mówią o bogach, przeklinając ich i przeklinając innych - a często i nas - w ich imieniu. Wydaje mi się, że kiedyś znałem jakichś bogów i oddawałem im cześć, stojąc przy boku matki przed spowitą winoroślą kapliczką jakiegoś bożka. Jego imię wypadło mi z pamięci. Zresztą, nawet gdybym umiał go przywołać, nie przybyłby chyba na wezwanie. Ten kraj musi leżeć bardzo daleko od jego kapliczki.

Nazbierałem drewna i wrzuciłem do ognia, by mieć światło do pisania. Nie wolno mi zapomnieć niczego, co się zdarzyło. A przecież nadejdzie mgła i wszystko to przepadnie, aż do chwili kiedy przeczytam to, co teraz piszę.

Poszedłem nad rzekę i powiedziałem:

- Oprócz ciebie, nie znam innych bogów. Jutro umrę i pograżę się w ziemi, tak jak inni umarli. Proszę cię jednak o pomyślność dla tego czarnego człowieka, który był mi więcej niż bratem. Oto mój miecz, omal go nim nie zabiłem. Przyjmij tę ofiarę. - Potem rzuciłem Falcatę w wodę.

Natychmiast pojawił się rzeczny człowiek, unosząc się z ciemnego nurtu i bawiąc się moim mieczem, podrzucając go w dłoniach i znów chwytając - czasem za rękojeść, czasem za ostrze. Były z nim dwie dziewczyny, które mogły być jego córkami. Kiedy bawił się mieczem, starały się porwać mu go. W blasku księżyca wszyscy troje lśnili jak perły.

Po chwili rzucił mi Falcatę pod nogi:

- Gdybym mógł, uzdrowiłbym cię - powiedział. - Nie jest to w mojej mocy, chociaż są mi posłuszne drewno, stal, ryby i jęczmień, i pszenica. - Jego głos był jak szum wielkich wód. - W mojej mocy jest zwrócić w dwójnasób to, co mi ofiarowano. A zatem odrzucam na mój brzeg twój sierp, naostrzony w mojej rzece. Nie oprze mu się drewno ani brąz, ani żelazo, i nie zawiedzie cię on, dopóki ty go nie zawiedziesz.

Gdy to powiedział, znów pograżył się w wodzie z córkami - jeśli nimi były. Podniosłem Falcatę, chcąc obetrzeć ostrze, było jednak suche i gorące. Potem wrócił z

chlebem i mięsem czarny człowiek i długo opowiadał mi na migi, jak je ukradł. Zjedliśmy i teraz śpi.

ROZDZIAŁ II

We Wzgórzu

Stoimy obozem. Wiele już zapomniałem z tego, co się wydarzyło, odkąd widziałem Szybkiego Boga. Prawdę mówiąc, zapomniałem o tym widzeniu i wiem tyle, ile przeczytałem w tym zwoju, w którym piszę.

Wzgórze jest bardzo piękne. Stoi tu wiele marmurowych budowli i jest wspaniały rynek. Mieszkańcy są jednak wystraszeni i rozgniewani na Wielkiego Króla, że nie został tu z większymi siłami. Walczyli po jego stronie, pewni, że pokona armię Myśli i Powrozu, chociaż mieszkańcy tamtych miast są tak samo synami Hellena jak oni. Mówią teraz, że mieszkańcy Myśli nienawidzą nawet ich imienia i że spustoszą ogniem ich ulice, tak samo jak Wielki Król spustoszył ulice Myśli. Mówią też - słyszałem to na rynku - że chcą zdać się na łaskę Powroźników, ale Powroźnicy nie wiedzą, co to łaska. Chcieliby, byśmy tu pozostali, mówią jednak, że wkrótce odejdziemy, oni zaś zostaną pod osłoną swoich murów i swoich wojowników, z których najlepsi - ich Święty Hufiec - zginęli. Chyba mówią prawdę. Słyszałem już pogłoski, że jutro zwijamy obóz.

Jest tu wiele gospód, nie mamy jednak pieniędzy, śpimy więc poza murami - czarny człowiek i ja - z żołnierzami Wielkiego Króla. Żałuję, że nie opisałem wyglądu lekarza, kiedy zaczynałem to pisanie, bo teraz nie mogę go odnaleźć wśród takiego mnóstwa ludzi. Jest tu wiele łaciatych mułów i niemało jednookich ludzi, ale żaden z tych jednookich nie chce przyznać, że jest sługą lekarza. Większość ludzi nie chce ze mną rozmawiać. Widząc mój opatrunek, myślą, że chcę prosić o jałmużnę. Nie chcę żebrać, a jednak jedzenie tego, co zdobywa czarny człowiek - jak to robiłem dotąd - wydaje mi się mniej honorowe.

Dziś rano próbowałem, tak jak on, zdobyć na rynku coś do zjedzenia, on jednak jest o wiele zręczniejszy. Wkrótce pójdziemy na inny rynek. Mam ustawiać się między nim a właścicielami kramów, jak to robiłem rano. Ci ludzie mają oczy otwarte, zadanie jest więc trudne, on jednak jest bardzo sprytny i często mu się udaje, mimo przeszkód. Nie wiem, jak to robi, bo zakazywał mi przyglądać mu się.

Piszę te słowa w świątyni Lśniącego Boga na agorze - wielkim rynku Wzgórza, gdy czarny człowiek opowiada coś na migi, a pozostali spierają się o coś. Tyle się wydarzyło, odkąd ostatnio pisałem - i tak trudno pojąć, co to wszystko znaczy - że nie wiem, od czego zacząć.

Kiedy zjedliśmy pierwszy posiłek i chwilę odpoczęli, poszliśmy - czarny człowiek i ja - na inny rynek, na agorę w środku miasta. Sprzedaje się tu kosztowności i złote, i srebrne puchary, a nie chleb, wino, ryby i figi. Stoi tu wiele pięknych budowli z kolumnami z marmuru, jest też nawierzchnia z kamiennych płyt, całkiem jakby już było się we wnętrzu którejś z tych budowli.

Pośród tłumu kupującego i sprzedającego wznosi się fontanna, a w środku tej fontanny, oblewany wodą z niej marmurowy posąg Szybkiego Boga.

Rozpoznawszy go z opisu w zwoju, ruszyłem ku niemu, biorąc posąg za samego Szybkiego Boga i wzywając jego pomocy. Wokół nas zgromadziło się przynajmniej ze stu ludzi. Niektórzy byli - tak jak my - żołnierzami Wielkiego Króla, większość jednak stanowili obywatele Wzgórza. Padało wiele pytań, a ja odpowiadałem, jak umiałem. Zjawił się czarny człowiek, prosząc gestami o pieniądze. Miedź, brąz i srebro sypnęły się do jego rąk, tyle monet, że musiał w końcu przestać je przyjmować i wyspał je do torby, w której nosił swoje rzeczy.

To zrobiło złe wrażenie i niewiele już potem dawano, podeszli natomiast jacyś ludzie z pierścieniami na palcach i mówili, że powinienem udać się do Domu Słońca, a gdy czarny człowiek nie chciał, oświadczyli, że Słońce jest uzdrowicielem i wezwali do pomocy kilku żołnierzy Wzgórza.

Tak więc wprowadzono nas do wnętrza jednej z najpiękniejszych budowli, której kolumny stały na wielu szerokich stopniach. Kazano mi klęknąć przed Pytią, która siedziała na trójnogu z brązu. Ludzie z pierścieniami długo rozmawiali ze szczupłym kapłanem, który wiele razy, na różne sposoby, powtarzał im, że Pytia nie przemówi w imieniu boga, póki nie zostanie złożona ofiara.

W końcu jeden z noszących pierścienie posłał dokądś swego niewolnika i kiedy poczekaliśmy jeszcze trochę - a wszyscy ci upierścienieni opowiadali, co kto wiedział o bogach i co im opowiedzieli ich ojcowie, dziadowie i stryjowie - niewolnik wrócił, prowadząc małą niewolnicę, wzrostem sięgającą mi do pasa.

Potem jej właściciel mówił o niej bardzo pochlebnie, zwracając uwagę na jej piękną twarz i zaręczając, że umie ona czytać i że nie zna jeszcze mężczyzny. Zdziwiło mnie to, bo sądząc po spojrzeniach, jakie rzuciła na niewolnika, który ją przyprowadził znała go i nie lubiła. Spostrzegłem, że szczupły kapłan wierzy temu upierścienionemu nie więcej niż ja, a zapewne mniej.

Wysłuchawszy go, odprowadził niewolnicę na bok i pokazał jej wykute w murze litery. Nie były takie, jak te, które tu stawiam, było to jednak prawdziwe pismo.

- Przeczytaj mi, dziecko, te słowa o bogu, który ukazuje przyszłość. - polecił - Czytaj głośno o bogu, który uzdrawia i wypuszcza szybkie strzały śmierci! - Niewolnica przeczytała płynnie i z wprawą:

*Tu Leto syn, co gra na lirze,
Wyjawia przyszłość w ognia wirze.
Uzdrawia, nadzieję dając
Tym, co w przybytku klękają.*

Głos miała czysty i słodki i, choć nie był to głos rozkazującego na placu ćwiczeń, zdawał się wznosić ponad zgiełk rynku na zewnątrz.

Kapłan skinął głową zadowolony, nakazał małej niewolnicy milczenie i dał znak Pytii. Bóg, któremu służyła, zawładnął nią natychmiast. Zaczęła więc się i wrzeszczeć na swoim trójnogu.

Wkrótce krzyki jej ucichły i zaczęła mówić tak szybko, jakby grzechotały kamyki w dzbanie i całkiem nie kobiecym głosem, ja jednak nie zważałem na nią. Wzrok mój przyciągnął jakiś złocisty człowiek, większy niż bywają ludzie, który w milczeniu wystąpił z jednej z nisz.

Skinął na mnie, a ja podszedłem do niego.

Był młody i zbudowany jak żołnierz, nie miał jednak na ciele żadnych blizn. W lewej ręce ścisnął łuk i pasterską laskę, jedno i drugie ze złota, a przez plecy przewieszony miał kołczan pełen złocistych strzał.

Przykucnął przede mną, tak jak ja przykucnąłbym, rozmawiając z dzieckiem.

Pokłoniłem mu się, a potem spojrzałem na innych. W pełnych szacunku postawach przysłuchiwali się Pytii i nie widzieli złocistego olbrzyma.

- Dla nich mnie tu nie ma - odezwał się, odpowiadając na nie zadane pytanie. Słowa jego były płynne i piękne, jak słowa sprzedawcy, który mówi kupującemu, że swój towar chował właśnie dla niego.

- Jak to być może? - Nawet kiedy mówił, tamci mamrotali coś i kiwali głowami, z oczami wciąż utkwionymi w Pytii.

- Bogów ogląda się samotnie - rzekł olbrzym. - Dla innych każdy bóg jest Nieznanym Bogiem.

- Jestem więc sam? - spytałem.

- Czy mnie widzisz?

Skinąłem głową.

- Czasem wysłuchuję modlitw - powiedział. - Nie przyszedłeś tu z prośbą. Czy teraz chcesz o coś prosić?

Nie byłem w stanie mówić ani myśleć. Pokręciłem głową.

- Dostaniesz więc to, co ci mogę dać. Słuchaj, jakie mam przymioty: jestem bogiem prorocत्व i muzyki, śmierci i uzdrawiania, jestem bogiem Wilczym i Słonecznym. Przepowiadam ci daleką wędrówkę w poszukiwaniu twego domu, znajdziesz go jednak dopiero, gdy będziesz od niego najdalej. Raz jeden przyjdzie ci śpiewać, jak śpiewali ludzie w Złotym Wieku, pod muzykę bogów, a znacznie później, w martwym mieście, znajdziesz to, czego szukasz. - Do mnie należy uzdrawianie, nie mogę cię jednak uzdrowić i nie zrobiłbym tego, choćbym mógł. Powalono cię przy świątyni Wielkiej Matki, do jej świątyni musisz wrócić. Ona ci wskaże drogę, i wilczy kiel wróci w końcu do tej, która nim kierowała.

Gdy złocisty człowiek mówił to, zaczął rozpląwać się przed moimi oczami, jakby go pochłaniała niszka, z której przed chwilą wystąpił.

- Popatrz w słońce...

Kiedy odszedł, podniosłem się, strzepując pył z chitonu. Czarny człowiek, kapłan, ludzie z pierścieniami na palcach i dziewczynka wciąż stali przed Pytią, teraz jednak noszący pierścienie spierali się z sobą. Kilku wskazywało najmłodszego z nich, który w końcu zabrał głos, rozłożywszy ręce.

Kiedy skończył, zaczęli mówić wszyscy naraz. Mówili mi, że ma szczęście, mogąc opuścić miasto, na co on znów zaczął mówić. Wkrótce zmęczyło mnie słuchanie go i zamiast słuchać czytałem to, co napisałem przedtem, a potem pisałem to, co teraz piszę, oni zaś wciąż się spierają. Czarny człowiek mówi na migi o pieniądzach, a najmłodszy z noszących pierścienie - nie jest już taki młody, włosy przerzedziły mu się na skroniach - odwrócił się, jakby chciał odejść.

Dziewczynka patrzy na mnie, na niego, na czarnego człowieka, i znów na mnie, z niedowierzaniem.

ROZDZIAŁ III

Io

Mała niewolnica obudziła mnie przed pierwszym brzaskiem. Ognisko prawie wygasło, łamała więc patyki na kolanie, by je dorzucić do ognia.

- Przepraszam, panie! - powiedziała. - Staralam się robić to, najciszej jak mogłam.

Miałem wrażenie, że ją znam, ale nie mogłem przypomnieć sobie, kiedy i gdzie się spotkaliśmy. Spytałem, kim jest.

- Jestem Io, „io” to radosne wołanie, panie.

- A kim ja jestem?

- Tyś jest Latro, żołnierz, panie.

Trzykrotnie już zwróciła się do mnie: „panie”.

- Czy zatem jesteś niewolnicą, Io? - spytałem. Tak właśnie o niej pomyślałem, widząc jej postrzępiony peplos.

- Jestem twoją niewolnicą, panie. Bóg oddał ci mnie wczoraj. Czy tego nie pamiętasz?

Powiedziałem, że nie pamiętam.

- Zabrali mnie do domu boga, bo nie chciał im niczego powiedzieć, dopóki ktoś nie przyniesie mu daru. Ja byłem tym darem, dzięki mnie owdładnął on kapłanką tak, że omal nie wpadła w szaleństwo. Powiedziała, że należę do ciebie i powinnam iść z tobą, dokądkolwiek idziesz.

Na te słowa jakiś człowiek, owinięty pięknym błękitnym płaszczem, odrzucił go i usiadł.

- Tego sobie nie przypominam - powiedział - a byłem tam.

- To było później - oświadczyła Io - po tym jak odszedłeś z tamtymi.

Spojrzał na nią sceptycznie, a potem rzekł:

- Mam nadzieję, że o mnie nie zapomniłeś, Latro. - Widząc zaś, że zapomniałem, mówił dalej: - Nazywam się Pindar, panie, syn Pagondasa, i jestem poetą. Byłem wśród tych, którzy wprowadzili cię do świątyni naszego patrona.

- Czuję się, jakbym obudził się ze snu, nie potrafię jednak powiedzieć, o czym śniłem, ani co się zdarzyło, zanim zasnąłem - powiedziałem.

- Ach! - Pindar sięgnął do swej torby podróżnej i wydobył woskowaną tabliczkę i rylec. - To naprawdę dobre. Nie będziesz miał nic przeciw temu, że to zapiszę? Może mi się przydać.

- Zapiszesz to? - Coś drgnęło w mojej pamięci.

- Tak, żeby nie zapomnieć. Ty robisz to samo, Latro. Pokazywałeś mi wczoraj swoją książkę. Czy masz ją jeszcze?

Rozejrzałem się i zobaczyłem ten zwój, leżący tam, gdzie spałem, z rysikiem zatkniętym za sznury.

- To szczęście, że nie wpadł w ogień - zauważył Pindar.

- Chciałbym mieć taki płaszcz, jak twój!

- Jeśli tak, kupię ci taki. Mam pieniądze. Dwa lata temu miałem szczęście odziedziczyć kawałek ziemi. Może to zresztą zrobić twój przyjaciel. Zebrał niemałą sumę, zanim zabraliśmy cię do domu boga.

Spojrzałem na czarnego człowieka, którego wskazywał Pindar.

Spał jeszcze albo udawał, że śpi, nie było mu jednak dane spać dłużej. Gdy na niego patrzyłem, w oddali zagrały rogi. Wszędzie wokół nas ludzie budzili się ze snu.

- Czyja to armia? - spytałem.

- Co takiego? Ty, żołnierz tej armii, nie znasz imienia swego wodza?

Pokręciłem głową:

- Może kiedyś znałem. Nie pamiętam.

Odezwała się Io.

- Zapomina, a przyczyną jest to, co mu się stało w tej bitwie, na południe od miasta.

- No cóż, była to armia Mardoniosa, ale on nie żyje. Nie jestem pewien, kto teraz dowodzi. Sądzę, że Artabazos. On przynajmniej zdaje się pełnić obowiązki wodza.

Podniosłem zwój.

- Jeśli to przeczytam, może przypomnę sobie - powiedziałem.

- Może sobie przypomnisz - zgodził się Pindar. - Poczekaj jeszcze chwilę, aż będzie widniej. Kiedy wzejdzie słońce, będziemy mieli piękny widok na jezioro Kopais.

Chciało mi się pić, spytałem więc, czy tam pójdziemy.

- Na wschód? Przypuszczam, że tam zmierza ta armia, a zapewne i dalej, jeśli Pauzaniasz i jego Powroźnicy mają tu coś do powiedzenia. My z tobą udajemy się jednak do jaskini Bogini Ziemi. Czy nie pamiętasz, co mówiła Pytia? - Ja pamiętam! - oznajmiła Io.

- Wyrecytuj to więc dla niego - westchnął Pindar. - Mam wrodzony wstręt do złych wierszy.

Niewolnica wyprostowała się na całą swą wysokość, a nie było to wiele, i zaintonowała:

*Popatrz w słońce, jeśli możesz!
Śpiewaj! Ofiarę mi złożysz!
Masz jednak przebyć wąskie morze!
Przez wyjącego wilka twoja bieda!
Do pani tego psa musisz się udać!
Ogień w podziemiu czyni cuda!
W świątyni Nieznanego Boga
Poznasz, co przed widzeniem trwoga!
Przez Śmierci kraj prowadzi droga!
Śpiewaj, a wkoło zgromadzeni:
Król, nimfa, kapłan - wśród zieleni
Wzgórz - wilk, faun, nimfa - urzeczeni!*

Pindar pokręcił głową z niesmakiem.

- Czy słyszałeś kiedy gorsze wiersze? W Pępku Świata robią to znacznie lepiej, możesz mi wierzyć. Możesz to nazwać próżnością, często jednak myślę, że niski poziom wyroczni w naszym świetnym mieście to zachęta dla mnie. „Widzisz, Pindarze - mówi bóg - co się dzieje, kiedy boska poezja przepływa przez nieczułe serce”. A jednak jest to dość jasne, a nie zawsze można tak powiedzieć o tym, co mówi bóg w Pępku Świata. Połowa tamtego nie ma sensu.

- Czyżbyś to rozumiał? - spytałem z niedowierzaniem.

- Oczywiście. Przynajmniej większą część. Pewnie nawet ta dziewczyna to rozumie.

Io pokręciła głową.

- Nie słuchałam wyjaśnień kapłana - stwierdziła.

- Prawdę mówiąc - powiedział Pindar - mogłem udzielić lepszych wyjaśnień niż on, podjąłem się więc tej podróży. Ludzie zresztą uważają, że poeci mają za wiele czasu, a ich życie to nie kończące się lato.

- Ja mam uczucie, jakbym miał tylko dzień dzisiejszy, który przepadnie, gdy się skończy.

- Tak, myślę, że tak właśnie jest. Jutro znów będę musiał wyjaśniać ci słowa boga.

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- Zapiszę je - powiedziałem.

- Oczywiście! Zapomniałem o twojej książce. Dobrze więc. Pierwszy zwrot brzmi: „Popatrz w słońce, jeśli możesz”. Czy to rozumiesz?

- Przypuszczam, że to oznacza, iż powinienem czytać zwój. Najlepiej robić to w świetle słońca, jak to sam mówiłeś.

- Ależ nie! Kiedy w wypowiedzi Pytii pojawia się „słońce”, zawsze oznacza to boga. Ten zwrot znaczy więc, że światło zrozumienia płynie od niego, to jeden z najbardziej znanych jego przymiotów. Dalej: „Śpiewaj, ofiarę mu złożysz”. Znaczy to, że musisz mu się przypodobać, jeśli pragniesz zrozumienia. Jest on bogiem muzyki i poezji, każdy więc, kto na przykład pisze albo recytuje poezję, składa mu tym samym ofiarę. Barany i podobne głupstwa przyjmuje on tylko od prostaków i mieszcuchów, twoją ofiarą ma być pieśń, powinieneś o tym pamiętać.

Powiedziałem, że się postaram.

- Dalej mamy: „Masz jednak przebyć wąskie morze”. Jest on bogiem ze Wschodu. Przybył do nas z Kraju Czapki. Jego symbolem jest wschodzące słońce. Tam masz złożyć swoją ofiarę.

Skinąłem głową, czując ulgę, że nie muszę śpiewać natychmiast.

- Przejdźmy do następnej strofy: „Przez wyjącego wilka twoja bieda!” Bóg powiadamia cię, że symbolem tego, kto cię zranił, jest wilk, wskazuje też, że wilk jest urodzonym śpiewakiem, taką więc złożysz ofiarę, jeśli masz być uzdrowiony. „Do pani tego psa musisz się udać!” Aha! - Pindar dramatycznym gestem uniósł palec ku niebu. - Oto jest, moim skromnym zdaniem, najważniejsza linijka w tym wszystkim. Zraniła cię bogini, której symbolem jest wilk. Może to być jedynie Wielka Matka, którą czcimy pod wieloma imionami, a większość z nich oznacza matkę, ziemię, dawczynię plonów i podobne rzeczy. Ponadto, musisz odwiedzić jej świątynię, czy też przybytek. Takich przybytków jest jednak wiele - o który chodzi? Szczęściem, bóg mówi nam: „Ogień w podziemiu czyni cuda”. Tu może chodzić jedynie o sławną wyrocznię w Lebadei, która mieści się w jaskini, niedaleko stąd. Poza tym leży ona przy najbezpieczniejszej drodze do Imperium i Kraju Czapki, co przesądza sprawę, jako że nie chcemy korzystać z drogi nadbrzeżnej, teraz gdy okręty Myśli prują wody Zatoki. Musisz iść tam i błagać o wybaczenie szkody, którą wyrządziła bogini, za co cię zraniła. Dopiero kiedy to zrobisz, bóg będzie władny cię uzdrowić - inaczej zrobiłby sobie z niej nieprzyjaciółkę, czego, oczywiście, nie chce.

- A co z następną linijką? - spytałem. - Kto jest tym Nieznanym Bogiem?

Pindar pokręcił głową.

- Tego nie umiem ci powiedzieć. W Myśli stała świątynia Nieznanego Boga. Z pewnością jest tam teraz kraj Śmierci, gdy ta armia ponownie wszystko zniszczyła. Poczekamy, zobaczymy. W tego rodzaju sprawach często tak bywa, że trzeba wypełnić pierwsze polecenie, aby móc zrozumieć następne. Sądzę, że wszystko się wyjaśni, gdy odwiedzisz Wielką Matkę w jaskini Trofoniosa. Nie mówię, że śmiertelnik może...

- Spójrzcie tam, w dół! - Io krzyknęła tak przeraźliwie swym dzieciennym głosem, że czarny człowiek usiadł, sztywny, jakby połknął kij.

Oślaniała oczy przed słońcem, które wschodziło nad jeziorem. Podniosła się, a wielu innych żołnierzy przerwało swe zajęcia, by spojrzeć tam, gdzie patrzyła - tak więc cisza zaległa naszą część wielkiego obozowiska.

Słabe dźwięki muzyki doleciały od brzegów jeziora, gdzie stu lub więcej ludzi płaśało w szalonym tańcu. Rozproszone wśród nich kozły brykały, tak jak tancerze, podrażnione zapewne obecnością dwóch oswojonych panter.

- To Koziołek! - wyszeptał Pindar i skinął na mnie, bym szedł za nim.

Io chwyciła mnie za rękę, gdy włączaliśmy się w potok żołnierzy, idących po wodę do jeziora.

- Czy zaproszono nas do towarzystwa? - zapytała.

Odpowiedziałem, że nie wiem.

Pindar rzekł przez ramię:

- Jesteś pielgrzymem. Nie będzie miał nam tego za złe.

I tak zeszedliśmy na brzeg jeziora po łagodnej pochyłości, stąpając po świeżej trawie, wśród kwitnących kwiatów. Pindar prowadził. Io trzymała mnie za rękę, a czarny człowiek podążał nachmurzony w pewnej odległości za nami. Wschodzące słońce złociło taflę jeziora, a poranny wietrzyk rozwiewał mgły, niosąc setki różnych zapachów.

Za nami znów odezwały się trąby armii Wielkiego Króla, nie zawróciliśmy jednak, choć wielu żołnierzy to zrobiło.

- Wyglądasz, panie, jak człowiek szczęśliwy - powiedziała Io z buzią zwróconą do mnie.

- Jestem szczęśliwy. A ty?

- O tak, jeżeli ty jesteś!

- Mówiłaś, że przyprowadzono cię, jako ofiarę, do domu boga. Czy nie byłaś tam szczęśliwa?

- Bałam się! - wyznała. - Bałam się, że poderżną mi gardło, jak tym biednym zwierzętom. Teraz boję się, że bóg posłał mnie do ciebie, aby złożono mnie w ofierze gdzie indziej. Czy tej Wielkiej Matce, do której prowadzi nas poeta, składa się ofiary z dzieci?

- Nie mam pojęcia, Io, jeśli tak jednak jest, nie pozwolę cię zabić. Nic nie usprawiedliwia takiej ofiary, obojętnie, jak wielką szkodę wyrządziłem bogini.

- A gdybyś musiał to zrobić, by odnaleźć dom i przyjaciół?

- Czy przyszedłem do domu boga, by ich odnaleźć?

- Nie wiem - powiedziała Io z namysłem. - Chyba mój dawny pan i kilku innych kazali ci tam pójść. W każdym razie byłeś tam, gdy rządca mnie przyprowadził. Przez chwilę siedzieliśmy przy sobie i mówiłeś mi o nich.

Jej oczy opuściły moje, podążając za korowodem celebrantów, idących brzegiem jeziora.

- Spójrz, Latro, jak oni tańczą!

Spojrzałem. Skakali i wirowali w płytkiej wodzie, rozbryzgując ją stopami i rozlewając na murawę wino, które pili, nie przerywając tańca. Wysokie tony piszczałek i natarczywe dudnienie bębna wydawały się coraz głośniejsze. Większość tańczących - chociaż byli wśród nich także zamaskowani mężczyźni - stanowiły kobiety, nagie albo prawie nagie, okryte jedynie swymi rozpuszczonymi, splątanymi włosami.

Io przyłączyła się do nich, a z nią czarny człowiek i Pindar. Ja jednak patrzę tylko na małą Io. Jakaż jest radosna we wianku z winorośli i jak przy tym pochłonięta naśladowaniem szalejących menad, na czas trwania tańca porzucając swoje dzieciństwo.

Pindar, czarny człowiek i ja - już na zawsze opuściliśmy dzieciństwo, chociaż dla nich musieli istnieć jacyś przyjaciele i jakieś domy. Co do mnie - choć także je opuściłem, wydaje mi się bliskie; mieści w sobie jedyny dom i jedynych przyjaciół, jakich pamiętam.

ROZDZIAŁ IV

W świetle księżycy

Obudziwszy się, usiłowałem czytać ten zwój, jednak księżyc świecił tak jasno, że moja dłoń rzucała ostry cień na papirus i nie mogłem rozpoznać tych niewyraźnych liter. Obok mnie spała jakaś kobieta, naga jak i ja, pokryta rosą. Podziwiałem wyniosłość jej uda i wygięcie biodra - nie umiałbym wyobrazić sobie niczego równie uroczego. Drżała z zimna, nie obudziła się jednak.

Rozejrzałem się, szukając czegoś, by ją przykryć. Wydawało mi się pewne, że nie rzuciliśmy się oboje na trawę, by tak spać, bez żadnego okrycia, wśród tylu innych śpiących. Na widok jej nagości moja męskość obudziła się. Wstydzilem się tego, chciałem więc okryć także i siebie, niczego jednak nie było pod ręką.

Woda migotała w pobliżu. Poszedłem się umyć z uczuciem, że zbudziłem się ze snu i gdy tylko ochłodzę twarz, przypomnę sobie, kim jest ta kobieta i jak to się stało, że leżę z nią w trawie nad brzegiem.

Brodziłem w wodzie, póki nie sięgnęła mi do pasa. Była cieplejsza od rosy i czułem się, jakbym naciągał na siebie derkę. Obmywając twarz, odkryłem, że głowę mam owiniętą płótnem. Spróbowałem ściągnąć opatrunek, ale zapiekło mnie to niczym rozpalone żelazo, zaprzestałem więc tych prób.

Nie potrafię powiedzieć, czy sprawiła to woda, czy też ból, że obudziłem się ponownie. Odkryłem jednak, iż gdy pierzchnął na wpół zapamiętany sen, nic nowego nie pojawiło się w mojej pamięci. Szemrząca woda opływała mi piersi. Nade mną jasno Świecił księżyc, jak biała lampa, zawieszona, by oświetlić dziewicy drogę do domu. A gdy spojrzałem ku brzegowi, ujrzałem ją samą - czystą jak światło księżycy, z wygiętym jak półksiężyc łukiem w rękę i strzałami zatkniętymi za pasek. Dłuższą chwilę stapała, omijając śpiących na brzegu. W końcu wspięła się na wzgórze za nimi i na samym jego szczycie - zniknęła.

Teraz wzeszło słońce, rozsiewając diamentowe błyski z opalizujących grzbietów drobnych fal. Miałem wrażenie, że widziałem je już przedtem, tak jak teraz, wschodzące nad jeziorem - w świetle dnia widać było, że woda jest w istocie jeziorem - nie umiałbym jednak powiedzieć, kiedy to było. Od tej pory przeczytałem już część tego zwoju i wiem więcej.

Mnie zbudził księżyc, pozostałych jednak poruszyło dopiero światło słońca. Wstawali, ziewali i rozglądali się wokół. Brnąłem na powrót ku brzegowi, żalując, że zajęty przyglądaniem się dziewczycy z łukiem, nie szukałem dłużej okrycia dla śpiącej ze mną tej nocy kobiety. Spała jeszcze. Wrzuciłem do jeziora leżące przy niej skorupy rozbitego dzbana po winie. Obok tego zwoju, pośród broni i zbroi, która należy chyba do mnie - znalazłem jakiś chiton i przykryłem nim kobietę.

Jakiś poważny człowiek, około czterdziestki, spytał mnie, czy jestem Hellenem, a gdy zaprzeczyłem, powiedział:

- Nie jesteś jednak barbarzyńcą, mówisz naszym językiem. - Był nagi, tak jak ja, nosił jednak wieniec z bluszczu zamiast opatrunku i trzymał wysoką laskę z zatkniętą na niej szyszką sosnową.

- Rozumiem twoją mowę - powiedziałem. - Nie wiem jednak, jak to się dzieje. Wiem tylko tyle, że... jestem tu.

Jakaś dziewczynka, która przysłuchiwała się temu, odezwała się:

- On niczego nie pamięta. To mój pan, o świątobliwy.

- Ach, tak - Kapłan pokiwał głową. - Wielu jest takich. Bóg-Drzewo odebrał mu pamięć. Nie ma w tym winy.

- Nie sądzę, by to sprawił twój bóg - powiedziała z powagą dziewczynka. - Myślę, że była to Wielka Matka albo Matka Ziemia, albo też Pani Świń.

- To jedna i ta sama, moja droga - powiedział kapłan łagodnie. - Usiądź, proszę. Jesteś we właściwym wieku, by to pojąć. - Usiadł na trawie. Na jego znak, dziewczynka usiadła przed nim, a ja obok niej.

- Sądząc po akcencie, pochodzisz z siedmiobramnego Wzgórza, nieprawdaż?

Skinęła głową.

- Pomyśl więc o kimś, kogo często widywałeś w mieście. Powiedzmy, że jest on garncarzem. Jest też ojcem takiej jak ty córki, mężem kobiety, jaką będziesz, i synem jeszcze innej. Kiedy wyrusza na wojnę, nosi hełm, hoplon i włócznię, jest bowiem tarczownikiem. Zapytuję cię więc, kim on właściwie jest - tarczownikiem, synem, mężem, ojcem czy garncarzem?

- Jest nimi wszystkimi - odpowiedziała dziewczynka.

- Gdybyś więc nie znała jego imienia, jakbyś się do niego zwracała? Milczała.

- Będzie to zależało od tego, gdzie się spotkacie i czego będziesz od niego chciała, nieprawdaż? Jeśli go spotkasz na placu ćwiczeń, powiesz: „tarczowniku”, w jego sklepie zaś spytasz: „garncarzu, ile za tę miskę?” Otóż, moja droga - ciągnął dalej - wielu jest bogów, ale

nie aż tylu, ilu wyobrażają sobie nieucy. Tak jest i z twoją boginią, którą nazywasz Panią Świń. Kiedy chcemy, by pobłogosławiła nasze pola, nazywamy ją Boginią Zbóż. Kiedy jednak myślimy o niej, jak o matce wszystkiego, co rośnie na ziemi - drzew, jęczmienia, zwierząt dzikich i domowych - zwiemy ją Wielką Matką.

- Powinni mówić nam, jak mają na imię - rzekła dziewczynka.

- Mają wiele imion. To właśnie jedna z tych spraw, które chciałbym ci wyjaśnić, jeśli zdołam. Gdybyś udała się, jak ja kiedyś, do Kraju Rzeki, znalazłabyś tam Wielką Matkę, chociaż Ludzie Rzeki nie nazywają jej tak. Bóg - czy też bogini - musi mieć w języku każdego ludu odpowiednie dla tego języka imię.

- Poeta mówił, że twój bóg to Koziółek - powiedziała dziewczynka.

- O właśnie, to świetny przykład. Poeta, o którym mówisz, nazwał go Koziółkiem w rozmowie z tobą, i miał słusność. Ja przed chwilą, z równą słusnością nazwałem go Bogiem-Drzewem. - Nagle oderwał wzrok od dziewczynki. - Ależ, to zadziwiające! Coś niezwykłego!

Odwróciwszy się, ujrzałem idącego ku nam, czarnego jak noc człowieka. Był nagi, jak i my, w ręku niósł włócznię zakończoną skręconym spiralnie rogiem.

- Często powtarzam menadom i satyrom z jego orszaku, że obrządki, takie jak odprawiany wczoraj, zbliżają nas do boga. Oto cudowny wprost dowód. - Kapłan wskazał na przybysza. - Przyjacielu, podejdź tu i usiądź z nami.

Czarny człowiek przykucnął, udając że pije.

- Prosi o wino - wyjaśniła dziewczynka.

- Czy nie mówi naszym językiem? - zapytałem.

- Sądzę, że trochę rozumie, ale nigdy nic nie mówi. Ktoś chyba kiedyś wyśmiał go, kiedy próbował to robić - odparła dziewczynka.

Kapłan uśmiechnął się:

- Jesteś nad wiek rozumna, moja droga. Przyjacielu - zwrócił się do czarnego człowieka - nie mamy już wina. Wszystko co mieliśmy, wypiliśmy zeszłej nocy albo wylaliśmy w czasie libacji na cześć boga. Dziś musisz pić wodę, jeśli chcesz pić. - Przechylił dłoń, jakby wylewał wino na ziemię, a potem wskazał jezioro.

Czarny człowiek skinął głową na znak, że rozumie, nie ruszył się jednak z miejsca.

- Miałem właśnie powiedzieć - ciągnął kapłan - że nasz bóg jest zwykle nazywany Królem z Nysy, gdy niezgłębiona moc naszego boga ukazała nam naszego przyjaciela, jako wyjaśnienie tego. Czy któreś z was wie, gdzie leży Nysa?

Dziewczynka i ja przyznaliśmy, że nie wiemy.

- W kraju czarnych, w górze tej rzeki, która płynie przez Kraj Rzeki. Nasz bóg został poczęty, kiedy Zstępujący spotkał w swych wędrówkach księżniczkę Semele, córkę króla naszego siedmiobramnego miasta. W tych czasach byliśmy królestwem - odchrząknął. - Zstępujący przyjął postać jakiegoś ziemskiego króla i odwiedziwszy, jako królewski gość, pałac jej ojca - zdobył ją, chociaż nie wzięli ślubu.

Dziewczynka ze smutkiem pokręciła głową.

- Niestety, jego żona Teleja dowiedziała się o tym. Skoro o niej mowa, niektórzy powiadają, że Teleja jest także Matką Ziemią i Wielką Matką, ja jednak uważam, że błędą. Tak czy owak Teleja również przebrała się, przybierając postać staruszki, dawnej piastunki księżniczki. „Twój kochanek jest kimś więcej niż człowiekiem - powiedziała księżniczce Semele. - Zażądaj, by ci wyjawił...”

Jakiś przystojny mężczyzna, nieco młodszy niż kapłan, przyłączył się do nas, prowadząc jakąś kobietę, ciemnowłosą jak wszystkie, ale z oczami jak dwa fiołki.

- Chyba mnie nie pamiętasz, Latro? - zapytał.

- Nie - odpowiedziałem.

- Tego się obawiałem. Nazywam się Pindar i jestem twoim przyjacielem. Ta dziewczyna, to twoja niewolnica, Io, to zaś jest...

- Hilaejra - powiedziała. Spozstrzegłem, że stara się zasłonić piersi, tak by nie rzuciło się to w oczy. - Nie jest w zwyczaju przedstawiać się podczas bachanaliów. Co innego teraz. Pamiętasz mnie, prawda?

- Wiem, że spałaś przy mnie, kiedy się obudziłem, i że cię przykryłem chitonem - odpowiedziałem.

- Poraziła go Wielka Matka - wyjaśnił Pindar. - Bardzo prędko o wszystkim zapomina.

- Jakie to musi być dla ciebie okropne! - powiedziała Hilaejra. Zauważyłem jednak, że była zadowolona, słysząc, iż zapomniałem o tym, co musieliśmy robić wieczorem.

Podczas gdy nas troje rozmawiało, kapłan w dalszym ciągu pouczał Io. Mówił właśnie:

- Nadał małemu bogu postać koziołka.

Io musiała przysłuchiwać się nam, bo odwróciła się i wskazując na mnie szepnęła:

- On wszystko zapisuje. Wczoraj siedziałeś długo i pisałeś, panie, aż przyszła ta kobieta i zwinęłaś zwój.

- Teleja, królowa bogów, nie dała się jednak oszukać. Zwabiła koziołka słodkimi ziołami i miodem aż na wyspę Naksos, gdzie, z nakazu jej córki - Pani Myśli, czekał na nią jej przyboczny.

Ostatni wierni podnosili się już. Wielu z nich wyglądało na tak wyczerpanych i chorych, że pobita armia nie wyglądałaby gorzej. Miałem wrażenie, że widziałem już taką armię, gdy jednak spróbowałem coś sobie przypomnieć, ujrzałem jedynie zabitego, leżącego przy drodze i mężczyznę z kędzierzawą brodą, który okrywał derką swego rumaka.

Czarny człowiek, którego szybko znudziła opowieść kapłana i który poszedł napić się wody z jeziora, wrócił i dał mi znak, bym się podniósł.

Hilaejra szepnęła, wskazując Pindara:

- Mówił, że dziewczynka jest twoją niewolnicą. A ty? Czyżbyś należał do tego człowieka? - A kiedy milczałem, dodała: - Niewolnikowi nie wolno posiadać innego niewolnika. To, co kupuje, należy do jego pana.

- Nie wiem - powiedziałem. - Czuję jednak, że jest on moim przyjacielem.

- Byłoby nietaktem odchodzić teraz, kiedy twoja młoda niewolnica pobiera nauki - powiedział Pindar. - Pójdziemy poszukać czegoś do zjedzenia później.

Skinąłem na czarnego człowieka, by usiadł, co też zrobił.

- Czy naprawdę niczego nie pamiętasz? - spytała Hilaejra. - Ani też nie wiesz, czy jesteś wolnym, czy niewolnikiem? Jak to możliwe?

Spróbowałem jej odpowiedzieć:

- Poza mną rozpościera się mgła, tu z tyłu głowy. Wyszędłem z niej, kiedy obudziłem się przy tobie i poszedłem do jeziora umyć się i napić. Wydaje mi się, że jestem wolny.

- Nie wzywa się jednak bezkarnie Pani Myśli - ciągnął kapłan. - Prawdziwa z niej sofistka. Tak jak jej miasto, kieruje się wyłącznie własną korzyścią, za nic mając obietnice i honor. Chociaż pomagała swej matce, wyjęła z kotła serce Koziółka i zaniósła je Zstępującemu.

Ciągnął tak jeszcze przez jakiś czas, a głos jego był jak wiatr, igrający z młodą trawą, gdy tymczasem wokół nas gromadziła się jego świta. Nie zapiszę tu jednak całej jego opowieści, wkrótce bowiem wyruszamy, a nie wydaje mi się aż tak ważna.

Na koniec powiedział:

- Mamy więc, jak widzicie, szczególne prawa do Koziółka. Jego matka była księżniczką z naszego siedmiobramnego miasta. Poprzez błękitne wody naszego jeziora zstąpił on do podziemnego świata, by przyjść jej na ratunek. Wczoraj czciliśmy wspólnie to wydarzenie. - Po tych słowach zapadła cisza.

- Czy już skończyłeś? - spytał Pindar.

Kapłan skinął głową, uśmiechając się.

- Mógłbym powiedzieć o wiele więcej, małe główki są jednak jak małe czarki - szybko się wypełniają.

- Chodźmy więc. - Pindar wstał. - Znajdziemy chyba jakichś gospodarzy, którzy sprzedadzą nam coś do zjedzenia.

- Prowadzę wiernych z powrotem do miasta - powiedział kapłan. - Jeśli poczekać na nas, wskażę wam gospodarstwa, w których jadamy co roku.

Pindar pokręcił przecząco głową.

- Idziemy do Lebaei i musimy dziś zostawić za sobą wiele drogi, jeżeli mamy jutro dojść do świętej jaskini.

Fiołkowe oczy Hilaejry zabłyśły.

- Czy jesteście pielgrzymami? - zapytała.

- Tak. Kazała nam tam iść wyrocznia Boga Poety. Czy też raczej - dodał Pindar - kazała tam iść Latro. Mnie zaś grono obywateli wybrało na jego przewodnika.

- Czy mogę iść z wami? Nie wiem, jak do tego doszło - z pewnością nie chcielibyście słuchać o moim życiu osobistym - stałam się jednak ostatnio bardzo religijna. Bogowie i ich sprawy są mi znacznie bliżsi niż dawniej. Oto, dlaczego wzięłam udział w tych bachanaliach.

- Oczywiście! - odpowiedział Pindar. - Gdybyśmy odmawiali pobożnym naszej opieki w podróży, byłby to najgorszy jej początek.

- Cudownie! - Zerwała się i musnęła wargami jego wargi. - Zbiorę swoje rzeczy.

Włożyłem chiton i te blachy - na piersi i na grzbiet. Podniosłem też ten krzywy miecz i pas z brązu, które znalazłem obok. Io mówi, że ten miecz to Falcata, i rzeczywiście - imię to wypisano na jego ostrzu. Mam też malowaną maskę. Io mówi, że kapłan dał mi ją wczoraj, kiedy byłem satyrem. Zawiesiłem ją na szyi.

Zatrzymaliśmy się w tym domu. Jemy placki, solone oliwki i ser, pijemy wino. Mogę usiąść na krześle, rozwijając zwój na kolanach, i korzystam z okazji, by zapisać to wszystko. Pindar powiedział jednak przed chwilą, że będziemy musieli iść.

Teraz zza wzgórza wychodzą jacyś smagli ludzie z oszczepami i długimi nożami.

ROZDZIAŁ V

Niewolnicy Powroźników

Mają zwyczaj bić jeńców i obrzucać ich obelgami. Robią to dlatego, powiada Pindar, ponieważ Powroźnicy gardzą swymi niewolnikami, nas zaś uważają za równych sobie, a przynajmniej na tyle równych, na ile to możliwe, jeśli nie jest się Powroźnikiem.

Dopóki nie znaleźliśmy tego śpiącego starca, bili mnie mocniej niż Pindara i czarnego człowieka. Teraz już mnie nie biją. Nie bili też zbyt mocno Hilaejry ani jej córki, obie jednak płaczą. Zrobili też coś z nogami dziewczynki, tak że ledwie może chodzić. Kiedy rozwiązali mi ręce, niosłem ją, póki się tu nie zatrzymaliśmy.

Przed chwilą wartownik zabrał mi ten zwój. Miałem go na oku i, kiedy opuścił obozowisko, by sobie ulżyć, pomówiłem z kobietą-wężem. Podążyła za nim i wkrótce wróciła z moim zwojem w zębach. Ma długie, wydrażone zęby. Mówi, że wysysa nimi życie i że napiła się do syta.

Teraz muszę napisać o moich najwcześniejszych wspomnieniach z tego dnia, zanim i one przepadną we mgle; o blasku słońca i o kłębach pyłu, który przy każdym kroku wzbijał się w górę i pobielił mi nogi aż do kolan. Przede mną szedł czarny człowiek. Raz obejrzałem się i zobaczyłem za sobą Pindara i swój cień, rozciągnięty na drodze i tak czarny, jak czarny człowiek. Zbito mnie za to drzewcem oszczepu. Czarny człowiek krzychał, mówiąc im, jak sądzę, żeby mnie nie bili. Zbili także i jego. Ręce mieliśmy związane za plecami. Bałem się, że uderzą mnie w głowę - nie mogłem jej bowiem osłonić - ale nie zrobili tego.

Kiedy przestali nas bić i gdy przeszliśmy jeszcze kilka kroków, zobaczyłem jakiegoś starego czarnego człowieka, śpiącego opodal drogi. Zapytałem Pindara - znałem jego imię - czy zwiążą tamtego, tak jak naszego czarnego człowieka. Pindar spytał, kogo mam na myśli. Wskazałem mu go podbródkiem, jak to robi czarny człowiek, ale że tamten leżał skryty w purpurowym mroku winnicy, Pindar nie mógł go dostrzec.

Któryś niewolnik Powroźników spytał mnie, o kim mówię. Kiedy mu to wyjaśniłem, powiedział:

- Nie, to tylko cień winorośli.

- Odparłem, że mogę wskazać mu śpiącego, jeśli pozwoli mi zejść z drogi. Myślałem, że gdyby ten stary czarny człowiek obudził się, zechciałby może pomóc naszemu czarnemu

człowiekowi i zawiadomiłby kogoś, że nas schwytano. Dlatego właśnie mówiłem to wszystko.

- Ruszaj - powiedział niewolnik, z którym rozmawiałem - i pokaż mi go, gdybyś jednak uciekał, wrócisz do naszych przyjaciół, a jeśli nikogo tam nie ma, zapłacisz za to.

Zszedłem z drogi i przyklęknąłem przy śpiącym.

- Ojczy! - szepnąłem. - Ojczy, zbudź się i pomóż nam. - Mając związane ręce, nie mogłem nim potrząsnąć, klęknąłem jednak na kolanie i trąciłem go drugim.

Otworzył oczy i usiadł. Był łysy, a kędzierzawa broda, zwisająca mu aż do pasa, była biała jak śnieg.

- Na wszystkich Dwanaścioro, on ma słuszość! - zawołał niewolnik, który przyszedł ze mną.

- O co chodzi, chłopcze? - spytał grubym głosem starzec. - W czym kłopot?

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Boję się, że chcą nas zabić.

- Ach, nie! - Patrzył na maskę, wiszącą mi na szyi. - Jesteś przecież przyjacielem mojego wychowanka. Nie mogą tego zrobić. - Wstał chwiejnie i zrozumiałem, że zapadł w sen w tej winnicy, bo wypił tyle, ile mógł pomieścić. Czarny człowiek lśni od potu, ale ów tęgi starzec wręcz świeci, jakby spoza niego padało światło.

- Zgubiłem mój flet i mój kubek - zwrócił się do niewolnika, który przyszedł ze mną. - Czy mógłbyś mi je znaleźć, mój synu? Chwilowo wolałbym się nie schylać.

Chodziło o prosty flet z polerowanego drewna. Przewrócony drewniany kubek leżał w trawie niedaleko od fletu.

Kilku niewolników Powroźników cisnęło się wokół nas, wytrzeszczając oczy. Nasz czarny człowiek był chyba pierwszym czarnym, jakiego widzieli w życiu, a oto widzieli dwóch naraz. Któryś powiedział:

- Jeśli chcesz otrzymać swój flet i kubek, starcze, powiedz nam, kim jesteś!

- Ależ, oczywiście. - Stary czknął cicho. - Pewnie, że powiem. Jestem Królem Nysy.

- Czy jesteś Koziółkiem? - pisała dziewczynka. - Kapłan mówił mi rano, że Koziółek jest Królem Nysy.

- Nie, nie, nie! - Starzec pokręcił głową i upił trochę wina z kubka. Miało barwę słońca o zachodzie. - Jestem pewien, że tego nie powiedział, dziecinko. Musisz nauczyć się słuchać uważnie, inaczej nie zdobędziesz mądrości. Jestem pewien, że nazwał mego wychowanka Królem z Nysy. Król Nysy, Król z Nysy. Oddano mi go pod opiekę, kiedy był dzieckiem. Wychowałem go, on zaś wynagrodził mnie za to. - Znów mu się odbiło. - Jak widzicie.

Któryś z niewolników zaśmiał się.

- Pozwalając ci pić do woli! - powiedział. - Nieźle! Chciałbym, by mój pan tak mnie wynagrodził.

- Właśnie! - wykrzyknął starzec. - Dokładnie tak! Bystry z ciebie chłopak, muszę przyznać.

Dopiero wtedy spostrzegłem, że Pindar stoi z pochyloną głową.

Najstarszy z niewolników powiedział:

- Masz piękny flet, starcze! Posłuchaj, co postanowiłem - a ja tu dowodzę. Musisz nam zagrać. Jeśli zrobisz to jak należy, możesz zatrzymać flet. Kto odbiera muzykowi instrument, obraża bogów. Jeśli zagrasz źle, stracisz go i dostaniesz lanie. Jeśli zaś nie umiesz grać w ogóle, była to twoja ostatnia hulanka.

Pozostali wnieśli okrzyk aprobaty.

- Chętnie, mój synu, jak najchętniej! Nie zagram jednak, jeśli ktoś nie zaśpiewa do wtóru. A gdyby tak ten biedak z rozbitą głową? On mnie znalazł, może więc zaśpiewa przy muzyce?

Przywódca niewolników skinął głową, po czym dodał:

- Na takich samych zasadach. Lepiej niech nie fałszuje, bo kiedy go wygrzmocimy, inaczej zaśpiewa.

Starzec uśmiechnął się do mnie, a zęby miał jeszcze bielsze od brody.

- Pewnie od pyłu tej drogi zaschło ci w gardle, mój chłopcze? - zapytał. - Łyknij, przepłucz je! - Podniósł kubek do moich warg i oto miałem pełne usta wina. Jego smaku nie da się opisać - musiały mu go udzielić ziemia, słońce i deszcz. A może było odwrotnie?

Potem starzec zaczął grać.

A ja śpiewać. Nie mogę zapisać słów, nie należały do żadnego znanego języka. Rozumiałem je jednak śpiewając. Mówiły o poranku świata, kiedy niewolnicy Powroźników byli wolnymi ludźmi, mieli własnego króla i czcili Matkę Ziemię. Mówiły też o Królu z Nysy i jego majestacie, i o tym, jak oddał Matce Ziemi Króla Nysy, jako przybranego syna, i o Kamieniu Granicznym.

Gdy śpiewałem, niewolnicy Powroźników tańczyli, wymachując bronią, skacząc i brykając jak jagnięta na pastwisku, a Pindar, kobieta i dziewczynka, i czarny człowiek tańczyli wraz z nimi. Więzy ich opadły, kiedy nimi potrząsnęli, jakby wiązały je dzieci.

W końcu pieśń zamarła mi na ustach. Muzyka ucichła.

Pindar siedział ze mną przy ognisku, gdy pozostali już spali.

- Dziś wypełniły się dwie linijki przepowiedni - powiedział. - Czy ją pamiętasz?

Mogłem tylko pokręcić głową.

- „Śpiewaj, a wokół zgromadzeni: król, nimfa, kapłan - wśród zieleni wzgórz...” Ten bóg - to był bóg, zdajesz sobie chyba sprawę, Latro? Ten bóg był królem, Królem Nysy. Hilaejra była nimfą zeszłej nocy, kiedy tańczyła na cześć Podwójnie Urodzonego Boga. Ja jestem, jako poeta, kapłanem Lśniącego Boga. To Lśniący Bóg powiedział ci, że zaśpiewasz, gdy wezwie cię Król Nysy. Zrobiłeś to, on zaś zdjął z nas powrozy. Jak dotąd wszystko się zgadza.

Spytałem go, czy coś się nie zgadza.

- Nie wiem - przyznał. - Być może wszystko się zgadza, ale... - Poruszył węgle, sądzę, że po to, by mieć czas do zastanowienia, i spostrzegłem, że drżą mu ręce. - To dlatego, że tak naprawdę, nigdy nie widziałem nikogo z nieśmiertelnych - powiedział. - Ty widziałeś, wiem. Mówiłeś mi o spotkaniu z Rzecznym Bogiem, tam, w naszym świętym mieście.

- Nie pamiętam - powiedziałem.

- Tak przypuszczałem. Mogłeś jednak napisać o tym w tej książce. Powinieneś ją przeczytać.

- Zrobię to, kiedy zapiszę wszystko, co jeszcze pamiętam z dzisiejszego dnia.

Westchnął

- Masz słuszość - przyznał. - To znacznie ważniejsze.

- Piszę o Królu Nysy, że był czarnym człowiekiem, takim samym jak nasz.

Pindar skinął głową.

- Dlatego też przyszedł, oczywiście - powiedział. - Jest jego królem, jako Król Nysy, którego wiernym wyznawcą jest niewątpliwie tamten. Armia Wielkiego Króla, która odstępuje teraz na północ, składa się z oddziałów wielu obcych ludów. Pindar przerwał, wpatrując się w płonące węgle.

- A może podążał za Koziołkiem? - zapytał. - Opowiadają, że taki ma zwyczaj, a misteria, które odprawialiśmy wczoraj, mogły tu sprowadzić Koziołka. Taki był ostatecznie ich cel. Mówi się, że tam, gdzie przebywał Koziołek, można natknąć się na jego śpiącego wychowawcę i gdyby ktoś zdołał go związać przed obudzeniem się, mógłby go zmusić do wyjawienia, jaki los czeka tego kogoś. - Zadrzał. - Rad jestem, że tego nie zrobiliśmy. Nie sądzę, żebym chciał znać swoje przeznaczenie, chociaż kiedyś odwiedziłem wyrocnię Iamosa, żeby o nie spytać. Nie chciałbym usłyszeć tego z ust boga, z którym nie mógłbym się spierać.

Zastanawiałem się wciąż nad jego pierwszymi słowami.

- Sądziłem, że wiem, co znaczy słowo „król”. Teraz nie mam już pewności. Czy znaczy ono to samo, kiedy mówisz „Król Nysy”, co kiedy mówisz, że armia Wielkiego Króla odstępuje? - zapytałem.

- Biedny Latro! - Pindar poklepał mnie po ramieniu, jakby uspokajał konia, ale tak przyjaźnie, że nie miałem mu tego za złe. - Szkoda byłoby, gdybyś zapomniał to, co wiesz, skoro nie możesz nauczyć się niczego nowego. Mogę ci to wyjaśnić, ale i tak zapomnisz.

- Zapiszę to - powiedziałem. - Zapiszę tak, jak pisałem o Królu Nysy, jutro zaś przeczytam i zrozumie.

- Dobrze więc - odchrząknął Pindar. - Na początku ludami rządzą bogowie. Gromowładny królował nam tak samo, jak Wielki Król rządzi swoim Imperium. Ludzie oglądali go na co dzień i rozmawiali z nim, jeśli się na to odważyli. Tak samo, niewątpliwie, rządził i Król Nysy ludźmi żyjącymi na południe od Kraju Rzeki. Gdyby Odys zawędrował aż tam, spotkałby go siedzącego na tronie w otoczeniu czarnych.

- Bogowie często brali boginie w objęcia - ciągnął dalej - i płodzili nowych bogów. Tak nas uczą Homer i Hezjod, wspaniali poeci, śpiewające ptaki Lśniącego Boga. Często też bogowie zaszczycali swym uściskiem śmiertelne kobiety, których potomstwem byli bohaterowie - nadludzie, lecz jeszcze nie bogowie. Tak właśnie Alkmena zrodziła Heraklesa.

Skinąłem głową na znak, że rozumiem.

- Z czasem bogowie przekonali się, że dla ich dzieci i wnuków zabrakło tronów. - Pindar spojrział w gwiazdziste niebo, zdające się szydzić z naszego ogniska. - Czy pamiętasz, Latro, gospodarstwo, w którym jedliśmy?

Pokręciłem przecząco głową.

- Było tam przy stole krzesło, na którym zasiadał gospodarz. Widziałem, jak jego córka, ten skrzat, który biegał z krzykiem wokół domu, wdrapała się na nie. Ojciec ani jej nie skarcił, ani nie kazał zejść; pogłaskał ją i pocałował. Tak bywało i z bogami, i z ich dziećmi, które królowały ludziom. Królowie tego Kraju Milczenia, do którego nas prowadzą, wywodzą swój ród od syna Alkmeny, a gdybyś udał się na wschód, do Imperium, znalazłbyś wiele stolic, na których zasiadali do niedawna synowie i córki Heraklesa. Niektórzy z nich zasiadają i dziś, jako wasale Wielkiego Króla.

- Czy jednak gospodarz nie zechce któregoś dnia zasiąść na powrót na swym krześle? - spytałem.

- Któż to wie? - szepnął Pindar. - Czas pokaże.

Potem milczał już, wpatrzony w płomienie.

ROZDZIAŁ VI

Eos

Pani jutrzeńki świeci na niebie. Znam jej imię, bo kiedy chwilę wcześniej rozwinąłem zwój, dotknęła go różanym palcem, wypisując litery. Odtworzyłem je dokładnie tak, jak je pisała. Popatrzcie!

Pamiętam, że pisałem wieczorem, i pamiętam, co pisałem, ale same zdarzenia znikły z mej pamięci. Mam nadzieję, że pisałem prawdę. Ważne jest, żebym znał prawdę, bo przecież wkrótce będzie mi wiadome tylko to, co zapiszę.

Niewiele spałem zeszłej nocy, chociaż mogłem spać, gdy już zwinąłem ten piękny zwój i zawiązałem go sznurami. Obudził mnie jeden z niewolników Powroźników. Siedział przy mnie ze skrzyżowanymi nogami i potrząsał mnie za ramię.

- Czy mnie poznajesz? - spytał.

Powiedziałem, że nie poznaję.

- Jestem Kerdon. To ja pozwoliłem ci zejść z drogi, kiedy zobaczyłeś... - zamilkł wyczekująco.

- Jestem zmęczony - powiedziałem. - Chcę spać.

- Mógłbym cię uderzyć, wiesz o tym? Chyba cię jeszcze nigdy porządnie nie zbito!

- Nie wiem.

Gniew znikł z jego twarzy, choć w blasku ognia wciąż wydawała się mroczna.

- To prawda, ty nie wiesz. Poeta opowiadał mi o tobie. Czy pamiętasz, co widziałeś w winnicy? - zapytał.

Wypadło mi to z pamięci, ale przypomniałem sobie, co zapisałem.

- Czarnego człowieka, grubego i starego - odparłem.

- Boga - wyszeptał Kerdon. Jego oczy, gdy je wzniosł ku niebu, natrafiły na niezliczone gwiazdy. - Nigdy przedtem nie widziałem żadnego z bogów i nie znam nikogo, kto by widział. Duchy - tak, i to wiele, ale nie boga.

- Skąd więc masz pewność? - spytałem.

- Tańczyliśmy. Ja także - nie mogłem ustać w miejscu. To był bóg, a ty go widziałeś, chociaż nikt inny nie mógł go dostrzec. Dopiero kiedy go dotknąłeś, zobaczyliśmy go wszyscy. Wszyscy wiedzą, co się wydarzyło.

Kobieta-wąż syknęła cicho. Kryła się poza zasięgiem światła z ogniska, oczy jej połyskiwały jednak jak czarne paciorki. „Oddaj go mnie!” - mówiły, słyszałem też, jak łuski jej brzucha zaszeleściły jak wyciągane z pochew sztylety, gdy poruszała się zniecierpliwiona we wiosennej trawie.

- Nie! - powiedziałem.

- Ależ tak, wszyscy to wiemy - obstawał przy swoim Kerdon. - Widziałem go potem tak wyraźnie, jak teraz ciebie. Tyle, że nie wyglądał jak ty. Nie wyglądał jak zwyczajny człowiek.

- Nie - powiedziałem znów i pozwoliłem sobie zamknąć oczy.

- Czy wiesz coś o Wielkiej Matce? - zapytał Kerdon.

Otworzyłem znów oczy, a że leżałem twarzą w dół, z głową opartą na ramieniu, zobaczyłem stopy Kerdona i zgniecioną trawę, na której siedział. Wydawała się czarna w świetle ogniska.

- Nie - powiedziałem po raz trzeci, a potem: - być może gdzieś o niej słyszałem.

- Powroźnicy nazywają nas niewolnikami, był jednak czas, kiedy byliśmy wolni. Wiosłowaliśmy na okrętach Minosa, ale płacono nam srebrem i mieliśmy udział w jego chwale.

Głos Kerdona był dotąd tylko szeptem, a teraz jeszcze bardziej przycichł, tak że ledwie go słyszałem, choć jego usta były tuż przy moich uszach.

- Wielka Matka była naszą boginią wtedy i nadal nią jest. Zstępujący pokonał ją, mówią tamci. Posiadł ją wbrew jej woli, a taka była jego moc, że urodziła mu Daktyłów - pięciu chłopców i pięć dziewcząt. Nienawidzi go ona jednak, choć on zaleca się do niej w postaci deszczu i rozdziera jej dęby, by okazać swoją siłę. Powroźnicy mówią, że dęby należą do niego, tak jednak być nie może. Gdyby były jego własnością, czy niszczyłyby je?

- Nie wiem - powiedziałem. - Być może.

- Drzewa należą do niej - szepnął Kerdon. - Tylko do niej. Dlatego też Powroźnicy każą nam je ścinać, karczować pnie i zaorywać ziemię. Kiedy byliśmy wolni, dęby i sosny porastały cały Kraj Milczenia. Dziś Powroźnicy powiadają, że Wyspą Ciemnej Twarzy włada Łowczyni - jako córka Zstępującego - ponieważ chcą byśmy zapomnieli o naszej Wielkiej Matce. Nie zapomnieliśmy. Nigdy nie zapomnimy. Usiłowałem skinąć głową, była jednak zbyt ciężka.

- Staliśmy się niewolnikami, dziś jednak jesteśmy wojownikami. Widziałeś moje oszczepy i procę.

Nie mogłem ich sobie przypomnieć, powiedziałem jednak, że widziałem.

- Jeszcze przed rokiem zabiliby mnie, gdybym ich tylko dotknął. Broń mieli tylko oni, a tej ich broni strzegli uzbrojeni Powroźnicy. Potem nadciągnął Wielki Król. Potrzebowali nas, a teraz jesteśmy wojownikami. Z wojowników nikt nie zdoła zrobić niewolników. Powalą go.

- Chcesz więc, żebym walczył po waszej stronie? - spytałem. Było oczywiste, że po to właśnie przyszedł.

- Tak! - parsknął, aż kropelki śliny opryskały mi twarz.

- Nie widzę przy was żadnego Powroźnika - powiedziałem, przecierając oczy. - Czy to kraj Powroźników?

- Oni nie mają żadnego kraju, mają tylko swoje miasto. Kraj Milczenia należy do nas. Nie, nie jesteśmy w Kraju Milczenia. On leży daleko na południu, na Wyspie Ciemnej Twarzy.

- Więc po co wracasz? Masz tu broń i przyjaciół.

- Tam są nasze żony i dzieci. Nie, ty musisz iść z nami! Musisz znaleźć Wielką Matkę i dotknąć jej. Będziemy całować ziemię u jej stóp, bo pocałować ziemię, to tak, jak pocałować ją w usta. Zepchniemy Powroźników z powrotem do morza, ona zaś będzie naszą królową. Jeśli nas poprowadzisz, oddam ci twój miecz. Będziesz jej najwyższym kapłanem.

- Poprowadzę was - powiedziałem. - Rano, kiedy odpoczniemy i będziemy gotowi do drogi.

- Świetnie! - Kerdon uśmiechnął się szeroko i spostrzegłem, że czyjś cios pozbawił go trzech zębów. - Nie zapomnisz?

- Zapiszę to w zwoju.

- Nie, nie pisz. Ktoś mógłby przeczytać.

Mimo wszystko zapisałem, żeby nie zapomnieć, wszystko to, co mówił Kerdon i co mówiłem ja.

Kiedy odszedł na bok i ułożył się do snu, zbliżyła się do mnie kobieta-wąż, pytając:

- Czy zechcesz mi go oddać?

- Kimże jestem, bym miał ci go oddawać albo nie oddawać?

- Daj mu coś twojego - pouczała mnie kobieta-wąż. - Dotknij go. Wystarczy, byś go dotknął, a stanie się rzeczywisty.

- On jest rzeczywisty - odrzekłem. - Jest, tak jak ja, człowiekiem z krwi i kości. To ty jesteś nierzeczywista. - Jej słowa dały mi jednak do myślenia.

- Nie bardziej nierzeczywista niż jego sny! - syknęła kobieta-wąż. Rozdwojony język błękitnego ognia wymknął się z jej ust, gdy mówiła: - Czego sobie życzysz? Mogę ci to dać.

- Chcę tylko spać - powiedziałem. - Spać i śnić o domu.

- Dotknij go więc dla mnie, a odejdę. Sny przynoszą fauny, więc gdy tylko któregoś spotkam, każę mu przynieść ci sen, jakiego pragniesz

- Kim jesteś? - spytałem, wciąż się zastanawiając.

- Córką Mrocznej Matki. - Oczy jej spojrzały na księżyc, który lśnił tuż nad horyzontem, podtrzymywany przez smukłe kobiece ramiona.

- Czy to ona trzyma w ramionach księżyc? Widzę ją i nie nazwałbym jej mroczną.

- Teraz jest ona Łowczynią - syknęła kobieta-wąż. - I Selene. Może zobaczysz je obie wyraźniej, niżbyś chciał, zanim nadejdzie twój koniec.

Potem zniknęła.

Usiłowałem zasnąć. Sen jednak nie nadchodził, chociaż widziałem go, jak stał z zamkniętymi oczami na granicy blasku ogniska. Pomyślałem o pisaniu, czułem się jednak zbyt zmęczony. Jakiś czas czytałem zwój, trzymając go możliwie blisko płomieni.

Nadszedł Pindar.

- Widzę, że nie możesz zasnąć, tak samo jak ja - powiedział. - To niedobrze, jeśli jest się niewolnikiem. Niewolnik musi nauczyć się zasypiać przy każdej sposobności.

- Czy jesteśmy niewolnikami? - spytałem.

- Obecnie tak. Co gorsza, jesteśmy niewolnikami niewolników Powroźników. Zabiorą nas wkrótce do swoich panów i wtedy będziemy zapewne niewolnikami samych Powroźników, jakoś mnie to jednak nie cieszy.

- Czy będziemy musieli pleść im powrozy?

Pindar parsknął śmiechem.

- Oni nie są prawdziwymi powroźnikami - wyjaśnił - a w każdym razie nie częściej plotą powrozy niż inni. Jeżeli nie dopisze nam szczęście, poślą nas do kopalń. To najgorsze, co może spotkać niewolnika.

Skinąłem głową na znak, że zrozumiałem.

- Nie sądzę, by mi się to przytrafiło. Mieszkańcy Myśli mogą zniszczyć nasze świetne miasto i zabrać mi mój majątek - nienawidzą nas - mam jednak przyjaciół nawet w Myśli i mam niejaki zdolności.

- Martwisz się o tę dziewczynkę i o mnie. - Spojrzałem ponad ogniskiem na śpiącą dziewczynkę.

- I o Hilaejrę, i o czarnego człowieka także. Jeśli odzyskam wolność, wykupię was wszystkich, o ile zdołam. Byłoby dobrze, gdybyś zaśpiewał przed Powroźnikami, tak jak śpiewałeś do muzyki boga. Oni uwielbiają muzykę chóralną i niezbyt cenią solistów, nikt

jednak nie oprze się temu i nie zatrzyma w niewoli takiego śpiewaka. Czy mógłbyś zaśpiewać?

Spróbowałem, chcąc mu zrobić przyjemność, nie mogłem jednak przypomnieć sobie ani słów pieśni, ani melodii.

- Jakoś to będzie - rzekł Pindar. - Znajdę sposób, by nas wszystkich wyzwolić. Widzę po twoich oczach, że nie pamiętasz niczego. Zdarzył się cud, a ty o nim zapomniałeś!

- Żałuję! - powiedziałem i naprawdę tego żałowałem.

- Nie mam ci tego za złe - westchnął. - Żal mi cię, Latro, bardziej niż kogokolwiek.

Spytałem, czy on sam pamięta słowa pieśni.

- Nie - odpowiedział. - Pamiętam jednak, jak brzmiała; wielki, rwący, gwałtowny rytm, jakby fale biły o urwisty brzeg. Skończyła się zaś wśród gromów i wysokich, czystych tonów. Taka właśnie powinna być poezja.

Skinąłem głową, bo zdawał się na to czekać.

- Moja dotąd taka nie była - powiedział. - Może teraz, gdy wysłuchałem twojej pieśni, będzie inaczej. Posłuchaj:

*Pod ręką mam
W kołczanie wiele jeszcze strzał
Obdarzonych mową - dla tych,
Co pojąć zdolni... Bo dla rzesz
Nieme są: tłumaczów im brak.*

- Podoba ci się?

- Bardzo!

- Mnie niezbyt. Wolę to jednak od wszystkiego, co ułożyłem do dziś. W naszym świetnym mieście jest nas - czy raczej było - z pół tuzina takich, którzy czasem próbują swej zręczności w poezji. Tak to nazywamy, „próbą zręczności”, bo różnica między układaniem poezji a wyplataniem mat przy ogniu nie jest wielka. Spotykaliśmy się raz w miesiącu, by sobie recytować nawzajem najnowsze wiersze, i staraliśmy się nie zauważać, że o żadnym z nich już później nie słyszano. Jeśli moje wydawały mi się po skończonej uczcie najlepsze, przez następny miesiąc uważałem się za wodzireja. Jakże byłem dumny z mojej krótkiej ody pytyjskiej!

- Myślę, że każdy czymś się pyszni. Wiem to po sobie.

Pindar wzruszył ramionami.

- Jesteś przystojny, a także silny, jak tego dziś dowiodłeś - ciągnął dalej. - Co do nas jednak - dziś widzę, że byliśmy tylko gadatliwymi młodzieńcami, powinniśmy zaś być mężczyznami - albo milczeć. Teraz gdy usłyszałem głos boga, może stanę się któregoś dnia mężczyzną. Mam tę nadzieję. Nie przechwalałbym się tak przed tobą, Latro - bo to są przechwałki - gdybym nie wiedział, że zapomnisz o wszystkim.

- Zapiszę to - zapewniłem go.

- Oczywiście! - Pindar zaśmiał się cicho. - Zemsta jest rozkoszą bogów, jak zawsze.

*Wzywamy noc, by skryła nasze czyny,
Lecz Bogu wyzna prawdę Noc, bogini.*

- To również mi się podoba - powiedziałem.

- Ułożyłem to w tej chwili dla ciebie. Prosto z formy, jeszcze gorące. Może jednak jest w tym coś? „Nocy nam trzeba...”

- Pindarze, czy bóg nocy istnieje naprawdę?

- Jest ich przynajmniej tuzin.

- O ciele węża i głowie kobiety. Kobiety o czarnych włosach, które nigdy nie widziały grzebienia?

Przez chwilę wpatrywał się we mnie w milczeniu, a w końcu zajął się ogniskiem, tak jak przedtem.

- Widziałeś ją, nieprawdaż? - zapytał. - Nie, to nie bogini. To rodzaj potwora. Sądzi się, że Herakles uwolnił od nich tę część świata, ale Herakles od czterech stuleci przebywa na Górze, chyba więc zakradły się na powrót. Czy teraz ją widzisz?

Pokręciłem przecząco głową.

- To dobrze. Miałem nadzieję, że zdrzemnę się trochę, zanim ci leniwi niewolnicy zaczną ruszać nogami. Jeśli zobaczysz znów tego potwora, nie dotykaj go, obiecujesz?

- Obiecuję. - Już chciałem powiedzieć, że wystarczyłoby, gdyby dotknął jego samego, ale powstrzymałem się.

Podniósł się i przeciągnął.

- Spróbuję więc zasnąć i spać bez snów i mam nadzieję - bez strachów. Powinienem cię naśladować i zanotować tę rozmowę z tobą, ale brak mi twojej pilności, niestety. Dobranoc, Latro, raz jeszcze.

- Dobranoc, Pindarze!

Gdy odszedł, objęła mnie w pasie mała rączka.

- Wiem, kim jesteś - powiedziałem właścicielce rączki. - Jesteś Io. Przeczytałem o tobie w zwoju.

- Ty jesteś moim panem - powiedziała dziewczynka. - Oni nie mieli prawa robić tego, co mi zrobili. Tylko ty.

- Co ci zrobili? - zapytałem, ona jednak nie odpowiedziała.

Obejmując ją ramieniem, spojrzałem w jej twarz, i ujrzałem, w świetle ogniska, ile łez spłynęło po tych pokrytych pyłem policzkach. - Jeśli kobieta-wąż znów się pojawi, powiem jej, że cię nie dostanie. Pokręciła głową.

- To nie dlatego - powiedziała. - Poniosłam karę za to, że uciekłam.

- Czy uciekłaś ode mnie, mała Io? Nie ukarałbym cię, gdybyś to zrobiła.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Od Lśniącego Boga. Skłamałam, kiedy powiedziałam, że ci mnie oddał.

- Być może oddał - powiedziałem. Trzymając ją przy sobie, wypatrywałem jakiegoś znaku od milczących postaci w mrokach, nie było jednak żadnego. - Bogowie nie są wcale do nas podobni, mała Io.

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ VII

Przy okrętach na brzegu

Ten mały namiot wydaje się jeszcze mniejszy. Kiedy niedawno obudziłem się, odkryłem ten zwój. Wartownik przy drzwiach nie pozwolił mi wyjść, nie chciałem też przeszkadzać czarnemu człowiekowi, który dzieli ze mną namiot - jest zajęty wycinaniem lalki z drewna - postanowiłem więc przeczytać zwój od początku.

Ledwie zacząłem, wszedł do namiotu ktoś noszący piękny pancerz z brązu, a ja wziąłem go za lekarza, o którym właśnie czytałem. Natychmiast wyprowadził mnie z błędu.

- Nazywam się Hyperejdes, chłopie, trierarcha Hyperejdes - powiedział. - I jestem teraz twoim panem. Jak możesz udawać, że mnie nie znasz?

- Bardzo prędko o wszystkim zapominam - odparłem.

Zmarszczył gniewnie brwi i grożąc mi palcem, powiedział.

- Tu cię mam! Jak możesz o tym pamiętać, jeśli o wszystkim zapominasz?

Wyjaśniłem mu, że właśnie o tym czytam i wskazałem słowa: „Lekarz mówi, że zapominam bardzo prędko, z powodu rany, jaką odniosłem w bitwie”.

- To zadziwiające! - powiedział Hyperejdes. - Zadziwiające! Masz na wszystko gotową odpowiedź.

- Chciałbym, by tak było! - odrzekłem. - Jeśli nie jesteś lekarzem, czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie jestem?

W rogu namiotu stał stołek - korzystam właśnie z niego, pisząc te słowa. Wyciągnął go na środek i usiadł, wskazując mi miejsce przed sobą, na ziemi.

- Zbroja, to ciężka rzecz - powiedział. - Jako chłopak, nie zastanawiałem się nad tym, kiedy przyglądałem się żołnierzom biegnącym w Panatenajach. I ty wkrótce nauczysz się siadać, kiedy tylko można, i to możliwie wysoko - wtedy łatwiej jest wstać. - Zdjął hełm ze wspaniałym błękitnym grzebieniem z końskiego włosia i potarł łysinę. - Za stary jestem na

takie rzeczy, mówię ci. Walczyłem na Koprowym Polu, mój chłopcze, przed dziesięciu laty. Cóż to była za bitwa! Czy chciałbyś o niej posłuchać?

- Tak - odpowiedziałem. - Bardzo bym chciał.

- Naprawdę chciałbyś? Nie mówisz tego, by zrobić przyjemność starszemu?

- Nie. Chciałbym posłuchać. Może przypomni mi to tę bitwę, w której zostałem ranny.

- Nie pamiętasz, co ci opowiadałem wczoraj? Nie, widzę, że nie pamiętasz. Nie chciałem cię urazić - odchrząknął. - Wynagrodzę ci to. W swoim kraju jestem bogatym człowiekiem, chociaż nie pomyślałbyś tak, widząc mnie w tej zbroi. Handluję skórami. W tym fachu każdy zna Hyperejdesa - urwał i jego uśmiech przygasł. - Zgromadzenie obciążało mnie trzema okrętami.

- Trzema okrętami? - zapytałem.

- Ich budową, wyposażeniem, opłaceniem wioślarzy. To kosztuje... Nie uwierzysz, ile. Czy chciałbyś zobaczyć je, mój chłopcze?

- Tak. Jestem pewien, że widziałem już kiedyś okręty i że było to bardzo ciekawe.

- Naturalnie! - powiedział Hyperejdes. - Ty także!

Obejrzałem się i zobaczyłem, że czarny człowiek odłożył lalkę i na migi pyta, czy może iść z nami.

- Wszystko w porządku - powiedział strażnikowi Hyperejdes. - Myślę, że nie jesteś tu już potrzebny. Poszukaj Aketesa i spytaj, czy ma dla ciebie jakieś zajęcie.

Trzy okręty leżały wyciągnięte na brzeg, a ich boki, pomalowane na czerwono, roily się od ludzi, którzy uszczelniali je smołowanymi pakułami.

- Porządnie dmuchało, kiedy opływaliśmy Maleę - wyjaśnił Hyperejdes. - Klepki poluzowały się i zanim dopłynęliśmy do Wieżowego Wzgórza, braliśmy tyle wody, że przestało mi się to podobać. Kiedy się handluje skórą, wie się trochę o okrętach. Myślę, że lepiej uszczelnić je niż płynąć do kraju i tam - z tego co wiem - dostać rozkaz niezwłocznego wyjścia w morze. W każdym razie nie zdarzy się nam wpaść na jakiś zabłąkanych barbarzyńców i przekonać się, że mają okręty w lepszym stanie.

- Na jakich barbarzyńców? - spytałem.

- Z floty Wielkiego Króla, oczywiście. Z pomocą Boreasa pobiliśmy ich w cieśninie Pokoju. To była bitwa! Trzeba ci było widzieć nasze tarany z brązu, mój chłopcze. Były wyszczerbione! Bywało tak - nie spodziewam się, że w to uwierzysz - że zanurzaliśmy się o pięćdziesiąt głębiej, tyle było krwi w morzu. Całkiem, jakbyśmy płynęli w górę rzeki. Powiadam ci, wszyscy, których tu widzisz, bili się jak bohaterowie, bo każde wiosło wznosiło się w górę niby włócznia zadająca śmierć. - Sam dowodzę „Europą” - ciągnął dalej. - To ta w środku.

Stu dziewięćdziesięciu pięciu ludzi ciągnie jej wiosła. Mam też dwunastu żołnierzy i czterech skołockich łuczników. Żołnierzom nie muszę płacić, to obywatele, jak ja, albo cudzoziemcy, którzy żyją wśród nas. Ale ci wiosłarze, mój chłopcze! Na wielkich bogów, ci wiosłarze! Trzy obole dziennie dla każdego i wyżywienie. I wino, dodawane do ich wody. Po drachmie dziennie dla Skolotów. Dwie dla kybernetesa. To prawie dwanaście sów dziennie - dla samej tylko „Europy”. Doliczając pozostałe okręty - dwadzieścia.

Urwał, wpatrzony posepnie w piasek pod nogami, potem jednak podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Czy wiesz, co oznacza jej imię, chłopcze? - zapytał. - Gromowładny porwał Europę, przybierając postać byka. Ludzie myślą więc o byku, widząc moją „Europę”. Poczekaj, aż zobaczysz jej żagiel! A z czym kojarzy się ludziom byk? Ze skórą, oczywiście. Bycza skóra jest najmocniejsza i najlepsza. Kiedy skończy się ta wojna, niejedną tarczę trzeba będzie pokryć na nowo, ja ci to mówię! Skóra - byk, byk - Europa, „Europa” - Hyperejdes. Poza tym Europa nadała imię całej tej części świata, większej niż część jej brata i Libia razem wzięte. Barbarzyńcy przychodzą stamtąd. „Europa” - Hyperejdes! U kogo będziesz więc kupować skóry, kiedy skończy się wojna?

- U ciebie, panie, obiecuję! - Mówiąc to, patrzyłem jednak na okręty i myślałem, że, choć było je czuć dziegiem i leżały na bokach jak trzy kłody wyrzucone na brzeg, nie widziałem jeszcze niczego ani w połowie tak pięknego jak one.

- Jeżeli ta kobieta, Europa, była tak wysmukła i zgrabna jak twoje okręty, trudno dziwić się, że Gromowładny ją porwał. Każdy miałby na to ochotę. - Nie chciałem, by się domyślił, że nie wiem, kim może być ten Gromowładny.

Hyperejdes, wkładając poprzednio hełm, zsunął go na tył głowy, tak że twarz miał odsłoniętą. Teraz znów go zdjął, by obetrzeć głowę.

- Ja tam zawsze uważałem, że musiała być z tych pulchniejszych - powiedział - Mam na myśli to, że bóg mógłby pragnąć zmienić się w byka dla takiej właśnie kobiety. Poza tym nosił ją na grzbiecie, a więc wybór postaci byka świadczy, że ładunek był godny uwagi. - Położył mi rękę na ramieniu. - To błąd, mój chłopcze - powiedział - uważać, że kobieta musi być smukła jak chłopiec z palestry. Kiedy wrócimy do domu, przedstawię ci pewnej heterze - nazywa się Kalleos - a wtedy sam się o tym przekonasz. A wreszcie - łatwiej jest złapać dziewczynę, kiedy jest za co, a w moim wieku to nie jest bez znaczenia.

Podczas gdy my patrzyliśmy z dala na okręty, czarny człowiek popędził do nich i wtykał nos tu i tam.

Kiedy Hyperejdes opowiadał o heterze, czarny człowiek przybiegł do nas w podskokach, przykucnął i, wskazując podbródkiem okręty i połyskujące morze, stawiał palcami na piasku liczne, drobne znaki.

- Słuchajcie, no! - powiedział Hyperejdes. - Chłop widział flotę barbarzyńców! Obaj musieliście ją widzieć, jeśli byliście w ich armii, a ich okręty podążały za armią dookoła Wody.

- Czy naprawdę było ich tak wiele? - spytałem.

- Ponad tysiąc, nie licząc statków handlowych, które przewoziły zaopatrzenie dla wojska, a także specjalnych statków, które Wielki Król zbudował dla koni swojej jazdy. Przecież w Cieśninie Pokoju nie było widać wody spod krwi i szczątków okrętów!

Przykucnął przy czarnym człowieku i zaczął wskazywać na piasku:

- Tu jest Długie Wybrzeże, a tu - Sznur. Miałem tam skład, zanim go spalili. Zarządca, Megarejos, jest teraz dowódcą „Ejdyi”, a człowiek, którego miałem na Keos, dowodzi „Klytią”. W Sznurze stała nasza flota, zanim poszła pod Artemizjon. Tu jest wyspa Pokoju, a tu miasto. My mieliśmy tylko trzysta okrętów. Poprzedniej nocy powyciągaliśmy je na brzeg w tych trzech zatokach wyspy. Moje były w tej. - Wskazał zatokę. - I wszystkie inne z naszego miasta. Statek handlowy może i dwa tygodnie być w morzu, ale okręt wojenny musi przybijać do brzegu prawie każdej nocy. Na pokładzie jest tylu ludzi, że nie można zabrać dość wody dla nich wszystkich.

- Rozumiem - powiedziałem.

- Temistokles był wtedy przy flocie. Kazał jednemu ze swoich niewolników przepłynąć cieśninę i prosić Wielkiego Króla o posłuchanie. Niewolnik powiedział, że wysłał go Temistokles - co było zresztą prawdą - i że Temistokles pragnie zostać satrapą Długiego Wybrzeża. Potem ostrzegł Wielkiego Króla, że nasza flota zamierza wymknąć się nazajutrz, by wesprzeć Wieżowe Wzgórze. - Hyperejdes parsknął śmiechem. - Wielki Król uwierzył i w to. Posłał wszystkie okręty Kraju Rzeki na drugi koniec zatoki, by odciąć nam drogę. - Potem nasi stratedzy - głównie Temistokles i Powroźnik, Eurybiades - posłali tam okręty Wieżowego Wzgórza, by mieć pewność, że ci z Kraju Rzeki nie zajądą nas od tyłu. Wielu ludzi w mieście myślało, że okręty Wieżowego Wzgórza uciekają. Były ku temu powody - pogłoski, które rozpowiadał ten niewolnik, a potem to nagle odpłynięcie.

Czarny człowiek wskazywał coś podbródkiem. Zobaczyłem zbliżającego się żeglarza. Hyperejdes rozmawiał z nim przez chwilę, a potem polecił nam wracać do namiotu.

- Zawierzę wam na słowo - powiedział. - Nie chcę was trzymać w łańcuchach, jak pozostałych, ale będę musiał, jeśli spróbujecie uciekać. Rozumiecie?

Odpowiedziałem, że rozumiem.

- Ale zapomnisz! - Zapomniałem o tym. Zwrócił się do żeglarza:

- Zostań z nimi, póki kogoś nie przyślę. Nie sądzę, żebyś miał kłopoty. Nie pozwalaj im tylko oddalać się.

Ten żeglarz nazywa się Lyson. Pytał, czy Hyperejdes opowiadał mi o bitwie w Cieśninie Pokoju. Powiedziałem, że zaczął, ale go odwołano, i że bardzo bym chciał usłyszeć zakończenie opowieści.

Lyson wyszczerzył zęby i powiedział, że Hyperejdes już poprzedniego dnia zabrał nas na oglądanie okrętów i opowiadał nam o tym, co działo się podczas bitwy. On, Lyson, strugał wtedy kołki na pomoście i słyszał większą część tej opowieści.

- Zabrał was też do tych innych więźniów - powiedział - bo chciał ich o was wypytać. Dziewczynka oddała ci tę książkę, a Hyperejdes pozwolił ci ją zatrzymać. Pozwolił też temu drugiemu używać noża, takiego jak mój, bo także chciał strugać.

Spytałem, czemu innych więźniów trzyma się w łańcuchach, a nas nie.

- To dlatego, że tamci są z Krainy Krów. Ty zaś jesteś dla Hyperejdesa słuchaczem idealnym - zaśmiał się Lyson. - Kimś, komu może opowiadać wciąż na nowo.

- Przypuszczam, że wszystkie trzy załogi śmieją się ze mnie.

- Ach nie, mamy zbyt wiele do roboty. W każdym razie częściej śmiejemy się z Hyperejdesa niż z ciebie, ale nie śmielibyśmy się, gdybyśmy go nie lubili.

- Czy jest dobrym dowódcą?

- Za bardzo się przejmuje - powiedział Lyson - ale owszem, jest dobrym dowódcą. Zna się na wiatrach i prądach, a nie jest źle mieć dowódcę, który troszczy się o okręt. Jest przy tym dobrym kupcem - dlatego posłano nas tutaj - i umie tanio kupić dobrą żywność, nie oszczędza tak bardzo jak inni.

- To dziwne, że kupiec dowodzi okrętami. Chyba powinien to robić rycerz.

- Czy tak właśnie jest w twoim kraju?

- Być może. Nie wiem.

- W Myśli uważamy, że miejsce rycerzy jest przy koniach. Jeśli naprawdę nie wiesz, skąd pochodzisz - jak to mówiłeś Hyperejdesowi - musisz po prostu poszukać kraju, w którym rycerze dowodzą okrętami. Przypuszczam, że to gdzieś w Imperium.

Spytałem, gdzie leży Imperium.

- Na wschodzie. Z kim, twoim zdaniem, walczyliśmy w cieśninie Pokoju?

- Z Wielkim Królem, jak mówił Hyperejdes.

- Wielki Król włada Imperium. Byłeś w jego armii. Mam twój miecz i twoje pokrywki. Jak to się stało, że zostałeś ranny?

Pokręciłem głową, uświadamiając sobie, że dawniej sprawiało mi to ból.

- W jakiejś bitwie - odparłem. - Nie pamiętam.

- Biedaku! Ktoś powinien obejrzeć tę ranę. Opatrunek jest tak brudny, że trzeba go zmienić.

Czarny człowiek słuchał tego i, chociaż nic nie mówił, wydawał się rozumieć. Pokazał na migi, że zdejmie mój opatrunek i wypierze go. Pokazał także, jak będzie go szorował na kamieniu, przyklepując drugim kamieniem, a potem wysuszy na słońcu i założy na nowo.

- Jeśli jednak pójdę z tobą, on się oddali - powiedział Lyson.

Czarny człowiek kręcił głową, ścisnął mnie za rękę i zapewniał na migi, że ani on mnie nie opuści, ani ja jego.

- On nie będzie o tym pamiętał!

Czarny człowiek zadarł głowę w górę na znak, że nie rozumie.

Lyson wskazał swoją głowę, potem napisał coś, czy też narysował na piasku, i natychmiast starł tę bazgraninę.

Czarny człowiek skinął głową. On także coś narysował, a potem pokazał palcem drogę słońca po niebie i, kiedy doszedł do zachodu, starł rysunki.

- Ach, więc to trwa cały dzień! - powiedział Lyson.

Czarny człowiek znów skinął głową, odwinął mój opatrunek i odeszli razem z Lysonem, wyraźnie zaprzyjaźnieni.

Skończyłem czytać zwój. Tamci wrócili już, zacząłem pisać, czuję jednak, że wiem mniej niż przedtem. Tyle tu opisano dziwnych rzeczy - zdarzeń, w które nie mogę uwierzyć. Tyłu wspomina się ludzi, których sobie nie przypominam. Dziewczynka, która dała mi zwój, to z pewnością Io, gdzie się jednak podzieli Pindar, Hilaejra i Kerdon? Gdzie jest kobieta-wąż i jak się tu znaleźliśmy - czarny człowiek i ja?

ROZDZIAŁ VIII

W morzu

Nasz okręt kołysze się tak, że trudno pisać, nauczyłem się jednak radzić sobie. Żeglarze mówią, że często jest dużo gorzej i że trzeba chodzić po pokładzie, pisać, pić i robić wszystko inne, dopóki morze się nie burzy. „Kiedy opłyniemy przylądek Malea, zapomnisz o własnym domu” - powiadają. Ja jednak pamiętam o nim, chociaż zapomniałem o wszystkich innych miejscach.

Nasz okręt to „Europa”, największy z trzech, trójrzędowiec. Wioślarze siedzący najwyżej mają najdłuższe wiosła, uważają się też za najlepszych, bo mogą pluć na innych - wszyscy dostają jednak tę samą zapłatę. Płyniemy pod żaglami, nie mają więc nic do roboty, z wyjątkiem kilku, którzy wylewają wodę. Mówią, że wkrótce roboty będzie dosyć. Niektórzy śpią na swoich ławkach, choć wszyscy spali zeszłej nocy.

Piszę to na dziobie, oparty wygodnie o wysoką prostą stewę, która ogranicza dziobnicę okrętu. Poniżej kryje się nasz taran. Pamiętam go, choć ze swego miejsca nie mogę go widzieć. Nie wygląda jak prawdziwy baran¹ - wymalowane na dziobnicy czarne oczy upodobniają jego zielony metal do dziobu rozzłoszczonego ptaka. Kiedy wstaję i wychylam się, widzę taran poprzez wodę. Woda ma kolor nieba i jest bardzo przejrzysta, nie mogę jednak dojrzeć dna.

Gruba lina biegnie od stewy do wierzchołka masztu, inne liny łączą go z burtami i z rufą, jako odciągi dla ciągnącego okręt żagla. Lina nad moją głową nieco zwisa, pozostałe jednak są proste jak włócznie, mamy wiatr w plecy i nasi wioślarze próżnują na swoich ławkach, gdy szeroki żagiel pracuje za nich.

Żagiel zwisa z długiej rei, zwężającej się ku końcom. Na żaglu wymalowany jest byk - nie sama tylko głowa, jak ta rzeźbiona, bycza głowa na stewie rufowej - byk ze wszystkimi szczegółami. Bardzo mi się on podoba. Jest czarny, ma złoty nos i przewraca niebieskimi oczami, by widzieć kobietę siedzącą mu na grzbiecie. Zadziera ogon i sądzę, że gdybym był na którymś z pozostałych okrętów, wydawałoby mi się, iż jego złote kopyta biegają po wodzie.

Kobieta, która go dosiada, jest rudowłosa, ma niebieskie oczy i podwójny podbródek. Uśmiecha się i głaszcze rogi byka.

Długi wąski pomost biegnie od miejsca, w którym siedzę, do rufy, gdzie dwóch żeglarzy stoi przy wiosłach sterowych, a kybernetes ma na oku stery i żagiel. Więźniowie przykuci są do masztu, w miejscu gdzie przechodzi on przez pomost.

Dowódca naszego okrętu nazywa się Hyperejdes. Jest w średnim wieku, łysy i brzuchaty, jest jednak energiczny i trzyma się prosto. Jest niższy ode mnie. Podszedł, by ze mną pomówić. Spytałem go, jak się nazywa ten kraj za lewą burtą.

- To Wyspa Ciemnej Twarzy, mój chłopcze - odpowiedział.

Zaśmiałem się zaskoczony.

- Dziwna nazwa, nieprawdaż? Lepszej jednak nie ma. To od imienia starego Pelopsa, który był tu królem setki lat temu.

- Czy miał ciemną twarz?

- Tak powiadają. Dowcipnicy mówią, że z pijaństwa albo dlatego, że stale się gniewał i tupał nogami ze złości. Ja tam myślę, że ani jedno, ani drugie nie może być prawdą. Skąd mogłaby jego matka wiedzieć, że zostanie pijakiem? Może jako dziecko był złośliwy - bogowie wiedzą, ile jest takich dzieci - ale kto słyszał, by je tak nazywano. Moim zdaniem, musiał urodzić się z plamami na twarzy, jak to się czasem zdarza. Tak czy owak tam leży Wieżowe Wzgórze i miasto Powroźników.

Potem opowiedział mi o bitwie w Cieśninie Pokoju i o tym, jak jego okręty kryły się w zatoce na wyspie Pokoju. Okręty barbarzyńców wpłynęły w cieśninę wczesnym rankiem, kiedy na wodzie leżała jeszcze mgła. Czatownik wypatrzył je przez mgłę, usłyszał też śpiewki ich wiosłarzy i dał znak. Okręty Hyperejdesa i pozostałe okręty z jego miasta ruszyły wtedy, a także okręty Powroźników.

- Trzeba ci było widzieć nas wtedy, mój chłopcze - wszyscy ryczeli Hymn Zwycięstwa, a każde wiosło gięło się niby łuk!

Starli się z barbarzyńcami dziób w dziób, a tymczasem okręty z Pokoju wypłynęły z zatoki poza Psi Ogon i zaskoczyły tamtych z boku. Okrętów barbarzyńskich było jednak tak wiele, że nawet kiedy uciekły, stanowiły wciąż wielką flotę. Nie wiadomo, gdzie obecnie przebywają. Większość okrętów Myśli i Powrozu, i wszystkie okręty Wieżowego Wzgórza polują na nie pomiędzy wyspami.

Hyperejdes mówi, że musiałem walczyć po stronie Wielkiego Króla.

- Czyżbym był barbarzyńcą? - spytałem.

¹ łacińskie *aries* (i angielskie *ram*) to zarówno *taran*, jak i *baran* (przyp. tłumacza)

- Nie jesteś prawdziwym barbarzyńcą - odpowiedział - ponieważ mówisz naszym językiem. Poza tym wielu z nas walczyło po stronie Wielkiego Króla, prawie tylu, ilu walczyło po naszej stronie. Czy widzisz tych, których trzymam w łańcuchach? Oni są ze Wzgórza, można to poznać po wymowie. Ich miasto walczyło po jego stronie, chcemy więc spalić im dach nad głową, tak jak on to zrobił z nami.

Słońce było wysoko, żagiel ocieniał jednak podstawę masztu, kiedy więc Hyperejdes poszedł pogadać z cybernetesem, ja poszedłem pogadać z więźniami. Pilnujący ich łucznik popatrzył na Hyperejdesa, ale ten odwrócony był do nas plecami, łucznik więc nie rzekł nic.

Chciałbym napisać coś o tych łucznicach, zanim zapomnę, że miałem taki zamiar. Noszą nogawice i lisie kołpaki. Ich stroje robią wrażenie bardzo niewygodnych. Podczas gdy rozmawiałem z więźniami, łucznik zdjął swój kołpak, by się powachlować.

Ich krzywe łuki, wykonane z rogów, wyginają się na zewnątrz, gdy nie są napięte. Dotąd sądziłem, że strzały należy nosić za plecami, ci łucznicy jednak noszą swoje kołczany u pasów. Kołczany mają osłony chroniące wnętrza przed pyłem wodnym.

Wystające kości policzkowe sięgają prawie ich srogich oczu, przypominając osłony policzków w hełmach. Oczy i włosy mają jaśniejsze niż my, a brody dłuższe. Noszą u pasów włosy zabitych wrogów i ocierają o nie ręce. Językiem, w którym rozmawiam z Hyperejdesem, nie mówią tak dobrze jak ja, nie znają też języka, w którym spisuję to wszystko. Cuchną potem. Tyle o nich.

Nie, jest jeszcze jedno, powód dla którego piszę to wszystko. Łucznik, który pilnuje więźniów, spogląda na mnie inaczej niż wszyscy. Czasem myślę, że się mnie boi, to znów, że chce o coś prosić. Nie wiem, co znaczy to jego spojrzenie, sądzę jednak, że powinienem o tym napisać, żeby przeczytać, kiedy zapomnę.

Ci więźniowie ze Wzgórza, to jakieś małżeństwo z córką. Kiedy do nich podszedłem, nazwali mnie „Latro”. Najpierw pomyślałem, że biorą mnie za jakiegoś najemnika albo rabusia. Nie mieli jednak niczego, co można by im zrabować. A poza tym, kto miałby mnie wynająć? Potem zrozumiałem, że „Latro” to moje imię i że oni mnie znają. Usiadłem przy nich na pomoście i powiedziałem, że jeśli chcą, mogę im przynieść wody.

- Czy już czytałeś swoją książkę, Latro? - spytał mężczyzna. Rozejrzałem się i dostrzegłem ją w dziobnicy, gdzie ją zostawiłem. Powiedziałem mu, że oglądałem okręt i że nie czytałem.

Kobieta spostrzegła ją także i przestraszyła się.

- Latro, wiatr ją zdmuchnie!

- Nie zdmuchnie - powiedziałem. - Rysik jest ciężki, a zatknąłem go za sznury.

- To bardzo ważne, żebyś ją przeczytał - powiedział mężczyzna. - Nie chcę wody, już się napiliśmy. Chciałbym za to, żebyś mi przyniósł swoją książkę. Nic się jej nie stanie, przyrzekam na Lśniącego Boga.

Zastanawiałem się nad tym.

- Proszę cię, panie! - odezwała się dziewczynka, a w jej głosie było coś, czemu nie mogłem się oprzeć. Przyniosłem zwój, mężczyzna zaś wziął go i napisał kilka słów na zewnętrznej stronie.

- To nie jest właściwy sposób - powiedziałem. - Rozwiń go, a będziesz mógł pisać na wewnętrznej powierzchni.

- Czasami pisarz robi to, co ja, gdy chce przekazać jakąś wiadomość komuś, kto mógłby inaczej nie otworzyć zwoju. Na przykład: „Oto zbiór praw naszego miasta”.

- To prawda - przyznałem. - Zapomniałem o tym.

- Dobrze znasz naszą mowę, czy możesz jednak przeczytać to, co napisałem? - spytał.

Pokręciłem głową przecząco.

- Widziałem już takie litery, nie potrafię jednak przeczytać.

- Musisz więc sam to napisać. Napisz w swoim własnym języku: „Czytaj to każdego dnia”.

Sięgnąłem po rysik i napisałem to, co powiedział, tuż nad jego własnym zapisem.

- Jeśli teraz to przeczytasz - powiedziała dziewczynka - dowiesz się, kim jesteś i kim my jesteśmy.

Miała miły głos. Pogłaskałem ją po głowie.

- To bardzo dużo czytania, maleńka. Widzę już, że to bardzo długi zwój, a pismo jest bardzo drobne. Poza tym użyto tego rysika, nie zaś atramentu, więc pismo jest szare nie czarne i trudno je odczytać. Możesz opowiedzieć mi o wszystkim i będzie to znacznie szybciej, niż gdybym czytał.

- Musisz się udać do domu Wielkiej Matki - oznajmiła dziewczynka z powagą. Potem wyrecytowała jakiś wiersz. Na koniec powiedziała: - Tam właśnie prowadził cię Pindar.

- Pindar to ja. - Zwrócił się do mnie mężczyzna. - Obywatele naszego świętego miasta wyznaczyli mnie na twego przewodnika. Wiem, że tego nie pamiętasz, przysięgam jednak, że to prawda.

Jakiś czarny człowiek, który spał pośród wioślarzy, wstał i wspiął się ze swojej ławki na pomost, na którym siedzieliśmy. Wydawał mi się znajomy, a minę miał tak przyjazną i pogodną, że uśmiechnąłem się do niego.

- Ha! - wykrzyknął, widząc mój uśmiech. Kilku śpiących poruszyło się, a ci, którzy nie spali, wytrzeszczyli na nas oczy. Łucznik, który patrzył i słuchał, położył dłoń na rękojeści noża.

- Nie hałasuj tak, przyjacielu! - powiedział Pindar.

Czarny człowiek wyszczerzył zęby i zrobił ruch ręką od swojego do mojego serca, a potem, tryumfalnie, od mojego do swojego.

- To znaczy, że on cię zna - rzekł Pindar. - Tak chyba jest, w pewnej mierze.

- Czy to żeglarz? - spytałem. - Nie wygląda jak inni.

- To twój towarzysz. Opiekował się tobą, zanim cię spotkaliśmy, Hilaejra, Io i ja. Być może uratowałeś mu życie w tamtej bitwie, posługiwał się jednak tobą, by zebrać, kiedy zobaczyłem was po raz pierwszy. - Zwrócił się do czarnego człowieka. - Zebrałeś sporą sumę zebrać. Nie przypuszczam, żebyś jeszcze coś miał?

Czarny człowiek pokręcił głową i na niby pchnął się nożem w ramię. Nappełnił dłoń niewidoczną krwią i liczył ją, jakby to były pieniądze, mlaskając językiem przy każdym uderzeniu wyimaginowanej monety o pomost. Kiedy skończył, wskazał na mnie.

Dziewczynka wyjaśniła:

- Oddał pieniądze niewolnikom, tamtego wieczoru, kiedy obozowaliśmy i kiedy ty pisałeś poezje i rozmawiałeś z Latro. To była zapłata za tych niewolników, których zabił Latro, bo pozostali zamierzali zabić jego w Kraju Milczenia.

- Wątpię, czy Powroźnicy pozwoliliby im na to. Mniejsza o to, zresztą. Ja miałem dziesięć sów, ale zabrali mi je w Wieżowym Wzgórzu. Wolałbym być więźniem w Powrozie niż w Wieżowym Wzgórzu, ale nawet Wieżowe Wzgórze jest lepsze od Myśli. - Pindar westchnął. - To nasi odwieczni wrogowie, a my ich.

Hyperejdes opowiadał mi, jak okręty Myśli odparły barbarzyńców, zakładając, że sam jestem barbarzyńcą. Spytałem Pindara, czy jego miasto i Myśl są gorszymi wrogami.

Zaśmiał się gorzko.

- Dużo gorszymi! - powiedział. - Zapomniałeś chyba, Latro, że bracia mogą być sobie gorszymi wrogami niż obcy. Nasze ziemie są płodne, ich zaś jałowe, od dawna więc nam zazdrościli i usiłowali odebrać nam siłą co nasze. Potem zajęli się handlem, uprawą oliwek i winorośli i wymieniali oliwę, wino i owoce na zboże. Stali się mistrzami w wytwarzaniu amfor i sprzedawali je wszystkim. Potem Pani Myśli, która kocha się w oszustwach, ukazała im pokłady srebra.

Czarny człowiek wytrzeszczył oczy i nachylił się, chłonąc każde słowo, chociaż na pewno nie wszystko rozumiał.

- Stali się bogaci. Dziś są jeszcze bogatsi, my zaś nie okazaliśmy się mądrzejsi od nich i usiłowaliśmy odebrać im ich własność. Nie ma chyba w naszym świętym mieście rodziny, która nie miałaby krewnych wśród nich, a w ich mieście z trudem znajdziesz kogoś - chyba cudzoziemca - kto nie byłby naszym krewniakiem. Wzajemna nienawiść trwa, ustając tylko raz na cztery lata, gdy nasi najlepsi zawodnicy oddają swe siły Zstępującemu. Kiedy igrzyska się kończą, nienawiść wraca, większa niż przedtem. - Chciał splunąć, ale rozmyślił się.

Spojrzałem na kobietę. Miała oczy jak błyskawice i wydała mi się daleko piękniejsza niż kobieta wymalowana na naszym żaglu. Wbrew woli pomyślałem, że jeśli Pindar jest niewolnikiem, mógłbym kupić ją i jej córkę.

- Czy jesteśmy z tobą w przyjaźni, odkąd razem podróżujemy? - spytałem.

- Spotkaliśmy się podczas obrzędów ku czci Boga Podwójnych Wrót - odpowiedziała. Potem uśmiechnęła się, wspominając coś, czego nie mogłem sobie przypomnieć i wtedy poczułem, że nie byłaby przeciwna temu, by żyć ze mną, pozostawiając męża własnemu losowi. - Potem nadeszli ci niewolnicy Powroźników i w czasie gdy Pindar i ten czarny człowiek zmagali się ze swymi przeciwnikami, ty zabiłeś trzech. Pozostali jednak zagrozili, że zabiją Io i mnie, i Pindar zastąpił ci drogę i kazał przestać. Przez chwilę myślałam i on chyba też, że go zetniesz. Zamiast tego rzuciłeś swój miecz, a oni związali ci ręce, bili cię i kazali ci całować ziemię u ich stóp. Tak, jesteśmy przyjaciółmi.

- Cieszę się, że zapomniałem o tym poddaniu się - powiedziałem.

- Chciałbym także móc zapomnieć o tym. - Zgodził się ze mną Pindar. - Czasem ci zazdrozczę. Mimo to, kiedy już raz Lśniący Bóg skierował cię do Wielkiej Matki, lepiej idź do niej, a zostaniesz uleczony, jeśli to możliwe.

- Kim jest ta Wielka Matka? - spytałem. - I co znaczył wiersz, który mówiła dziewczynka?

Potem opowiadał mi o naturze i poczynaniach bogów. Słuchałem uważnie tego, co mówił, tak jak słuchałem sprawozdania Hyperejdesa z przebiegu bitwy w Cieśninie Pokoju, chociaż jednak nie wiem, co spodziewałem się usłyszeć od każdego z nich, wiem, że tego nie usłyszałem.

Słońce skryło się za żaglem, mimo że znów siedzę na dziobie. Okręt kołysze mnie jak matka swoje dziecko. Spośród fal rozlegają się głosy, które nawołują się, śmieją i śpiewają.

Nad słuchuję, w nadziei, że usłyszę cokolwiek o moim domu, rodzinie i przyjaciółach, których przecież muszę mieć.

ROZDZIAŁ IX

Zapada noc

Po morzu pędzą, niby rydwany, czarne cienie. Wkrótce będzie zbyt ciemno, by pisać, zapiszę jednak tyle, ile zdołam, a jeśli nie uda mi się zapisać wszystkiego, podejść do któregoś z ogni, dokończę pisanie i pójdę spać.

Ledwie odłożyłem rysik, gdy kybernetes kazał żeglarzom, którzy zaraz przerwali rozmowę i grę w kości, zwinąć żagiel, złożyć maszt i wyciągnąć wiosła.

Wspaniale jest płynąć pod żaglem na tym szybkim, smukłym okręcie, jeszcze wspanialej jest jednak, gdy wiosłarze pracują i przy każdym uderzeniu wiosła okręt wyskakuje z wody i z szumem opada. Wiatr nie wieje już z tyłu, czuje się na twarzy pęd powietrza, rozcinanego dziobem, a także srebrzysty wodny pył.

Przygrywa też młody flecista, a żeglarze śpiewają na jego nutę, by utrzymać rytm uderzeń. Ich pieśń przyzywa morskie bóstwa, które wypływają na powierzchnię, by słuchać. Uszy mają jak muszle, a włosy jak szczątki rozbitych okrętów. Długą chwilę stałem na dziobie, przyglądając się im i coraz bliższemu brzegowi i czując się, jakbym sam był bogiem mórz.

W końcu, gdy ląd był tak blisko, że mogłem rozróżnić liście na drzewach i kamienie na brzegu, kybernetes podszedł i stanął przy mnie. Widząc, że jeszcze przez chwilę nie będzie wydawać rozkazów, odważyłem się powiedzieć mu, jak bardzo mi się podoba jego okręt i te inne, które wyprzedziliśmy, a które widziałem za nami.

- Nie ma lepszego okrętu - odpowiedział - a mało który mu dorówna. Niech mówią, co chcą, o Hyperejdesie, ale na „Europę” nie żałował wydatków. Można by powiedzieć, że należało się tego spodziewać, skoro zamierzał dowodzić nią osobiście, ale robi to wielu innych właścicieli, a przy tym chcą oszczędzić na jakości drewna. Hyperejdes tego nie robi. Ma tyle rozumu, żeby pojąć, że chodzi nie tylko o honor, ale i o życie.

- Musi też być dzielnym człowiekiem - powiedziałem - jeżeli sam objął dowództwo okrętu, mogąc bezpiecznie siedzieć w domu.

- Ach, tego nie mógłby zrobić - rzekł kybernetes, rzuciwszy spojrzenie na brzeg. - Zgromadzenie czasem postępuje głupio, nie są jednak aż takimi głupcami, żeby pozwolić uchylać się od walki ludziom, którzy zaopatrują armię czy flotę. I tak zresztą nie byłby bezpieczny w mieście, bo ci barbarzyńcy je spalili. Mógłby służyć na lądzie, gdyby chciał.

Wielu to robi. Spójrz na „Klytię”! To także piękny okręt. Mój brat jest na niej kybernetesem. Czy wiesz, co mi powiedział ten poeta? Pokręciłem głową, nie wiedząc, o jakim poecie mowa.

- Powiedział, że jej wiosła zbryzgane białą pianą, nadają jej wygląd ptaka o czterech białych skrzydłach. I prawda - spójrz tylko! Może sobie być świnią z Krainy Krów, w każdym razie jest świetnym poetą. Czy słyszałeś, jak śpiewał dla nas zeszłego wieczoru?

- Obawiam się, że nie pamiętam - powiedziałem.

- Cha, cha! Wypiłeś za wiele i zasnąłeś! - Klepnął mnie po plecach. - Masz duszę żeglarsza. Zrobimy z ciebie wioślarza, kiedy wyleczysz ranę w głowie.

- Czy to były dobre wiersze? - zapytałem.

Keberneres skinął głową

- Ludziom wciąż było za mało. Chcę prosić Hyperejdesa, żeby go znów namówił na występ dziś wieczorem. Nie będę musiał długo prosić. - Podniósł głos: - Zwolnij! Zwolnij!

- Czy chcesz osadzić tu okręty na brzegu?

- No pewnie, chłopie. Mamy sprzyjający wiatr, mogliśmy więc opłynąć przylądek przed zachodem słońca i usiłowałem to zrobić, gdybyśmy nie mieli dnia w zapasie. Gdyby jednak były kłopoty, musielibyśmy spędzić noc na morzu, a to nie żarty. Mówiłem Hyperejdesowi, że powinniśmy tu zawinąć, i zgodził się ze mną. W pobliżu jest osada, Teutrone, gdzie można kupić żywność - to, co zabraliśmy z Wieżowego Wzgórza, już się kończy.

Wydał rozkaz i wszystkie wiosła jednej burty pozostały, po wyjściu z wody, uniesione. Okręt obrócił się niby patyk w wodnym wirze. W następnej chwili wiosła pchały nas wstecz, ku brzegowi. Z pół tuzina żeglarzy skoczyło do wody z rufy i płynęło niby foki. Dwaj inni rzucili im zwoje liny.

- Wiosła! - krzyknął kybernetes, a potem: - Za burtę!

Musiałem okazać po sobie, jak wielkie wrażenie zrobiło na mnie to wszystko, bo zatarł ręce i powiedział:

- Tak, to dobra załoga. Sam wybrałem większość z nich, a pozostali to ludzie, którzy przed wojną pracowali u Hyperejdesa.

Tymczasem na pokładzie nie pozostało więcej niż dwudziestu ludzi: kybernetes i ja, żołnierze - którzy w swoich pancerzach i nagołennikach poszliby na dno jak kamienie, gdyby skoczyli do morza - łucznicy, czarny człowiek, troje więźniów i Hyperejdes. Bałem się, że okręt się wywróci, tak lekki wydawał się być bez załogi.

- Do mnie! - krzyknął kybernetes. Przywoływał ręką żołnierzy i więźniów, którzy przyłączyli się do nas, stojących na dziobie. Rufa uniosła się jeszcze bardziej.

Żeglarze na brzegu ciągnęli już liny. Poczułem, jak stępka ociera się o coś, uwalnia, znów ociera. Pomost przechylił się, chwyciliśmy się poręczy.

- Nie skacz! - ostrzegł mnie kybernetes, widząc, że się nad tym zastanawiam. - Dno jest kamieniste.

Kiedy posuwaliśmy się ku rufie, pomost był już zbyt pochyły, by na nim stać, zesliśmy jednak bez trudu przez olinowanie rufowe na brzeg, ledwie zamoczywszy stopy.

Zanim stanąłem na lądzie, żeglarze już zbierali drewno na ognisko, a pozostałe okręty płynęły tyłem, o jakiś stadion od brzegu. Czarny człowiek i ja pomagaliśmy zbierać drewno, widząc, że żeglarze mają za punkt honoru zrobić, co tylko można, zanim załogi innych okrętów wyjdą na brzeg.

Wybrzeże jest płaskie i kamieniste, rośnie tu zaledwie kilka karłowatych drzew, a jednak nie można powiedzieć, że piękno kończy się tam, gdzie styka się morze z lądem. Kiedy patrzyłem na brzeg, sokół zleciał znad krawędzi urwiska, chwycił coś unoszącego się na wodzie i wbił się w górę jak mewa, nie poruszywszy skrzydłami. Ujrawszy to, zrozumiałem, czym jest ten skalisty ląd - lesistym palcem dłoni, wyciągniętej ku morzu.

Hyperejdes wziął trzech żołnierzy i dwudziestu żeglarzy i poszedł do wioski kupować żywność. Aketes postawił dwóch żołnierzy na warcie. Reszta nas zrzuciła ubrania i wskoczyła do wody, aby popływać i wykapać się. Zauważyłem, że nawet więźniom pozwolono się wykapać, tyle że łańcuchy nie pozwalały im pływać. Ja sam nie pływałem wiele, starając się nie zamoczyć opatrunku. Łucznicy odeszli na bok, nie chcąc kąpać się na naszych oczach.

Dziewczynka siedziała przy moich rzeczach, kiedy wróciłem na brzeg. Podziękowałem jej za ich przypilnowanie.

- Bałam się, że ktoś mógłby zabrać twoją książkę, panie - odpowiedziała. - Nie wiedziałbyś wtedy, kim jesteś ani kim jestem ja.

- Kim jesteś? - spytałem. - I czemu nazywasz mnie panem?

- Jestem Io, twoja niewolnica.

Wyjaśniłem, że miałem ją za córkę tej pary, z którą razem trzymano ją w łańcuchach.

- Wiem, że tak myślałeś - powiedziała. - Z nimi spotkaliśmy się nie tak dawno, ja zaś jestem twoją niewolnicą, daną ci przez Lśniącego Boga we Wzgórzu.

Pokręciłem głową.

- To prawda, panie, przysięgam na maczugę Heraklesa. Jeśli tylko przeczytasz swoją książkę, dowiesz się o tym i o klątwie, jaką rzuciła na ciebie Wielka Matka. Zrozumiesz także, jaka spotyka mnie niesprawiedliwość. - Podniosła swój łańcuch, by mi pokazać. - Gdy ty jesteś wolny, ja także powinnam być wolna, by ci służyć.

Próbowałem przypomnieć sobie to, co mówiła mi rano kobieta.

- Ci żołnierze schwytali nas, kiedy dokądś szliśmy.

- Nie ci żołnierze, panie. Tamci byli niewolnikami Powroźników. Pobili cię, a ze mną obeszli się jak z kobietą, tak że krwawiłam, chociaż nie jestem jeszcze kobietą. Hilaejra mówi, że nie będę miała dziecka, ona jednak mogłaby. - Io westchnęła, wspominając chyba cały ten ból i udrękę, o których nie pamiętałem. - Potem spotkaliśmy prawdziwych żołnierzy, tarczowników, noszących hełmy i długie włócznie. Kazali tym niewolnikom Powroźników wydać nas. Schowałam twoją książkę, bo obawiałam się, że ci ją zabiorą. Kazali nam pójść do Wieżowego Wzgórza, myślę jednak, że mieszkańcy Wieżowego Wzgórza nie chcieli nas zatrzymać - lękają się Powroźników, tak jak wszyscy, nie chcieli mieć więc więźniów odebranych tamtym. Lękają się też Ludu Myśli, których miasto żołnierze mojego miasta pomagali spalić. Wkrótce więc oddani zostaliśmy Hyperejdesowi. Rozdzielił nas, widziałam jednak, że cię lubi, i kiedy podszedłeś porozmawiać ze mną, oddałam ci twoją książkę. Trzymałam ją pod peplosem, przewiązawszy się sznurkami w stanie. Czy ją czytałeś? Namawiałam cię do tego.

- Nie wiem - odpowiedziałem.

- Może czytałeś, ale to wszystko jedno, jeśli niczego nie zapisałeś.

- Mądra z ciebie dziewczynka - powiedziałem wciągając chiton.

- Niewiele mi to dało. We Wzgórzu należałam do pewnej miłej rodziny. Znalazłam się tu oto, a cała korzyść z tej podróży, to dzisiejsza kąpiel. Czy zechciałbyś poprosić Hyperejdesa, by mi pozwolił zdjąć mój łańcuch?

Zawiązując sandały powiedziałem:

- Łańcuchów nie zdejmuje się tak łatwo jak sandałów.

- Ależ tak! Przygotowano je, by zakuwać nieposłusznych żeglarzy i barbarzyńskich jeńców, nie pasują do kogoś takiego jak ja. Mogę uwolnić stopę. Już to robiłam.

- Pokaż mi to.

Przełożyła skutą stopę przez kolano i, wysuwając język, pociągnęła okowę, która rzeczywiście była za duża.

- Wtedy byłam spocona - powiedziała. - Dlatego pewnie poszło łatwiej. Teraz jest tam piasek.

- Zedrzesz sobie skórę.

- Nie zedrę. Panie włóż tu rękę, oprzyj kciuk o moją piętę i pociągnij.

Zrobiłem to, okowa zsunęła się tak łatwo jak bransoleta.

- Mogłabyś po prostu z tego wyjść. Żartowałaś sobie.

- Troszeczkę. Nie gniewasz się na mnie, panie?

- Nie. Lepiej jednak załóż to, zanim ktoś zobaczy.

- Nie mam ochoty - powiedziała. - Powiem, że zsunęła mi się w wodzie i nie mogłam jej znaleźć.

- Schowaj ją więc pod kamieniem.

- Mam lepszą kryjówkę. Natrafiłam na nią, kiedy pływałeś. Spójrz na skraj tej wielkiej skały.

Był tam otwór wielkości ludzkiej głowy. Kiedy włożyłem weń ramię, odkryłem, że otwór prowadzi prosto w dół.

- Nie zrobiłabym tego - powiedziała. - Coś tam śmierdzi. - Wrzuciła do otworu łańcuch i okowę. - Chyba nie założą mi drugiej. Będą się bali, że ją też zgubię.

Jeden z żeglarzy wspiął się na pokład i wrócił, niosąc piecyk z brązu. Zdziwiło mnie, jak jasny wydawał się płomień w jego otworach. Słońce zachodziło za półwyspem, pogrążając brzeg w ciemnościach.

- Przyniosę nam coś do jedzenia, panie - powiedziała uszczęśliwionym tonem Io. - To należy do moich obowiązków.

- Nie będzie jeszcze gotowe! - zawołałem za nią, ale nie zwróciła na to uwagi. Podniosłem zwój i ruszyłem za nią, kiedy ktoś klepnął mnie po ramieniu.

Był to jeden z łuczników.

- To tylko dziecko - powiedziałem. - Nie wyrządzi szkody. Wzruszył ramionami, by okazać, że nie chodzi o Io.

- Nazywam się Ojor - powiedział. - Pochodzę, z ludu Skolotów. Ty jesteś Latro. Słyszałem, że ten mężczyzna i kobieta tak cię nazywali.

Skinąłem głową.

- Nie znam tego kraju - powiedział.

- Ja też nie - odparłem.

Zdziwił się, ale ciągnął dalej:

- Tu jest wielu bogów. W moim kraju czcimy czerwony ogień, niewidzialne powietrze, czarną ziemię, siną wodę, słońce, księżyc i żelazny miecz. To wszystko. Nie znam tutejszych bogów. Mam zmartwienie, i to takie, które będzie zmartwieniem nas wszystkich. -

Rozejrzał się, by sprawdzić, czy nas ktoś nie śledzi. - Nie mam wiele, możesz wziąć wszystko. - Wyciągnął dłoń pełną monet z brązu.

- Nie chcę twoich pieniędzy - powiedziałem.

- Weź. Tak się w tym kraju zawiera przyjaźń.

Wziąłem jedną monetę, żeby mu zrobić przyjemność.

- Świetnie - powiedział. - To nie jest dobre miejsce na rozmowę, poza tym wkrótce będzie posiłek. Kiedy już zjemy, wejdź tam. - Wskazał grzbiet między wartownikami, których sylwetki, czarne na tle nieba, widać było na północ i na południe od nas. - Czekać na Ojora.

Czekam więc, a czekając piszę. Słońce zaszło i resztki światła wkrótce znikną z nieba na zachodzie. Wschodzi księżyc. Jeśli łucznik wkrótce nie przyjdzie, pójdę spać przy ognisku.

ROZDZIAŁ X

Pod ubywającym księżycem

Piszę przy ognisku. Wygląda na to, że prócz mnie czuwa tylko czarny człowiek. Chodzi po brzegu tam i z powrotem, z twarzą zwróconą ku morzu, jakby wypatrywał żagli.

Wiem jednak, że wielu nie śpi. Co jakiś czas któryś z nich siada, spogląda na pozostałych i znów się kładzie. Słysząc poszepty wiatru w drzewach i pośród skał, słysząc też inne poszepty, już nie wiatru.

Spytałem Hyperejdesa, czy rano będziemy chować zmarłego. Odrzekł, że nie, dopóki jest nadzieja na szybkie dopłynięcie do miasta. Wtedy zmarły spocząłby obok swoich bliskich, jeśli jakichś ma.

Powinienem jednak wrócić do punktu, w którym tak niedawno przerwałem pisanie. Io przyniosła mi jedzenie i wino, mimo że już wcześniej jadłem, i dzieliliśmy się tym, oparci plecami o jeden z wyższych kamieni na grzbiecie, patrząc na księżyc wznoszący się nad morzem i ciesząc się widokiem ognisk i wyciągniętych na brzeg okrętów.

Hyperejdes nie żałował jedzenia, a że nikt nie pamiętał, iż jadłem, Io przyniosła nam pełne udziały. Gdy ja starałem się zjeść swój drugi posiłek, ona przełożyła wszystko, czego nie zjadła, na moją deszczułkę, było tam więc jeszcze sporo. Kiedy wypróżniłem kubek, wytarłem palce o chleb i położyłem go pod nogami.

- I ja bym miała na coś ochotę!

Poszukałem wzrokiem mówiącego. To, co brałem dotąd za kamień, ułożony przypadkowo na większym kamieniu, okazało się być głową kobiety. Kiedy spostrzegła, że ją widzę, wstała i podeszła do nas. Była naga, pełna wdzięku, nie najmłodsza - o ile mogłem sądzić w świetle księżyca - ale wciąż piękna. Czarne włosy, opadające jej aż do pasa, wydawały się dłuższe, gęstsze i bardziej splątane, niż to bywa u kobiet.

Gdy się zbliżyła, uznałem ją za wyznawczynię jakiegoś kultu, choć bowiem nie nosiła sukni, przypasana była wężową skórą ze zwisającą głową i ogonem.

- Proszę! - powiedziałem, podnosząc deszczułkę i wyciągając ją do niej. - Wszystko dla ciebie.

Uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową.

- Panie! - szepnęła Io.

Patrzyła na mnie ze zdumieniem. Spytałem, o co jej chodzi.

- Tam nikogo nie ma!

- Ona jest twoją niewolnicą - szepnęła kobieta. - Czybyś mi jej nie oddał? Dotknij jej, a będzie moja. Dotknij mnie, a będę należała do niej. - Ledwo poruszała wargami, a przy ostatnich słowach spojrzała na księżyc.

- Panie, czy ktoś tu jest? Ktoś, kogo nie mogę zobaczyć?

- Jakaś czarnowłosa kobieta, przepasana wężową skórą.

- Jak ten człowiek, który grał na flecie?

Nie przypomniałem sobie człowieka, o którym mówiła Io, i mogłem tylko pokręcić głową.

- Chodźmy do ogniska! - prosiła. Usiłowała pociągnąć mnie.

- Nie zrobię ci krzywdy - szepnęła kobieta. - Przyszłam cię pouczyć i przestrzec.

- A co z dziewczynką?

- Dziewczynka jest twoja. Mogłaby być moja. Co w tym złego?

- Odejdź! - powiedziałem do Io. - Biegnij do ognia. Zostań tam, dopóki nie przyjdę.

Pomknęła, jak umyka królik spod kopyt bojowych rumaków, klucząc między skałami.

- Jesteś samolubny - powiedziała kobieta. - Ty jesz, ja zaś jestem głodna.

- Możesz jeść to co ja.

- Bystry jesteś. Szkoda, że nie mogę tego przeżuć. - Uśmiechnęła się do mnie i zobaczyłem jej zęby, drobne i ostre, lśniące w blasku księżyca.

- Nie wiedziałem, że istnieją takie kobiety jak ty. Czy wszyscy mieszkańcy tego wybrzeża są do ciebie podobni?

- Rozmawialiśmy już przedtem - powiedziała.

- Musiałem więc zapomnieć.

Spojrzała mi badawczo w oczy i usunęła się płynnie w dół, by usiąść przy mnie.

- Niemało musiałeś zobaczyć, jeśli zapomniałeś o mnie.

- Czy o tym chciałaś mnie pouczyć?

- Ach! - powiedziała. - To mojej twarzy nie pamiętasz! Skinąłem głową.

- A i ta reszta wygląda nieco inaczej. Tak, masz rację. To jedna z rzeczy, o których chciałam cię pouczyć.

Patrzyłem na nią, podziwiając jej piękne białe ciało.

- Będę chętnym uczniem - powiedziałem.

Jej dłoń pieściła moje udo, ruchliwe palce były jednak zimne jak kamienie.

- Może kiedyś. Czy mnie pragniesz? - zapytała.

- Bardzo!

- Później zatem, jak mówiłam, kiedy wyleczysz się z tej rany. Teraz muszę cię pouczyć, jak to obiecałam. - Wskazała księżyc. - Czy widzisz boginię?

- Tak. Ależ głupiec ze mnie! - powiedziałem. - Jeszcze przed chwilą widziałem tylko świecący na niebie półksiężyc.

- Cień przesłania jej twarz - mówiła kobieta. - Za siedem dni całkiem ją zakryje. Wtedy stanie się ona naszą mroczną boginią i taką ją ujrzysz, jeśli do ciebie przyjdzie.

- Nie rozumiem.

- Mówię ci to wszystko, ponieważ wiem, że ukazała ci się jako jasna bogini, gdy księżyc był bliski pełni. Co raz uczyniła, uczyni znowu, dobrze więc, żebyś to wiedział. Powiem ci więcej - i to o rzeczach wielkiej wagi - a cena nie będzie wysoka.

Wiedziałem, jaka jest cena, więc nie pytałem, ona zaś wiedziała, że ja wiem. Spytałem:

- Czy zabrałabyś ją, nie zważając, że siedzi z innymi przy ognisku?

- Zabrałabym ją, choćby nawet siedziała w ognisku!

- Nie zapłacę takiej ceny.

- Ucz się mądrości - powiedziała. - Wiedza jest cenniejsza od złota.

Pokręciłem głową:

- Wiedza zmienia się, ginie we mgle, staje się ledwie słyszalnym echem.

Na te słowa wstała otrzepując pył z bioder i ud, jak robią to wszystkie kobiety.

- I ja chciałam uczyć cię mądrości! Szydziłeś ze mnie, a ja uważałam cię za głupca.

- Jeśli tak było, zapomniałem o tym.

- Tak, tak jest najłatwiej. Zapomnieć. Wspomnij mnie jednak, gdy spotkasz swoją panią w jakiegokolwiek postaci. Wspomnij, że ci pomogłam i że zrobiłabym więcej, gdybyś był równie wspaniałomyślny jak ja.

- Postaram się - odparłem.

- Ja zaś ostrzegę cię, jak obiecałam. Dziewczynka uciekła, ktoś inny jednak, kto wkrótce wejdzie na to wzgórze, umrze. Uważaj!

- Robię to.

- Czekaj więc na tę śmierć. Potem możesz odejść bezpiecznie - urwała, oblizując wargi i pochyliła głowę nad słuchując.

Słuchałem i ja, i usłyszałem, jak gdzieś daleko spada kamień.

- Ktoś nadchodzi - powiedziała. - Mogłam prosić cię o niego, to by cię jednak zgubiło. Jak widzisz, sprzyjam ci, wiem, co to litość, sprawiedliwość i uczciwe postępowanie.

- Jest tak, jak mówisz.

- Nie zapomnij moich ostrzeżeń i pouczeń. I jeszcze jedno. - Podeszła do głazu, za którym czekała, kiedy ją ujrzałem po raz pierwszy. Na chwilę znikła mi z oczu, jakby przykucnęła, by coś podnieść. Potem znów stanęła przy mnie i rzuciła mi to coś pod nogi. Zabrzęczało, jakby ktoś przesypywał w dłoni monety.

- Tutejsze kobiety kładą noże pod kołyski - powiedziała. - Wierzą, że to nas odstrasza, i choć tak nie jest - nie zawsze - prawdą jest, że nie lubimy żelaza. - Znów przykucnęła, tym razem, by obetrzeć dłonie o ziemię. - Dowiesz się, dlaczego.

Podniosłem to, co rzuciła. Był to łańcuch z okową na końcu.

- Niech ten twój dzieciak nie rzuca mi śmieci do domu! - rzekła.

- Latro! - zawołał jakiś niski, szorstki głos.

Kiedy przez chwilę patrzyłem w stronę, z której doleciał, kobieta znikła. Na głazie, jak poprzednio, spoczywał kamień. Podeszedłem i podniosłem go. Był to zwyczajny kamień, nie różniący się od innych. Odrzuciłem go na bok.

- Latro! - zabrzmiał znów głos.

- Tutaj! - zawołałem.

Pojawił się lisi kołpak.

- Rad jestem, że czekałeś - powiedział łucznik. - Jesteś naprawdę moim przyjacielem.

- Tak. Wracajmy do ogniska. Ojorze. - Nie wierzyłem kobiecie, ani jej ostrzeżeniom i byłem niespokojny o dziewczynkę.

- Musimy przedtem porozmawiać. - Łucznik zawahał się, pocierając podbródek - Przyjaciele wierzą sobie nawzajem.

- To prawda.

- Mówiłem ci, że nie znam bogów tej ziemi.

Skinąłem głową - w blasku księżycy widzieliśmy się równie dobrze jak w dzień.

- Ty zaś nie znasz moich. Musisz uwierzyć w to, co ci o nich powiem. Przyjaciele mówią sobie tylko prawdę.

- Uwierzę we wszystko, co mi powiesz, Ojorze. Widziałem już dziś dziwniejsze rzeczy.

Usiadł na ziemi, prawie dokładnie tam, gdzie przedtem siedziała kobieta.

- Jedz twój posiłek, Latro.

Usiadłem również, po drugiej stronie deszczulki.

- Zjadłem już dość - powiedziałem

- Ja także, Latro, w moim kraju jednak, przyjaciele dzielą posiłek. - Przełamał kawałek chleba i dał mi połowę.

- Tu również.

Jadłem swój chleb, on zaś swój.

- Naszym krajem władali kiedyś synowie Kimmera - zaczął Ojor. - Byli potężni. Ich władza sięgała od Istru do osobnego morza. Byli przede wszystkim potężnymi czarownikami, ofiarowując swoich synów potrójnej Artimpasie. Ona jest Matką Ludzi i Potworów. Ci czarownicy zabili w końcu nawet syna ich własnego króla, akolitę Apii. Król, dowiedziawszy się, że jego syn został złożony w ofierze, przysiągł w obliczu nieba, że żaden czarownik nie złoży już więcej ofiary wśród synów Kimmera. Posłał swoich żołnierzy z rozkazem: „Zabijcie wszystkich czarowników! Nie żywić nikogo!” Siedmiu czarowników umknęło na wschód, poza osobne morze. Bojąc się śmierci, żyli na pustkowiach i tam zmienili się w końcu w liczny lud Neurów.

Skinąłem znów głową, okazując, że słucham.

- Rzucili czar na Synów Kimmera - ciągnął dalej Ojor - odbierając siłę ich mieczom. Dawali srebro Synom Skolota, płacili za siwe koniki i dziewice, kupowane dla ich dumnych kapłanów. Uczyli się z naszych ust, naśladowali nasze stroje i zwyczaje. Po pewnym czasie rzekli: „Silni są Synowie Skolota! Czemu żyją na pustkowiach? Uderzcie na Synów Kimmera, lud mazgajów, marniejący we wspaniałym kraju”. Napięliśmy więc nasze łuki i rozpoczęliśmy wojnę. Synowie Kimmera rozproszeni zostali na cztery wiatry. Paśliśmy nasze koniki w ich pałacach i obozowaliśmy w ich świątyniach, byliśmy panami ich równin - zamilkł na chwilę. - Pokonaliśmy ich dawno temu. Staranni kronikarze liczą królów, odkąd przybyliśmy do kraju Synów Kimmera, ale ja policzyć ich nie zdołam - westchnął, kończąc swoją opowieść. Czulem, że wiem, o co mu chodziło. Spytałem:

- A co z Neurami, Ojorze?

- Co może prosty łucznik powiedzieć o czarownikach? Żyją w swoim dawnym kraju, na wschód od osobnego morza. Żyją też i pośród nas, nikt jednak nie zdoła ich rozpoznać. Używają naszej mowy i stroju. Równie dobrze jak my napinają łuki i poskramiają konie dotknięciem ręki. Nikt ich nie rozpozna, póki nie ujrzy znaku.

- A ty go widziałeś - odpowiedziałem mu.

Potwierdził, pochylając głowę.

- Apia wypaliła swe piętno na Neurach, cenę krwi tego chłopca - powiedział. - Raz do roku, a czasem częściej, każdy z nich zmienia się. „Czarownik” jest waszym słowem, Latro. Synowie Skolona mówią „Neur”. Apia, to ziemia, Artimpasa - Księżyc.

- Rozumiem - powiedziałem. - Jak zmienia się Neur?

- Mętnieją mu oczy, uszy się zaostrzają. Szybkonogi, przebiega równiny...

W oddali zawył pies. Ojor ścisnął mnie za ramię:

- Słuchaj!

- To pies wyje do księżyca, nic więcej. Nie opodal jest miasteczko - Teutrone, jak mówił kybernetes. Gdzie miasteczko, tam i psy.

- Kiedy Neurowie się zmieniają, piją ludzką krew i pożerają ciało, wygrzebują zmarłych, budząc ich.

- Ty zaś przypuszczasz, że jeden z nich jest tutaj? - zapytałem.

Ojor skinął głową.

- Tak. Na naszym okręcie. Oglądałeś nasz okręt. Czy stałeś w najniższym miejscu, tam gdzie woda chlupie o ściany?

Pokręciłem głową.

- Jest tam piasek, jest woda i wino, chleb, suszone mięso i inne dobre rzeczy. Ja często pilnuję tego mężczyzny z kobietą i dzieckiem. Pojmujesz? Skinąłem potakująco głową.

- Kiedyś byli spragnieni, nikt ich też nie nakarmił, gdy pozostali jedli. Ten człowiek zwrócił się do Hyperejdesa. Hyperejdes jest bardzo łagodny, nie kazał im nawet wylupić oczu. Posłał mnie w tamto miejsce po wodę, wino, chleb, oliwki i ser. Zabrałem to wszystko i pomyślałem sobie, że dobrze by było obejrzeć tam wszystko, bo mogę już tam nie wrócić. Byłem tam, gdzie wiosłarze stoją, a nie siedzą.

- Na rufie? - spytałem. - Przy sternikach?

- Pod nimi. Schyliłem się i zrobiłem krok, potem drugi i trzeci. Było tam ciemno. Trzymają tam jedzenie, bo kiedy okręt wyciąga się na brzeg, zła woda spływa stamtąd. Gdybym wtedy zawrócił, nie wiedziałbym. Zrobiłem jeszcze krok i otworzyły się jakieś oczy, daleko przede mną. Nieludzkie oczy.

- Sądzisz więc, że jeden z tamtych łuczników jest Neurem?

- Widziałem już takie oczy - powiedział Ojor - gdy umarła moja siostra. Oczy jak dwa białe kamienie, zimne i jasne. Kiedy jednak patrzę w oczy innych, nie widzę takich kamieni. Słyszałem, jak rozmawiali - ten mężczyzna, kobieta i nawet dziewczynka. Wasi bogowie pobłogosławili cię. - Wskazał na mnie. - I widzisz rzeczy niewidzialne. Musisz spojrzeć tamtym trzem w oczy.

- Jestem tak samo przeklęty, jak twoi Neurowie - powiedziałem. - Hyperejdes nie uwierzy nam.

- Spójrz! - Ojor wyciągnął za pasa sztylet. - Na ostrzu wypisana jest modlitwa Apii. To go pośle do grobu, a ja przywalę go kamieniami. Nie wróci, chyba że ktoś odwali kamienie. Spojrzysz?

- Przypuśćmy, że spojrzę i niczego nie zobaczę. Czy mi uwierzysz?

- Tak nie będzie. - Ojor wskazał sierp księżycy. - Oto jest Artimpasa. W jego oczach zobaczysz ją albo czarnego wilka Apii. Dowiesz się wtedy.

- Jeżeli jednak nie zobaczę - nalegałem - czy mi uwierzysz?

Ojor skinął głową:

- Jesteś moim przyjacielem. Uwierzę.

- Więc spojrzę.

- Świetnie! - Wstał uśmiechając się. - Chodź ze mną. Zaprowadzę cię do innych łuczników. Powiem: „Oto jest Latro, przyjaciel Synów Skolota, przyjaciel Ojora, nieprzyjaciel wszelkiego zła”. Wypowiem ich imiona, a ty weźmiesz każdego za rękę i spojrzysz mu w oczy.

- Rozumiem.

- Pozostali będą słuchać tego mężczyzny zakutego w łańcuchy, łucznicy jednak nie słuchają go, bo jego słowa są dla nas jak gęganie... Chodźmy, to niedaleko i znam tę ścieżkę.

Niełatwo było wypatrzyć drogę przy księżycu, bo w istocie nie było tam żadnej ścieżki, chociaż Ojor poruszał się tak pewnie, jakby była. Wyprzedził mnie o pięć kroków albo więcej, gdy czyjeś ramię opasało mi gardło.

ROZDZIAŁ XI

W rękach Neura

Upadłem w tył, na pół uduszony. Przez chwilę ostrze długiego noża godziło w moją pierś, jego właściciel obawiał się zapewne, że mógłby przebić własne serce.

Błysnęła stal i nagle tamten wrzasnął, z ustami tuż przy moim uchu. Ojor skoczył ku nam. Zostałem odrzucony na bok. Łapiąc oddech, usłyszałem trzask łamanych kości - okropny odgłos, ale i radosny, bo nie były to moje kości.

Kiedy stanąłem na nogach, Ojor wycierał swój sztylet o włosy wiszące mu u pasa, a łucznik, który pilnował więźniów, leżał martwy ze skręconym karkiem.

- Dziękuję! - wykrztusiłem. - Dziękuję ci, Ojorze!

Nie dał po sobie poznać, że słyszy. Skończywszy wycierać sztylet, wsunął go do pochwy. Podniosłem głos:

- Dziękuję ci, Ojorze. Byliśmy już przyjaciółmi, teraz jesteśmy nimi na zawsze.

Wzruszył ramionami.

- Szczęśliwy rzut - powiedział. - Gdyby nie... Rzeczywiście, była w tym ręka bogini.

- Nie mam pieniędzy, prócz monety, którą mi dałeś. Powiem jednak o tym Hyperejdesowi. Nagrodzi cię, jestem tego pewien.

Ojor pokręcił głową.

- Jeśli jesteś moim przyjacielem, Latro, nie rób tego - powiedział. - Dla ludzi tego kraju Synowie Skolota i Neurowie to jedno i to samo. To by zaszkodziło nam wszystkim. Wracaj do ogniska. Posłuchaj tego człowieka w łańcuchach. Ja wykopię temu Neurowi mogiłę jego własnym nożem i przywalę ją kamieniami, tak by nie mógł wstać. Jutro nas tu nie będzie, on zaś tak.

- Rozumiem - powiedziałem. - Ojorze, boję się, że zapomnę odwdziżyć ci się za to. Jesteśmy jednak przyjaciółmi na zawsze, nieprawdaż?

Trzymając sztylet w wyciągniętej ręce, drugą ręką wyjął łuk z pokrowca.

- Połóż dłoń na moim łuku - powiedział. - Połóż dłoń na moim sztylecie. Tak przysięgamy.

Zrobiłem, o co prosił, on zaś skierował sztylet i łuk w stronę księżyca.

- Więcej niż bracia - wypowiedział - choćbym zginął.

- Więcej niż bracia - odrzekłem - choćbym zginął.

- Gdybyś zapomniał, powiem ci to, Latro, a wtedy przypomnisz sobie. Idź już.

Podniosłem deseczki i kubki, i odwróciłem się, by go pożegnać. Obym był tego nie robił! Może napiszę o tym później, gdy znajdę słowa, by opisać to, co zapewne było tylko igraszką księżycowego światła.

Biegłem potem i byłem już prawie przy ognisku, gdy usłyszałem jęki i krzyki. Grupa żeglarzy niosła coś brzegiem. Siedzący przy ognisku podnieśli się, podchodząc do tamtych i ja podszedłem także.

Krew sączyła się jeszcze z szarpanych ran umarłego. Odwróciłem wzrok, a żeglarze idący do ogniska stłoczyli się wokół tamtego. Byłem, prawdę mówiąc, rad, że go nie widzę.

Hyperejdes i kybernetes przepychali się, by na niego popatrzeć.

Usłyszałem, jak kybernetes pyta, gdzie go znalezione i jak ktoś odpowiada:

- Na skraju wody, panie.

Kybernetes musiał dotknąć włosów umarłego, bo powiedział:

- Całkiem przemoczony. Wyrzucony na brzeg. Złą porę wybrał na pływanie.

Widziałem wyciągane z morza stwory... - Jeśli dokończył, nie usłyszałem tego.

Odezwał się Hyperejdes.

- Ty tutaj. Idź na okręt. Jest tam bela żaglowego płótna. Odetnij tyle, ile trzeba, żeby go zawinąć. Jeden z żeglarzy pobiegł.

Obok mnie pojawił się czarny człowiek, pytając na migi, czy widziałem umarłego, albo też czy wiem, co mu się przytrafiło. Nie mając pewności, o co pyta, pokręciłem głową.

Hyperejdes krzyknął:

- Potrzebny jest ołtarz, i to szybko! Do roboty, wy wszyscy. Ułóżcie stos z kamieni.

To miejsce jest równie dobre jak inne.

Żeglarze byli chyba szczęśliwi, że mogą coś zrobić. Ołtarz rósł w oczach; stos kamieni sięgający do pasa, długi i szeroki na rozłożenie rąk.

Dołączył do nas Pindar, prowadząc Io i kobietę.

- Gdzie byłaś? - spytał mnie. - Io mówiła, że jesteś na górze i martwiła się o ciebie.

Chciałem tam pójść, ale Hyperejdes nie puścił mnie ani naszego przyjaciela. Bał się chyba, że uciekniemy - zniżył głos. - I miał rację, przynajmniej, jeśli chodzi o mnie.

Usiłowałem się wytłumaczyć:

- Był tam ktoś, kogo Io nie mogła widzieć, były też inne rzeczy.

- Lepiej żebyście - ty i ona - trzymali się nas na przyszłość - powiedziała kobieta.

Hyperejdes przyszedł pomówić z Pindarem.

- Znam trochę modlitw - powiedział - czy nie mógłbyś jednak ułożyć czegoś szczególnego...?

- Postaram się - powiedział Pindar.

- Nie będziesz miał zbyt dużo czasu, niestety.

- Zrobię, co tylko będę mógł. Jak miał na imię?

- Kekrops. Był wioślarzem z górnego rzędu, jeśli to ci się przyda. - Hyperejdes zawahał się. - Coś niezbyt długiego, abym mógł to spamiętać, usłyszawszy raz czy drugi.

- Postaram się - powtórzył Pindar i odwrócił się, zatopiony w myślach. Umarłego położono przed ołtarzem, na którym płonęło już drewno wyrzucone przez fale. Dziesiątek żeglarzy, którzy przysięgli, że mają dobre głosy i że nie ciąży na nich przelana krew, śpiewał litanie do morskiego boga. „Pętający Konie, Ziemiotrzęsco, Błękitnogrzywy, oszczędź nas! Porywający Okręty, Wiosenny, Przytrzymujący Kotwice, zachowaj nas!” i tak dalej.

Kiedy skończyli, Hyperejdes, w pełnej zbroi, w hełmie z błękitnym grzebieniem, wrzucił w ogień chleb i wylał wino ze złotego pucharu.

*Tyś większych bogów trzeci brat,
Z ich woli Śmierci król.
Przyjmij chleb i wino z naszych rąk,
Spójrz na Kekropsa ból.
Dla twego brata trudził się.
Strudzony srodze legł.
Żeglarza przyjm, co zniósł go prąd
Na twojej rzeki bieg.*

Jakieś zwierzę zawyło w pobliżu i mała Io, siedząca obok, przytuliła się do mnie. - To tylko pies. Nie bój się - szepnąłem.

Czarny człowiek dotknął mojego ramienia, sięgając ponad głowę Io. Kiedy na niego spojrzałem, pokręcił głową i uniósł wargi, odsłaniając zęby.

Hyperejdes kończył mówić wiersz. Nie uwierzyłbym, że ma tak grzmiący głos.

*Choć wioślarz stary, czy dla dusz
Lepszego znajdziesz gdzie,
By przez Ocean woził je
Na Śmierci gorzki brzeg?*

- Na wszystkich Dwanaścioro! - wyszeptał Pindar. - Spamiętał wszystko. Nie dałbym za to i obola.

Hyperejdes wrzucił potem w ogień bób, małże i mięso, i jeszcze inne rzeczy. Dwaj żeglarze podeszli, niosąc skórzane wiadra z morską wodą, by ugasić ogień. Dwaj inni szybko zawinęli umarłego w płótno i zabrali ciało.

- To był wspaniały wiersz - powiedziałem do Pindara. Pokręcił głową. Wokół nas ludzie wstawali i odchodzili do wielkich ognisk przy okrętach.

- Na pewno był. Popatrz, ilu z nich płacze.

- Byli jego przyjaciółmi - rzekł Pindar. - Dlaczego nie mieliby płakać? Niech cię Charyty kochają! Poezja musi chwytać za serce. - Sam miał łzy w oczach, odszedł więc, żebym ich nie oglądał, a jego łańcuch ciągnął się za nim po piasku.

Myśląc wciąż o walce na grzbiecie wzgórza, podniosłem wzrok na jego zarys na tle gwiazdzonego nieba. Stała tam wysoka postać z laską w ręku, a przy niej niższa, jakby jakiś chłopiec.

Kobieta, która siedziała obok Pindara, ujęła mnie pod ramię.

- Chodźmy, Latro, czas iść - powiedziała.

- Zabierz Io - odparłem. - Ja niedługo przyjdę. Powinienem z kimś porozmawiać.

Spojrzała, i czarny człowiek także, w kierunku, w którym patrzyłem. Jasne było jednak, że nie widzą nikogo. Trzymając jedną ręką koniec łańcucha, kobieta podała drugą rękę Io. Odeszły pośpiesznie z czarnym człowiekiem, a za nimi jeden z łuczników, nie Ojor.

Zostałem sam, przyglądając się wysokiej postaci, schodzącej z grzbietu wzgórza. Za nią wlokła się ta mniejsza, często się potykając. Jakieś światło otaczało tę wyższą postać, niższa zaś nie świeciła, lecz wydawała się przejrzysta, tak że czasami dostrzegałem niewyraźnie skały i drzewa poza nią. Żadna z nich nie rzucała cienia.

Kiedy wysoka postać zbliżyła się, oddałem mu honory, wołając:

- Witaj! - Mogłem już dostrzec jego siwe włosy i brodę, surową i mroczną twarz.

- Witaj! - odpowiedział, podnosząc swą laskę. Miał niski, głęboki głos. Spytałem go, najuprzejmiej jak umiałem, czy przychodzi po Kekropsa i zaproponowałem, że go zaprowadzę do ciała.

- Nie trzeba - powiedział i wskazał laską podnóże ołtarza, gdzie przedtem złożony był Kekrops. Ze zdumieniem spostrzegłem, że ciało wciąż tam było; podniosło się, mimo ran, i kuśtykało po piasku ku tamtemu.

- Nie musisz obawiać się tego umarłego - rzekła wysoka postać, widząc wyraz moich oczu. - Nie zrobi ci krzywdy.

Gdy rozmawialiśmy, niższa postać zeszła ze zbocza i szła ku nam po brzegu. Był to łucznik, ubrany jak ci z naszego okrętu, spytałem więc wysokiego, czy to człowiek, który chciał mnie zabić.

- Tak - odpowiedział - ale już tego nie zrobi. Jest moim niewolnikiem, dopóki nie zostanie wyzwolony.

- To morderca - powiedziałem. - Ukarzesz go chyba za to, co zrobił.

Łucznik pokręcił głową. Zwisiała bezwładnie, niby kwiat ze złamanej łodygi.

- Nie może mówić - rzekła wysoka postać - dopóki nie przemówisz do niego pierwszy. Takie prawo obowiązuje moich niewolników.

Spytałem martwego łuczniaka:

- Czy nie zabiłeś Kekropsa? Czy możesz temu zaprzeczyć, kiedy stoi on przed tobą? - Wygląda to dziwnie, gdy to piszę, wtedy jednak nie wydawało się dziwne.

- Spu zabijał tylko na wojnie - wymamrotał martwy łucznik. Podniósł palec do oka. - Należało ci się, Neurze, by cię Spu zabił za tamtego,

- Musimy iść - powiedziała wysoka postać. - Nie powinni pozostawać tu na ziemi, ja zaś mam wiele do zrobienia. Zatrzymałem się tylko, by ci powiedzieć, że matka mojej żony przyśle ją, by z tobą porozmawiała. Nie zapomnij.

- Zrobię, co będę mógł, by nie zapomnieć - obiecałem.

Skinął głową.

- Ja zaś przypomnę ci o tym przy sposobności - dodał. - Nie wiem, co to miłosierdzie, jestem zatem, jaki jestem, może ona będzie dla ciebie miłosierna. Spodziewam się, że będzie przynajmniej sprawiedliwa. - Postąpił krok na przód i wydało się, że stoi na niewidzialnych schodach. Za każdym krokiem głębiej pogrążał się w ziemi, a żeglarz i łucznik szli za nim.

- Żegnaj! - zawołałem do niego, a potem do łuczniaka. - Nie wiem dlaczego. Wybaczam ci! - Uśmiechnął się na te słowa - dziwnie było widzieć uśmiech umarłego - i dotknął czoła.

Potem wszyscy trzej zniknęli.

- Tu więc jesteś. - Był to cybernetes w towarzystwie jakiegoś żeglarza niosącego oszczep. - Nie powinieneś oddalać się samotnie, Latro. To dla ciebie zbyt niebezpieczne. - Zniżył głos. - Właśnie dowiedziałem się, że jeden z łuczników chce cię zabić. Jeden z moich ludzi, który trochę ich rozumie, podsłuchał rozmowę. Pamiętasz tego chłopca?

Wskazał żeglarza, ja zaś pokręciłem głową.

- Wybrałem go, bo to dzielny chłop i już cię przedtem pilnował Nazywa się Lyson. Ma się z tobą nie rozstawać... a ty masz nie opuszczać jego, rozumiesz? To rozkaz.

- Czy łucznik, który miał mnie zabić, ma na imię Spu? - spytałem.

- Ależ tak! - powiedział kybernetes. - Skąd to wiesz?

- Rozmawiałem z nim, zanim przyszliście. Myślę, że to porządny człowiek.

Kybernetes spojrział na Lysona, Lyson zaś spoglądał w ziemię, kręcąc głową. Kybernetes odchrząknął:

- Cóż, gdybyś znów spotkał Spu, zanim go znajdziemy, postaraj się pamiętać, że następnym razem może nie być tak przyjaźnie usposobiony. Mam nadzieję, że Lyson będzie z tobą. Lepiej, żeby był.

Lyson jest ze mną, tyle że śpi. Nie śpię tylko ja, czarny człowiek i wartownicy, których Hyperejdes rozstawił wokół nas i okrętu.

Przed chwilą jakaś piękna młoda kobieta zeszła z największego okrętu i spostrzegłszy, że ją widzę, przystanęła, by pomówić ze mną. Spytałem, kim jest.

Uśmiechnęła się na te słowa.

- Ależ, Latro - powiedziała. - Przez pół dnia miałeś moje imię na ustach. Czy wolałbyś mnie widzieć grubszą i rudowłosą? Mogę być taka, jeśli chcesz.

- Nie - powiedziałem. - Jesteś o wiele piękniejsza niż twoja podobizna na żaglu.

Jej uśmiech zgasł.

- A jednak zwykle dziewczęta są szczęśliwsze. Spytaj swoją małą Io - powiedziała.

Nie zrozumiałem tych słów i chyba o tym wiedziała, nie wyjaśniła ich jednak.

- Przystanęłam jednak - ciągnęła dalej - by ci powiedzieć, że udaję się do Wielkiej Matki. Byłam kiedyś jej kapłanką. Może zechce o tym pamiętać, choć wiele czasu minęło, odkąd mnie od niej zabrano. Poproszę ją, by miała dla ciebie względy. Mam w tobie wielbiciela mych wdzięków.

- Jest więc miłosierna? - spytałem, mając w pamięci słowa wysokiego władcy śmierci.

Europa pokręciła przecząco głową.

- Bywa uprzejma - powiedziała - ale nikt z nas nie jest miłosierny. Weszła w głąb urwiska, w którym otworzyły się przed nią drzwi. Na okręcie jest teraz inna kobieta. Widzę, jak kroczy przez pomost w blasku księżyca, pogrążona w myślach. Ma na głowie hełm z wysokim grzebieniem, taki jaki nosi Hyperejdes, a na jej tarczy wiją się węże.

Jej twarz przypomina mi twarz Ojora, nie tę, którą zwykle oglądam, ale tę, którą widziałem, gdy się obejrzałem i ujrzałem go pochylonego nad martwym łucznikiem. Podczas spotkania na brzegu i podczas rozmowy na wysokim grzbiecie, jego opalona twarz była równie otwarta jak twarz żeglarzy, choć nie tak ożywiona, i pozbawiona wrodzonej

przebiegłości. Była w niej siła i prostota jakiegoś rumaka czy byka. Pomyślałem, że przypomina moją i polubiłem go za to.

Kiedy jednak odwróciłem się, schodząc ze zbocza, ujrzałem twarz całkowicie odmienną, choć rysy pozostały nie zmienione. Stała się twarzą uczonego badacza rzeczy tajemnych, złego i zepsutego mędrca. Uśmiechał się do martwego łuczника i głaskał siny policzek, jak matka głaszczące dziecko.

Muszę to zapamiętać.

ROZDZIAŁ XII

Bogini Miłości

Władczyni Gołębi pobłogosławiła to miejsce. Barbarzyńcy obalili jej posąg i utracili jej ręce. Po wylądowaniu czarny człowiek i ja ustawiliśmy go na powrót na cokole. - Ten akt pobożności - jak mówi Pindar - z pewnością zaskarbi nam jej łaski. Mimo że jej ręce leżą u jej stóp, na ich palcach wciąż siadają gołębie, ona zaś jest uroczą boginią.

Wiele jednak rzeczy wydarzyło się wcześniej i pragnę tu o nich napisać, dopóki jeszcze je pamiętam.

Sądzę, że wpływaliśmy do Zatoki Pokoju przed południem, chociaż to zdarzenie ginie mi we mgle. Pierwszą rzeczą, którą przypominam sobie wyraźnie, był widok szłaśów, pnących się wysoko na górzyste zbocza wyspy Pokoju. Wiele z nich pozbawionych było dachów.

To na tej wyspie, jak mówił mi Hyperejdes, znaleźli schronienie ubodzy z jego miasta, kiedy nadeszła armia Wielkiego Króla. Większość z nich pozostała tu nawet po bitwie w Cieśninie Pokoju, bojąc się powrotu tej armii. Teraz, po rozstrzygającym zwycięstwie na lądzie, opuszczali oni swe szłaśy, wracając do miasta.

Na wschodnim wybrzeżu wyspy są trzy zatoki, a nad najbardziej wysuniętą na południe leży miasto Pokoju. Tam przebywają najbogatsze z przybyłych na wyspę rodzin, drogo płacąc za mieszkania. My płynęliśmy do zatoki środkowej, skąd Hyperejdes chciał, jak mówił, zabrać jakichś biedaków.

- Poza tym - powiedział mi - tu właśnie staliśmy przed bitwą. Tu przebywają rodziny wielu moich ludzi, i ci, którzy pomagali nam na różne sposoby.

Wtrącił się Pindar, który wraz ze mną słuchał Hyperejdesa:

- To właśnie w tej bitwie, która pozwoliła im wrócić do domów, zastałeś ranny, Latro - że jednak byłeś po niewłaściwej stronie, lepiej nie mów o tym nikomu.

- A ty lepiej nie schodź na brzeg w ogóle - powiedział Hyperejdes. - Niech tylko usłyszą twój akcent z Krainy Krów, zaraz zechcą cię ukamienować. Czy ty także nie walczyłeś? Nie masz chyba więcej niż czterdzieści lat i wyglądasz nie najgorzej. Pindar wyszczerzył zęby.

- Mam trzydzieści dziewięć, Hyperejdesie - powiedział. - Najlepszy wiek dla mężczyzny, jak to z pewnością pamiętasz. Co do walki, znasz przecież Archilocha:

*Dziś jakiś Trak się chlubi mą tarczą, orężem bez skazy:
W krzaki, choć było mi żal, cisnąć musiałem ją precz.
Sam za to śmierci szczęśliwie uszedłem. A niechże przepada
Tarcza! Zdobędę ja wnet nową, nie gorszą, miast niej.*

Hyperejdes pogroził mu palcem.

- Napytasz sobie biedy poeto. Wielu w tym mieście nie darzy sympatią twojego ostrego języka.

- Ależ, panie mój - odparł Pindar. - Jeśli będę miał kłopoty, ty będziesz mieć je także. Czemu nie miałbyś mnie wyzwolić? Mógłbyś potem, w następnej wojnie, zostać na odmianę moim więźniem. Potraktuję cię po królewsku, przysięgam.

Szliśmy już na wiosłach, wiał bowiem wiatr południowo-zachodni, a cieśnina biegnie wprost na południe, można więc było ustawić okręty tak, by wiatr zaniósł je do zatoki. Widać już było tłum na brzegu, kybernetes zaś wystąpił z propozycją złożenia masztu i żagla.

Hyperejdes poślinił i podniósł w górę palec.

- Nie dmucha aż tak bardzo - powiedział. - Czy myślisz, że wiatr może zmienić się na północny?

Kybernetes wzruszył ramionami.

- Widywałem już takie rzeczy, panie. Nie polegałbym na wietrze.

- Ani ja, ale nie wyłączajmy go z rachunków. Poza tym ci chłopcy powinni ucieszyć się z okazji pokazania swoim żonom, jak ciężko pracują.

- Słusznie. Na twoim miejscu, Hyperejdesie, postawiłbym jednak żołnierzy przy trapach. W przeciwnym razie będziesz miał tyle kobiet na pokładzie, że zatopisz okręt.

- Już im wydałem rozkazy - powiedział Hyperejdes - ale cieszę się, że o tym wspomniałeś. Nie zaszkodzi zatrzymać się na chwilę, prawda? Mam coś do powiedzenia załodze.

- Musimy stanąć, żeby złożyć maszt.

- Świetnie! - Idąc na rufę, by stanąć przed załogą, zamachał rękami dla zwrócenia ich uwagi i krzyknął: - Wiosła! Wiosła złóż! Puścić w koło czerpak, kiedy będę mówił! Ludzie, ilu z was ma rodziny na tej wyspie?

Półowa rąk poszła w górę, w tym ręka Lysona.

- W porządku. Nie chcemy stracić tu zbyt wiele czasu, niech więc ci, którzy nie mają rodzin zostaną na miejscach. Kybernetes będzie wywoływał resztę do trapów grupami po

sześciu, raz z lewej, raz z prawej burty. Jeśli zobaczycie ich - żony, dzieci, rodziców, teściów i nikogo poza tym - kaźcie im podejść do trapów, a żołnierze wprowadzą ich na pokład. Jeśli ich nie zobaczycie, pewnie są już w domu. Wracajcie więc na miejsce, żeby przepuścić innych. Ja muszę zejść na brzeg... - rozległy się pomruki - ...by porozmawiać z władzami. Aketes i jego ludzie - ciągnął dalej - dopilnują porządku, a wy, dla waszego dobra, wypełniajcie ich polecenia. Odpowiadacie za wasze żony i dzieci, dopóki przebywają na tym okręcie. Miejcie je na oku, bo w przeciwnym razie wysadzi się je na brzeg, i to nie na stały ląd. Nikt jednak nie musi opuszczać okrętu, dopóki nie znajdziemy się w Sznurze. Kiedy wasze rodziny będą już na pokładzie, a kybernetes znajdzie dla nich miejsca i porozsada je, powinienem wrócić. Kiedy tylko wrócę, odpływamy. Chcę być w Sznurze przed nadejściem zmierzchu, słyszycie?

Podniosły się wiwaty.

- Ale będziecie musieli dobrze zginać karki, starajcie się więc odpocząć. A teraz... Wiosła! Zważać na rytm! - Wyklaskiwał rytm, póki flecista przygotował swój instrument. - Ja kocham żonę, ona mnie, a teraz trzeba zginać grzbiet! Ja kocham dziewczę, ono mnie, a teraz trzeba zginać grzbiet!

Żeglarze podchwycili tę śpiewkę i wkrótce ludzie z linami cumowniczymi skakali już na nabrzeże, gdzie tysiące zaniedbanych kobiet pozdrawiały nasze okręty, wykrzykując jakieś imiona, które mogły należeć do kogokolwiek, podnosząc w górę niemowlęta i wymachując różnobarwnymi szmatami, z których wiele nie miało żadnej określonej barwy. Hyperejdes, którego zbroję wypolerowałem przy użyciu podobnych szmat, z trudem zdołał postawić stopę na trapie, tak się pchały. W końcu żołnierze musieli spychać je drzewcami włóczni, by mu pozwolić wyjść.

Zdumiewająco - tak przynajmniej myślałem - niewiele tych kobiet było rzeczywiście żonami rozmaitych wioślarzy. Kiedy wymieniono pierwsze uściski i pocałunki, kybernetes kazał im siadać na dolnych ławkach, biegnących pod pomostem na całą szerokość okrętu - grożąc, że zrobi z nich balast, gdy okręt straci równowagę, co z pewnością nastąpi, jeśli pozwolą dzieciom na bieganie.

Kiedy przyglądaliśmy się, przyłączył się do nas jakiś łucznik.

- Jestem Ojor - powiedział. - Nie pamiętasz?

Kiedy pokręciłem głową, Io pociągnęła mnie za chiton, szepcząc:

- Uważaj, Latro. Pamiętaj, co mówił Lyson.

- Ojor nie skrzywdzi Latro. Spu był tym Synem Skolota, który chciał mu zrobić krzywdę, a Spu odszedł.

- Słyszałem o tym - wycedził Pindar. - Hyperejdes przypuszcza, że porzucił okręt w Teutrone. Co o tym myślisz, Ojorze?

Łucznik zaśmiał się.

- Ojor jest Synem Skolota. Ojor nie myśli - powiedział. - Spytaj kogoś z waszych. Powiedz, czy nie jest ci smutno, gdy tylu mężów wita znów swoje rodziny, a ty nie?

- Nie mam żadnej rodziny i bogom niech będą dzięki - odrzekł Pindar. - Gdybym miał kogoś, zgłaszałby pretensje do mojej posiadłości. Miejmy nadzieję, że nasi szlachetni nieprzyjaciele nie pozbawią mnie własności, w przeciwnym razie będą mi potrzebni bogaci krewni, a gdzie ich znajdę?

- To smutne. Ojor ma żonę. - Podniósł dłoń z przygiętym kciukiem i czterema palcami wysuniętymi. - Tylu synów i wiele córek, za wiele. Chcesz dziewczyny? Zabaw się z którąś. Wybieraj. Ojor tanio sprzeda.

- Zrobiłbyś to naprawdę? - Hilaejra była wstrząśnięta. - Sprzedawać własne dzieci?

- Oczywiście - rzekł Pindar. - Wszyscy barbarzyńcy to robią, oprócz królów. I mądrze robią, moim zdaniem. O dzieci nietrudno, a kłopot z głowy. Ojorze, jestem z tobą.

- O dzieci nietrudno mężczyznom! - parsknęła Hilaejra. - Nie nam. Nie mam własnych, ale pomagam przy porodach. Moja ciotka...

- To ktoś, o kim nie chcemy teraz słuchać - przerwał jej Pindar.

- Ty mówisz dużo z dowódcą. Ojor chce wiedzieć, co będzie z okrętem. Jak myślisz?

- Płynie do Sznura uzupełnić zapasy. Jest w bardzo dobrym stanie, więc zajmie to parę dni, nie więcej. Potem, być może, przyłączy się do floty, która - jak sobie wyobrażam - włączy się wokół Wysp Kolistych, licząc na przypadkowe spotkanie z flotą Wielkiego Króla. Może stratedzy przygotowują dla Hyperejdesa inne zadanie. Nigdy nie wiadomo.

- A co z tobą? Nie tylko z tobą, z tą dziewczynką, z tą kobietą, z tym mężczyzną, z czarnym człowiekiem?

- Zostawią nas wszystkich w mieście. Ci ze świetnego miasta, zostaną sprzedani jako niewolnicy, i na to - jak sądzę - możemy liczyć. Jeśli pozostawią mi moją posiadłość, wykupię was, a jeśli nie, to nie. Latro i czarny człowiek mogą być też sprzedani - jeśli będą, wykupię ich i uwolnię, by Latro mógł być posłuszny wyroczni Lśniącego Boga. Jeśli zostaną zatrzymani jako jeńcy, zobaczę, co da się zrobić.

- Nie chcę być wyzwoloną niewolnicą - powiedziała Hilaejra. - Jestem wolno urodzoną obywatelką.

- Zdobytego miasta - powiedział jej szorstko Pindar.

- Łucznicy zejną na brzeg w Sznurze?

- Z pewnością. Myślę, że tam wam zapłacą, przynajmniej, jeśli o to poprosicie. Potem możesz wracać do domu, jeśli chcesz.

- Być może Ojor zejdzie z tego okrętu i pójdzie na jakiś inny.

Spytałem go, czy nie zna innego sposobu zarabiania na życie niż wynajmowanie się do walki.

- Ty również - odpowiedział. - Tak mówi ten człowiek.

- Wiem - odpowiedziałem. - Myślałem, że dowiem się czegoś o sobie, dlatego cię pytałem. Masz żonę, dzieci, a czy masz też dom i gospodarstwo?

Pokręcił przecząco głową.

- Synowie Skolota nie mają takich rzeczy - powiedział. - My żyjemy na wozach, tam gdzie trawa. Ojor ma wiele, wiele koni i wiele bydła także. Tu, na południu, macie świnie i owce. My ich nie znamy, tylko te wasze. Za wolno chodzą. Nie wyżyłyby w moim kraju.

- Czy razi cię słońce. Ojorze?

- Tak, tak. Odbite od wody. - Patrzył w pomost. - Łucznik to jego oczy. Pójdę już.

Po jego odejściu Pindar zauważył:

- To raczej dziwne, nieprawdaz?

- Wrażliwe oczy u łucznika? Chyba tak - zgodziłem się. Io mruknęła:

- Są wrażliwe tylko wtedy, kiedy patrzą na ciebie, panie.

Hyperejdes wrócił, jak obiecał, kiedy kończyło się rozsadzanie rodzin żeglarzy. Przeprowadził z tuzin powabnych kobiet w strojnych sukniach - żółtych, różowych i szkarłatnych, noszących wiele srebrnych, a także złote ozdoby. Kilka z nich niosło flety lub bębny, ale ich liczne sakwy i skrzynki nieśli tragarze, którym zapłacił dowódca.

Była wśród nich pulchna kobieta, nieco młodsza od Hyperejdesa, rudowłosa. Przyszła z nim na rufę, gdy odbiliśmy od nabrzeża, zanurzeni tak głęboko, że natłuszczone skórzane mankiety wiosel dolnego rzędu prawie nurzały się w wodzie.

- Proszę, proszę! - powiedziała, spoglądając na mnie. - Oto obiecujący chłopak! Gdzie go znalazłeś?

- Przy tej samej sposobności, co wszystkich, w Wieżowym Wzgórzu, po tym jak odpłynęliśmy z Delfinów, jak ci to mówiłem. To powiernik doskonały - w ciągu nocy o wszystkim zapomina.

- Naprawdę? - Nie uwierzyłbym, że w tych surowych oczach może pojawić się wyraz smutku, ale przez chwilę tak było.

- Daję słowo. Zapoznam cię z nim, ale jutro nie będzie wiedział, jak masz na imię, jeśli tego nie zapisze. Czy nie tak, Latro?

Chcąc zrobić jej przyjemność, a jego zbić z tropu, powiedziałem:

- Jak mógłbym o tym zapomnieć? Nikt nie mógłby zapomnieć takiej kobiety. Kto raz ją widział, ma ją zawsze przed oczami duszy.

Pokazała dołeczki na policzkach i ujęła moją dłoń w swoje drobne i wilgotne ręce.

- Nazywam się Kalleos, Latro. Jesteś wspaniale zbudowany, czy wiesz?

- Nie - odrzekłem. - Ale dziękuję.

- Jesteś. Mógłbyś pozować rzeźbiarzowi i chyba będziesz. Gdybyś na dodatek miał jeszcze pieniądze, byłbyś prawie doskonały. Nie masz ich, prawda?

- Mam to. - Pokazałem jej moją monetę.

Roześmiała się.

- Plujka! Skąd ją nasz? - zapytała.

- Nie wiem.

- Czy to nie żart, Hyperejdesie? Czy on naprawdę zapomni o mnie?

- Chyba że zapisze to w tej książce, którą nosi z sobą, i będzie pamiętał o przeczytaniu.

- Zdumiewające! - Wciąż uśmiechając się do mnie, powiedziała: - To nie są prawdziwe pieniądze, Latro, to tylko drobne. Pieniądze to darejk albo mina. Hyperejdesie, czybyś mi go nie oddał?

Pokręcił głową zasmucony.

- Ta wojna zrujnowała handel skórami. Dawniej, co innego. Teraz jednak... - Wzruszył ramionami.

- Myślisz, że z nami jest inaczej? Siedzimy tu na wyspie Pokoju z gromadą uchodźców. Latro, wyglądasz na silnego. Walczysz na pięści albo w zapasach?

- Nie wiem.

Odezwał się Pindar:

- Widziałem go z mieczem - nie miał włóczni ani tarczy. Gdybym był strategiem, oddałbym za niego dziesięciu tarczowników.

Kalleos spojrzała na niego.

- Czy ja cię znam, świnió? - zapytała.

Skinął głową.

- Kilku przyjaciół podejmowało mnie ucztą w twoim domu, tuż przed nadejściem barbarzyńców - odparł.

- To prawda! - Kalleos strzeliła palcem. - Ty jesteś tym poetą. Chciałeś, żeby Rode pomogła ci ułożyć pieśń miłosną. Skończyło się to cokolwiek, hm...

- Jak w Pafos - odpowiedział Pindar.

- Właśnie! Żółtodziób!... Jak masz na imię?

- Pindar, pani.

- Pindarze, wybacz, że nazwałam cię świnią. To ta wojna, rozumiesz - wszyscy tak mówią. Hyperejdes zabierze cię z sobą dziś wieczorem, jeśli zna się na tym, co dobre. Nie wiem, czy mój dom jeszcze stoi, ale przygotujemy go dla was, stoi czy nie. Mniejsza o pieniądze. Jeśli ci ich trzeba, pożyczę ci parę drachm, póki nie wrócisz do domu.

Nie przypuszczałem, że Pindarowi może zabraknąć słów, ale tak właśnie było. W końcu Hilaejra zabrała głos:

- Dziękuję ci. To z twojej strony ogromna uprzejmość, o pani.

- Chwileczkę! - Pindar podskoczył, machając rękami. - Mam! Miasto ocalało! - Odwrócił się z rozprostowanymi ramionami do Hilaejry i Io. - Nasza wolność! Moja posiadłość! Będziemy je mieli!

- To prawda, Hyperejdesie - powiedziała Kalleos. - To zasługa Powroźników. Nasi chcieli spalić Wzgórze i zagarnąć Krainę Krów, ale Powroźnicy nie zgodzili się na to. Chcą, żebyśmy zawsze mieli nieprzyjaciół na północy.

ROZDZIAŁ XIII

O miasto, uwieńczone fiołkami!

- O lśniący blaskiem podpora Hellady! - wykrzyknął Pindar. - Zrujnowali cię!

Rzadki siny dym unosił się nad tym, co było przedtem miastem Nieśmiertelnej Myśli, choć leżało daleko od morza - Sznur miał więcej szczęścia, leżąc na skraju wody - przejrzyste powietrze i jaskrawe słońce lata wyjawiały bezlitośnie, jak niewiele ocalało.

- O, uwieńczone fiołkami! - Pindar odwrócił się.

- Jak możesz wyśpiewywać jego pochwały? - spytała Hilaejra. - To właśnie chcieli zrobić jego mieszkańcy z naszym.

- Ponieważ my wybraliśmy poddanie się - odpowiedział Pindar - i przegraliśmy, chociaż walczyliśmy po stronie wielkiego Króla. Oni wybrali opór i zwyciężyli, chociaż mieli nas za przeciwników. Myliliśmy się, oni zaś mieli słuszność. Ich miasto zostało zniszczone; nasze na to zasłużyło.

- Nie możesz tak myśleć.

- Mogę. Kocham nasze świetne miasto, tak jak się kocha własny dom i jestem szczęśliwy, że przetrwało. Tu jednak studiowałem u Agatoklesa i Apollodora i nie uważam, że bogowie okazali sprawiedliwość.

Czarny człowiek wskazywał siebie i mnie, oznajmiając, że pomagaliśmy w tym dziele zniszczenia. Skinąłem głową na znak, że rozumiem, mając nadzieję, że nikt poza mną nie zwrócił na niego uwagi.

Na rufę wszedł, zacierając ręce, Hyperejdes. Gdy tylko wyszliśmy z zatoki, wiatr zmienił kierunek na północny, miał więc pewność, że cieszy się opieką bogów.

- Co to za okręt? - zawołał. - Załadowany po okrężnice, a jeszcze wciąż wyprzedza inne. Tam przelatuje Długie Wybrzeże, mój chłopcze, kraj rodzinny okrętu i nasz. Gdybym wiedział, że okręt tak dobrze się spisze, wystawiłbym trzy trójrzędownce, a nie jeden i te trzydziestowiosłowce. Cóż, tym gorzej dla ich dowódców. To ich nauczy, że ich stary szef wciąż jest szefem.

Io pisnęła:

- „Klytia” wysunęła wiosła, panie. Teraz „Ejdyja” je wysuwa.

- Myślą, że tym sposobem pobiją nas, kochanie, ale nie zakładaj się o to. Na chytrą odpowiedź odpowiemy chytrą.

Po chwili nasza załoga ciężko pracowała. „Ja kocham go, on kocha mnie, a teraz trzeba zginać grzbieć”. Dobrze zginali grzbiety, byliśmy przy szopach na łodzie, o długość okrętu przed „Ejdyja” i o trzy - przed „Klytią”.

Żeglarze składali maszty, a ja poszedłem dotrzymać towarzystwa Kalleos. Pilnowała swoich dziewcząt, które żartowały z żołnierzami Aketesa, to znów kpiły sobie z nich, na przemian.

- Czy to nie piękny żagiel? - spytała. - Nie cierpię, jak go zwijają, powiadam ci.

- Ani w połowie tak piękny jak oryginał, o pani.

Jej błękitne oczy zabłyśły.

- Latro, będziemy przyjaciółmi, ty i ja - powiedziała.

- Mam zatem iść z tobą, pani?

- Właśnie tak. Hyperejdes nie podpisał jeszcze aktu sprzedaży, ale przybiliśmy ugodę i przygotuje wszystko na dziś wieczór. Widzisz, Latro, potrzebuję kogoś, kto potrafi utrzymać porządek. Lepiej, żeby nie musiał walczyć, musi jednak umieć to robić. Zatrudniałam przedtem pewnego wyzwolénca. Miał na imię Gello. Musiał pójść do wojska i słyszałam, że go dostali w tych zimowych potyczkach. Bądź uprzejmy, rób swoje, nie naprzykrzaj się dziewczętom, dopóki tego nie chcą, a nie zaznasz bicia. A jeżeli mnie rozgniewasz... cóż, w kopalniach srebra potrzebują silnych chłopów.

- Zapiszę to, co mówiłaś - powiedziałem. - Żeby nie zapomnieć. - Mówiąc to, myślałem jednak, że nie jestem niczym niewolnikiem, cokolwiek by o tym mówili.

Gdy tylko położono maszty, wślizgnęliśmy się pod dach przystani. Żeglarze i ich rodziny pchali się na brzeg. Chciałem iść z nimi, ale Kalleos powstrzymała mnie.

- Zaczekaj, aż odejdą. Nie znasz mnie, jeśli myślisz, że zamierzam iść z nimi do miasta. Kiedy się da, biorę lektykę. Poza tym nie zamierzam się śpieszyć i nie życzę sobie, żeby ich dzieciaki pętały się przy mnie.

- Powiedz mi, ile masz zamiar obiecać niosącym lektykę, a wynajmę ją i przyprowadzę pod okręt - powiedziałem.

Spojrzała na mnie.

- Może okażesz się cenniejszym nabytkiem, niż myślałam. Mam jednak jeszcze lepszy pomysł. Na lewo od tej przystani wejdiesz w najwęższą uliczkę. W trzeciej bramie po lewej ktoś wynajmował lektyki. Pewnie wciąż je posiada, jeśli nawet większość nosicieli służy we flocie. Powiesz mu, że przysyła cię Kalleos i że zapłacisz mu plujkę za krzesło bez ludzi, i że je odniesiesz rano. Jeśli się nie zgodzi, rzuć mu plujkę i bierz krzesło. Masz tu plujkę, a tu

drachmę, gdyby zażądał zastawu. Kiedy wrócisz, wynajmiemy jakiegoś żeglarza, żeby niósł drugi koniec.

- Pani, znam chyba kogoś, komu nie trzeba płacić, jedzenie wystarczy.

- Coraz lepiej! Do dzieła więc!

Przywołałem czarnego człowieka i we dwóch bez trudu nakłoniliśmy właściciela, by nam wynajął lekką lektykę z długimi drążkami i malowanym baldachimem.

- Na tej wyspie straciłam trochę na wadze - rzekła Kalleos, sadowiąc się w lektyce. - Widzę to po sukniach, macie szczęście.

W czasie mojej nieobecności, wynajęła z tuzin żeglarzy do niesienia toreb i kufrów, była to więc prawdziwa procesja. Za lektyką szły jaskrawo poubierane kobiety, a za nimi żeglarze z bagażami. Kobiety były w radosnych nastrojach, szczęśliwe, że wracają do miasta, choćby nawet zniszczonego. Kiedy doszliśmy do kamieni granicznych, Kalleos kazała im zagrać na fletach i bębenkach, a wysoka urodziwa Fye potrąciła struny liry i zaśpiewała.

- Ma piękny głos, nieprawdaż? - zauważyła Kalleos.

Zgodziłem się z nią. Czarny człowiek szedł przed lektyką, ja za nią.

- Mogłabym dostawać za nią dwie drachmy za noc - zrzędziła Kalleos - ale ona nie chce. To zakuty łeb. Zeszłego roku sprowadziłam jednego z najlepszych sofistów w mieście, żeby ją uczył. Po trzech dniach chciałam usłyszeć, czego się dowiedziała, a usłyszałam od niej tylko: „A jaki z tego pożytek?” - Kalleos pokręciła głową.

- A jaki jest z tego pożytek, pani?

- Ależ dwie drachmy za noc, głuptasie! Żaden mężczyzna nie zapłaci aż tyle, jeśli nie zaspokoi swojej próżności - nieważne, jak ładna jest dziewczyna albo jak usługna. On nie chce rozprawiać z nią o Solonie albo o tym, czy świat zbudowany jest z ognia czy wody, ale musi mieć pewność, że ona to potrafi, gdyby mu przyszła ochota. Solon! - Kalleos parsknęła śmiechem. - Kiedy byłam młodsza, znałam pewną staruszkę, która miała z nim do czynienia. Czy wiesz, czego sobie życzył? Dziewczyny, która byłaby w stanie pić tyle, co on. Tak mówiła moja znajoma. Znaleziono mu w końcu taką, wielką, jasnowłosą dziewczynę z ludu Getów, która kosztowała majątek. Piła z nim całą noc, spała z nim i dziękowała mu na migi - nie wychodząc z łóżka - kiedy jej zapłacił, dał napiwek i poszedł do domu. Potem właścicielka i odźwierny - to twoja rola, Latro - kazali jej wstawać z łóżka, a ona upadła na twarz i złamała sobie nos.

Przyglądałem się dymom nad miastem. Spytałem, jak to możliwe, żeby wciąż płonęło, skoro zostało zniszczone - jak zrozumiałem - zeszłej jesieni.

- Ach, to nie są pożary wzniecone przez barbarzyńców - powiedziała Kalleos. - To mieszkańcy palą jakieś szczątki, żeby się ich pozbyć i rozpoczęto już odbudowę, skąd ten pył. Niektórzy wrócili natychmiast po odejściu wojsk Wielkiego Króla, inni - kiedy poprawiła się pogoda, a teraz, po zwycięstwie pod Gliną, wszyscy pozostali. Najbogatsi wracają już także z Argolidy, a to znaczy, że klienci będą tu, nie na tej wyspie. Wracamy więc i my, grając i śpiewając. Niech wiedzą, że wracamy.

- Tam, na świętej skale - wskazała - będzie się budować nową świątynię bogini, kiedy skończy się wojna i zgromadzi się pieniądze.

- To wspaniałe miejsce - powiedziałem

- Zawsze takie było. Biję tam słone źródło, które w Złotym Wieku otworzył sam Ziemiotrząsa, gdy usiłował zawładnąć miastem. Rosła tam też, aż do zeszłego roku, najstarsza na świecie oliwka - pierwsze drzewo oliwne, zasadzone własną ręką bogini. Barbarzyńcy ścięli ją i spalili, ale z korzeni wyrósł już - jak słyszałam - nowy pęd.

Powiedziałem, że chciałbym to zobaczyć i że dziwię się, iż mieszkańcy nie walczyli do ostatka w obronie takich świętości.

- Wielu walczyło, choćby strażnicy skarbu świątyni, bo nie zdołali wywieźć wszystkiego, a także wielu biedaków, którzy nie zabrali się na ostatnich statkach. Przed nadejściem armii Wielkiego Króla nasze Zgromadzenie posłało do Pępka z pytaniem, co robić. Bóg zawsze udziela właściwych odpowiedzi, tak jednak ujmuje je w słowa, że lepiej by było, gdyby tego nie robił. Tym razem odpowiedział, że mamy się chronić za drewnianymi ścianami. Rozumiesz to?

Obejrzała się na mnie, a ja pokręciłem głową.

- Cóż, my też nie rozumieliśmy. Większość mieszkańców uważała, że chodzi o statki, na szczycie wzgórza była też jednak stara palisada i niektórzy sądzili, że to o niej mowa. Wzmocnili ją, ale barbarzyńcy spalili ją, używając ognistych strzał i pozabijali obrońców.

Potem straciła ochotę na rozmowę, przestałem więc na słuchaniu muzyki i przyglądaniu się zniszczeniom, które - tak mi się wydało - nie były zbyt duże.

Kalleos kazała czarnemu człowiekowi skręcić w boczną ulicę. Tam przystanęliśmy przed domem, którego dwie ściany jeszcze stały. Wyszła z lektyki. Z dumnie podniesioną głową weszła w wyłamane drzwi. Nie patrzyła na boki, ale dostrzegłem łzę, płynącą po policzku.

Kobiety przestały grać i śpiewać i rozbiegły się w poszukiwaniu pozostawionych rzeczy. Nie przypuszczam, żeby wiele znalazły. Żeglarze położyli swe ciężary i zażądali

zapłaty, po obolu. Czarny człowiek i ja wyjaśnialiśmy im, że nie mamy nic, i weszliśmy także do środka, szukając Kalleos.

Znaleźliśmy ją na dziedzińcu. Kopiąc nogą jakieś śmieci, powiedziała:

- Jesteście wreszcie. Do roboty! Wieczorem będziemy mieć gości i wszystko ma tu być wysprzątane, co do ździebełka.

- Nie zapłaciłaś tym żeglarzom, pani - powiedziałem.

- Bo mam jeszcze dla nich robotę, głuptasie. Przyślij ich tu. Nie, zaczynaj pracę, sama do nich pójde.

Zrobiliśmy, co się dało, zachowując rzeczy, które można było naprawić albo które nadawały się do użycia, i paląc resztę, jak to robiły tysiące innych w całym mieście. Żeglarze pracowali również, naprawiając drzwi i odbudowując mury, cegła po cegle. Kalleos spytała, ile zostało amfor. Powiedziałem, że tylko trzy.

- O wiele za mało. Latro, do końca dnia wystarczy ci pamięci - czy nie tak mówił Hyperejdes?

Nie wiedziałem tego, ale czarny człowiek skinął potwierdzająco głową.

- Świetnie. Chcę, żebyś poszedł na rynek. Większość sprzedawców ma tam stragany albo rozkłada się na placu. Nie zważaj na nich. Znajdź garncarza, który sprzedaje z wózka. Zrozumiałeś?

- Tak, pani.

- Znajdź też sprzedawcę kwiatów, także z wózkiem. Każ im iść z sobą. Przyprawdź ich tu, a ja kupię cały ich towar. Nie ma jak kwiaty, kiedy brakuje mebli. Twój przyjaciel ma tu zostać i pracować, rozumiano? Ty także nie marudź po drodze. Mamy wiele do zrobienia przed wieczorem.

Zrobiłem wszystko, co mi kazała Kalleos. W drodze powrotnej zostałem jednak zatrzymany przez jakiegoś mężczyznę o niezwyklej i niezbyt ujmującej powierzchowności. Jego wąskie ramiona okrywała chlamida barwy liliowo-niebieskiej, w ręku trzymał wysoką, krzywą laskę, zakończoną rzeźbą jakiejś kobiety, a jego wypukłe, ciemne oczy zdawały się wyskakiwać z głowy.

Trzymając laskę z boku, pokłonił się na wschodni sposób, bardzo nisko. Zdawało mi się, że jest w nim jakieś szyderstwo - ta szydercza nuta była jednak - za sprawą jego oczu, wzroku, szczupłej budowy i rozwichrzonych włosów - we wszystkim, co mówił i robił.

- Byłbym ogromnie wdzięczny, zacny panie, za drobną informację - powiedział. - Czy mógłbym spytać, komuż to potrzeba aż tylu amfor i kwiatów? Wiem, że to nie moja sprawa, z pewnością jednak żadna szkoda nie wyniknie, jeśli się dowiem. Któż wie? Może wkrótce

będę mógł, panie, odpłacić ci się grzecznością. To w końcu mysz przegryza sieć krępującą lwa, jak nas tego uczy od dawna pewien mądry niewolnik ze wschodu.

- Wszystko to dla Kalleos, mojej pani - odparłem.

Wyszczerył zęby tak szeroko, że wydawało się, iż ma ich ze sto.

- Kalleos, kochana stara Kalleos! Znam ją doskonale. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

Nie byłem powiadomiony, że wróciła do tego sławnego miasta.

- Przybyła zaledwie dziś - powiedziałem.

- Cudownie! Czy mogę ci towarzyszyć? - Rozglądał się, jakby porównywał zniszczenia z miastem, które kiedyś znał. - Przecież jej dom jest tylko o kilka domów dalej, jak mi się zdaje? Powiedz jej, przyjacielu, że pewien dawny wielbiciel, który chciałby złożyć jej uszanowanie, pyta, czy znajdzie dla niego chwilę czasu. Jestem Eurykles, nekromanta.

ROZDZIAŁ XIV

Cóż za niezwykła ucztą!

- Czy kto widział kiedy coś takiego? - mówił Pindar. Powiódł ręką po kwietnikach i zburzonych murach poza nimi, w połowie tylko odbudowanych. - Teraz jest to naprawdę miasto Pani Myśli, Latro. Ludzie znów tu wrócili, wciąż jednak sowy gnieźdzą się w ruinach. Cóż za wiersz ułożę o tym wszystkim!

Stojący za nim Hyperejdes odezwał się:

- Kiedy go będziesz pisał, nie zapomnij napisać, że tu byłem, wino piłem i ścisnąłem moją dziewczuchę, jak za dawnych czasów.

- Nie jesteś odpowiednim tematem dla wielkiej poezji - powiedział Pindar - chociaż... dobrze, zrobię to. Za tysiąc lat będą wspominać twoje imię obok imienia Achillesa.

Policzyłem ich, kiedy wchodzili razem. Było ich sześciu: Pindar, Hyperejdes, kybernetes, Aketes i dwaj inni, których nie znałem - dowódcy „Ejdyi” i „Klytii”. Aketes podał mi jakiś pakunek, który przyniósł.

- Trzymaj, Latro - powiedział. - Hyperejdes mówił, że to twoje.

Odwinąłem żaglowe płótno i ujrzałem okrągły napierśnik z brązu i taką samą płytę na plecy, a także krzywy miecz i pas. Dziwnie się poczułem, dotykając chłodnego metalu miecza i pasa, bo oto ja, który niczego nie pamiętam, pamiętałem o nich, chociaż nie umiałbym powiedzieć ani gdzie je nosiłem, ani kiedy je utraciłem. Przypiąłem pas. Wiedziałem, że jest mój, ale nie wiedziałem niczego poza tym.

Kiedy zaniósłem płyty do pokoju, który mi przydzieliła Kalleos, wróciłem na dziedziniec. Kalleos witała gości, układając ich wygodnie na biesiadnych łóżach, kupionych tego popołudnia.

- Hyperejdesie - powiedziała, mieszając mu wino własną ręką - mam dla ciebie pewną propozycję.

Uśmiechnął się.

- Każdy wie, że Hyperejdes chętnie wita propozycje - powiedział.

- Mówiłam ci, że dziś wieczór nie będzie tu nikogo, oprócz ciebie i twoich gości. Jak widzisz, dotrzymałam słowa.

- I już zdążyłaś mnie oszukać - powiedział Hyperejdes.

- Bo na niebie są gwiazdy. Mniejsza z tym jednak. Nie będę prosił o zwrot mojego niewolnika. Tylko o tego czarnego, którego zabrałaś bez pytania.

- Oczywiście - zgodziła się Kalleos. - Kiedy go sobie pożyczałam, myślałam, że to wolny żeglarz. Może wracać rano z tobą. Ale, ale, Hyperejdesie... Pewien mój przyjaciel wpadł dziś do mnie, gdy usłyszał o moim powrocie do miasta. Nie spotkasz weselszego kompana, zapewniam cię, zna mnóstwo anegdot i opowieści. Jeśli nie chcesz go mieć na swoim przyjęciu, powiedz tylko, a nawet go nie ujrzysz. Jeśli nie masz nic przeciw temu, będę ci na zawsze wdzięczna. Żaden z was, oczywiście, nie ponosi kosztów. On nazywa się Eurykles z Miletu.

W tej chwili jedna z kobiet przyszła, by mi powiedzieć, że dostarczono potrawy. Poszedłem do tylnego wejścia, by pomóc kupcowi i czarnemu człowiekowi w wyładunku.

Kiedy skończyliśmy, nadeszła Kalleos.

- Świetnie, doskonale! - zawołała. - Wszyscy są głodni. Czy znasz się na podawaniu potraw, Latro?

- Nie pamiętam - odpowiedziałem.

- Myślę, że nie. - Przyglądała się tacom, które przygotowywałem. - Ale dobrze się spisujesz, jak dotąd. Dziewczeta będą je nosić, zrozumiałeś? Ty nie przychodź, chyba że będą kłopoty. Nie spodziewam się dziś wieczór żadnych, ale nigdy nie wiadomo. Staraj się nie zasnąć i nie pij, a wszystko będzie dobrze. Czasami dziewczyna piszczy, a czasami wrzeszczy. Wiesz, co mam na myśli?

- Tak sędzę.

- Nie przychodź więc, dopóki któraś nie zacznie wrzeszczeć. Rozumiesz? Kiedy wszystkie zaczną wrzeszczeć, przychodź szybko. Nie wyciągaj tego swojego miecza, chyba że będziesz musiał, nie używaj go w żadnym wypadku. Skąd go masz?

- Od Szybkiego Boga - odpowiedziałem i dopiero powiedziawszy to, zrozumiałem, że nie wiem, co miałem na myśli.

- Biedny chłopcze! - Kalleos pocałowała mnie w policzek. - Fye, kochanie, przyślij tu kilka tych leniwych dziewczuch, niech zabiorą te tace. Nastrój swoją lirę, jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś, i każ flecistkom przygotować piszczałki. Nie zaczynajcie, dopóki tace nie zostaną wniesione.

- Wiem, wiem - odpowiedziała Fye.

Zwracając się do mnie z powrotem, Kalleos pokręciła głową:

- „Wino, kobiety i muzyka - czego więcej trzeba mężczyźnie?” Takie pytanie postawił mi ten poeta, twój przyjaciel. Czy wiesz, że już chciałam mu odpowiedzieć. Po pierwsze,

mięsa - cielęciny i baraniny, a to kosztuje... Nie powiedziałabym ile, to byłoby niegrzeczne, ale dużo. Nie wspomnę już o kilku ładnych rybach, o trzech rodzajach sera, o chlebie, figach, winogronach i miodzie. Połowę z tego będziesz jutro zmiatał z posadzki. Nie przyszedłeś tu w gości, Latro, pozwól, że ci przypomnę. - Usiadła, przyglądając mi się. - Czy wiesz, że sama byłam niewolnicą? Z północy.

- Zastanawiałem się nad tym - odpowiedziałem. - Bardzo niewielu ludzi ma tu rude włosy albo niebieskie oczy.

- Pochodzę z ludu Budynów. Zapomniałam nawet ich mowy. Ktoś mnie wykradł od nich, kiedy byłam małą dziewczynką. - Umilkła ponownie. - Czy chcesz być wolny, Latro?

- Jestem wolny - odrzekłem. - Ja tylko niczego nie pamiętam.

Westchnęła.

- Cóż, dopóki to się nie zmieni - powiedziała - będziesz potrzebował kogoś, kto pamięta i kto ci powie, co masz robić. Mogę to być ja.

Gdy potrawy były już gotowe, poszedłem posłuchać fletów przy wejściu na dziedziniec, ale po paru chwilach wyszedł Pindar i zaciągnął mnie z powrotem do kuchni.

- Hyperejdes sprzedał cię Kalleos - powiedział.

- Tak. Już dla niej pracuję.

- Chyba rozumiesz, że stawia to mnie w trudnym położeniu. Powiedziałem mu, że dopóki nie odnajdę swojego domu i przyjaciół, będę tak samo szczęśliwy tu, jak wszędzie indziej.

- Twoje szczęście - pozwól, że będę szczery - nie jest moją największą troską. Jest nią za to obietnica, którą złożyłem w świątyni Lśniącego Boga. Obiecałem zaprowadzić cię do świątyni Wielkiej Matki. Aż do tej chwili robiłem, co tylko było można, i muszę przyznać, że Lśniący Bóg hojnie mnie wynagrodził; słyszałem boga grającego na flecie, słyszałem też twój śpiew. Taki przywilej dany jest nielicznym. Ponad wszelkie uwierzenie wzbogaciło to moją poezję. Gdybym jednak wrócił do swego miasta, nie dopełniwszy ślubu...

- Co wtedy?

- On mógłby odebrać mi, co dał - oto, czego się lękam. A jeśli nawet nie zrobi tego, ktoś powinien spytać o nasze odwiedziny w świątyni. Co mam wtedy powiedzieć? Że pozostawiłem cię tu jako niewolnika, by zebrać pieniądze na wykupienie cię z niewoli? Co sobie o mnie pomyśla? Musimy coś zrobić.

- Spróbuję - powiedziałem.

Poklepał mnie po plecach.

- Wiem. Ja też spróbuję - dodał. - Jeśli zdołam doprowadzić cię do tej świątyni, zostaniesz zapewne uzdrowiony. Wtedy zatroszczymy się wspólnie o twoje szczęście. Prawdopodobnie będziesz chciał wrócić do swego kraju. Załatwię ci przejazd na jakimś statku handlowym. Wojna dobiega końca. Wkrótce kupcy znów zaczną żeglować.

- Wrócić do domu i spotkać ludzi, o których nie zapomniałem, tak, tego bym pragnął.

Zobaczyłem ponad ramieniem Pindara, że tylne drzwi uchylają się cicho. Po chwili zajrzał do wnętrza czarny człowiek. Kiedy nas zobaczył, podniósł palec do ust, a potem przywołał mnie gestem, bym mu pomógł zamknąć drzwi.

- Lepiej wracaj - poradziłem Pindarowi - zanim spostrzegą, że cię nie ma. Będę pamiętał.

- Nie przejmuj się - odpowiedział. - Pomyślą, że poszedłem sobie ulżyć.

- Pindarze, czy twój Lśniący Bóg jest wielkim bogiem? - zapytałem.

- Jednym z największych. Jest bogiem muzyki i poezji, światła, nagłej śmierci, trzód i stad, uzdrawiania i wielu innych rzeczy.

- Jeśli więc życzy on sobie, abym odwiedził tę świątynię, z pewnością ją odwiedzę. Powinieneś powierzyć mu prowadzenie nas.

Pindar pokręcił z podziwem głową.

- Czyżby to zanik pamięci uczynił cię tak mądrym, Latro? - zapytał.

Rozmawialiśmy jeszcze przez parę chwil. On opowiedział mi o naprawach, jakim poddano okręty Hyperejdesa, a ja jemu o tym, co robiliśmy dla Kalleos - czarny człowiek i ja.

- Dokonałście cudów - powiedział Pindar. - Czuję się prawie tak, jakbym był na uczcie w swoim własnym mieście. Czy myślisz, że poproszą mnie o wiersze?

- Przypuszczam, że tak.

- To właśnie cały kłopot, kiedy jest się poetą. Wszyscy twoi przyjaciele mają cię za deklamatora. Co gorsza, nie mam niczego odpowiedniego pod ręką. Spróbuję się wykręcić - zaproponuję śpiewy albo gry.

- Jestem pewien, że coś wymyślisz.

Odwracając się, mruknął:

- Już ze sto razy myślałem, jakby tu zabrać cię do tej świątyni.

Gdy tylko odszedł, poszedłem do tylnych drzwi. Czarny człowiek wyszczerzył do mnie zęby w panujących na zewnątrz ciemnościach i podniósł jakąś śpiącą dziewczynkę. - Io.

Przytaknąłem, pamiętając że widziałem ją rano, jeszcze na okręcie Hyperejdesa.

Wszedł do kuchni, gdzie było więcej światła i trzymając ją zgiętym ramieniem jak w kołysce, przebierał w powietrzu palcami drugiej ręki, jakby szedł.

- Przeszła całą tę drogę? Nic dziwnego, że jest zmęczona. Szła chyba za Pindarem i innymi, trzymając się z daleka, by jej nie zauważyli.

Czarny człowiek namawiał mnie na migi, by ją zanieść do jednej z tych pozbawionych dachu sypialni. Tam położył ją na jakichś porzrzucanych sukniach i przyłożył palec do ust.

- O, nie! - powiedziałem. - Jeśli się zbudzi, przestraszy się, nie wiedząc, gdzie jest. - Nie wiem, skąd to wiedziałem. Tak było z wieloma sprawami. Potrząsnąłem nią łagodnie, mówiąc: - Io, jak mogłaś chodzić sama tak daleko!

Otworzyła oczy.

- Ach, panie! - wyszeptała.

- Powinnaś była zostać z tą kobietą - powiedziałem.

- Nie należę do niej, należę do ciebie.

- Mogło ci się po drodze przytrafić coś złego. Rano będziemy musieli odesłać cię na okręt.

- Należę do ciebie. Lśniący Bóg kazał mi troszczyć się o ciebie.

- Lśniący Bóg nakazał to Pindarowi, a przynajmniej on tak mówi.

Zaprzeczyła ruchem głowy i na pół sennie dodała:

- To wyrocznia posłała Pindara. Bóg posłał mnie. Widząc daremność tego sporu, powiedziałem:

- Io, masz zostać w tym pokoju i być cicho. Przykryłem cię, więc nie zmarzniesz. Jeśli Kalleos albo jej dziewczęta zauważą cię, mogą kazać ci odejść. Gdyby tak się stało, idź na tyły domu i czekaj na mnie.

Zanim skończyłem, już spała. Czarny człowiek położył przy niej drewnianą lalkę, a sam wyciągnął się przy lalce.

- Dobrze! - powiedziałem. - Lepiej, żeby miała obrońcę.

Skinął głową i zasnął, zanim opuściłem pokój.

Siedzę teraz na połamanym krześle przy wejściu na dziedziniec, skąd mogę słyszeć, jak Fye śpiewa. Mam tu lampę z dobrym knotem, o pięknym, jasnym płomieniu. Widzę gwiazdy i ubywający księżyc i zapisuję wszystko, co się zdarzyło, nie zasnę więc. Mógłbym zabić Kalleos, gdyby mnie biła, a tego nie chcę, sam mógłbym zginąć. Lepiej więc pisać, chociaż oczy łzawią i pieką.

Już późno, Fye przestała śpiewać. Pindar zaproponował grę w kottabos. Nie wiedziałem, jak się w to gra, stanąłem więc pod nadprożem, żeby popatrzeć. Pindar narysował koło na posadzce oraz linię w pewnej odległości od niego. Każdy stawał za tą linią i, wychyliwszy swój puchar, wytrząsał ostatnie krople do koła.

Gdy rozegrano kilka kolejek, Eurykles zaproponował, aby ten, kto przegra tym razem, opowiedział jakąś historię. Pindar poparł go. Przegrał Hyperejdes. Siedziałem, słuchając go i pisząc jednocześnie.

ROZDZIAŁ XV

O kobiecie, która wychodziła

Opowiadanie Fye jeszcze się nie zaczęło, kiedy obudził mnie wybuch śmiechu. Nie trafiła do koła, niewątpliwie celowo, albo też ktoś trącił ją w ramię przy rzucie, albo ją uszczypnął. Ile pamiętam z jej opowieści, tyle tu zapiszę:

„Była sobie raz kobieta, która, choć miała bardzo bogatego męża, nie dostawała wcale od niego pieniędzy. Mieli posiadłość wiejską i piękny dom w mieście, i wielu niewolników, i tak dalej, ale ona oprócz sukien, które wyniosła z domu swego ojca, nie żadnych innych, bo mąż nigdy nie kupił jej nawet grzebienia.

Któregoś dnia jej służąca zaskoczyła ją płaczącą w łóżku. Ta była babilonką, sprytną jak wszyscy mieszkańcy tego miasta.

- Pani moja! - powiedziała. - Nietrudno zgadnąć, czemu płaczesz. Wszystkie inne mają kochanków, którzy dostarczają im rozrywek, kupują im srebrne bransolety, osobliwości z Kraju Rzeki, mówiące ptaki, które mówią im, że są piękne, kiedy nie mogą tego mówić sami kochankowie. Ty zaś, biedactwo, masz tylko tego starego, brzydkiego i głupiego męża, skąpca, który nie daje ci niczego.

- Nie - zaprzeczyła pani. - Płacę dlatego, że on nie daje mi pieniędzy.

- O tym właśnie mówię - odparła służąca. - Dla nas kobiet, to w końcu wszystko jedno, pieniądze czy mężczyźni. Czy ci opowiadałam, jak dziewczęta w Babilonie składają pieniądze na posag?

- Nie - powtórzyła pani - ale opowiedz mi o tym, proszę, choćby to nie była najlepsza opowieść. Lepiej słuchać opowieści, niechby i marnej, niż leżąc w tym jałowym łóżu, oplakiwać swoje życie.

- Ależ to nie żaden wymysł - powiedziała służąca - tylko szczerą prawdą. Kiedy dziewczyna w moim mieście dorasta do małżeństwa, sprzedaje się każdemu mężczyźnie, według upodobania, a on jej płaci. Tym sposobem, te najładniejsze szybko dochodzą do dużych pieniędzy i zdobywają przystojnych mężów, a niedługo potem mają mnóstwo ślicznych dzieci. Z tego też powodu brzydkie dziewczyny nie mają niczego i dlatego też my, Babilończycy, jesteśmy najpiękniejszymi z ludzi - tu Fye przygładziła włosy, budząc śmiechy i oklaski - choć ty, pani moja, byłabyś piękną wszędzie, muszę przyznać.

- Jakież to ciekawe! - zawołała pani. - Nigdy o tym nie słyszałam. Nic mi jednak z tego. Jestem już zamężna, a drugi posag mi niepotrzebny.

- To prawda - przyznała służąca. - Przypuśćmy jednak, że wychodziłabyś wieczorami i proponowała napotkanym, przystojnym mężczyznom to samo, co nasze dziewczęta babilońskie. Miałabyś każdej nocy przystojnego kochanka i szybko zdobyłabyś mnóstwo pieniędzy.

- Bardzo pociągający pomysł - powiedziała pani - ale nie ma o czym mówić. Mój mąż co noc śpi przy mnie. Gdyby się zbudził i spostrzegł, że wyszłam... Ale skoro już o tym mówimy, byłoby chyba możliwe podanie mu jakiegoś łagodnego i nieszkodliwego leku, który zapewniłby mu zdrowy sen. Czy przypadkiem nie znasz kogoś, kto tym handluje?

Służąca pokręciła ze smutkiem głową.

- Pani moja - odparła - większość tych leków jest nieskuteczna, a nawet te najgorsze są kosztowne. Znam jednak magiczną sztuczkę, która warta jest tuzina leków. Powiedz mi tylko, czy znasz miejsce wiecznego spoczynku jakiejś kochliwej kobiety.

- Doprawdy? Magia? - pytała pani. - Jakież to fascynujące. Niedaleko stąd jest grób mojej kuzynki Fylis. Czy się nadaje?

- Nie wiem. Czy lubiła mężczyzn?

- Bardzo, a kiedy umarła, jeden z kozłów mego wuja nie chciał jeść przez cały miesiąc.

- Nadaje się - stwierdziła służąca. - Zrobimy tak: przy wieczerzy dodasz mężowi do jedzenia czegoś, po czym się rozchoruje...

- Nieczystości? - podsunęła pani.

Służąca zaprzeczyła:

- To zbyt oczywiste... Mam! On nawykł do zjełczalej oliwy, nie pozwala kupować innej. Daj mi tę szpilkę, a dostanę za nią na targu dzban najświeższej, najczystszej oliwy. Rozchoruje się po niej i będzie nocował w świątyni Boga Uzdrawień. Kiedy wyjdzie, wykopimy trochę ziemi z ogrodu i zaniemiemy ją na grób twojej kuzynki. Tam zwilżysz ziemię pewnym płynem, powiem ci jakim - nie zabraknie ci go - i ulepimy z gliny lalkę, dodając kosmyk twoich włosów. Pani klasnęła z zachwytem w dłonie.

- Ach, to znacznie lepsze niż płacz - zawołała z radością.

- Potem - ciągnęła służąca - położymy tę lalkę na grobie i zajmiemy się odmawianiem odpowiednich słów. Będę ci podpowiadać. Gdybyś potem chciała wyjść nocą, wystarczy, że położysz tę glinianą lalkę na swoim miejscu w łóżku. Jeśli twój mąż się zbudzi, zobaczy cię

przy sobie, a gdyby wziął cię w ramiona, spotka się z taką samą czułością, z jaką zawsze go przyjmowałaś.

- Cudownie! - wykrzyknęła pani.

Jeszcze tej samej nocy wykonali swój plan.

Następnej nocy pani zaczekała, aż jej mąż zaśnie, położyła lalkę w łóżku przy nim, a sama miała wiele radości i fascynujących przygód, stała się też znacznie bogatsza, niż była przedtem.

Przez jakiś czas wszystko szło jak najlepiej. Wychodziła prawie co noc, a i mąż się nie uskarżał, spostrzegła jednak, że gliniana lalka zaczyna tracić swój właściwy kształt. Kiedy wracała rano do domu, wystarczyło przyklepać trochę lalkę, by znów wyglądała tak jak wtedy, gdy ją lepiono, kiedy jednak wyjmowała ją znów wieczorem, glina była odkształcona w niepokojący sposób. W końcu powiedziała o tym służącej.

- Niestety, pani moja - rzekła służąca - tego się właśnie obawiałam. W Babilonie wypalamy takie lalki i wtedy nie ma z nimi kłopotu. Ty nie miałaś jednak pieniędzy, a ja nie znałam żadnego garncarza, który zechciałby to zrobić za darmo.

- O czym ty mówisz? - spytała pani. - Co się dzieje z lalką?

Służąca westchnęła.

- Jest w stanie, w którym nie chciałabyś się znaleźć, pani moja - odparła. - Gdyby pozostawić bieg spraw naturze, miałybyśmy wkrótce dwie gliniane lalki zamiast jednej.

- Ależ to okropne! Czy można coś z tym zrobić? Gdyby tak dać w łapę garncarzowi, może by ją wypalił?

- Mogłaby pęknąć - odpowiedziała służąca. - Najlepiej będzie ją pochować tam, skąd wzięłyśmy ziemię na nią. Ty będziesz musiała spać z mężem - przynajmniej przez jakiś czas - nie ma na to rady. Czy przypadkiem nie pamiętasz, co to było za miejsce?

- Ależ, tak - powiedziała pani. - To było pod tą jabłonką.

- Więc tam najlepiej będzie ją zakopać.

Tak też zrobiły, a pani zaczęła znów sypiać z mężem. Któregoś dnia wspólnik męża, człowiek równie skąpy jak on, spotkał go na rynku w ponurym nastroju.

- Co się stało? - zapytał. - Czyżby ktoś cię oszukał? - Nie zniósłby myśli, że męża oszukał ktoś inny, a nie on.

- Nie! - odpowiedział mąż. - Chodzi o moją żonę.

- Ach, tak - rzekł wspólnik. - Tyle się ostatnio słyszy o podobnych sprawach!

- Jeszcze niedawno była tak namiętna, jak tylko może sobie życzyć mężczyzna. A teraz...

- Mogę sobie wyobrazić. Nie, żebym tego doświadczył osobiście...

- Czuję się, jakbym obejmował glinianą lalkę - mówił nieszczęsny małżonek. - Wciąż myślę o tym, jak to kiedyś chodziłem na uczty i każdą noc spędzałem z piękną kobietą. Sądziłem wtedy, że kiedy się ożenię, lepiej na tym wyjdę - przedtem musiałem wydawać czasem uczty, a to kosztuje - a jednak lepiej było mi dawniej, teraz wiem to na pewno.

- Odeślij żonę do jej ojca i znów będzie tak, jak dawniej.

- Miałbym oddać posag? Chyba oszalałeś!

- Nauczę cię więc zaklęcia, które ci pomoże - obiecał współnik, nie wierzący w istocie w żadne zaklęcia. - W każdym razie mój dziadek zapewniał mnie o jego skuteczności. Musisz poszukać jakiegoś kwitnącego zdrowego drzewa.

- Ależ, moja jabłoń kwitnie właśnie od kilku dni - powiedział mąż. - Nie znajdziesz piękniejszego drzewa.

- O takie właśnie chodzi - rzekł współnik. - Musisz odciąć jej konar i schować pod łóżkiem. Kiedy zechcesz wyjść nocą i trochę się zabawić, wyjmij konar i połóż na swoim miejscu w łóżku, mówiąc przy tym:

Wyciąłem kij, dzielny i żwawy.

Bądź dzisiaj, kiju, prosty i krzepki

- Dopóki twoja żona nie zapali lampy, nie zauważy różnicy, wierz mi - zapewnił współnik i odszedł chichocząc, zastanawiając się jednak, czy zaklęcie dziadka podziała.

Mąż tymczasem popędził do domu. Widząc, że jabłoń wciąż kwitnie, niezwłocznie kazał ogrodnikowi ściąć najgrubszy konar.

- Jeśli to zrobię, drzewo zginie - powiedział ogrodnik, kręcąc głową.

- Mniejsza z tym - rzekł mąż. - Ten konar psuje symetrię. Tnij!

Tak się też stało. Mąż zaniósł konar do sypialni i położył pod łóżkiem.

Tej nocy żona spostrzegła, że włosy jej męża pachną kwiatem jabłoni.

- Oho, chce mi się przypodobać - powiedziała sobie. - Kto wie... powinnam go zachęcić.

Pocałowała go w policzek, to pociągnęło za sobą inne rzeczy i oto przez całą noc cieszyła się gorącymi uściskami, póki w końcu nie usnęła wyczerpana.

O świcie wrócił mąż, włożył konar pod łóżko, a sam położył się do łóżka, bardzo z siebie zadowolony.

Tak było przez kilka nocy, aż kiedyś wśród uścisków żona rzekła:

- Mój drogi, widzę, że choć przez całą noc jesteś bardzo silny i dzielny, rano jesteś zawsze wyczerpany. Odpocznij czasem trochę!

- Nie chcę, macoch! - odpowiedział konar, co tak zdziwiło żonę, że zapaliła lampę.

Możecie sobie wyobrazić jej zachwyty, gdy zobaczyła w łóżku nie starego pomarszczonego męża, jak się spodziewała, ale kwitnącego młodzieńca o różowych policzkach. Zaraz zdmuchnęła lampę i przez jakiś czas spotykali się co noc tak szczęśliwi, jak tylko dwoje ludzi może być.

Nie miało to długo trwać. Którejś nocy, kiedy chciała objąć kochanka, przekonała się z niesmakiem, że pieści swego męża. Potem zdarzało się to coraz częściej, bo mąż przekonał się, że nie ma już dwudziestu lat, boleśnie też odczuwał uszczerbek w majątku, związany z nocnymi przygodami.

Blisko miesiąc mąż spędzał każdą noc we własnym łóżku, nim wreszcie żona poczuła znów zapach kwiatu jabłoni. Całując swego kochanka, wykrzyknęła.

- Ach, gdyby on umarł! Miałabym jego pieniądze i spędzilibyśmy życie razem. Nie skąpiłbyś mi niczego, prawda, kochany?

- Przenigdy, macoch! - powiedział jej kochanek. - Każdej wiosny urządzałbym ci dom na nowo, a jesienią obsypywał owocami.

To brzmiało obiecująco. Żona wytłumaczyła już sobie, że kochanek nazywa ją pieszczotliwie *macochą*, bo w końcu wygląda on młodziej niż ona.

- Zrób to więc! Zrób to dzisiaj!

- Zrobię to, macoch!

I oto następnego rana ogrodnik znalazł tego człowieka i jego żonę martwych, wiszących na tym samym sznurze. Pętle zawiązano po obu końcach sznura, przerzuconego przez najgrubszy konar jabłoni.

Ogrodnik i służąca zostali oskarżeni o morderstwo i sądzeni na Areopagu, uznano jednak ten przypadek za podwójne samobójstwo, a męża i żonę pochowano pod jabłonią”.

Kiedy opowiadanie Fye dobiegło końca, rozległy się śmiechy i oklaski, a Hyperejdes powiedział:

- Muszę zapamiętać, żeby nie opowiadać tego załodze, wieczorem przy ognisku. Myślę, że co drugi z nich gotów jest wziąć każdą bzdurę za fakt oczywisty. Ot, choćby w ostatniej podróży mówiło się o wilkołaku na pokładzie.

Kybernetes pokiwał głową ze smutkiem.

- Wszystko to przez nasze związki ze Wschodem, dowódco - powiedział. - Byliśmy kiedyś rozsądni, wierzyliśmy w bogów z Góry i w żadnych innych. Dzisiaj mamy na Długim Wybrzeżu więcej bogów niż nad Rzeką w Kraju Rzeki, boga wina i podobne wymysły.

- Czy chcesz powiedzieć - rzekł ostro Pindar - że nie wierzysz w Boga-Drzewo? Zapewniam cię, panie, że się grubo mylisz!

Wkroczyła Kalleos.

- Szlachetni panowie! - zawołała. - W tym domu nie będzie kłótni na tematy religijne. Jeśli chcecie, dyskutujcie grzecznie. Żadnych bójek!

- Zapewniam - powiedział Pindar nieustępliwie - że mówię w oparciu o własne doświadczenie.

- Ja także - oświadczyła Kalleos. - Widywałam już starych przyjaciół podrywających sobie nawzajem gardła. Bogowie są silniejsi od nas. Niech walczą między sobą o pierwszeństwo.

- Mądre słowa - powiedział Eurykles. - Jeśli wolno skierować rozmowę na mniej drażliwy temat, moim zdaniem, Hyperejdesie, nie powinno się w całości odrzucać opowieści o czarach, w rodzaju tej, jaką zabawiała nas Fye. Śmiertelnicy mogą na przykład zaglądać w przyszłość - i nie mówię tu o zadawaniu pytań temu czy innemu bogu w jakiejś wyroczni.

- Być może - zgodził się Hyperejdes. - Słyszałem o rzeczach naprawdę zastanawiających.

- Słuchajcie! - wykrzyknął Eurykles. - Oto głos rozsądku, przyjaciele. Człowiek prawdziwie rozumny niczemu nie daje wiary, ani też niczego nie odrzuca bez dowodów, chyba że coś jest tak głupie, jak ta historia z gałęzią jabłoni.

- I z glinianą lalką - zachichotał kybernetes.

- O nie! - Eurykles podniósł dłoń. - Nie uważam, żeby takie rzeczy były możliwe, ale coś w tym jest, to pewne. Duchy można wywoływać z grobu, proszę więc usilnie, żebyście, jako ludzie rozsądni, nie szydzili z tego, czego nie rozumiecie. - Opróżnił swój puchar. - Moja droga, jeszcze odrobinę tego samego, proszę!

- Babskie gadanie - powiedział kybernetes.

- Powiadasz, panie, że to niemożliwe? - spytał przepitym głosem Eurykles. - Ależ ja sam zajmuję się... - Odbiło mu się. - Przepraszam, często wywoływałem zmarłych, by im zadawać pytania.

Kybernetes zaśmiał się.

- Nie chciałbym być wyproszonym przez naszą gospodynię, nie będę więc tego komentował - powiedział.

- Nie wierzysz mi, twój dowódca jednak jest lepiej poinformowany. Czyż nie tak, panie?

- Może nie całkiem - powiedział Hyperejdes.

- Jeśli tak - Eurykles sięgnął w zanadrze i wyciągnął sakiewkę - mam tu dziesięć ptaszków, dziesięć sówek w jednym gniazdku. Będą świadczyć, że mogę zrobić to, co powiadam.

- Łatwo powiedzieć - rzekł cybernetes. - Nie da się tego udowodnić.

- Jest tu niedaleko cmentarz - powiedział Eurykles. - To świetne wino - nie odmówię jeszcze kropelki, moja droga - doda wam odwagi, by pójść ze mną.

- Jeżeli proponujesz zakład, chętnie zobaczę, co jest w tej sakiewce - oświadczył cybernetes.

Eurykles rozluźnił sznurki i wysypał brzęczące monety, niepewnym palcem formując z nich rząd. Cybernetes przyjrzał im się i rzekł:

- Nie jestem bogaczem, ale postawię trzy takie, z tym że ja sam rozstrzygnę, czy duch się ukazał.

Eurykles pokręcił głową, prawie spadając przy tym z łóżka.

- Ależ, jaką miałbym wtedy gwarancję? - zapytał. - Mógłbyś zemdleć albo uciec, a potem ogłosić... - wydawało się, że zgubił wątek, jak to często zdarza się pijanym - ... cokolwiek - dokończył.

Kalleos oznajmiła:

- Ja zatrzymam pieniądze i rozstrzygnę sprawę. Jeżeli przyznasz, że duch się ukazał, przegrałeś. To samo, jeśli uciekniesz czy zemdlejesz. W innym przypadku wygrasz. Czy to jasne?

- Najzupełniej - odrzekł cybernetes.

Eurykles wymamrotał:

- To tylko trzy. Co z pozostałą siódmką? To mi się nie opłaca.

- Stawiam jedną - oświadczył dowódca „Ejdyi”.

- I ja jedną - rzekł dowódca „Klytii”.

- A co z resztą? - Eurykles spojrział na Pindara. - Ty, panie?

- Nie mam nawet miedziaka - odparł poeta - Kalleos może to poświadczyć. Gdybym miał, stawiałbym raczej na ciebie, niż przeciw tobie.

- W takim razie - powiedział Hyperejdes - ja postawię brakujące pięć. Ponadto, Pindarze, postawię dwie w twoim imieniu - na słowo. Bywam we Wzgórzu i przy pierwszej okazji odbiorę je sobie.

- Jeżeli wygrasz - odpowiedział Pindar. - Kalleos, czy mogę prosić, żeby Latro towarzyszył nam dla ochrony? Ulice są w nocy niebezpieczne, a wszyscyśmy trochę wypili.

ROZDZIAŁ XVI

W mieście

Jedynie żołnierzom wolno nosić broń, jak mi powiedziała Kalleos. Dała mi szary płaszcz mojego poprzednika, Gello, abym okrył miecz.

Eurykles mówił, że cmentarz leży niedaleko od domu Kalleos, odległość wydała mi się jednak niemała. Zastanawiałem się, czy zdołałbym trafić z powrotem do domu i czy udałoby się to innym, wszyscy bowiem byli podpici, a niektórzy po prostu pijani. Jedyną kobietą, która poszła z nami, była Fye. Kalleos powiedziała, że nie chodziłaby tak daleko nawet, by oglądać boga, a cóż dopiero ducha. Pozostałe twierdziły, że poumieralyby ze strachu, gdyby Eurykles wygrał zakład.

Kalleos dała nam dwie pochodnie. Ja niosłem jedną, Fye drugą. Pochodnie przydały się, bo wszędzie poniewierały się cegły i kamienie, a mury, które jeszcze stały, rzucały głębokie cienie w bladym świetle księżyca. Szedłem na czele pochodu. Eurykles szedł za mną, by mną kierować. Kalleos dała mu jakiegoś ptaka na ofiarę i spod płaszcza dolatywały słabe odgłosy protestu. Nie wiem, w jakiej kolejności szli pozostali, wiem tylko, że Fye szła ostatnia.

Gdy dotarliśmy do cmentarza, Eurykles spytał Hyperejdesa, czy jest ktoś, z kim szczególnie chciałby mówić.

- Postaram się przywołać go jako pierwszego - powiedział - na twoją cześć, gdyby mi się jednak nie powiodło, zastrzegam sobie prawo do ożywienia kogoś innego, dla dopełnienia warunków zakładu. Czy nie leżą tu przypadkiem twoi rodzice albo ktoś inny, kogo chciałbyś przywołać z królestwa cieni?

Hyperejdes pokręcił przecząco głową. Pomyślałem sobie, że wygląda na wystraszonego.

- Czy to nie dziwne, że jest tu aż tylu ludzi? - szepnąłem do Pindara.

- Czy myślisz o nas? - zapytał.

- I o tych innych - wskazałem stojących dookoła.

- Latro - szepnął Pindar - musisz pomóc temu przyjacielowi twojej pani, Euryklesowi.

Skinąłem głową.

- Jeżeli jest tu ktoś, kto nie przyszedł z nami z domu Kalleos, musisz go dotknąć.

Wyciągnij rękę i dotknij go. Zrobisz to?

Eurykles wciąż mówił:

- Czy ktoś z was myśli może o kimś, kogo szczególnie chciałby ujrzeć?

Wszyscy trzej dowódcy pokręcili przecząco głowami. To samo zrobił kybernetes.

- Poszukam zatem grobu, który wyglądałby na grób kogoś odpowiedniego. Podejmę próbę wywołania tego kogoś, a od jej powodzenia będzie zależeć wynik zakładu. Czy się zgadzacie?

Wymamrotali, że tak.

- Dobrze. Fye, chodź za mną. Muszę przyjrzeć się grobom i odczytać napisy na nagrobkach. Chodź i ty, chłopcze, jak ci tam na imię!

Przez jakiś czas chodziliśmy od grobu do grobu. Pod nogami szeleściły nam suche źdźbła rosnącego tam zboża. Eurykles przy licznych grobach długo się zastanawiał, czasem wodząc palcami po literach wyrytych na kamieniach, czasem wachając lub kosztując ziemię z grobów. Przelotny wiatr przynosił zapachy gotowych posiłków i kloaczne wonie z miasta, a także woń świeżo skopanej ziemi.

Fye wrzasnęła i upuściła pochodnię, chwyciła w objęcia Euryklesa, szukając opieki. Ptak z piskiem wyfrunął spod płaszcza, Eurykles zaś spoliczkował Fye, żądając wyjaśnień.

- Tam! - wskazała drżącą ręką.

Podniósłszy pochodnię, zobaczyłem, na co patrzyła i podszedłem, bo się temu przyjrzeć...

Grób był otwarty. Resztki zwiędłych wieńców leżały na kupie ziemi, a trumna była wyciągnięta z dołu i rozbita. Wśród jej szczątków leżało ciało młodej kobiety. Całun był zdarty i tylko długie, ciemne włosy okrywały jej nagość. Zapach rozkładu zmusił mnie do odstąpienia.

- Weź się w garść! - krzyknął na Fye Eurykles. - Nie pora na histerię! - Ona zaś szlochała i zakrywała twarz płaszczem.

- Wydarzyło się tu coś okropnego - rzekł Aketes. - Sprofanowano grób, oto co widzimy! - Dłoń trzymał na mieczu.

- Zgadzam się całkowicie - odpowiedział Eurykles. - Coś się wydarzyło. Ale co? Kto to zrobił?

Aketes mógł tylko pokręcić głową.

Pogłaskałem rękę Fye i spytałem, czy już się czuje lepiej. Gdy skinęła głową, podałem jej pochodnię i zapaliłem na nowo od swojej.

Eurykles mówił do pozostałych:

- Jestem w waszym mieście tylko cudzoziemcem, żywię jednak wdzięczność dla moich gospodarzy i widzę jasno, co powinienem tu zrobić. Musimy odkryć, co tu się wydarzyło i powiadomić archontów. Moje zdolności i moje wykształcenie - a nade wszystko łaska, jaką mnie darzą bogowie świata podziemnego - zobowiązują mnie do tego. Wywołam ducha tej biednej dziewczyny i od niego dowiemy się, kto i dlaczego to zrobił.

- Nie mogę - szepnęła Fye.

Ledwie ją było słyszeć, Eurykles jednak usłyszał i odwrócił się.

- O co chodzi? - zapytał.

- Nie mogę na to patrzeć. Nie mogę tu stać, kiedy ty... cokolwiek byś robił. Wracam - odsunęła się od niego. - Nie próbuj mnie zatrzymywać!

- Nie będę - zapewnił ją Eurykles. - Wierz mi, że cię rozumiem, i odprowadziłbym cię do domu Kalleos, gdybym mógł. Niestety, ci szlachetni panowie...

- Zawarli zakład, którego żałują - powiedział jeden z dowódców. - Wrócę z tobą, jeśli chcesz, Fye. Co do zakładu, stawiałem tak, jak mój mistrz, Hyperejdes. Jeśli on wygra, wygram i ja. Jeśli przegra, przegram.

- Nie! - Fye spojrzała na niego z taką nienawiścią, jakby miała rzucić mu się do gardła. - Myślisz, że chcę być obmacywana przez całą drogę do domu Kalleos? - Obróciła się na pięcie i odeszła. Jej pochodnia poruszała się po łamanej linii, gdy mijała stojących w milczeniu.

Eurykles wzruszył ramionami.

- Źle postąpiłem, pozwalając kobiecie iść z nami - powiedział. - Mogę jedynie prosić was o wybaczenie.

- W porządku - odparł Hyperejdes. - Jeśli masz coś do zrobienia, kończmy z tym. - Otulił się szczelnie płaszczem.

Eurykles skinął głową i zwrócił się do mnie:

- Czy mógłbyś poszukać tego ptaka? Nie mógł po ciemku daleko odlecieć.

O kilka kroków dalej rósł mały cyprys. Kogut siedział wśród gałęzi, gdzie go bez trudu schwytałem. -

Kiedy wróciłem do stojących przy grobie, Eurykles miał w ręku nóż. Wręczyłem mu koguta, on zaś szybkim cięciem przeciął mu gardło, wymawiając jakieś słowa w języku, którego nie rozumiałem. Trzy razy obszedł grób wokół, krocząc wolno i rozlewając krew koguta, a kończąc każdy obchód mówił cicho: „Thygater” Musiało to być - jak przypuszczam - imię tej kobiety. Gdy ukończył trzecie okrążenie, ujrzałem, że jej oczy otwierają się i patrzą

na niego, a pamiętając, co mi polecił Pindar, przykucnąłem i wyciągnąłem rękę, by jej dotknąć.

Natychmiast usiadła, wyciągając stopy ze strzaskanej trumny.

Usłyszałem, jak Hyperejdes łapie oddech, inni także i muszę wyznać, że sam byłem poruszony i szybko cofnąłem rękę. Nawet Eurykles gapił się na nią z otwartymi ustami.

Podniósłszy się, Thygater stała w miejscu, nie patrząc ani na Euryklesa, ani na Pindara, czy kogoś innego.

- Wygrałeś - wyszeptał drżącym głosem Hyperejdes. - Chodźmy stąd.

Eurykles odrzucił w tył głowę i wyciągnął swe szczupłe ramiona ku księżycowi.

- Zwyciężyłem! - krzyknął.

- Cicho! - syknął kybernetes. - Czy chcesz...

- Zwyciężyłem! - Eurykles wskazał ziemię u swych stóp. - Tutaj! Stań tu, Thygater! Pokaż się swojemu panu!

Umarła posłusznie wydostała się z grobu i stanęła we wskazanym przez Euryklesa miejscu. Mimo że chodziła, nie było w niej życia. Podobnie chodzi lalka o ruchomych kończynach, którą porusza dziecko.

- Odpowiadaj! - rozkazał Eurykles. - Kto ci zakłócił sen?

- Ty - odpowiedziała umarła. Z ust jej wypadła jakaś moneta, gdy mówiła, a jej oddech czuć było śmiercią. - I ten człowiek - nie odwracając głowy, by spojrzeć, wskazała mnie. - Któremu mój król powiada, że musi pójść tam, gdzie go posłano.

- Tak, ja cię obudziłem i ten człowiek z pochodnią. Kto jednak kopał tu i wykopał trumnę, w której leżałaś?

- Nie leżałam tu - odparła umarła. - Byłam bardzo daleko stąd.

- Ale kto tutaj kopał? - nalegał Eurykles. - Wilk.

- Twoją trumnę musiał rozbić człowiek.

- Wilk.

- Myślę, że ona mówi jak wyrocznia - powiedział cicho Pindar. Eurykles pochylił głowę tak nieznacznie, że nie byłem pewien, czy to widziałem. - Jak miał ten wilk na imię? Mów! - rozkazał.

- Na imię miał Człowiek.

- Jakim sposobem rozbił twoją trumnę?

- Kamieniem.

- Trzymanym w ręku? - nalegał Eurykles. - Tak.

Odezwał się dowódca, który ofiarowywał towarzystwo Fye:

- Wracam. Dziewczyna miała słuszość. - Wszyscy prócz Euryklesa i mnie odstąpili od otwartego grobu.

- Czyż nie widzicie, że ona może nam prorokować, głupcy? - rzekł Eurykles. - Słuchajcie, a usłyszycie, jak rozdziera się zasłona przyszłości. Thygater! Kto wygra tę wojnę?

- Wilki i kruki wygrywają wszystkie wojny.

- Czy Kszajarsza, którego twoi rodacy nazywają Wielkim Królem, będzie kiedyś władał tym krajem?

- Wielki Król władał naszym krajem.

- To właśnie mówiła wyrocznia z Delfinów - powiedział Pindar Euryklesowi i wyrecytował słowa wyroczni:

*Ale nie czekaj spokojnie, aż jazda i liczny huf pieszy
Z łądu stałego nadejdzie, lecz w tył się wycofaj i grzbiet swój
Odwróć mu; kiedyś ty jeszcze wystąpisz na jego spotkanie.*

Nie przypuszczam, by Eurykles go słyszał.

- Thygater! Co mam zrobić, by się wzbogacić? - pytał dalej umarłą.

- Zostań biednym - odparła.

Hyperejdes oświadczył:

- Widziałem dziś wieczór cuda, jakich nie widziałem dotąd, nie sędzę jednak, żeby takie rzeczy podobały się bogom. Wracam do Sznura. Kto chce, może zostać, by usłyszeć więcej, na własną odpowiedzialność. Euryklesie, powiedz Kalleos, że przegrałem i wracam na okręt. Wytlumaczę się jej, kiedy znów ją zobaczę.

- Idę z tobą! - powiedział kybernetes. Aketes i obaj dowódcy skinęli głowami.

- Nie tak prędko! - wtrącił się Pindar. - Hyperejdesie, przegrałeś do mnie dwie sowy, a tego zakładu nie płaci Kalleos.

Hyperejdes opuścił je na wyciągniętą dłoń Pindara.

- Gdybyś chciał iść z nami, możesz się zatrzymać w moim pokoju w Sznurze - powiedział.

Pindar poruszył przecząco głową.

- Latro i ja wracamy do Kalleos. Jutro przyjdę po Hilaejrę i po Io.

Chciałem mu powiedzieć, że Io jest już w domu Kalleos, ale ugryzłem się w język.

Eurykles splunął w dłonie i zacierając je, zwrócił się do odchodzących: - Skoro nas opuszczacie, idziemy do miasta, Thygater i ja. Znam paru możliwych ludzi, którzy będą wdzięczni, mogąc oglądać zwycięstwo. Chodźmy, Thygater!

- Zaczekaj - powiedział do mnie Pindar. - Wypada nam ta sama droga, ale nie musimy iść razem z tą umarłą.

Patrzyłem, jak odchodzą z Hyperejdesem i pozostałymi, na zachód. - Czemu tak się boję, Pindarze? - spytałem.

- Dlaczego nie miałbyś się bać? Ja sam byłem przestraszony, Eurykles chyba także, ale ambicja wzięła górę nad strachem - zaśmiał się nerwowo. - Myślę, że przejrzałeś jego sztuczki. Chciałem, byś mu dał więcej, niż oczekiwał, ale ty przebiłeś nas obu i mnie także dałeś więcej, niż się spodziewałem.

- Nie boję się tej umarłej - powiedziałem - a jednak czegoś się boję. Popatrz na księżyc, Pindarze. Czy coś widzisz?

- Jest cieniutki - odpowiedział - i zachodzi za świętym wzgórzem. Czy o to idzie?

- Patrz tam, gdzie jeszcze stoi kilka kolumn. Księżyc wplątał się między nie - jedne są przed nim, inne za nim.

- Nie - rzekł Pindar. - Nie, Latro. Ja tego nie widzę. Idziemy?

Przystąpiłem na to. Gdy wyszliśmy z cmentarza i byli gdzieś w pół drogi do domu Kalleos, Pindar powiedział: - Nic dziwnego, że nie bałeś się tej umarłej dziewczyny, Latro. Ty jesteś bardziej przerażający niż ona. Dziwne, że się ciebie nie bała. Może się zresztą bała.

Drzwi były zaryglowane, a nasze stukanie nie spowodowało nikogo, kto by je otworzył, nietrudno było jednak znaleźć miejsce, gdzie nie odbudowano jeszcze zwałonego muru.

- Mój pokój jest w połowie nakryty dachem - powiedział Pindar. - Kalleos pokazywała mi go. Mówiła, że to najlepszy pokój w całym domu i pewnie tak jest, jeśli nie liczyć jej pokoju. Możesz go ze mną dzielić, jeśli chcesz.

- Mam swój pokój - odpowiedziałem.

- Jak wolisz - westchnął i uśmiechnął się. - Zyskałeś przynajmniej płaszcz w tej nocnej przygodzie. Ja zarobiłem dwie sowy i miałem kobietę. Zdarzało mi się chodzić dalej i wychodzić z mniejszym zyskiem. Dobranoc, Latro.

Poszedłem do pokoju, w którym spali Io i czarny człowiek. Io obudziła się i spytała, jak się czuję. Powiedziała, że Fye wróciła wcześniej, a Kalleos strasznie ją zbiła.

Zapewniłem ją, że nikt mnie nie zbił, i położyliśmy się obok siebie. Zasnęła wkrótce, ja jednak wciąż odczuwałem lęk i nie mogłem spać. Na przekór rozumowi, księżyc, który

zaszedł już, gdy wracaliśmy z Pindarem, znowu wspiał się na niebo i wyglądał jak oko umarłej, kiedy podniosła powiekę, by spojrzeć na Euryklesa.

Przez zerwany dach zajrzał świt, ja zaś usiadłem i zapisywałem wszystko, co się wydarzyło, odkąd pisałem poprzednio. Skończyłem właśnie i widzę, że na zewnętrznej stronie zwoju napisano, bym czytał go codziennie, zaczynam więc. Może zrozumiałem, co miała na myśli umarła i dokąd mam iść.

ROZDZIAŁ XVII

Przy drodze do Przyjścia

Jest wiele gospód. Chociaż przybyliśmy tam jeszcze za dnia, było już za późno, by iść do domu boga. Pindar wynajął dla nas pokój w gospodzie, oddalonej od świątyni zaledwie o kilka stadiów. Gospoda jest piętrowa i ma kwadratowy dziedziniec wewnętrzny. Nasz pokój jest podwójny i ma kształt ramienia zgiętego w łokciu, jest jednak odpowiednio szerszy.

Pierwszą rzeczą, jaką pamiętam z tego dnia, jest śniadanie z Kalleos i pozostałymi kobietami. Znałem ją skądś, bo zwróciłem się do niej po imieniu, kiedy przyniosłem gotowaną kaszę jęczmienną i owoce, a także wino i wodę. Spytałem Kalleos, czy mogę zanieść jedzenie Io i czarnemu człowiekowi. Kalleos powiedziała, żebym ich przyprowadził do długiego stołu, ustawionego na dziedzińcu. Chyba musieliśmy ustawiać go z czarnym człowiekiem, bo kiedy przyszło nam go rozbierać, wiedzieliśmy, jak się to robi.

Kobiety rozmawiały o tym, jakie to szczęście znów być w mieście, i o planowanych zakupach klejnotów i strojów na targu. Większość z nich chyba dopiero wstała, chociaż słońce było już w zenicie. Jakiś mężczyzna wszedł, ziewając i polerując zęby chustką. Zrobiłem mu miejsce, on zaś zwrócił się do mnie:

- Nazywam się Pindar. Czy mnie pamiętasz, Latro?

- Tak - odpowiedziałem. - Pamiętam, jak się pożegnaliśmy w nocy, rano zaś czytałem swój zwój, w którym twoje imię często się powtarza. Pindarze, muszę odszukać lekarza z Kraju Rzeki.

Kiedy wspomniałem o Kraju Rzeki, kobiety ucichły i zaczęły się przysłuchiwać.

- Co to za lekarz? - spytał Pindar.

- To ten, który zajmował się mną po bitwie. Powiedział mi, jak się nazywam, a dowiedział się tego od ludzi z mojego manipułu. Czy nie pojmujesz, jakie to ważne? Ci ludzie wiedzieli, kim jestem, muszą więc też wiedzieć, skąd pochodzę.

- A ty chcesz się tego dowiedzieć? - spytał Pindar. - Nigdy dotąd o tym nie mówiłeś.

- Ależ, tak!

- Jego stan wciąż się poprawia - zwrócił się Pindar do Kalleos. - Oto, co najlepiej będzie zrobić. Musisz się udać do świątyni Wielkiej Matki, Latro. Chyba czytałeś o tym w swojej książce?

Powiedziałem mu, że czytałem słowa Lśniącego Boga: „Powalono cię przy świątyni Wielkiej Matki, do jej świątyni musisz wrócić”.

- Sam więc widzisz! Któraś z kobiet spytała:

- Kto to jest Wielka Matka? Pindar jednak uciszył ją ruchem ręki.

- Nie mam zaufania do bogów tego kraju - powiedziałem. Pindar wzruszył ramionami.

- Człowiek musi ufać bogom - rzeki - Cóż mu więcej pozostaje?

- Jeśli ten zwój mówi prawdę, widziałem więcej bogów niż ty - powiedziałem. - Ty widziałeś tylko Czarnego Boga...

Czarny człowiek trącił mnie łokciem i dwukrotnie otworzył i zamknął dłonie, by pokazać, że czarnych bogów jest ze dwudziestu.

- Zgoda - zwróciłem się do niego. - Ten zwój mówi jednak, że widziałeś tylko jednego boga, i to samo dotyczy Pindara. Czy widziałeś ich więcej?

Pokręcił głową.

- Czy chcesz powiedzieć, że naprawdę widziałeś boga, Latro? - spytała Kalleos. - Takiego, jacy dawniej ukazywali się ludziom?

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Nie pamiętam, ale w moim zwoju pisałem o wielu bogach.

- Widział ich - powiedział Pindar. - Widział przynajmniej jednego, bo byłem tam i również go widziałem. Widziała go też mała Io - przypomnij mi, żebyś się tu znalazła - i ten nasz towarzysz także. Latro widział ich wielu, jak sądzę. Często mi o nich mówił, a po zobaczeniu Króla Nysy, Czarnego Boga, wierzę mu.

- Uwierz mi więc i wtedy, gdy mówię, że nie należy im ufać. Niektórzy z pewnością są lepsi od innych: Szybki Bóg, Lśniący Bóg i Król Nysy. Myślę jednak...

- Tak?... - Pindar pochylił się ku mnie, zasluchany.

- Myślę, że nawet najlepsi z nich postępują dziwnie pokrętnie. Nawet w tych miłych jest złośliwość, nawet w Europie. W kobiecie-wężu płonęła tak paląca złość, że czuję ją, nawet kiedy o niej czytam.

Kalleos nie słuchała mnie zbyt uważnie.

- Żółtodziobie - powiedziała - tobie pamięć dopisuje, tobie, kochanie, także. Musicie nam o wszystkim opowiedzieć!

Potem Pindar i Io opowiadali o spotkaniu z Czarnym Bogiem. Było to tak podobne do tego, co zostało zapisane w zwoju, że nie muszę powtarzać ich słów. Rad byłem, że to oni mówią, a nie ja, bo byłem głodny, a dzięki temu mogłem coś zjeść.

Opowiadali jeszcze, kiedy skończyłem swoją kaszę jęczmienną, a kiedy nadgryzłem jabłko, zastukano do drzwi i poszedłem otworzyć.

U drzwi stała jakaś piękna kobieta o niebieskich oczach, ciemniejszych niż oczy Kalleos.

- Witaj, Latro! - powiedziała. - Pamiętasz mnie?

Pokręciłem przecząco głową.

- Mam na imię Hilaejra. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Czy mogę wejść?

Ustałem jej z przejścia i powiedziałem, że czytałem o niej.

Uśmiechnęła się.

- Założę się - powiedziała - że nie doczytałeś się tego, iż jesteś jeszcze przystojniejszy niż przedtem. Hyperejdes powiada, że ten dom jest pełen kobiet. Nie wiem, jak im się udaje trzymać ręce z dala od ciebie. Czy pamiętasz Pindara?

- Tak. Właśnie je śniadanie. Jeślibyś chciała, Kalleos na pewno cię zaprosi.

- Bardzo bym chciała. Przyszłam wprost ze Sznura, a to nie lada przechadzka.

Weszliśmy na dziedziniec i zwróciłem się do Kalleos:

- To Hilaejra. Czy może usiąść z nami?

- Oczywiście, oczywiście! - powiedziała Kalleos. - Hilaejro, kochanie, powinnam przedstawić się jeszcze na „Europie” i żałuję, że tego nie zrobiłam. Usiądź przy mnie - posuń się, Eleonoro - i weź sobie coś do zjedzenia. Powinnam wczoraj służyć ci pomocą, ale myślałam, że jesteś żoną tego Żółtodzioba. Jak się dostałaś do miasta?

- Na piechotę - powiedziała Hilaejra. - Hyperejdes mówił, że prawo nie pozwala tu kobietom wychodzić samotnie z domu, ale Io zniknęła... - Jestem tutaj! - krzyknęła Io.

- Ach, więc jesteś tu! W każdym razie Hyperejdes nie chciał się pozbywać ludzi, spodziewał się też, że Pindar przyjdzie tam, ale Pindar nie przyszedł, postanowiłam więc zaryzykować. Myślałam, że spotkam go po drodze, no i, oczywiście, nie spotkałam. Hyperejdes dał mi list do ciebie. - Hilaejra sięgnęła za wycięcie sukni przy szyi i wyjęła list. - Jest cokolwiek wilgotny.

- Mniejsza o to. Czy mogłabyś przeczytać mi go, kochanie? Słońce sprawia, że oczy łzawią mi, jakbym była Niobe.

Hilaejra złamała pieczęć i pobieżnie przeczytała list.

- Czy na pewno tego chcesz? - zapytała. - Jest raczej osobisty...

Wszystkie naraz wybuchnęły śmiechem.

- Nie mamy przed sobą tajemnic, kochanie.

- Dobrze, więc:

Moje słodkie kochanie! Jeszcze raz pragnę ci powiedzieć, jak cudownie czuje się stary żeglarz, gdy składa oszronioną morską solą głowę na tym boskim, białym tyleczku...

Wybuch śmiechu znowu przerwał Hilaejrze. Kobiety tłukły łyżkami w stół. Takich przerw było więcej, ale nie będę już o nich wspominał.

Kiedy zaczynałem podróż do Pępka i do Wieżowego Wzgórza, zgadzałem się z decyzją Zgromadzenia, by wysłać okręty, nie zaś jechać lądem, ale okręt to trudny wierzchowiec!

Ten powrót wynagrodził jednak wszystko. Dziękuję ci, najdroższa! Druga część twojej zapłaty musi, niestety, poczekać na mój powrót, dostaliśmy bowiem rozkaz dołączenia do floty. Odeślij mi niewolnika z lektyką jeszcze dziś.

- Podkreślił to - dodała Hilaejra.

Kalleos zwróciła się do czarnego człowieka:

- Masz odnieść tę lektykę, rozumiałeś? Potem pójdziesz do przystani i odszukasz Hyperejdesa. Pośle po ciebie łuczników, jeśli tego nie zrobisz.

Czarny człowiek z kamiennym wyrazem twarzy skinął głową, a potem zwrócił się do mnie, udając, że pisze coś na grzbiecie dłoni, i unosząc brew, jak to zawsze robił, kiedy chciał o coś spytać.

- Chciałbyś wiedzieć, czy o tobie czytałem w tym zwoju - powiedziałem. - Tak, czytałem. Wiem, że jesteś moim najstarszym przyjacielem.

Wstał od stołu i więcej już go nie widziałem.

Bądź miła dla biednego Latro - ciągnęła Hilaejra - a przekonasz się, że zrobi wszystko, by się okazać przydatnym. Taki mi się wydawał być przynajmniej.

Pindar, syn Pagondasa z Krainy Krów, opowiedział ci już, co zaszło ubiegłej nocy. Myślę, że była to najokropniejsza przygoda mego życia. Niech mnie Dwunastu broni od drugiej takiej. Przegrałem, możesz więc wypłacić Euryklesowi pieniądze, które u ciebie zostawiliśmy. Nalegam, byś go więcej nie widywała, kiedy już to zrobisz. Wierz mi, najdroższa, nie robiłabyś tego, gdybyś była z nami zeszłej nocy.

A teraz żegnaj...

- Zaczekaj! - wykrzyknęła Kalleos. - Żółtodziób niczego mi nie opowiedział. Co się wydarzyło, poeto?

- Jeszcze chwilkę! Pozwól jej skończyć - rzekł Pindar.

- A teraz żegnaj, droga Kalleos, mówię twój pełen wdzięczności kochanek, Hyperejdes. Powroźnicy mówią, że kto idzie na wojnę, musi wrócić z hoplonem albo na nim. Sprawdziłem, że mój nie pływa, muszę więc wrócić z nim. Do zobaczenia zatem. Twój kochający Hyperejdes.

Gdy kobiety nieco się uciszyły, Pindar spytał:

- Czy naprawdę chcesz, żebym ci opowiedział, tu przy wszystkich, co się zdarzyło zeszłej nocy? Uprzedzam, że jeśli to zrobię, będę mówił prawdę. Wdzięczny ci jestem za twoją gościnność, gdybyś więc wolała posłuchać na osobności...

- Zaczynaj! - przerwała Kalleos.

- Od początku?

Skinęła głową.

- Zgoda. Zacznę więc od tego, że gdy Eurykles zaproponował ten zakład, uderzyło mnie, jak bardzo opowieść Fye do niego pasowała. Czułem, że coś w tym jest, zwłaszcza gdy powiedziała, że pójdzie z nami, jako jedyna kobieta. Może nie piłem tyle, co inni, a może mam mocniejszą głowę, nie wiem. Ile ci obiecano, Fye?

- Mniejsza o to - powiedziała Kalleos, a Fye rzekła przez spuchnięte wargi: - Sowę.

- Znaleźliśmy otwarty grób - ciągnął Pindar - i najpierw pomyślałem, że zrobił to sam Eurykles, ale potem uświadomiłem sobie, że byłoby to dla niego zbyt ryzykowne. Fye bała się i szukała u niego opieki, z czego odgadłem, że zna Euryklesa lepiej niż innych i że była naprawdę przerażona. Gdyby udawała, z pewnością schroniłaby się w ramiona Hyperejdesa, który postawił najwięcej.

- Mów dalej - powiedziała ponuro Kalleos.

- Kiedy tu przebywaliśmy, Eurykles robił wrażenie pijanego. Zapewne trzeba być pijanym, żeby zakładać się, że się wskrzesi umarłego. Na cmentarzu był jednak najtrzeźwiejszy z nas wszystkich, z wyjątkiem Latro, który nie pił. Fye powiedziała, że odchodzi i wydawało się to naturalne, wydawało się też jednak, że Eurykles uważa to za część jakiegoś planu albo chce, by Fye tak myślała.

- Przyszła tutaj - rzekła Kalleos posepnie.

- To widać.

Nie powiedziałeś jeszcze ani słowa o tym, co tak przstraszyło Hyperejdesa - zauważyła Kalleos. - Przejdź do tego.

- Dobrze. Eurykles wywołał tę kobietę z grobu. Stała i rozmawiała z nami, była jednak najwyraźniej martwa. Twarz jej posiniała, a policzki zaczynały się zapadać.

Kalleos pochyliła się ku niemu i z widoczną ciekawością zapytała:

- On tego dokonał?

- Nie wiem - odparł Pindar. - Złożył ofiarę z koguta, ona zaś wstała i mówiła. Kiedy odchodziliśmy, poszła za nim do miasta. - Pindar zwrócił się do Fye: - Jaka była twoja rola? Miałaś użyć jej swego głosu, czy też pojawić się jako duch?

- Wiedziałaś o tym - powiedziała. - Wiedziałaś, zanim jeszcze stąd wyszliśmy.

- Bo założyłem się z Hyperejdesem? Wiedziałem dość, by zgadnąć, kto wygra niezwykle zakład zaproponowany przez nieznanego. Myślę, że i Hyperejdes to wiedział, kiedy był trzeźwy.

Kobiety zaczęły mówić wszystkie naraz, a Hilaejra szepnęła poprzez stół:

- Czy jej dotykałeś, Latro? Czy to pamiętasz?

Skinąłem głową.

- Jesteśmy więc przy Latro - rzekł Pindar. - Nie mogę wrócić do naszego świętego miasta, zanim nie zaprowadzę go do świątyni Wielkiej Matki. Nie będę miał ci za złe, jeśli nie zechcesz tam iść, jeśli jednak zechcesz, będzie mi bardzo miło.

Hilaejra odpowiedziała:

- Mój zmarły ojciec prowadził tu z kimś interesy. Myślę, że pozwoliby mi on zamieszkać jakiś czas u siebie.

- Z pewnością - rzekł Pindar.

- Stąd niedaleko jest do Przyjścia, gdzie odprawia się misteria Bogini Zbóż. Chciałabym zostać wtajemniczoną. Przyjmą mnie chyba?

- Przyjmą każdego, kto nie popełnił morderstwa, o ile mi wiadomo - powiedział Pindar. - Trzeba jednak pobierać nauki, przez pół roku, czy coś koło tego. Co wiesz o tych misteriach, Kalleos? Czy coś stoi na przeszkodzie wtajemniczeniu Hilaejry?

Kalleos z uśmiechem zaprzeczyła:

- Nic a nic. Hilaejro kochanie, słyszałam, co mówiłaś o swoim wujaszku czy kimś takim. Nie musisz go o nic prosić. Możesz mieszkać u mnie, jak długo zechcesz.

- Ach, to ogromna uprzejmość z twojej strony! - odrzekła Hilaejra.

- To musi potrwać, pojmujesz? Masz jednak szczęście, bo właśnie zaczynają. Będziesz musiała chodzić do Przyjścia przez całe lato - przestrzegać postów, dopełniać obrzędów i tak dalej. Nie przeszłam przez to wszystko, ale mam znajomych, którzy przeszli.

- Czy odmieniło to ich życie? - spytała Hilaejra.

- Hm, tak, oczywiście - stwierdziła Kalleos. - To pozwoliło im spojrzeć na świat inaczej i, że tak powiem, we właściwy sposób. Bardzo się to przydaje w życiu towarzyskim. Przechodzi się całe mnóstwo oczyszczeń - najczęściej w Ilissie. Jesienią dopuszczają cię do Małych Misteriów. Potem możesz, jeśli chcesz, wrócić do domu. W następnym roku wracasz, znów przechodzisz przez Małe Misteria, a potem przez Wielkie Misteria. Zostajesz wtajemniczoną, przyjaciółką bogini, i co roku możesz - chociaż nie musisz - uczestniczyć w

Wielkich Misteriach. Trwają one cztery dni, a Małe - o ile wiem - dwa dni. Powinnaś jednak udać się do Przyjścia i porozmawiać z kapłanami.

- Czy to daleko? - zapytała Hilaejra.

- Nie. Gdybyś wyszła po śniadaniu... Żółtodziobie, co z tobą?

- Chodzi o to... Latro powiedział wczoraj... Na wszystkich bogów!

Hilaejra przyjrzała mu się.

- Jak na kogoś, kto zadaje się z mówiącymi trupami, wydajesz się trochę roztargniony - powiedziała.

- I jestem! Jestem głupcem. Io, czy pamiętasz, co mówiła Pytia?

Chcę mieć pewność, że pamięć nie płata mi figli.

- Myślę, że nie - powiedziała Io. - Spróbuj. „Popatrz w słońce...”

- Dalej - powiedział Pindar. - To o wilku...

- „Przez wyjącego wilka twoja bieda!” - zaintonowała Io. - „Do pani tego psa musisz się udać! Ogień w podziemiu czyni cuda! W świątyni Nieznanego Boga...”

- Wystarczy - powiedział Pindar i ciągnął dalej sam. - „Przez wyjącego wilka twoja bieda, do pani tego psa musisz się udać, ogień w podziemiu czyni cuda”. Kalleos, czy w Przyjściu jest jakaś jaskinia?

- Nie mam pojęcia! - powiedziała Kalleos.

- Musi być. Będzie mi potrzebny Latro, jutro i pojutrze. Czy mogę go zabrać? Przyrzekam przyprowadzić go z powrotem.

- Spodziewam się! Czy nie zechciałbyś powiedzieć, o co chodzi? Pindar odgryzł kawałek jabłka, przeżuł go i przełknął, zanim odpowiedział:

- Jeszcze w naszym mieście przyrzekłem zaprowadzić Latro do miejsca wskazanego przez Pytię. Myślałem, że chodzi o wyrocznię w Lebadei, oddaloną tylko o dwa dni drogi.

- Czy radziłeś się boga w Pępku? - spytała Kalleos.

Pindar zaprzeczył ruchem głowy.

- Mamy w naszym mieście świątynię Lśniącego Boga i Pytię - powiedział. - Nie dotarliśmy do Lebadei i, jak widzisz, znaleźliśmy się tutaj. Zeszłego wieczoru Latro powiedział jednak...

- Że powinniśmy ufać Lśniącemu Bogu, skoro ufamy jego wyroczni - wtrąciłem.

- Zgadza się. Latro, wiem, że tego nie pamiętasz, sięgnij jednak po swoją książkę. Spójrz na sam jej początek i powiedz mi, gdzie zostałeś ranny. Wiemy, w jakiej bitwie, ale gdzie na polu bitwy to było?

- Nie muszę sięgać po książkę - powiedziałem - bo czytałem ją dziś rano. Było to przy świątyni Matki Ziemi.

Pindar odetchnął z ulgą.

- Myślałem, że przypominam sobie czyjeś opowiadanie - powiedział. - To się zgadza.

- Co się zgadza? - spytała Hilaejra.

- Wilk jest jednym z godeł Wielkiej Matki - odpowiedział Pindar. - Oto dlaczego myślałem, że chodzi o świątynię Wielkiej Matki - nawiasem mówiąc, mieści się ona w jaskini. Czy pamiętasz jednak, co mówił nam kapłan nad jeziorem rano, po tym jak się po raz pierwszy spotkaliśmy?

- Tłumaczył, że bogowie noszą różne imiona, stosownie do swych różnych atrybutów, i że różnie się nazywają w różnych miejscach. Wiedziałem o tym już wcześniej, oczywiście.

Pindar skinął głową.

- A czy wiesz, skąd wzięła się nazwa Przyjścia i dlaczego odprawia się tu misteria? - zapytał.

- Myślę, że zawsze tak było.

- Nie. W dawnych czasach rządził Przyjściem - jeszcze się tak nie nazywało - król Keleos. Jego lud żył z myślistwa, rybołówstwa i zbierania dziko rosnących owoców. Wielka Matka poszukiwała córki, którą uprowadził Bogaty. Krótko mówiąc, przybyła w czasie swych wędrówek do Przyjścia i nauczala Keleosa uprawiać zboże.

- Rozumiem! - wykrzyknęła Hilaejra.

- Na pewno. Ja także powinienem to wcześniej zrozumieć. Bogini Zbóż jest Wielką Matką, a Wielka Matka jest Matką Ziemią, która nam daje pszenicę i jęczmień. W Przyjściu mieści się jej najważniejsza świątynia i przy jej świątyni zraniony został Latro. Lśniący Bóg kazał mu udać się do Przyjścia, a gdy zacząłem go prowadzić w złym kierunku, dopilnował byśmy mimo wszystko trafili na właściwe miejsce. Pozostaje mi tylko zabrać go tam i zrobię to dziś po południu. Potem mogę wracać do domu.

- A czy znajdę przyjaciół? - spytałem. - Czy zostanę uleczony?

- Nie wiem - odrzekł Pindar z powagą. - Z pewnością będzie to pierwszy krok do tego celu.

ROZDZIAŁ XVIII

Tu, w świątyni Wielkiej Matki

Składałem dziś ofiarę. Przed południem poszliśmy pomówić z kapłanem: Pindar, Hilaejra, Io i ja. Przedstawił się jako Polihomos z rodu Eumolpidów.

- Z naszego rodu wybiera się najwyższego kapłana - powiedział.

- Odsługujemy swoją kolej, z nadzieją na uśmiech bogini - mówiąc to, uśmiechnął się szeroko. Należał do tych beztroskich i uczynnych grubasów, których spotyka się w służbie bogów i królów. Czuć go było jednak krwią, jak każdego kapłana. Jesteśmy dziećmi Demofoonta, którego bogini chciała, bez powodzenia, uczynić nieśmiertelnym. Przyznaję, że lepiej byłoby być potomkiem Heraklesa, który rzeczywiście stał się nieśmiertelny, ale tyle tylko zdołaliśmy osiągnąć. W czym mogę być pomocny, panie? To są - jak sądzę - twoja żona i twoja córeczka, a to twój syn, który został ranny. Uderzającej urody młodzieniec - szkoda, że ktoś go uderzył - zachichotał. - Nie jest to jednak świątynia uzdrowień, chyba że ducha. Rad będę polecić wam odpowiednią.

- Mam nadzieję, że zostanę uzdrowiony w tej świątyni - odezwałem się, a Pindar wyjaśnił, co nas naprawdę łączy.

- Aha! Chociaż więc podróżujecie razem, stanowicie właściwie dwie pary. Zajmę się najpierw tą młodą damą. Jej problem jest, jak sądzę, prostszy. Trzeba ci wiedzieć, córko - zwrócił się do Hilaejry - że istnieją trzy kategorie ludzi, którzy nie mogą być dopuszczeni do misteriów. Są to mordercy, czarownicy i wróżbiarze. Gdybyś została dopuszczona do misteriów - czy choćbyś tylko rozpoczęła obrzędy dopuszczenia - i wykryto by, że należysz do którejś z tych kategorii - karą byłaby śmierć. Na razie jednak żadna kara ci nie grozi. Nie musisz mówić mi: „Zabiłam!” albo „Jestem czarownicą”. Wystarczy, że wyjdiesz stąd i wrócisz do miasta. Nic nie zostałooby powiedziane ani zrobione.

- Ja... - zaczęła Hilaejra.

- Tak, moja córko?

- Czy wiesz, jak czasem dziewczęta zanurzają zwierciadło w strumieniu, w czasie pełni? Kiedy się w nie zajrzy w świetle księżycy...

- Co się widzi? - zapytał Polihomos.

- Twarz przyszłego męża - odparła. - Mężczyzny, który ma nim zostać. Ukazuje go dziewicza Bogini Księżycy, ale tylko dziewicom.

- Obawiam się, że nie mam szans - zaśmiał się Polihomos. - Mam czworo dzieci.

- Byłam w tym dobra, tak mi się przynajmniej wydaje, i pouczałam inne dziewczęta. Już tego nie robię.

- Rozumiem. Czy zaglądałaś w zwierciadło za inne, czy tylko pokazywałaś im, jak się to robi?

- Pokazywałam - odpowiedziała Hilaejra. - Tego nie można robić za kogoś. Każda musi zrobić to sama.

- A czy płaciły ci za pomoc?

Hilaejra zaprzeczyła ruchem głowy.

- Z pewnością więc nie jesteś czarownicą ani wróżką, moja córko. Mogę chyba założyć także, że nie jesteś morderczynią? W takim razie możesz uczestniczyć w obrzędzie inicjacji. Odbędzie się on... - Policzył na palcach. - Od dziś za pięć dni, wieczorem. Czy mieszkasz w mieście?

- Zatrzymałam się u przyjaciółki.

- Najlepiej więc zrobisz, wracając do niej. Mamy tu dobre gospody, ale są one - jak mi mówiono - przeraźliwie drogie. Przyjdź tu za pięć dni. Zbieramy się o zachodzie słońca przy tych Stellach.

Hilaejra odchrząknęła, co zabrzmiało, jakby zakumkała żabka.

- Mówiłam, że zatrzymałam się w Myśli, o Świątobliwy, ale nie jestem z Myśli - dodała.

Polihomos znów się zaśmiał.

- Jesteś z Krainy Krów, moja córko - powiedział. - Wszyscy stamtąd pochodzicie, z wyjątkiem naszego młodego przyjaciela, o którym nie umiem powiedzieć, skąd pochodzi. Chyba zauważyliście, że my tu na Długim Wybrzeżu mówimy inaczej niż wy.

- Czy to ma znaczenie?

Polihomos zaprzeczył ruchem głowy.

- Mówiłem, że są trzy kategorie nie dopuszczanych, a właściwie jest też czwarta - powiedział. - Ci, którzy nie rozumieją naszego języka na tyle, by zrozumieć obrzędy. Nawet ich jednak wyklucza się tylko ze względów praktycznych. Jeżeli barbarzyńca nauczy się naszej mowy, jest mile widziany.

- Czy będę musiała złożyć ofiarę, kiedy wrócę tu za pięć dni? Znów pokręcił przecząco głową.

- Wielu to robi, ale nie jest to konieczne. Nie jesteś chyba zbyt bogata?

- Nie.

- Radziłbym ci więc złożyć jakąś niewielką ofiarę. Może to być drachma albo obol, jeśli nie stać cię na więcej - coś, co mogłabyś włożyć do krateru, by nie poczuć się niezręcznie.

- Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

- Choćby i sto, moja córko, jeżeli będą równie rozsądne, jak te, które dotąd zadawałaś.

- W naszym mieście jest inaczej, mówiono mi jednak, że tu nie ma zwyczaju, by kobiety chodziły samotnie. Czy nie będą mnie zaczepiać, kiedy tu wrócę? Pindara już tu pewnie nie będzie, a Kalleos nie zechce posłać Latro.

Polihomos uśmiechnął się.

- Nie będziesz sama, moja córko, nic podobnego. Zauważ, że każdy kandydat do wtajemniczenia będzie szedł Świętą Drogą razem z tobą. Nikt cię nie będzie niepokoił, zaręczam. Łucznicy też cię nie będą o nic pytać, a gdyby coś cię zaniepokoiło, wystarczy wybrać jakiegoś porządnego z wyglądu człowieka i poprosić go o opiekę.

- Dziękuję! - powiedziała Hilaejra. - Bardzo ci dziękuję, Świętobliwy.

- A teraz ty, młodzieńcze - zwrócił się do mnie. - Nie jesteś chyba kandydatem? - zapytał.

Odezwał się Pindar:

- On chciałby po prostu pokazać się bogini.

- Proste drogi są najlepsze. Nie jesteś, jak sądzę, czarodziejem, czy też wróżbitą. Czy przelewałaś krew?

- Jak ci mówiłem, stracił pamięć - powiedział Pindar.

Zabrałem głos:

- Zabiłem trzech niewolników, chociaż o tym nie pisałem. Mówiłeś mi o tym później, Pindarze. Czytałem to tego rana, kiedy jeszcze spaliście z Hilaejrą.

- To byli niewolnicy Powroźników - wyjaśnił Pindar. - Służą w ich armii. Krew przelana w bitwie nie liczy się, nieprawdaż?

- Nie ma w tym twojej winy. Czy składasz jakąś ofiarę?

- Chyba nie wolno mu oddać mnie bogini - szepnęła Io. - Dał mu mnie Lśniący Bóg.

- Może cię oddać, jeśli chce - odpowiedział Polihomos. - Czy tego chcesz, młodzieńcze? Ta niewolnica byłaby znakomitą ofiarą?

- Nie chcę. Nie mam jednak niczego innego.

- Mogę mu dać trochę pieniędzy - wkroczył Pindar.

- Świetnie. Młodzieńcze, radzę ci wykorzystać to, co dostaniesz od przyjaciela na zakup zwierzęcia ofiarnego. To miasto pełne jest ludzi, którzy nimi handlują - nie będzie z tym kłopotu. Jeśli brak ci pieniędzy, kura wystarczy.

Pindar drgnął.

- Tylko nie kura! - krzyknął.

- Świetnie. Oczywiście, im okazańsze zwierzę, tym lepsza ofiara. Zwykle ofiarodawcy proszą o urodzaje i wtedy kura wystarcza. Najczęściej ofiarowuje się prosięta.

- Mam jeszcze, tak jak Hilaejra, ostatnie pytanie - rzekł Pindar. - Czy są tu jaskinie? Zdaję sobie sprawę, że nie wolno ci mówić o misteriach, chodzi o jaskinie, w których oddaje się cześć bogini. Polihomos skinął głową w milczeniu.

- Wspaniale! Panie, Świątobliwy, okazałeś nam wielką życzliwość. Pójdziemy teraz po zwierzę ofiarne. Tymczasem jednak, czy drobny upominek dla ciebie osobiście...

- Będzie mile widziany. - Polihomos zerknął na swą dłoń i uśmiechnął się. - Wróćcie tu w południe z waszą ofiarą, synu. Będę czekał, by uczestniczyć w obrzędzie.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, Pindar powiedział:

- Pójdę za głosem przecucia. Czy słyszeliście o Pani Cymbałów?

Zaprzeczyłem, Hilaejra również.

- Pod tym imieniem czczą Wielką Matkę mieszkańcy Kraju Czapki, i to nie synowie Perseusza czy Medei, ale ich niewolnicy - naród lidyjski. Symbolami Wielkiej Matki są u nich - częściej niż u nas - lew i wilk. Wiem, że zapomniałeś o wilku, o którym wspominała wyrocznia, i że dopiero dziś rano o nim przeczytałeś, a jednak była o nim mowa i o tym, że musisz przebyć morze. Zapewne chodzi o Kraj Czapki. Po ofierze z męskości najmilej widziana przez Panią Cymbałów jest ofiara z wołu.

- Czy mamy dość pieniędzy? - spytała Hilaejra.

- Jeśli znajdziemy jakiegoś niedrogiego. Kalleos pożyczyła mi coś niecoś, a trochę wygrałem, zakładając się z Hyperejdesem.

Większość sprzedawców miała same małe zwierzęta. Najwięcej było prosiaczków, zgodnie z tym, co mówił Polihomos, a najtańsze były koguty, ale były też owce, a w końcu trafiliśmy na rocznego byczka.

- Ledwie zdążyły mu wyrosnąć rogi - powiedziała Io, klepiąc go po pysku.

- Jest rzeczywiście młodziutki, młoda damo - powiedział chłop. - Nigdzie nie znajdziesz lepszego mięsa.

- Racja - rzekła Io do Hilaejry. - Zabierzemy mięso, prawda? Czy przyrządzą je nam w gospodzie?

Hilaejra skinęła głową.

- Za jego część - dodała. - Ale jeśli nie będzie im się patrzeć na ręce, zabiorą wszystko, a nam dadzą coś gorszego.

- Myślę, że pozwoliłby mi się dosiąść. Jechałabym jak Kalleos na żaglu.

Pindar targował się z chłopem i wreszcie - po dwukrotnym odchodzeniu i wracaniu - kupił byczka za sumę, którą określił, jako o wiele za wysoką.

- Tutejsi mieszkańcy śmieją się z nas, że nazwaliśmy nasz kraj od naszego bydła - powiedział. - Jest to jednak bydło znakomitej rasy i nie zamienilibyśmy go na wszystkie statki Długiego Wybrzeża. Statku nie da się zjeść, a orać można nim jedynie morze.

Byczek miał przez nozdrza przewleczony sznur i potulnie szedł za nami, kiedy kupowaliśmy mu wieniec z kwiatów na szyję oraz wieńce dla siebie. Pindar nie pozwolił jednak Io go dosiąść.

Powinienem chyba napisać, że świątynia Bogini Zbóż zwana jest Domem Królewskim, Pindar zaś powiada, że różni się ona od innych, które oglądał. Mnie w każdym razie wydała się dziwna. Jest to wielka kwadratowa sala, której wnętrze wypełnione jest filarami, tak że idzie się przez nią jak przez kamienny las. Powiadają, że ogień przed posągiem podtrzymywany jest od czasu, gdy bogini chciała wykąpać w jego płomieniach małego Demoofonta.

Nie zamieszczę tu słów, którymi zwracaliśmy się do bogini przed złożeniem ofiary. Myślę, że nie byłoby to właściwe. Gdy wszystko już zostało powiedziane, położyłem dłoń na głowie byczka i prosiłem boginię, by zechciała wziąć udział w naszym posiłku. Polihomos wlał byczkowi do ucha mleko, pytając go, czy chce iść do bogini. Ten skinął głową, a Polihomos poderżnął mu gardło świętym nożem wykutym z brązu, nie z żelaza. Wrzuciliśmy w ogień niektóre części zwierzęcia i wszyscy odetchnęli z ulgą.

- To była dobra ofiara, nieprawdaż, Świątobliwy? - Pindar uśmiechnął się, poprawiając swój wieniec z kwiatów.

- To była doskonała ofiara - zapewnił go Polihomos.

Hilaejra miała oczy pełne łez

- Czuję się, jakbym już była przyjaciółką bogini - powiedziała. - Zdawało mi się, że uśmiechnęła się do mnie. Naprawdę!

- Ma miłą twarz - powiedział Polihomos, uśmiechając się do swej bogini. - Surową, lecz...

- Co się stało? - spytała Io.

Nie odpowiadał. Jego rumiana dotąd twarz pobladła jak kreda, a ręka, która trzymała święty nóż, tak się trzęsła, jakby miała go upuścić.

- Czy źle się czujesz? - Pindar ujął go pod ramię.

- Pozwólcie mi usiąść - wykrztusił Polihomos. Zaprowadziłem go z pomocą Pindara do najbliższej ławy. Czoło miał pokryte potem, usiadłszy, otarł je skrajem szaty. - Nie możecie tego widzieć - powiedział. - Nie znacie jej tak jak ja.

- O co chodzi? - spytał Pindar.

- Kapłani pochodzili zawsze z mojego rodu...

- Mówiłeś nam już o tym.

- Wchodziliśmy więc do Królewskiego Domu i wychodziliśmy z niego nawet jako dzieci. Widywałem boginię... Myślę, że widziałem jej posąg z dziesięć tysięcy razy.

Skinęliśmy głowami.

- Chciałbym teraz, żeby któreś z was - ty, dziewczynko - opisało mi go. Muszę wiedzieć, czy widzisz to samo, co ja.

- Po prostu opowiedzieć ci o niej? - spytała Io. - Jest naprawdę wysoka, wyższa niż bywają kobiety. Włosy ma zsunięte z ramion, chyba związuje je w węzeł z tyłu głowy. Czy mam ją obejść i sprawdzić?

- Nie. Mów dalej.

- Nosi wieniec z maków i trzyma w ręce pszenicę - snop pszenicy. Drugą ręką wskazuje posadzkę.

Tęgi kapłan odetchnął z głośnym „uff”.

- Muszę zobaczyć się ze stryjem, przekazać tę sprawę w jego ręce - powiedział. - Pozostańcie tu wszyscy czworo. Właśnie tu. Lepiej będzie, jeśli zachowacie milczenie.

Wyszedł z pośpiechem, a my siedzieliśmy w milczeniu. Sądziłem, że w tej cichej świątyni, wśród słupów słonecznego blasku i głębokich cieni, przy melancholijnie płonącym ogniu, panuje spokój - a jednak go nie czułem. Świątynię zdawały się napełniać ciche, głębokie dźwięki, jakby jakieś potężne zwierzęta poruszały się i stąpały gdzieś poza zasięgiem wzroku.

Wkrótce wrócił Polihomos.

- Nasz najwyższy kapłan przebywa w mieście - stwierdził. - Muszę sam rozstrzygnąć tę sprawę. - Zdawał się spokojniejszy, a w jego oddechu czuło się zapach wina. - Dobrze więc. Musicie przyjąć do wiadomości, że oglądałem ten posąg wiele razy i że do dziś dnia jego lewa ręka spoczywała na głowie tego dzika z kamienia, który stoi obok posągu.

Hilaejra otworzyła usta i nawet Pindar gwizdnął cicho.

- Cud - wielki cud - miał dziś miejsce. To jakiś ważny znak. Czy któreś z was to widziało? Sam ruch ręki?

Pindar, Hilaejra i ja pokręciliśmy przecząco głowami. Io obeszła święte ognisko, by przyjrzeć się z bliska posągowi.

- Szkoda, a jednak z pewnością się poruszyła, niewątpliwie w chwili ofiarowania, gdy oczy wszystkich skupione były na ofierze. - Polihomos przerwał, odetchnął głęboko i mówił dalej. - Przypuszczam, że słyszeliście o tej umarłej w mieście. Powiadają, że chodziła aż do świtu i rozmawiała z mnóstwem ludzi. Całe miasto o tym mówi. Nikt nie wie, co to może znaczyć, a teraz jeszcze i to! Niech tylko wiadomość się rozejdzie. Czy możecie to sobie wyobrazić?

- Ja mogę - powiedział Pindar. - I mam nadzieję, że będę daleko.

Polihomos mówił dalej, jakby go nie słyszał.

- To jest coś, o czym się pamięta i opowiada dzieciom. To...

Io krzyknęła:

- Na głowie tej świni jest jasne miejsce, gdzie opierała się ręka! Chodźcie zobaczyć!

O naszym zdumieniu może świadczyć to, że wszyscy poszli, posłuszni jak dzieci rozkazowi dziecka. Miała rację. Dym ze świętego ogniska przyciemniał głowę dzika, ale nierówna powierzchnia marmuru w miejscu, które opuściła ręka bogini, była biała i świeża.

- Pomyślcie, co to oznacza dla naszego Królewskiego Domu. - Polihomos zacierał ręce. - I dla misteriów!

- A ja tu byłam - szepnęła Hilaejra.

- Rzeczywiście, byłaś tu, moja córko. Rzeczywiście tu byłaś! A kiedy już zgłębisz tajemnice misteriów... Jak mówiłem, kapłanów wybiera się z naszego rodu, jest jednak w tych obrzędach miejsce dla kobiety - i to najwyższe z wszystkich!

Hilaejra wpatrywała się w niego z rosnącym zdumieniem w oczach.

- Ona także zwyczajowo pochodzi z Eumolpidów, ale nie jest to przeszkodą nie do przezwyciężenia. Możliwa jest adopcja, a nawet małżeństwo. O tym decyduje najwyższy kapłan, a nie ma chyba wątpliwości, kto będzie następnym najwyższym kapłanem. - Polihomos wypiął pierś. - Mój stryj jest w podeszłym wieku, a bogini całkiem wyraźnie objawiła swą wolę w sprawie następstwa. W końcu tylko jeden kapłan był świadkiem tego cudu!

- Ale czego ona chce? - spytała Io.

- Hę? - Obrócił się, by na nią spojrzeć.

- Bogini, dlaczego wskazuje posadzkę? - dodała.

- Nie jestem pewien. - Gruby kapłan zastanawiał się. - Kiedy ktoś mający władzę robi taki gest, znaczy to zwykle, że coś lub ktoś ma zostać przed niego przyprowordzony.

Pindar odchrząknął.

- Wyrocznia w naszym świętym mieście poleciła, by Latro został zaprowadzony do bogini - wyjaśnił.

- Aha. I to on składał ofiarę, przynajmniej oficjalnie. - Polihomos zwrócił się do mnie: - Młodzieńcze, musisz pozostać w tym Królewskim Domu przez całą noc. Możesz spać na posadzce albo na którejś ławie. Może objawi ci się we śnie sama bogini. Jeżeli nie, możliwe jest, że zaszczyci cię jakimś poselstwem.

Siedzę więc tu, oparty plecami o kolumnę, i piszę te słowa w blasku zachodzącego słońca. Miałem tego popołudnia dość czasu na myślenie. Nieraz już chyba czułem przedtem, kiedy jako obcy wchodziłem do jakichś domów, obecność domowych duchów - nie mogę jednak wydobyć z mgły niepamięci, kiedy to było ani co to były za domy. Świątynia jest domem boga, który mieszka w niej - odkrywam więc serce domowi Bogini Zbóż z nadzieją, że dowiem się, czy mi ona sprzyja.

Nic się nie dzieje - a raczej czuję się tak, jakbym siedział w towarzystwie kobiety tak starej, że nie wie ona ani nie dba o to, czy jestem rzeczywistością, czy tworem jej zmaconego umysłu - cieniem, zjawą. Mucha może usiąść na skale, cóż jednak obchodzi skałę - która widziała całe wieki od tego poranka, gdy bogowie chodzili po wzgórzach - mucha, stworzenie jednoroczne.

ROZDZIAŁ XIX

W obecności bogini

Zjadłem mięso, chleb i owoce, które Io przyniosła mi z gospody, i wypilem wino. Kiedy skończyłem, rozłożyłem siennik, który mi przyniosła Hilaejra, i położyłem się, ale nie chciało mi się spać i gdy miasto uciszyło się, znów usiadłem.

Przez jakiś czas czytałem zwój - staram się zawsze mieć go przy sobie - przy blasku świętego ognia, dowiadując się, że wiele razy ukazywali mi się bogowie i boginie. Raz czy dwa razy brałem rysik do ręki, by dodać coś do opisu dzisiejszych wydarzeń. Czy można jednak wyciągnąć wnioski z tego, czego się nie rozumie? Wiem, że nie pojmuję, co zaszło, i sądzę, że lepiej poczekać, aż bogini przemówi. Siedzę więc i piszę.

Wszedł jakiś akolita. Nie zwracając na mnie uwagi i mamrocząc modlitwę, rzucił przy ognisku naręczce cedrowych polan. Upadły z głuchym dudnieniem, jakby święte ognisko było wydrążonym bębniem. Kiedy zasnąłem, to dudnienie odbijało się echem w moich snach i obudziło mnie.

W blasku ognia wyraźnie widziałem posąg. Dłoń wskazująca posadzkę, najbliższa płomieni, różowiła się w ich świetle, zdając się żarzyć, niby żelazo na kowadle. Czułem, że czegoś ode mnie żąda. Zrzuciłem z siebie płaszcz, mając nadzieję, że gdy się zbliżę, zrozumiem. Dłoń bogini była gorąca w dotknięciu, a kiedy cofałem swoją dłoń, zobaczyłem wreszcie, co wskazywała.

Część posadzki między obramowaniem świętego ognia a cokołem, na którym stała bogini, była brudniejsza niż reszta posadzki. Myślę, że sprzątający ją bali się zbliżać albo nie wolno im było tego robić. Przyklęknąłem i przejechałem końcami palców po posadzce. Dokładnie w miejscu, które wskazywała bogini, osadzony był pierścień z brązu. Zagłębienie, w którym tkwił, było ledwie widoczne i pełne brudu.

Przydałaby się Falcata, ale nie mogąc nosić jej w świątyni, zostawiłem ją w naszej gospodzie. Pozostały jednak żebra z pieczeni i, popracowawszy trochę najostrzejszym z nich, dość łatwo uniosłem pierścień. Rzuciłem zebro w ogień na dodatkową ofiarę i pociągnąłem pierścień oburącz.

Płyta uniosła się łatwiej, niż się spodziewałem. Pod nią były wąskie schody, a tuż obok nich kolumna ognia, gdyż święte ognisko nie płonęło, jak sądziłem, na poziomie

posadzki świątyni, ale pod posadzką. Zszedłem po schodach, trzymając się jak najdalej od ognia.

- Osmaliłeś sobie włosy, Latro - odezwał się kobiecy głos. - Czuję to.

Spojrzałem poprzez ogień i zobaczyłem ją, siedzącą na podwyższeniu w drugim końcu sali. Była młoda i piękna, spowita girlandami z liści i kwiatów, z kwiatów i liści były też utkane jej chiton i himation. A przecież mimo całej jej młodości i piękności, mimo barw i zapachów tylu kwiatów było w niej coś przerażającego. Kiedy zstąpiłem na posadzkę, obszedłem święty ogień, skłoniłem się nisko i spytałem, czy jest Wielką Matką.

- Nie - odpowiedziała. - Jestem jej córką. Ponieważ nie należysz do przyjaciół mojej matki, najlepiej będzie, jeśli będziesz mnie nazywał Dziewczyną.

Powiedziawszy to, podniosła się z siedziska i podeszła, stając przede mną. Choć wyglądała na kruchą i wiotką, jej oczy spoglądały na mnie z góry.

- Moja matka nie może być wszędzie - powiedziała - choć bywa w wielu miejscach jednocześnie. Tak więc, ponieważ wtykałeś nos w sprawy mego królestwa, będę mówiła z tobą w jej imieniu. - Dotknęła moich włosów, przyglądając przypalone końce. - Moja matka w każdym razie nie chce znów się z tobą spotkać. Czy nie wolisz rozmawiać ze mną, a nie z nią?

- Ależ muszę spotkać się z nią! - powiedziałem. Czytałem przedtem w zwoju, co mówił Lśniący Bóg i co wyśpiewała Pytia, i opowiedziałem o tym Dziewczynie.

- Jesteś w błędzie - odpowiedziała. - Zabójca Wilków powiedział tylko, że musisz udać się do świątyni mojej matki, nie zaś, że musisz mówić z nią. Co do Pytii, jej słowa były tylko poplątanymi słowami Zabójcy Wilków, ujętymi w złe wiersze. Oto masz ogień. Stoisz w podziemiu, chociaż nie zawsze tak było. Chciałeś mówić z moją matką, ale masz przed sobą piękniejszą niż ona i potężniejszą boginię.

- Czy mogę w takim razie prosić cię, bogini, byś mnie uleczyła i pozwoliła mi wrócić do mojego miasta i przyjaciół?

Uśmiechnęła się.

- Chcesz pamiętać, tak jak inni? - zapytała. - Jeśli tak będzie, nigdy o mnie nie zapomnisz.

- Nie chcę o tobie zapomnieć - powiedziałem, wiedziałem jednak, że to nieprawda.

- Wielu zapomina - rzekła - a przynajmniej zdaje im się, że zapomnieli. Czy wiesz, kim jestem?

Pokręciłem głową.

- Spotkałeś już mego małżonka, ale nawet on gubi się wśród oparów, które okrywają twój umysł. Jestem Królową Zmarłych.

- Tym bardziej więc nie wolno mi cię zapomnieć. Gdyby tylko ludzie wiedzieli, jak jesteś urocza, nie lękaliby się ciebie.

- Oni to wiedzą - rzekła Dziewczyna i wyplotła ze swego chitonu kwiat łubinu. - Oto masz wilczy kwiat, ty, który nosisz ślady wilczych zębów. Czy wiesz, gdzie wyrósł?

Domyśliłem się.

- Pod ziemią - odparłem.

Dziewczyna skinęła głową.

- Gdyby dziesięć tysięcy innych nie zginęło, nie byłoby tego kwiatu - powiedziała. - To umarli - drzewa i trawy, zwierzęta i ludzie - posyłają wam ludzi i zwierzęta, drzewa i trawy.

- Bogini, mówisz, że wtykałem nos w sprawy twego królestwa. Nie pamiętam tego, przywróć mi więc pamięć, a zrobię wszystko, by to naprawić.

- A co ze szkodą, którą wyrządziłeś mojej matce?

- I tego sobie nie przypominam - powiedziałem. - Żałuję jednak z całego serca.

- Ach, więc nie masz już tak sztywnego karku, jak dawniej? Gdyby to była moja sprawa, nie jej, może zrobiłabym coś dla ciebie. To jednak jej sprawa, nie moja. - Uśmiechnęła się tym niezmiernie zyczliwym uśmiechem kobiety, który nie chce zrobić tego, o co się ją prosi. - Przekażę jej twoje przeprosiny i jak najwymowniej będę cię bronić.

Myślę, że dostrzegła w moich oczach wściekłość - zanim zdałem sobie sprawę, co czuję - gdyż cofnęła się o krok, nie odwracając się.

- Nie! - Moja dłoń sięgnęła po Falcatę i zrozumiałem, czemu bogowie zabraniają nam nosić broń w świątyniach.

- Grozisz mi! Czy nie wiesz, że żaden zwykły śmiertelnik nie zdoła wyrządzić mi szkody?

- Nie! - powtórzyłem. - Nie wiem o tym. Ani też nie wiem, czy jestem zwykłym śmiertelnikiem. Może jestem, a może nie.

- Asopos pobłogosławił ciebie i twój miecz, ja jednak jestem od niego potężniejsza, a ty nie masz tu swego miecza.

- Masz słuszność - rzekłem. - Mam tylko gołe ręce. Zobaczymy, czego zdołam nimi dokonać.

- Przeciw komuś, komu należy się cześć jako bogini i szacunek - jako kobiecie!

- Nie podniosę rąk na ciebie, jeśli nie będę musiał. Bogini, Dziewczyno, nie chcę skrzywdzić ani ciebie, ani twojej matki. Przyszedłem tu jednak z nadzieją... - Nie mogłem mówić.

- Że staniesz się taki jak inni. Że znajdziesz dom i przyjaciół.

- Tak.

- Grożąc mi, narażasz się na śmierć. Będziesz potem mój, jak tyłu innych. Twoim domem będzie moje królestwo, twoimi przyjaciółmi moi niewolnicy.

- Lepsze to niż takie życie.

Salę nappełniła grobowa woń, tak silna, że przytłumiała zapach płonącego cedrowego drewna. Z posadzki podniosła się Śmierć i stanęła przy Dziewczynie. Dłoń szkieletu podtrzymywała czarny płaszcz.

- Wystarczy, że powiem: „jest twój”, a twoje życie się skończy.

- Zmierzę się z nią, jeśli będę musiał.

Uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Kiedy w końcu umrzesz - powiedziała - na pomniku napiszą: „Tu spoczywa ten, co był zuchwały wobec bogów”. Dopilnuję tego. Wolałabym nie porywać takiego bohatera zbyt wcześnie.

Śmierć znikła równie cicho, jak się pojawiła.

- Prosiłeś mnie o trzy rzeczy; dam ci jedną, możesz wybrać - którą. Czy chcesz być uleczony? Czy wrócić do przyjaciół? Czy też wolałbyś zobaczyć znów swój dom, którego nie pamiętasz? Ostrzegam, że cokolwiek wybierzesz, moja matka będzie o tym wiedzieć, a dalszych ustępstw nie będzie. Jeśli zagroźysz mi raz jeszcze, nie będziesz więcej chodził po Kraju Żyjących.

Gdy spojrzałem w jej urocze nieludzkie oczy, nie mogłem się skupić na wyborze.

- Czy mogę cię czymś poczęstować? - spytała. - Póki się będziesz namyślał, pokosztuj mego wina. Gdybyś jednak wypił go za wiele, będziesz musiał pozostać ze mną.

Byłem rad, że mogę odwlec trochę moment wyboru.

- Ależ nie zobaczyłbym wtedy, Dziewczyno, mego miasta ani moich przyjaciół!

- Wkrótce będą należeć do mnie. Ty jednak jesteś młody i dzielny, pójdź dzielić ze mną łożę, by mógł się zrodzić jeszcze większy bohater. Tam, w kolumbarium, stoi nasze wino.

Spojrzałem, gdzie wskazywała, w głąb niszy ściennej. Stała tam pokryta pyłem amfora i puchar, który musiał być pałacem jakiejś królowej pajaków. Strach zjeżył mi włosy na głowie. Spytałem:

- Co to za miejsce?

- Czyżbyś nie wiedział? Szybko zapominają ci z góry! Twoje plemię ma lepsze niż ty powody, by prosić o dar pamięci. Stoisz w megaronie króla Keleosa. Spójrz na te ściany, na których zasiada Minos, jego zwierzchni władca, namalowany, kiedy odwiedził tu Keleosa. Dziś Keleos jest poddanym moim i mojego męża, a Minos jednym z moich najwyższych sędziów. Za tobą płonie ogień, w którym moja matka chciała oczyścić syna Keleosa. Kiedy ten ogień w końcu zgaśnie, cały ten kraj stanie się naszą własnością.

Niezdolny skupić myśli, wpatrywałem się w malowidła.

- Ta sala będzie czekać na ciebie aż do końca świata, ale ja nie. Czy już wybrałeś, czy też wolisz umrzeć?

- Wybrałem - odrzekłem. - Jeżeli poproszę o dar pamięci, dowiem się, kim naprawdę jestem. Może jednak okaże się, że jestem daleko od mego miasta i moich przyjaciół. Może dowiem się, że ci, którzy pamiętają, są jeszcze bardziej niż ja nieszczęśliwi. Miasto bez wspomnień i przyjaciół będzie mi równie obce, jeżeli je wybiorę, jak to miasto Przyjścia. Wybieram więc spotkanie z przyjaciółmi. Oni mi opowiedzą o mojej przeszłości i o moim mieście. Czy dobrze wybrałem?

- Wolałabym, żebyś wybrał mnie. Wybrałeś jednak inaczej i jedna kropla więcej spadła do potoku, który niesie nas ku nicości. Twe życzenie zostanie spełnione, gdy tylko będzie to możliwe, a gdy cię porwie prąd, nie wołaj o pomoc.

Obróciła się, by odejść, ja zaś ujrzałem ją naraz jako obraz rozkładu, pełen wijących się larw i robaków. Dech mi zaparło, zdołałem jednak powiedzieć:

- Czy myślisz, Dziewczyno, że się złękne? To, co mi pokazujesz, widział każdy, kto kiedyś szedł za pługiem, a przecież błogosławimy cię za to.

Znów ukazała uśmiechniętą twarz.

- Strzeż się Auge, mej przyrodniej siostry, która wydarła mojej matce kraje południa. Pilnuj mego kwiatu - będziesz go potrzebował - mówiąc to, znikła mi z oczu.

Sala natychmiast okryła się mrokiem, choć płonął w niej ogień. Czulem, że wracają do niej setki duchów, spłoszonych obecnością bogini. Przy Minosie stał nagi mężczyzna z byczą głową. Opierał rękę na ramieniu Minosa. Światło migotało na jego muskularnej piersi i ramionach, sprawiając wrażenie ruchu. Po chwili tupnął nogą niby byk w zagrodzie.

Chwyciłem łubin, popędziłem schodami w górę i zatrzasnąłem płytę. Już miałem cisnąć łubin w ogień, gdy jego błękitne płatki zajaśniały w blasku płomieni i spostrzegłem, że to zwykły kwiat polny, świeżo rozkwitły i pokryty rosą. Zdjąłem wieniec, spleciony z takich właśnie kwiatów. Związał i wyglądał żałośnie. Cisnąłem go w płomienie, a kwiat łubinu

zawinąłem w zwój. Pomyślałem, że nie powinniśmy bez potrzeby niszczyć darów tej, którą błogosławimy.

Spisałem już wszystko, co zapamiętałem. Wspomnienia poranka, kiedy to przybyliśmy tu i spotkaliśmy się z Polihomosem, zwiędły już, tak jak mój wieniec. Próbowałem przypomnieć sobie rozmowy w gospodzie z Pindarem, Hilaejrą czy Io, ale nie pamiętałem niczego, nazwy gospody ani tego, gdzie się znajduje. Poszedłbym tam zaraz i opowiedział Pindarowi o Dziewczynie, ale z pewnością zastałbym drzwi zamknięte, gdybym nawet zdołał je odszukać. Piszę jak najmniejszymi literami, by nie marnować zwoju. Oczy kłują mnie i pieką, gdy próbuję czytać w blasku ognia. Prawie połowa powierzchni poszarzała już od mego pisma. Dziś nie będę już więcej pisał.

CZEŚĆ III

ROZDZIAŁ XX

W moim pokoju

W domu Kalleos postanowiłem pisać dalej. Przeczytałem właśnie, co ostatnio pisałem, nie wiem jednak, czy to prawda, ani nawet - ile czasu minęło, odkąd to napisałem. Czytałem, bo znalazłem dziś ten zwój, gdy wyjmowałem ze skrzyni czysty chiton i pomyślałem wtedy, że przyda mi się on, gdybym chciał coś zapisać. Najpierw napiszę, kim jestem.

Nazywam się Latro. Kalleos nazywa mnie swoim niewolnikiem. W domu jest też niewolnica - Io, zbyt mała, by ciężko pracować. Kucharz Lalos i drugi kucharz, którego imienia nie pamiętam, nie są niewolnikami. Wieczorem Kalleos zapłaciła im i wrócili do swoich domów. Mieszka tu wiele kobiet, które chyba również nie są niewolnicami i nie muszą pracować - witają tylko mężczyzn, gdy ci zajmują biesiadne łoża oraz jedzą i piją wraz z nimi. Niektóre zaczepiają mnie, zanim przyjdą mężczyźni, widać jednak, że mnie lubią i nie chcą mi robić przykrości. Kalleos płaciła im dziś rano, po śniadaniu.

Jedna z nich podeszła potem do mnie, kiedy inne poszły na rynek, mówiąc:

- Dziś wieczorem idę do Przyjścia, Latro. Czy to nie cudowne? Gdybyś też chciał iść, poproszę o to Kalleos.

Wiem, że Latro to moje imię, bo to i kilka innych rzeczy wypisano na drzwiach mego pokoju. Spytałem, czemu miałbym chcieć tam iść.

- Nie pamiętasz tego? Rzeczywiście, nie pamiętasz? - zapytała.

Pokręciłem przecząco głową.

- Nie chciałam, by Pindar wracał do domu, zostawiając cię tutaj - powiedziała smutno.

- Kalleos nie sprzedałaby cię za to, co miał, powinien jednak posłać po pieniądze, a nie jechać po nie sam.

Widziałem, że się o mnie martwi, powiedziałem jej więc, że mi tu dobrze i że mogę jeść ile chcę, kiedy skończę podawać do stołu.

- Mówiłeś, że Dziewczyna obiecała ci spotkanie z przyjaciółmi. Oby się z tym pośpieszyła.

Tak oto dowiedziałem się, że nie zawsze tu przebywałem i że gdzieś muszę mieć rodzinę i swoje rodzinne miasto. Kiedyś opiekowali się mną jakiś ogromny mężczyzna i jakaś ogromna kobieta. Pamiętam, jak pomagałem tej kobiecie wynosić odcięte pędy, kiedy mężczyzna przycinał nasze winne krzewy. Rozmawiali ze mną. Choć rozumiem wszystko, co mówią Kalleos i inni, i chociaż z nimi rozmawiam - wiem, że słowa, których używają, nie są słowami, w których zwracam się sam do siebie i w których piszę. Nie wiedziałem też, kim jest Dziewczyna, bo nie przeczytałem jeszcze zwoju, ale zanim zdążyłem o to spytać, kobieta odeszła.

Zebrałem pozostawione po śniadaniu naczynia i wyniosłem cały ich stos do kuchni. Lalos powiedział mi, jak ma na imię, kiedy wcześniej przychodziłem po jedzenie. Teraz spytał:

- Czy słyszałeś o Powroźnikach, Latro?

- Nie. Co to za jedni, ci Powroźnicy?

- To najlepsi żołnierze w świecie. Mówi się, że są niezwykłymi. Drugi kucharz wyduł wargi, naśladując odgłos puszczenia wiatrów.

- Tak mówią, nie powiedziałem, że tak jest. Tak czy inaczej cały lochos Powroźników chodzi od domu do domu, wypytując ludzi. Władze nie powinny im na to pozwalać - oto, co myślę. Oczywiście, to nasi sprzymierzeńcy, a kłopoty nie są nam potrzebne. Załóżmy, że władze się sprzeciwią, a Powroźnicy użyją siły. Kto wie, co mogłoby z tego wyniknąć, gdy tylu naszych służy gdzieś w armii czy we flocie?

- Ty wiesz - powiedział drugi kucharz. - Wiesz to i wszystko inne.

- Czy przyjdą tu? - spytałem.

- Ktoś chyba przyjdzie. Zachodzą wszędzie, zadając głupie pytania, jak choćby; co się jadło wczoraj na śniadanie.

- Więc im to powiedzmy - odezwał się drugi kucharz. - Co nam szkodzi powiedzieć Powroźnikom, co jedliśmy na śniadanie?

- Powiemy im - zgodził się Lalos.

Przyniosłem resztę naczyń, a kucharze kazali je zmywać małej Io. Na dziedzińcu leżało mnóstwo odpadków, głównie pestki i ogryzki jabłek. Kalleos powiedziała mi:

- Jestem Kalleos, twoja pani, Latro. Chcę, żebyś to posprzątał. Czy wiesz, co masz robić przy drzwiach?

Skinąłem głową i powiedziałem, że czytałem o tym na moich własnych drzwiach.

- Dobrze. Nie zapomnij pozamiatać wieczorem, kiedy wszyscy już wyjdą. To zdołasz zapamiętać, ja zaś lubię, kiedy rano jest tu czysto. I jeszcze jedno, Latro. Dziewczyny mają same dbać o swoje pokoje, choćby ci mówiły co innego - te leniwe dziewczki będą cię próbowały naciągać. Ich pokoje muszą być wysprzątane przed wieczorem. Gdybyś zauważył, że któraś nie sprząta, powiedz mi o tym.

- Powiem, pani.

- A kiedy staniesz wieczorem przy drzwiach, nie wpuszczaj żadnego pijaka, póki ci nie pokaże pieniędzy, i to srebra, a nie brązu czy miedzi. Wpuszczaj każdego, kto ma złoto. Nie pozwalaj wejść nikomu, kto biednie wygląda, wszystko jedno - trzeźwy czy pijany. I nie wyciągaj tego swojego krzywego miecza, chyba że będziesz zmuszony. Nie powinno się to zdarzyć.

- Nie, pani.

- Użyj pięści, tak jak to zrobiłeś z tym, jak mu tam było... Przyślij mi Io, kiedy skończy zmywać. Nie pozwalaj tym dwóm leniom zwałać na nią całej roboty - chcę, żeby poszła ze mną na rynek. Pomoże mi nieść parę drobiazgów - większość zamówionych rzeczy już dostarczono. Dostawcy mają zachodzić od tyłu. Nie rozmawiaj z nimi. Każ im odchodzić - kiedy już odbierzesz towar - gdyby próbowali tu węszyć. Liczę na ciebie, Latro.

Mężczyźni przyszli, kiedy zaczęło zmierzchać, w większości siwi albo łysi - za starzy, by walczyć. Wpuściłem ich i kiedy zajmowali się kobietami, spałem trochę na swoim krześle przy drzwiach, budząc się dopiero, gdy pierwsi wychodzili. Kilku zostało, śpiąc z kobietami w ich pokojach. Kiedy dziedziniec opustoszał, zaniósłem puchary i misy do kuchni, by Io mogła je rano pozmywać i przyniosłem miotłę.

Wiele lamp pogasło, a w kącie ktoś spał. Nie sposób było porządnie pozamiatać, postanowiłem jednak zrobić, co się da. Nie dziedzińcu było zresztą bardzo przyjemnie. Księżyc, najcieńszy z możliwych, wyzierał spoza chmur i wtedy pod ścianami kładły się cienie. Powietrze było łagodne i pełne woni kwiatów, które kupiła Kalleos po południu.

Zamiatałem kąt dziedzińca, w którym stały wazon z kwiatami, gdy nagle kobieca dłoń pogłaskała mnie po ramieniu. Odwróciłem się, by zobaczyć kto to, ale jej twarz kryła się w cieniu. Powiedziała:

- Pójdź, dziecię wojny! Tamto zrobisz później - albo wcale.

Wiedziałem, o co jej chodzi. Położyłem miotłę na kamiennych płytach i zacząłem szukać jej wśród kwiatów, ale nie znalazłem. Ujrzałem ją dopiero, gdy zapaliła srebrną lampę w kształcie gołębic, która wisiała nad łóżem w jej komnacie.

Nie potrafię sobie przypomnieć, czy miałem już kiedyś kobietę. Może nie miałem żadnej. Wiem tylko, że tej nocy ona była tą pierwszą - wszystkie inne wydawały się nierzeczywiste - że nasza rozkosz trwała, gdy tymczasem wznosiły się i upadały miasta, że kiedy ją obejmowałem, wiał wiosenny wietrzyk.

Moja kochanka była zarazem kobietą i dzieckiem, jej policzki pałały i całe jej ciało różowiło się w jasnym świetle, padającym z gołębiczy. Ramiona i nogi miała wysmukłe, lecz krągłe. Piersi miała małe, doskonałe, oczy - jak letnie niebo, włosy - jak ogień i jak noc, pełnie niezliczonych woni.

- Zapominasz o wszystkim - powiedziała - ale o mnie będziesz pamiętał.

Skinąłem głową, niezdolny wymówić słowa. Nie mógłbym nawet unieść dłoni.

- Jestem słodsza niż moja rywalka. Ma ona trzy oblicza, ale nie takie jak moje. Zapomnisz o niej, nigdy jednak nie zapomnisz o mnie.

- Nigdy! - Jej komnata obwieszona była szkarłatnym aksamitem, który zdawał się jarzyć w słabym świetle.

- Jestem też słodsza niż Kora, Dziewczyna. - Gorycz pojawiła się w jej głosie. - Nie tak dawno obdarzyłam swymi łaskami to biedactwo, Myrrę. Obym tego nie robiła! Jej własny ojciec pokładał się z nią i przemieniła się w drzewo, nieme stworzenie o drewnianych członkach. Urodziła mu dziecię - najpiękniejsze, jakie widział świat. Ukryłam je w skrzyni, bo moi kochankowie chcieliby z nim sypiać jak z kobietą.

Skinąłem głową, choć wolałbym, by mówiła o miłości.

- Zaufałam jej - tej niegodziwej, która sama siebie nazywa Dziewczyną, choć oplata nogami Hadesa. Otworzyła skrzynię i wykradła dziecię. Błagałam o sprawiedliwość, ona jednak przetrzymuje je przez cztery miesiące w roku. Kiedy zginął, z jego krwi wyrosły te czerwone jak krew kwiaty wśród których leżymy.

- Mógłbym tak leżeć bez końca - powiedziałem - bo każdy twój pocałunek smakuje jak pierwszy.

- Tak jednak nie będzie, mój kochany. Wkrótce - zbyt prędko - musisz odejść. Nie zapomnisz mnie jednak ani moich słów.

Potem szeptała mi do ucha, powtarzając to samo wciąż na nowo, na wiele sposobów. Nie piszę o tym, bo nie pamiętam, co mówiła. Jeśli nawet słyszałem jej słowa, zaginęły. Może jednak zapadły gdzieś we mnie, gdzie nie sięgam pamięcią. Pokazała mi złote jabłko i pokręciła gołębicą tak, by światła igrały na powierzchni jabłka.

Potem znikła, jej komnata także, ja zaś stałem oparty o miotłę pośród chłodnych murów dziedzińca. Wysoko nad głową świecił księżyc, a zarys jego sierpa oznaczał coś, czego nie rozumiałem.

Wziąłem lampę, by poszukać wśród kwiatów drzwi do jej pokoju, ale znalazłem tylko szkarłatny anemon, półotwarty, nad którym trzepotała mała, biała ćma.

Odegnąłem ją dłonią, uniosłem kwiat i wtedy wydało mi się, że kwiat się śmieje, chyba to jednak spadały krople rosy.

Kobieca dłoń dotknęła mego ramienia. Była to Kalleos. Oddech jej pachniał winem, wypitym z tamtymi mężczyźnami.

- Nie martw się o to, Latro - powiedziała. - Posprzątasz jutro, kiedy będziesz widział, co robisz. Odlóż tę miotłę i chodź ze mną. Czy wiesz, że jesteś wspaniale zbudowany?

- Dziękuję - odpowiedziałem. - Czego sobie życzysz, pani?

- Podaj mi ramię i odprowadź do moich drzwi. Na wszystkich bogów, czas mi już do łóżka i będę spała niczym chalkis. Mam w pokoju bukłak, Latro, i dam ci się napić, nim odejdziesz. To niesprawiedliwe, że musisz wciąż pracować i nie bierzesz udziału w ucztach.

Odprowadziłem ją do pokoju. Usiadła na łóżku, a skórzane pasy pod materacem skrzypnęły, jakby miały pęknąć. Powiedziała mi, gdzie wisi bukłak, i kazała napęlić puchary, a kiedy piłem, zdmuchnęła lampę.

- Kobieta w moim wieku najlepiej wygląda po ciemku - powiedziała. - Usiądź przy mnie.

Moja dłoń dotknęła jej nagiej piersi.

- Chyba wiesz, jak się obejmuje kobietę?

Nie było całkiem ciemno. Zostawiłem szparę w drzwiach i promyk światła ze srebrnej gołębiczy wkradł się przez nią, szepcząc coś - zbyt cicho, bym mógł to zrozumieć. Kalleos pozwoliła szacie opaść na biodra, mogłem więc dostrzec białe piersi i krągłość brzucha, znikającą pod ciemną tkaniną szaty. Pomyślałem, że obie powinny mną pogardzać, czułem jednak, że tak nie jest. W jakiś sposób Kalleos była nawet kobietą z anemonu, tak jak słowo napisane jest słowem wymówionym, nie zaś tylko bazgrołem na papirusie.

- Pocałuj - powiedziała - i połóż mnie.

Zrobiłem to, a potem zdjąłem jej sandały i ściągnąłem suknię z nóg.

Zdażyła usnąć, zanim to zrobiłem. Wyszedłem, zamykając drzwi za sobą, i wróciłem do pokoju, gdzie to piszę.

ROZDZIAŁ XXI

Eutaktos

Dowódca lochosu zastukał do drzwi, kiedy podawałem śniadanie. Kalleos jęknęła:

- Jestem pewna, że będą kłopoty.

Zoe, która właśnie chwaliła się wczorajszym wysokim napiwkim, powiedziała:

- Może to dobre wieści, nigdy nic nie wiadomo.

- Kiedy cię boli głowa, przedwieczorne wieści są zawsze złe. Zrozumiesz to, kiedy będziesz w moim wieku.

Stukanie stało się głośniejsze.

- Ktoś wali czymś w drzwi - rzekła Fye.

Kiedy otworzyłem drzwi, okazało się, że było to okute drzewce włócznie. Eutaktos wpełznął się do środka z pół tuzinem tarczowników. Hoplony i pancerze chroniły im brzuchy, ale hełmy mieli zsunięte na tył głowy, zdążyłem więc uderzyć jednego z nich w szyję i powalić Eutaktosa rzutem przez biodro, zanim pozostali pochylili włócznie. Cisnąłem w nich krzesłem i wyciągnąłem miecz z pochwy. Kobiety zaczęły wrzeszczeć. Eutaktos podniósł się i wyciągnął swój miecz, a Io czepiała się jego ręki, krzycząc:

- Nie zabijajcie go!

Strząsnął ją z ramienia.

- Nie zrobimy tego, chyba że sam rzuci się na włócznie. Kto tu jest właścicielem? - zapytał.

Kalleos wystąpiła naprzód z miną, jaką przybierała zawsze, gdy którejś z kobiet zebrało się na wymioty.

- Ja - odpowiedziała. - Ty zaś mówisz o zabijaniu mojego niewolnika. Zapłacisz za niego, jeśli go zabijesz. Przed miesiącem kosztował mnie dziewięć min. Mam umowę podpisaną przez jednego z naszych najpierwszych obywateli.

- Nie jesteś córką Hellena.

- Nie mówiłam, że to ja jestem obywatelką - odrzekła z godnością Kalleos. - Człowiek, o którym mówiłam, jest teraz w morzu, dowodząc eskadrą naszych okrętów. Co do mnie, nasze prawa chronią mnie jako wyzwoloną i mieszkającą tu cudzoziemkę.

Eutaktos spojrział krzywo na nią, a potem na mnie.

- Ilu tu jest mężczyzn? - zapytał.

- W tej chwili? Trzech. Czemu pytasz?

- Zawołaj pozostałych.

Kalleos wzruszyła ramionami i zwróciła się do Fye:

- Przyprowadź Lalosa i Leona.

- Ty tam! - Eutaktos wskazał mnie mieczem. - Jak się nazywa ten, kto cię sprzedał?

Mów szybko!

Pokręciłem głową.

Odezwała się Io:

- Hyperejdes, panie. Nie rób krzywdy Latro. On stracił pamięć.

Tarczownicy, którzy tręcali się łokciami, gapiąc się na kobiety, uspokoili się jak na komendę. Eutaktos opuścił miecz i ze zgrzytem wsunął go do pochwy. - Mówisz, że on stracił pamięć, dziewczynko? - zapytał. Zmieszana Io skinęła głową.

- Zaraz wszystko się wyjaśni. - Eutaktos zwrócił się do Kalleos: - Czy masz jakieś książki?

Kalleos zaprzeczyła:

- Nie. Prowadzę swoje rachunki na woskowych tabliczkach.

- Ani jednej? Czy mam przeszukać dom? To by ci się nie spodobało.

- Jest ta książka, w której pisze Latro. On o wszystkim zapomina, jak mówiła Io.

- Ach! - Eutaktos zerknął na drugiego Powroźnika i obaj uśmiechnęli się. - Przynieś ją, kobieto!?

- Nie wiem, gdzie on ją chowa.

Odezwała się Fye:

- Nie mógłbyś jej czytać, lochagu. Próbowałam, ale on pisze w jakimś barbarzyńskim języku. - Nasi dwaj kucharze, którzy przez całe rano hałasowali rondlami i kłócili się, wyglądali przy niej bardzo niepozornie. Żołnierz, którego uderzyłem, wstał, rozcierając szyję.

- On sam mi ją przeczyta - rzekł Eutaktos. - Latro, przynieś mi swoją książkę.

- Boi się, że ją zabierzesz, panie - powiedziała Io. - Nie zrobisz tego prawda?

- Nie. Czy wiesz, gdzie ona jest?

- Tak. Wiem o Latro więcej niż ktokolwiek inny - odparła.

- Więc ją przynieś. Nie skrzywdzimy ani jego, ani ciebie.

Io pobiegła do swojego pokoju i wkrótce wróciła, niosąc zwój.

- Świetnie! - rzekł Eutaktos. - A teraz...

Zastukano do drzwi. Eutaktos kazał jednemu z tarczowników zobaczyć, kto to, i odesłać go, do mnie zaś rzekł:

- To piękna książka, musi być warta parę sów. Jest chyba zbyt długa, by ją rozwinąć w rękach?

- Myślę, że tak - powiedziałem.

- Rozwiń ją więc na posadzce, chcę ją obejrzeć. Przytrzymaj ten koniec, dziewczynko.

Tarczownik wrócił od drzwi i oznajmił:

- Pilna wiadomość, lochagu. Jakiś Milezyjczyk.

Eutaktos skinął głową i żołnierz wpuścił wysokiego i bardzo chudego mężczyznę, o czarnych włosach niczym kopa siana. Nosił purpurowy płaszcz i wiele pierścieni na palcach. Rzucił spojrzenie na mnie, potem drugie na Kalleos i zwrócił się do Eutaktosa:

- Bądź błogosławiony, szlachetny wojowniku! To, z czym przychodzę, przeznaczone jest jedynie dla twoich bohaterskich uszu.

Wystąpiła uśmiechnięta Kalleos.

- Mam wygodny pokój, lochagu, gdzie będziecie mogli porozmawiać swobodnie - powiedziała. - Nie sprzątałyśmy jeszcze, ale...

- Mniejsza o to! - uciał Eutaktos. - Zaprowadź nas tam - to nie potrwa długo. Zwiń swoją książkę, Latro. Dopilnuj tego, Basjasie.

Wrócili prawie natychmiast. Powroźnik z zadowoloną miną, Milezyjczyk przygnębiony. Eutaktos zwrócił się do swoich tarczowników: - Ten człowiek przyszedł, by nam powiedzieć to, czego już dowiedzieliśmy się sami. - Do mnie zaś powiedział: - Rozwiń swoją książkę.

Zrobiłem, co kazał, a gdy doszedłem do ostatniego arkusza, znalazłem w nim zasuszony kwiat. Eutaktos przykucnął przy mnie.

- Popatrzcie na to! Czy wszyscy widzieli? - zapytał.

Tarczownicy kiwali głowami, a kilku powiedziało:

- Tak, wodzu.

- Zapamiętajcie to. Może będziecie musieli opowiedzieć o tym Pauzaniaszowi. Słyszeliście, o co pytałem. Słyszeliście, że nie umiał odpowiedzieć. Widzieliście, jak rozwinął zwój, widzieliście ten kwiat. Nie zapomnijcie o tym! - Wstał. - Chodzi o sprawy najwyższej wagi. Błąd może drogo kosztować. Odezwał się Milezyjczyk:

- Szlachetny Powroźniku, gdybyś zechciał...

- Nie zechcę. Wy, Jonowie, jesteście zwariowani na punkcie złota. Wygrywamy za was bitwy, a wy myślicie, że chodzi nam o złoto. Nie ma tu nikogo, nie wyłączając mnie, kto byłby bogatszy, niż najuboższy w tym domu.

- W takim razie... - Milezyjczyk wzruszył ramionami i skierował się do wyjścia.

- Nie tak prędko!

Dwaj tarczownicy zastąpili drogę do drzwi.

- Odejdiesz, kiedy ci pozwolę, nie wcześniej. Jeśli nie będziesz posłuszny, pożałujesz tego. Latro, pójdziesz z nami. Dziewczynka również. Jak ci na imię?

- Io - pisnęła Io.

- Kobieto! - zwrócił się Eutaktos do Kalleos. - Odwołuj się do Pauzanasza albo któregoś z naszych królów, a otrzymasz odszkodowanie. Teraz milcz! Zbyt wiele wszyscy mówicie.

- Panie - odezwałem się. - Mam tu płaszcz i kilka czystych chitonów. Czy mogę je zabrać?

- Możesz zabrać, co tylko chcesz, byleś zabrał książkę. Basjasie, idź za nim.

- Ty chyba nie zamierzasz iść z nimi, Euryklesie? - spytała Kalleos.

- Nie, oczywiście - odpowiedział Milezyjczyk.

- „Tak, oczywiście”, chciałeś powiedzieć - oświadczył Eutaktos. - Jesteś z Miletu, Milet leży w Imperium, Imperium jest naszym wrogiem, ty jesteś naszym jeńcem. Nie próbuj przeklinać albo rzucać uroki, bo poderżniemy ci gardło, zanim skończysz.

Wyszedłem z Basjasem, więc nie słyszałem, co mówiono później. Kiedy wróciłem, Io trzymała pod pachą drewnianą lalkę, a u jej stóp leżało zawiniątko. Basjas spojrzał pytająco na Eutaktosa i wskazał mój miecz.

- On tu pilnuje drzwi, lochagu - wyjaśniła Kalleos. - Latro, przechowam ci miecz, jeśli chcesz.

- Nie - rzekł Eutaktos. - Basjas go przechowaj. Pauzanasz zechce chyba mu go zwrócić.

Ulice wydawały się gorące po chłodzie dziedzińca w domu Kalleos. Trzymałem w jednej ręce swój dobytek, w drugiej dłoń Io, ona podobnie. Eutaktos szedł przed nami, przyglądając się każdemu napotkanemu mężczyźnie tak, by go zbić z tropu, i spluwając za każdym razem, gdy nowa fala miejskich odorów uderzyła w nozdrza. Milezyjczyk włókł się za nami ze skrzywioną twarzą, mruczając coś do siebie.

Basjas szedł po prawej, a po lewej i za nami kroczyli pozostali tarczownicy - wszyscy w czerwonych płaszczach, niosąc długie włócznie i wielkie hopleony z wymalowaną na nich klinowatą literą, której Czerwoni nadają nazwę „Rylec”, a która jest moim zdaniem bardzo odpowiednim godłem dla Kraju Milczenia. Wyglądali, jak czołówka nieprzyjacielskiej armii, toteż łucznicy na posterunku przy drodze wylotowej odetchnęli z ulgą, gdy ich minęliśmy.

Każdy tarczownik Powroźników rozporządza kilku niewolnikami, którzy noszą jego rzeczy, rozbijają mu namiot i przygotowują jedzenie. Ci niewolnicy kupili w mieście wino, by je mieszać z wodą - tarczownicy nie jedli jeszcze śniadania - a także surową cebulę, gotowaną kaszę jęczmienną, solone oliwki i ser. Io mówi, że o wszystkim zapominam, pamiętam, jednak, ile wina stało na stole Kalleos, kiedy odchodziliśmy, pamiętam też jej melony i figi.

Zanim zaczęliśmy jeść, Eutaktos wysłał do Myśli niewolników, by odwołali pozostałe enomotie jego lochosu. Kiedy skończyliśmy posiłek, kazał związać obóz. Spytałem Basjasa, dokąd się udajemy.

- Wracamy na Wyspę Ciemnej Twarzy - odpowiedział. - Do miejsca pobytu księcia. Chce cię zobaczyć.

Spytałem, dlaczego, ale pokręcił tylko głową.

Io powiedziała:

- Ty tego nie pamiętasz, ale żeglowaliśmy z Hyperejdesem wokół Wyspy Ciemnej Twarzy. Wyglądała jak pustynia - na wybrzeżu było tylko kilka wiosek.

Basjas skinął głową.

- Zbyt wielu piratów. Wieżowe Wzgórze handluje za nas.

Milezyjczyk, który podszedł, by posłuchać, zauważył:

- I na tym się bogaci.

- To ich sprawa. - Basjas odwrócił się i odszedł.

- Dziwni z nich ludzie, nieprawdaż? - rzekł Milezyjczyk. - Wiem, Latro, że mnie nie poznajesz. Jestem Eurykles, nekromanta. Przyświecałeś mi pochodnią, kiedy niedawno dokonywałem jednego z największych cudów.

- Przyszedłeś do Kalleos na ucztę Hyperejdesa - powiedziała Io. - Mówiła mi o tym Roda.

Eurykles potwierdził, po czym dodał:

- Widzisz więc, że jestem dobrym znajomym Kalleos, a Kalleos jest prawną właścicielką Latro.

- Nie jest! - krzyknęła Io.

Spojrzał na nią krzywo. Należy on do tych, którzy potrafią unieść jedną brew wyżej niż drugą.

- Latro jest wolnym człowiekiem, a ja jestem jego niewolnicą - powiedziała. - Kalleos nie ma dowodu, że mnie kupiła.

- Nie ma go też Latro, jak sądzę. To zresztą bez znaczenia. Nawiasem mówiąc, nie rozmawiajcie z Powroźnikami o kupnie i sprzedaży. Na całym świecie handel cieszy się

poważaniem, a kradzież nie, ale u Powroźników jest akurat odwrotnie. Pochwała się kradzież - o ile cię nie przyłapano, ale uprawianie handlu rzuca cię na twoje imię, jakbyś prowadził stragan na targowisku.

- Nie lubisz ich - powiedziałem.

- Nikt ich nie lubi. Niektórzy ich podziwiają, a jeszcze inni prawie ubóstwiają, ale nikt ich nie lubi. Sądząc z tego, co dziś widziałem, oni sami nie lubią się nawzajem.

Io spytała, czy był na Wyspie Ciemnej Twarzy.

Eurykles zaprzeczył.

- Nie ma tam pieniędzy - powiedział. - Ani odrobiny, poza Wieżowym Wzgórzem na przesmyku. Nic, tylko bób i krew - i jęczmień. Widzieliście, jak mnie potraktował Eutaktos, kiedy przyszedłem do niego z cenną informacją? Uwięził mnie. Dowódca z każdego porządnego miasta napełniłby mi usta srebrem!

- Przyszedłeś powiedzieć Powroźnikom o mnie.

- Tak, po to. To było chyba dość sprytne. Słyszałem, że Powroźnicy chodzą po mieście i zadają różne głupie pytania, nie zwracając uwagi na odpowiedź. Kiedy pytali, gdzie się jadło obiad, większość pytanych musiała odpowiedzieć, że w domu, paru - że u przyjaciół, a jeden czy dwóch - że w gospodzie albo w garkuchni. Dla nich jednak zdawało się nie mieć znaczenia, co się odpowiedziało. Kiedy wysłuchałem z pół tuzina podobnych opowieści, zaświtało mi, że szukają człowieka, który nie wie, gdzie jadł wczoraj obiad. Musiało im chodzić o ciebie.

- Co złego zrobił ci mój pan, człowieku? - spytała Io. Eurykles wyszczerzył zęby.

- Ależ nic - powiedział. - Nie myślałem jednak, by go chcieli skrzywdzić, i nadal tak nie myślę. Sądząc z tego, co mówił Eutaktos, Pauzanasz chce go przyjąć z honorami. Przy tym i tak by go znaleźli, prędzej czy później - ja się właściwie spóźniłem - a może coś bym z tego miał.

- Chyba nie chcesz być więźniem?

- Zgadza się, ale to ich niewdzięczność mnie boli. Gdybym chciał odejść, wystarczyłoby mi uczynić się niewidzialnym.

Zaraz potem opuścili miasto ostatni Powroźnicy i odeszliśmy. Za każdym tarczownikiem maszerowali jego niewolnicy, niosąc mu hoplon, hełm, włócznię i resztę dobytku. Io, Eurykles i ja szliśmy za Eutaktosem, jak poprzednio. Obozujemy teraz przy źródle. Io przypomniała mi, że powinienem zapisać, co się dziś wydarzyło, zanim zasnę. Z rozstajów dróg kiwa na mnie jakaś kobieta, trzymająca dwie pochodnie. Są przy niej dwa ogary. Kiedy skończę pisać, pójdę dowiedzieć się, czego chce.

ROZDZIAŁ XXII

Kobieta na rozstajach

Mroczna Matka przeraziła mnie. Chociaż odeszła, lęk pozostał. Nie sądziłem, że jakaś kobieta mogłaby mnie przestraszyć, choćby mi przyłożyła nóż do gardła, ale Mroczna Matka nie jest zwykłą kobietą. Kiedy odszedłem od ogniska, by z nią mówić, nie wydawała się być czymś więcej niż kobietą, jaką można zobaczyć w każdej wiosce. Miała ciemne oczy, czarne włosy przepasane wstążką. Sięgała mi zaledwie do ramienia. W dłoniach trzymała pochodnie, które dymiły, wysyłając czarne kolumny w nocne niebo. Jej psy także były czarne i bardzo wielkie - takich chyba używają królowie do polowań na lwy, choć nie pamiętam, czy widziałem kiedyś takie polowanie. Pyski ich sięgały jej do łokcia, a uszy podnosiły się czasem niby uszy wilków. Ich biała ślina świeciła nawet na ziemi.

- Nie poznajesz mnie - powiedziała Mroczna Matka - chociaż oglądasz mnie co noc.

Kiedy usłyszałem jej głos, zrozumiałem, że stoję przed królową i pokłoniłem się jej.

- Moje psy mogą rozszarpać cię na strzępy. Czy myślisz, że mógłbyś się obronić?

- Nie, wielka pani - powiedziałem - bo są twoje.

Zaśmiała się, a na dźwięk jej śmiechu jakieś stworzenia poruszyły się wśród drzew.

- Dobra odpowiedź - stwierdziła. - Nie nazywaj mnie jednak panią, słowo to oznacza panią² ziemi, ona zaś jest moją nieprzyjaciółką. Jestem Enodia, Mroczna Matka.

- Tak, Mroczna Matko.

- Czy zapomnisz o mnie, gdy już nie będziesz mnie oglądał?

- Będę się starał nie zapomnieć, Mroczna Matko.

Znów się zaśmiała, a poruszenie pośród drzew świadczyło, że czające się tam stworzenia są blisko i że dałoby się je dostrzec.

- Jestem patronką trucizn, Latro, morderstw, duchów, zaklęć przynoszących śmierć. Jestem królową Neurów i jest nas trzy. Czy to rozumiesz?

- Tak, Mroczna Matko - powiedziałem. - Nie, Mroczna Matko.

- Mijałeś dziś wiele gospodarstw. Musiałeś widzieć mój wizerunek wycięty w drewnie lub w kamieniu - trzy kobiety stojące plecami do siebie.

² Latro użył prawdopodobnie słowa *despoina*. G.W.

- Tak, Mroczna Matko - powiedziałem. - Widziałem ten wizerunek. Nie wiedziałem, co oznacza. - Zęby mi szczękały, górne o dolne.

- Nie pamiętasz tego, często jednak patrzyłeś na księżyc i widziałeś mnie, tak jak ja widziałam ciebie. Raz, kiedy usłyszałam o kimś zwanym Bogiem-Drzewem, przybyłam szukając go, ale przekonałam się, że nie był tym, kogo szukałam. Stałeś wtedy w wodzie. Czy pamiętasz, jak wtedy wyglądałam?

Nie mogłem mówić. Pokręciłem przecząco głową. Jak znika ciemność, gdy księżyc wychodzi spoza chmury, tak i ona znikła. Na jej miejscu stała urocza dziewczica, którą widziałem nad jeziorem po nocy spędzonej z Hilaejrą.

- Teraz sobie mnie przypominasz - powiedziała dziewczica i uśmiechnęła się. - Ziemia jest potężniejsza, ale jej tu nie ma, a ja jestem. - Trzymała w ręku łuk, tak jak ją zapamiętałem, a siedem strzał zatknęła za pasek, ściskający ją w stanie. Ogary Mrocznej Matki łąsiły się do niej.

- Tak - powiedziałem. - Przypominam sobie. Ach, dzięki ci! - przykląknęłam i ucałowałam jej stopę, gdyby ogary nie szczyrzyły na mnie zębów.

- Nie darzę cię przyjaźnią, chyba tylko jako nieprzyjaciela moich nieprzyjaciół, a gdy odejdę - znów zapomnisz o mnie.

- Więc nie odchodź - prosiłem - albo weź mnie z sobą.

- Nie mogę zostać, ty zaś nie możesz pójść tam, dokąd idę. Przyszłam tu jednak, by ci powiedzieć, dokąd się udajesz. To mój kraj, rozumiesz? Nazywaj mnie odtąd Łowczynią, bo tak mnie tu nazywają, a także Auge.

- Tak, Łowczyni.

- Kiedyś należał do Gai. Wysłałam swoich ludzi - i zajęli go dla mnie, obalając jej ołtarze.

- Tak, Łowczyni.

- Nie próbuj tego zmienić, że zaś o wszystkim zapominasz, wyślę z tobą niewolnika, by ci o tym przypominał. Na szczęście, jest przy tobie ktoś, kto przysiągł mi służyć, należy do mnie i zrobi, co zechcę.

- Ja także, Łowczyni.

- Niezupełnie, wiem jednak, że masz dobre zamiary. Spójrz! - Wyciągnęła dłoń, na której wił się wężyk, nie dłuższy niż mój palec. - Weź go i schowaj.

Wziąłem, nie miałem jednak gdzie go schować, trzymałem więc w ręce. W chwilę potem znikł. Ręka była pusta.

- Świetnie. Przy tej drodze jest gospodarstwo. - Łowczyni wskazała łukiem. - To blisko, nie obawiaj się przy tym, że obudzi się tarczownik, który trzyma straż. Pójdiesz tam i każesz mieszkańcom, by ci dali bukłak wina i kubek. Kiedy spotkasz potem kogoś, kto mi służy, daj mu się napić, a do kubka wrzuć mego węża. Zrozumiałeś?

- Zgubiłem twego węża, Łowczyni - powiedziałem.

- Znajdziesz go, kiedy przyjdzie czas. Idź już. Wyślę przodem moje psy, by obudziły mieszkańców.

Ledwie to powiedziała, psy odbiegły od niej. Przez mgnienie oka widziałem, jak gnały wzdłuż wskazanej przez nią drogi, potem znikły. Odwróciłem się i poszedłem za nimi, jak chciała dziewica. Po przejściu jakichś pięćdziesięciu kroków chęć ujrzenia jej raz jeszcze wzięła górę i spojrzałem przez ramię. Obym tego nie zrobił! Znikła. Na jej miejscu stała Mroczna Matka, trzymając swoje pochodnie; wstęgi mgły i ciemności, jakieś bezkształtne stwory porzuciły drzewa, by się do niej zbliżyć. Ktoś wrzasnął, a ja zacząłem biec, nie umiałbym jednak powiedzieć, czy biegłem, by służyć Mrocznej Matce, czy też, by od niej uciec. Dom wyglądał jak setki innych - z nie wypalanej cegły, kryty strzechą. Niski murek z żerdzi i gliny otaczał podwórze. Brama była wyłamana, wszedłem więc bez trudu. Wewnątrz leżał obalony drewniany posążek trzech kobiet, ołtarze jednak po obu stronach drzwi były nietknięte. Drzwi były całe, ale gdy się do nich zbliżyłem, wybiegł z nich jakiś mężczyzna z wytrzeszczonymi oczami. Zderzyłby się ze mną, jak jeździec zderza się koniem z drugim jeźdźcem, gdybym go nie pochwycił w porę.

- Czy jesteś głową tego domu? - spytałem.

- Tak - odpowiedział.

- Chyba zdołam odwrócić klątwę, musisz mi jednak dać bukłak wina i kubek.

Otworzył usta, z których pewnie toczyłaby się piana, gdyby nie były wyschnięte. Wrzask wewnątrz domu ustał, słychać było tylko szloch dziecka.

- Daj mi to wino - powiedziałem.

Bez słowa odwrócił się i wszedł do środka, a ja za nim. Jego żona podeszła do niego, naga i rozszlochana, z twarzą wykrzywioną strachem i bólem. Próbowwała mówić, ale z ust jej wydierały się jedynie jęki bólu i strachu. Odepchnął ją na bok. Ujrzała mnie i przypadła do mnie, szukając schronienia, a ja objąłem ją ramieniem. Mężczyzna wrócił z bukłakiem i glinianym kubkiem bez polewy.

- Wino jest dwuletnie - powiedział. Nie był starszy ode mnie, chyba młodszy.

Powiedziałem mu, żeby zajął się żoną i wyszedłem. Ustawiłem na miejscu wizerunek, wlałem trochę wina do kubka i przed każdą z trzech postaci strząsałem po kilka kropel,

przyzywając Mroczną Matkę, Łowczynię i Księżyc. Nim jeszcze skończyłem, dom zaległa cisza, a wśród drzew odezwała się sowa.

Gospodarz i jego żona wyszli do mnie. Ona miała na sobie suknię i prowadziła za rękę dziewczynkę młodszą niż Io. Zapewniłem ich, że nie będą już niepokojeni. Dziękowali mi po wielokroć, on zaś przyniósł lampę, drugi bukłak i kubki, takie same jak ten, który dał mi przedtem. Piliśmy wszyscy nie rozcieńczone wino. Dziewczynka popijała z kubka matki, „na dobry sen” - jak powiedziała matka. Spytałem ich, co widzieli. Dziewczynka umiała tylko powiedzieć, że było to jakieś złe stworzenie. Nie wypytywałem jej, widząc, że się boi. Kobieta mówiła, że usiadła jej na piersi jakaś wiedźma o płonących oczach i unieruchomiła ją zaklęciem, nie dając oddychać. Mężczyzna mówił o skrzydlatej istocie - nie był to ani ptak, ani nietoperz - która latała za nim z izby do izby. Spytałem, czy któreś z nich widziało jakiegoś psa. Powiedzieli, że mają własnego i że słyszeli jego szczekanie. Poszli zajrzeć do jego budy za domem i znaleźli go martwego, bez żadnych obrażeń. Był już stary, pysk miał posiwiały. Mężczyzna pytał, czy jestem arcymagiem. Powiedziałem, że tylko na tę noc.

Kiedy wracałem z tego gospodarstwa, ujrzałem jakąś postać na rozstajach i wiele małych światełek, choć Mroczna Matka znikła już ze swymi pochodniami. Był to Milezyjczyk, który poderwał się przestraszony odgłosem kroków, ale gdy rozpoznał moją twarz, uspokoił się.

- Latro! - wykrzyknął. - Chociaż jeden nie śpi poza mną! Czy wiesz, że Powroźnicy nie wystawili nawet warty? Ufają ci.

Spytałem go, co robi.

- To tylko mała ofiara dla Potrójnej Bogini. Rozstaje takie jak te, bez żadnego domu w zasięgu wzroku, są jej poświęcone, a bezksiężycowe noce to najlepsza pora. Nie podziękowałem jej należycie za wielką łaskę okazaną mi w mieście. Byłeś tam i widziałeś, co za szkoda, że tego nie pamiętasz! W każdym razie jest okazja, by to zrobić. A jeszcze przybłąkał się do mnie ten towarzysz. - Wskazał ofiarę, czarne szczenię. - Wiedziałem, że to nie przypadek.

- Jeżeli nie skończyłeś...

- Ależ skończyłem. Mówiłem ostatnie słowa, kiedy usłyszałem twoje kroki. - Przyklął i pozbierał błyszczące przedmioty, które tworzyły krąg wokół szczenięcia, a potem spojrzął znacząco na bukłak. - Widzę, że kupowałeś wino u chłopów.

Skinąłem głową i spytałem, czy on sam jest czcicielem Potrójnej Bogini.

- Tak, rzeczywiście jestem. Od dzieciństwa. Ona daje swym czcicielom wszystko, o co proszą - nawet stary Hezjod mówi o tym w swoich wierszach, chociaż jego rodacy zdają się na to nie zważać. Przyznaję, że jej sposoby bywają dziwne.

Zrozumiałem, że to o nim mówiła Łowczyni. Rozwiązałem rzemienie bukłaka i nalałem wina do kubka.

- O co ją prosiłeś? - zapytałem.

- O władzę, oczywiście. Złoto jest tylko jednym ze sposobów jej zdobycia, i to nie najlepszym. Co do kobiet, miałem ich dość i przekonałem się, że wolę chłopców.

Aby coś powiedzieć, zauważyłem:

- Władza daje wszystko inne. Królom nie brak niczego.

- Oczywiście. Prawdziwa władza jednak nie jest z tego świata, ale z tego wyższego - dar przyzywania zmarłych i wywoływania duchów, wiedza o rzeczach niewidzialnych.

Upiłem z kubka, a gdy go opuszczałem, poczułem że wężyk porusza się w dłoni, którą trzymałem bukłak. Dolewając do kubka, wpuściłem tam wężyka. Milezyjczyk opróżnił kubek jednym haustem.

- Dzięki! - powiedział. - Jestem twoim dłużnikiem, Latro. - Otarł usta wierzchem dłoni. - Wprowadziłbym cię w tajemnice bogini, ale ty o wszystkim zapominasz, a tego nie wolno zapisywać.

Ramię w ramię doszliśmy do namiotów Powroźników. Ja spałem w namiocie Basjasa, nie wiem, z kim spał Milezyjczyk. Spytał, czy możemy wypić jeszcze po kubku przed snem. Powiedziałem, że mam dość, ale chętnie mu naleję. Wypił i życzył mi dobrej nocy. Usiłowałem życzyć mu tego samego, ale słowa uwięzły mi w gardle.

- Eurykles - odpowiedział, sądząc, że zapomniałem jego imienia.

- Tak, Eurykles - powiedziałem. - Powodzenia, Euryklesie. Dobrze służysz swojej bogini.

Uśmiechnął się i pomachał mi ręką, zanim wszedł do jednego z namiotów. Położyłem się i po długim czasie zasnąłem. Teraz niebo się rozjaśnia i niedługo zapomniabym o tym, co się zdarzyło wieczorem, myślę więc, że najlepiej będzie to zapisać.

ROZDZIAŁ XXIII

W miasteczku

Piszę to na dziedzińcu gospody. Eutaktosowi tak było śpieszno opuścić Myśl, że nie kupił żywności na drogę powrotną na Wyspę Ciemnej Twarzy. Liczył, jak sędzę, że taniej ją kupi za miastem - i i miał chyba rację. W każdym razie zatrzymaliśmy się tu, Eutaktos zaś z kilku innymi targuje się o żywność na rynku. Chociaż nie pamiętam, jak się znalazłem wśród Powroźników, nie zapomniałem jeszcze, co się zdarzyło wieczorem - piszę więc o tym.

Kiedy się tu zatrzymaliśmy, przyszedł do mnie Milezyjczyk.

- Chodźmy poszukać jakiejś winiarni - powiedział. - Jestem ci winien poczęstunek za ubiegły wieczór. - Udawałem, że o niczym nie pamiętam, nalegał jednak, bym poszedł, mówiąc: - Basjas może iść z nami. Nikt wtedy nie powie, że próbowaliśmy się wymknąć.

Wkrótce też siedzieliśmy wygodnie, Milezyjczyk, Basjas, Io i ja, w cieniu, przy stole, na którym stał dzban starego wina i drugi z zimną wodą ze studni, a każde z nas miało przed sobą kubek.

- Jak wiesz, rozmawialiśmy wieczorem o Potrójnej Bogini - zwrócił się do mnie Milezyjczyk. - Mam nadzieję, że to pamiętasz. Wspomnienie jeszcze się chyba nie zatarło?

- Nie. Pamiętam, jak obozowaliśmy pod tym miasteczkiem zeszłego wieczoru i wszystko, co się zdarzyło później.

- Tak czy inaczej, gdzie jesteście? - spytała Io. - Czy daleko stąd do Przyjścia?

- Jesteśmy w Acharnach - powiedział Milezyjczyk - o jakieś pięćdziesiąt stadiów od Przyjścia, gdzie będziemy mieć następny postój. Gdybyśmy szli Świętą Drogą, byłoby bliżej, chyba jednak Eutaktos nie chciał, by mu zarzucono brak pobożności. - Spojrzał na Basjasa, ale Powroźnik wzruszył ramionami i podniósł kubek do ust.

- Byłam już kiedyś w Przyjściu - powiedziała Milezyjczykowi Io. - Z Latro, Pindarem i Hilaejrą. Latro spał w świątyni.

- Naprawdę? Czy się czegoś dowiedział?

- Tego, że bogini połączy go wkrótce z przyjaciółmi.

Poprosiłem Io, by mi o tym opowiedziała.

- Niewiele mi powiedziałaś, więc niewiele wiem. Pindarowi powiedziałaś chyba więcej niż mnie, a zapisałaś prawdopodobnie więcej, niż powiedziałaś Pindarowi. Mnie powiedziałaś jedynie, że widziałaś boginię i że dała ci jakiś kwiat, i obiecała, że wkrótce

zobaczysz przyjaciół. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi - Hilaejra, Pindar i ja, chyba jednak nie chodziło jej o nas. Miała zapewne na myśli przyjaciół, z którymi rozłączyłeś się, gdy zostałeś ranny.

Basjas popatrzył na mnie z uwagą.

- Dała ci kwiat we śnie? - zapytał.

- Nie wiem.

- Powiedział tylko, że mu go dała - stwierdziła Io.

Milezyjczyk puścił sowę w wirowy ruch po stole, jakby rzucał losy.

- Z boginiami nigdy nic nie wiadomo - powiedział. - Z bogami tak samo. Może sen, w którym zjawia się bogini, jest prawdziwszy niż jawa. Bogini może to sprawić. Oto, kim chciałbym zostać!

- Boginią? - zdziwiłem się.

- Albo bogiem, to obojętne. Chciałbym znaleźć jakiś zakątek, przekonać mieszkańców o swojej potędze i kazać im zbudować mi świątynię.

- Powinieneś dolewać więcej wody do wina - powiedział Basjas.

Milezyjczyk uśmiechnął się.

- Chyba masz rację. - przyznał.

- Picie nie rozcieńczonego wina wpędza w obłąd, to wiadoma rzecz. Tak piją Skolotowie i wszyscy z nich są szaleni - dodał Basjas.

- Słyszałem jednak, że na waszych wybrzeżach mieszkańcy wiosk czczą morskich bogów, o których zapomniał świat. - Stwierdził przekornie Milezyjczyk.

- Kogo obchodzi, co robią niewolnicy albo jakich mają bogów? - odparł Basjas i wypił wino do dna.

- Na okręcie Hyperejdesa było z nami czterech Skolotów - powiedziała Io. - Jeden z nich oddalił się tej nocy, kiedy zginął żeglarz, i nigdy nie wrócił.

- A nie mówiłem? - podjął skwapliwie Basjas.

Milezyjczyk zakręcił znów monetą.

- Nie wszyscy z nich są Synami Skolota - powiedział. - Niektórzy to Neurowie. Jakiś Neur był niedawno w mieście.

- Co to za jedni? Nigdy o nich nie słyszałem.

- To sąsiedzi Skolotów od wschodu. Z wyglądu i obyczajów bardzo ich przypominają.

Basjas dolał sobie wina.

- Więc kogo to obchodzi? - zapytał.

- Jest tylko jedna różnica. Mogą się przemieniać w wilki. Przemieniają się w każdym razie. Niektórzy mówią, że mają nad tym władzę. - Milezyjczyk zniżył głos. - Ty, Latro, nie pamiętasz, jak wskrzesiłem z martwych kobietę, ale to jeden z nich otworzył jej grób. Miałem zamiar wywołać jedynie ducha, ale kiedy zobaczyłem tę rozbitą trumnę... Nie mogłem zmarnować takiej okazji.

Gospodarz, który wylegiwał się nie opodal pod ścianą, podszedł, nie śpiesząc się, by się przyłączyć do rozmowy.

- Słyszałem niechcący to, co mówiliście o ludziach zmieniających się w wilki - powiedział. - Czy wiecie, że coś dziwnego zdarzyło się zeszłej nocy właśnie tu, w Acharnach? Pewna rodzina spokojnie sobie spała i nagle, jak grom z jasnego nieba, zjawili się... nie wiem, jak ich nazwać. Ludzie mówią sobie w żartach o Mormo i Sabaktesie, ale to nie były żarty, chociaż nie wypisali swoich imion na ścianach.

- Przypuszczam, że znikli o świcie - powiedział Milezyjczyk. - Chciałbym tu zostać jeszcze przez jeden dzień, żeby wypędzić te demony. W tej dziedzinie jestem sławny, i to nie tylko na tym świecie, choć nie powinienem tego mówić. Obawiam się jednak, że szlachetny Eutaktos każe nam maszerować zaraz po śniadaniu.

- Tamtych już nie ma - powiedział właściciel gospody. - Nie rozmawiałem sam z tą rodziną, ale znam ludzi, którzy z nimi rozmawiali. Jakiś człowiek podszedł do drzwi właśnie wtedy, kiedy uciekali. Powiedział, że wszystko naprawi, jeżeli dostanie bukłak wina. Dostał go, a potem ustawił na miejscu obalony posąg trzech bogiń i odprawił libację na ich cześć. Kiedy tylko to zrobił, tamci znikli. - Gospodarz przerwał, przyglądając się naszym twarzom. - To był wysoki mężczyzna - tak mówili - z blizną na głowie.

Milezyjczyk ziewnął.

- A co się stało z winem? Chyba nie wylał wszystkiego? - zapytał.

- O, zatrzymał je - odparł gospodarz. - Niektórzy mówią, że wywołał tamtych, kimkolwiek byli, tylko po to, żeby je dostać. Moim zdaniem, jak na kogoś, kto mógł zrobić coś takiego, zażądał niewiele.

- I ja tak sądzę - wycedził Milezyjczyk, kiedy gospodarz oddalił się. Zakręcił sową po stole, jak poprzednio. - Wszystko zależy od tego, komu zdarzają się cuda, czyż nie? Kiedy wskrzesiłem tę umarłą w mieście, miałem dość rozsądku, żeby ją zaprowadzić do kilku bogatych protektorów, jeszcze przed świtem. Większość z nich, to nie byli moi protektorzy, dopóki jej nie zobaczyli. Zostali nimi potem. Niektórzy gardzą jednak bogactwem. Ja do nich należę.

- Mówiłeś jednak co innego - rzekł Basjas.

- Czy masz jakieś pieniądze?
- Myślałem, że to ty zapraszasz!
- Ależ tak. Pytam po prostu, czy coś masz.
- Parę oboli.

- Wyrzucić je zatem. Tam, dokąd się udajemy, nie będzie z nich pożytku, tak mi przynajmniej mówiono. Rzuć je w piach, tutaj. Jestem pewien, że gospodarz będzie szczęśliwy, gdy je znajdzie.

Basjas rzucił Milezyjczykowi kąśliwe spojrzenie, ale milczał.

- A widzisz, nie gardzisz pieniędzmi. Ja też nie. Bogactwo jest nudne, głupie i aroganckie, jedyną jego dobrą stroną są pieniądze. Pieniądze to urocza rzecz. Popatrz tylko na to. - Podniósł sowę. - Widzisz jak błyszczy? Na jednej stronie Pani Myśli; kobiecość, na stronie odwrotnej sowa; zasada męska. Pieniądz daje do myślenia.

- Czy wiesz, co zrobił Pauzaniusz po bitwie pod Gliną? - spytał Basjas.

Milezyjczyk miał znudzoną minę, ale Io pisnęła:

- Opowiedz!

- Kiedy zabiliśmy Mardoniosa i zdobyli jego obóz, Pauzaniusz kazał jego kucharzom podać obiad tak, jakby dla Mardoniosa. Zwołał wszystkich naszych dowódców, by im to pokazać. Ja tam nie byłem, ale opowiadał mi Eutaktos. Pauzaniusz powiedział: „Patrzcie na bogactwo tych, którzy przyszedli zakosztować naszej biedy!”

- Święta prawda. - Milezyjczyk skinął głową, wciąż puszczając w ruch monetę. - Według naszych miar, bogactwo Imperium jest nie do obliczenia. Nawiasem mówiąc, imię Mardoniosa brzmi właściwie Mardunija, to znaczy „wojownik”.

- Nie mógłbym tego wymówić, nie wykręcając sobie ust - rzekł Basjas.

- Musisz się nauczyć wykręcać sobie usta, jeżeli chcesz się wzbogacić, wyzwalając azjatyckie miasta pod wodzą Pauzaniusza.

- Kto mówi, że chcę?

- Ależ nikt. Powiedziałem „jeżeli”.

- Za dużo mówisz, Euryklesie.

- Wiem, wiem. - Milezyjczyk wstał. - Wybaczcie, przyjaciele. Muszę... gdzie to się robi? Chyba z tyłu.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, potem Basjas rzekł:

- Chętnie bym z nim poszedł.

Spytałem, czemu tego nie zrobił.

- Powinienem zostać z tobą. Chciałbym go jednak zobaczyć bez tych wszystkich szat.

A ty, czy go widziałeś?

- Nago? Nie pamiętam.

Io odezwała się:

- Ja też nie widziałam i nie chcę widzieć. Za mała na to jestem.

Basjas wyszczerzył do niej zęby.

- W każdym razie wiesz o tym - powiedział. - Co druga nie wie. Gdybyś zmieniła zdanie, mogę cię tego nauczyć.

- A ja mogę cię za to zabić - powiedziałem.

- Możesz spróbować, barbarzyńco - to chciałeś powiedzieć.

- Latro nie jest barbarzyńcą - powiedziała Io. - Mówi równie dobrze jak ty. Nawet lepiej.

- Mówi, tak, ale czy zna zapasy?

- Widziałeś, jak powalił waszego lochaga.

Basjas znów wyszczerzył zęby.

- Widziałem i byłem zdumiony - odparł. - Zmierzymy się, barbarzyńco? - Wypił do dna. - Zasady jak w Olimpii - nie wolno uderzać ani kopać, ani chwycić poniżej pasa.

Wstałem i zdjąłem chiton. Basjas położył swój pas z mieczem na stole i zdjął pancerz, a potem ściągnął chiton przez głowę. Nie wiadomo skąd pojawił się gospodarz w asyście pół tuzina próżniaków.

- To tylko przyjacielska próba sił - powiedział Basjas.

Był niższy ode mnie o dłoń, ale nieco cięższy. Kiedy wyciągnął do mnie ramię, miałem wrażenie, że chwytam konar dębu. W chwilę później chwycił mnie w pól, a w następnej chwili leżałem w piasku na grzbiecie.

- To było łatwe - powiedział Basjas. - Czy nikt cię nie uczył?

- Nie wiem - odpowiedziałem.

- To była pierwsza runda. Przegrywasz po trzech. Spróbujemy? Zanurzyłem spocone dłonie w piasku. Tym razem uniósł mnie nad głowę. - Gdybym chciał cię zranić, barbarzyńco, rzuciłbym cię na stół. Szkoda byłoby zresztą wina.

Dziedziniec gospody zawirował, aż znalazł się tam, gdzie powinno być niebo, a potem Basjas pacnął mnie, jak człowiek muchę.

- Druga runda dla mnie.

Wstyd wyciskał mi łzy z oczu, otarłem je wierzchem dłoni. Jeden z próżniaków powiedział do gospodarza:

- Biorę mojego obola. Szkoda czasu.

Io mówiła do próżniaka:

- Stawiam obola - a ja tymczasem ukląknę.

- Zakład z dzieciakiem? Pokaż pieniądze. W porządku, ale gdyby nawet był Heraklesem, postępujesz głupio.

Konar dębu, o którym myślałem chwilę wcześniej, pojawił się przed moimi oczami.

- Nie mogę ci pomóc wstać - zagrzemiał olbrzymi mężczyzna, który go trzymał. - To niezgodne z przepisami. Nie jest jednak wbrew przepisom wykorzystanie czasu na wstanie, zrób to więc.

Postawiłem stopę i klęcząc na kolanie, ocierałem czoło.

- Pokonał cię, gdy cię podniósł, tak jak ja pokonałem Anteusza. Musisz go cały czas trzymać. Nie podniesie sam siebie - powiedział mężczyzna.

Kiedy Basjas wyciągnął do mnie ramię, zwarłem się z nim, chwytając go pod ramiona, gdy chwycił mnie w pasie.

- Będzie cię próbował przegiąć - powiedział mężczyzna z maczugą. - Wykręcaj się i ściskaj go. Każdy mięsień w twym ramieniu to kawałek niewyprawnej skóry, suszonej na słońcu. Słyszysz, jak mu trzeszcza żebra? Wciśnij mu w szyję ten twój kanciasty podbródek.

Upadliśmy razem. Basjas rzekł, kiedy z niego wstałem:

- Uczysz się. Runda dla ciebie. Tym razem ty podajesz ramię.

Obróciłem go do góry nogami i przekonałem się, że dolne żebra ma słabsze niż górne. Jego ramiona nie były już tak twarde jak przedtem. Trzymając go jedną ręką w pasie, a drugą za ramię, zdołałem podnieść go nad głowę.

- Nie rzuciłeś mnie na stół - powiedziałem - więc i ja cię nie rzucę.

Olbrzymi mężczyzna z maczugą wskazał próżniaka, który założył się z Io.

- W porządku - powiedziałem i zwałem tamtego z nóg ciałem Basjasa.

Milezyjczyk bił brawo, walał kubkiem w stół.

- Dobrze! - szepnął olbrzym. - Teraz pozwól mu wygrać.

ROZDZIAŁ XXIV

Dlaczego przegrałeś?

Tak pytała spojrzeniem Io, kiedy siedziałem, pisząc.

- Nie wiem - odpowiedziałem. A potem, rozmyślając o człowieku z maczugą i o tym, co powiedział, spytałem: - Czy myślisz, że byłoby lepiej, gdybym wygrał? Chyba nie byłoby to uczciwe. Załóżmy, że Basjas rzucił mną o ten stół. Mógłby to być koniec zawodów.

Wyszedł właśnie z gospody. Zranione ramię było posmarowane jakąś maścią.

- Czy zostało jeszcze trochę wina? - zapytał.

Io przechyliła dzban i zajrzała do środka.

- Prawie pół dzbana - powiedziała.

- Zrobię z tego użytek. Twój pan jest mocny w rękach, dziewczyno. Trochę ćwiczeń i mógłby brać udział w igrzyskach.

- Powinieneś dodawać wody - poradziła Io. - To cię wpędzi w obłęd.

- Zmiesza się ze śliną, to wystarczy. - Spojrzał na mnie. - Czy naprawdę nie wiesz, kim jesteś?

Pokręciłem głową. Milezyjczyk poruszył się przez sen i jęknął jak kochająca się kobieta.

- Z wyglądu jesteś barbarzyńcą. Żaden Hellen nie miałby tak zakrzywionego nosa. I żaden Helota. Ten twój miecz też ma cudzoziemski wygląd. Czy masz jakąś zbroję? - zapytał Basjas.

- Nosił na piersiach i na grzbiecie okrągłe płyty, zawieszane na ramionach i związane w pasie. Chyba ma je teraz Kalleos - powiedziała Io.

Basjas opróżnił kubek i znowu go nappełnił.

- Widziałem ich wiele na poległych pod Gliną - stwierdził. - Ale to nam w niczym nie pomoże.

- Opowiedz nam o tej bitwie. Byłeś tam, a ja chciałbym się dowiedzieć... - zacząłem.

- Co ci się przydarzyło? Nie mogę ci tego powiedzieć, jeżeli nie wiem, gdzie byłeś. - Umoczył palec w winie. - Tu jest nasza armia. Tu jest grzbiet wzgórza, widzicie? Nieprzyjaciel jest za nim. - Rozlał na stole kałużę. - Aż czarno było od nich na równinie. Pauzaniasz miał kłopoty z jednym z naszych dowódców, Amomfaretosem - to jego imię. Powinien zostać zaproszony na radę, rozumiecie? Ale nie został - czy to dlatego, że

wiadomość nie dotarła do niego, jak mówi Pauzaniusz, czy też Pauzaniusz wcale jej nie wysłał. Tak mówił Amomfaretos. Trzeba to było załagodzić, więc Pauzaniusz posłał Amomfaretosa i jego taksis do odwodu, aby okazać mu zaufanie.

- Wydaje mi się, że właśnie nie okazał zaufania - powiedziała Io.

- Nie jesteś mężczyzną, nie znasz się na wojnie. Przecież odwód jest najważniejszą częścią armii. Kiedy armia przegrywa, posyła się odwody tam, gdzie jest najgoręcej. Po prawej były wzgórza i odeszliśmy, kryjąc się za nimi. Kiedy nieprzyjaciel nie mógł nas już widzieć, Pauzaniusz nakazał odwrót.

Io przerwała:

- Czy Pauzaniusz jest jednym z waszych królów? I czy naprawdę macie ich dwóch?

- Pewnie, że mamy ich dwóch - powiedział Basjas. - To jedyny system, który się sprawdza.

- Myślałabym raczej, że z sobą walczą.

- Otóż to. Załóżmy, że król jest jeden. Wiele ludów już tego próbowało. Jeśli to silny król, zabiera wszystkim żony i synów także i robi, co mu się podoba. Popatrz jednak na nas. Gdyby jeden król próbował tak postępować, wzięlibyśmy stronę tego drugiego. Pauzaniusz nie jest jednak królem, jest regentem w imieniu Plejstarcha.

Basjas wyciągnął do mnie kubek. Nalałem do jego kubka nieco wina z mojego i pozwoliłem mu zrobić to samo.

- Tutaj jest Moloejs - ciągnął. - Prawie wyschnięty. Tu jest Hyzjaj, a tu Argiopion - wioska przy świątyni Bogini Zbóż.

Pod nogami mam żółknącą trawę, a niebo jest jasnoniebieskie, aż bolą oczy. Za żółtą równiną wznoszą się brunatne wzgórza. Jacyś ciemnoskórzy jeźdźcy zjeżdżają się i rozjeżdżają. Poza nimi czerwone płaszcze nieprzyjaciół odpływają, jak krew wycieka ze zwłok. Mardonios na białym rumaku prowadzi Nieśmiertelnych. Grają trąby i heroldowie wzywają do natarcia. Usiłuję utrzymać razem naszą setkę, ale przez nasz szyk przepychają się Medowie, niosący łuki i wielkie wiklinowe tarcze, a po nich włócznicy i łucznicy o ciałach pomalowanych na biało i czerwono. Biegniemy przez równinę, szybsi wyprzedzają wolniejszych, lekkobrojni wysuwają się przed ciężkobrajnych, aż wreszcie nie widzę już nikogo znajomego, tylko kurz i biegnących obcych, a z przodu błyszczą brązem mur hoplonów, jeżdżący się włócznikami.

Mała Io ocierała mi czoło wilgotną ściereczką. Nade mną pochylał się jeden z nieprzyjaciół, chwiał się grzebień z końskiego włosia, a czerwony płaszcz spływał z ramion. Sięgnąłem po Falcate, ale Falcata znikła.

- Wszystko już dobrze - powiedziała Io. - Już dobrze, panie.

Nieprzyjaciel wyprostował się.

- Kiedy to się stało? - zapytał.

Poznałem go. Był to Eutaktos.

- Niedawno - odpowiedziała Io. - Basjas posłał po ciebie jednego z posługaczy.

Usiłowałem powiedzieć, że czuję się już dobrze, ale powiedziałem to nie w ich mowie, a w tej, w której piszę.

- On dużo mówi - powiedziała Io Eutaktosowi - ale nie można go zrozumieć. Wydaje się, że mnie nie widzi.

- Już mi lepiej - powiedziałem w ich mowie.

- Dobrze, dobrze. - Eutaktos przyklęknął obok mnie. - Co się stało? Czy Basjas cię uderzył?

Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

- Załamaliśmy się - powiedziałem. - Kiedy utworzyli nowy mur z tarcz, my byliśmy już tylko tłumem. Medowie chwyтали włócznie w dłonie, łamali je i ginęli. Strzały też nie pomagały. Nie mogłem znaleźć Falcaty.

- To jego miecz - powiedziała Io.

Mówiłem im, że Marek zginął, że nie znalazłem Umeriego i że nie powinniśmy odchodzić do Kraju Rzeki.

- To jakieś czary - powiedział Eutaktos. - Gdzie ten czarodziej?

Io machnęła ręką.

- Śpi tam gdzieś za domem - powiedziała.

- Może i spał, ale już nie śpi. Nie widziałem go. - Eutaktos wyszedł, a ja usiadłem.

- Czy ci lepiej, panie - zwróciła się do mnie Io. Miała tak zmartwioną buzię, że musiałem się roześmiać.

- Tak - powiedziałem. - Ciebie też znam, ale nie mogę zgadnąć, kim jesteś.

- Jestem twoją niewolnicą, Io. Lśniący Bóg podarował ci mnie. Znajdowaliśmy się w ciemnym, niskim pokoju, pachnącym dymem.

- Nie pamiętam tego - powiedziałem. - Co to za miejsce?

- Po prostu gospoda.

Weszła jakaś wysoka, brzydka kobieta o ciemnych, krótkich włosach.

- Witaj, Latro. Czy mnie pamiętasz?

- Latro? - spytałem.

- Tak, ty jesteś Latro, a ja Eurykles, twój przyjaciel, a także przyjaciel Kalleos. Czy przypominasz sobie Kalleos?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- Chcieliby, żebym cię uleczył - powiedziała kobieta. - Ja też tego chcę. Nie wiem jednak, co się stało, zdrzemnąłem się. Może pomogłoby, gdybym wiedział.

- Czy pamiętasz zapasy z Basjasem? - spytała Io.

- Tak. Basjas powalił go dwukrotnie, potem dwukrotnie on Basjasa, potem Basjas powalił znów Latro i to był koniec zapasów. Potem napiliśmy się z tej okazji, a Basjas poszedł poszukać czegoś do przyłożenia na ramię. Latro chciał pisać w swojej książce...

Spojrzałem na Io i usiłowałem wstać. Powiedziała pośpiesznie:

- Mam ją tu, panie. Twój pisak także. a ja poczułem senność i poszedłem się położyć. Co było potem?

- Basjas wrócił, wypił jeszcze trochę i spytał Latro, czy ma on jakąś zbroję. - Io spojrzała na mnie. - Basjas ma twój miecz, panie. Przechowuje ci go.

- Mów dalej - nakazała ta brzydka kobieta.

- Ja powiedziałam, że nie ma. Potem Latro prosił, by mu opowiedzieć o bitwie. Chyba chodziło mu o tę bitwę, w której zginęli wszyscy z naszego Świętego Hufca, w każdym razie Basjas wie, o którą. Opowiadał nam też o ich królach i o tym, gdzie stały armie. - Io przerwała, by zaczerpnąć tchu.

- Potem Latro krzyknął - ciągnęła. - Nie przestawał krzyzczeć i wywrócił wino, Basjas chwycił go z tyłu i próbował powalić, ale Latro uwolnił się. Potem Basjas z mnóstwem ludzi z gospody złapali go i powalili, i przestał krzyzczeć. Dużo mówił, ale nie można go było zrozumieć, przynieśli go tutaj. Basjas mówi, że wszystko przez to, że nie dodawał dość wody do wina, ale on dodawał, i to znacznie więcej niż Basjas.

Ta brzydka kobieta przytaknęła i usiadła przy mnie na niskim łóżku.

- O co chodziło, Latro? Czemu krzyczałeś? - zapytała.

- Wszyscy krzyczeliśmy - odpowiedziałem. - Biegliśmy na wroga, krzyząc. Oni się cofali - nas było więcej - i wydawało się, że jedno mocne pchnięcie zakończy wojnę. Potem oni obrócili się, niby jeź o tysiącu kółców.

- Rozumiem. - Kobieta skubała kilka włosów wyrastających z jej podbródka. - Eutaktos myśli, że to czary, ale ja zaczynam w to wątpić, to wygląda raczej na złą wolę kogoś na Górze. Moglibyśmy spróbować złożyć ofiarę Bogu Wojny. Albo... Latro, ci Powroźnicy mają jakiegoś uzdrowiciela imieniem Asklepios. Czy słyszałeś o nim?

Zaprzeczyłem.

- On byłby najlepszy, odkąd jesteś, czy masz być, pod ich opieką. Pomówię o tym z Eutaktosem. Przygotuję też zaklęcie przyzywające pewne moce, na które mam wpływ. Zwykle nie chodzi im o zdrowie - może jednak będą w stanie coś zrobić.

Kiedy kobieta odeszła, Io chciała zostać ze mną, wolałem jednak, żeby zobaczyła, co się dzieje, i przyszła mi o tym powiedzieć. Zanim odeszła, przyniosła mi stołek, abym mógł wygodnie pisać. Eutaktos postawił przy drzwiach dwóch wartowników, zgodzili się jednak pozostawić drzwi otwarte. Usiadłem tak, by światło padało na papirus.

Io wróciła powiedzieć mi, że niewolnicy Powroźników budują ołtarz temu Bogowi Uzdrawicielowi, o którym mówiła ta szkaradna kobieta. Powiedziała, że Basjas był w wielkiej świątyni tego boga na Wyspie Ciemnej Twarzy i że kiedy Eutaktos złoży za mnie ofiarę, będę musiał spać przy ołtarzu. W czasie jej nieobecności czytałem ten zwój, wiem więc, że spałem już tak kiedyś w świątyni Bogini Zbóż.

Io mówi, że Eutaktos zamierza opuścić to miejsce i udać się jutro do Przyjścia - niezależnie, czy bóg się ukáže, czy nie. Z Przyjścia prowadzi dobra droga na Wyspę Ciemnej Twarzy.

Pytałem ją o tę szpetną kobietę, która obiecała przygotować mi zaklęcie. Ona mówi, że nie ma żadnej kobiety, jest tylko Eurykles z Miletu, który nosi purpurowy płaszcz, ale jest mężczyzną. Wydaje mi się to dziwniejsze niż te wszystkie dziwne rzeczy, o których czytałem w tym zwoju.

Gospodarz przyniósł mi kolację, a ja poprosiłem go o lampę. Powiedział, że przeze mnie przegrał zakład, ale że warto było na to popatrzeć. Stawiał wiele pytań, kim jestem i skąd przybywam, ale nie umiałem na nie odpowiedzieć. Powiedział, że w swoim zawodzie widuje wielu cudzoziemców, ale że nie potrafi powiedzieć, gdzie leży mój kraj.

Prosiłem go, by mi powiedział z jakiego kraju nie pochodzę. Oto, co mi powiedział: Nie jestem Hellenem - co już, oczywiście, wiedziałem. Nie z Persopolis. - Spytałem go o to miejsce - to miasto Wielkiego Króla. Nie z Kraju Rzeki - to wiedziałem, bo przypomniałem sobie, jak myślałem, że nie powinniśmy tam iść. Najwyraźniej byłem tam kiedyś i ktoś może mnie tam znać, choć to nie moja ojczyzna. Nie z Krainy Koni, nie z Kraju Czapki ani z Kraju Łuczników. Nie jestem Karyjczykiem.

Bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany jestem odnaleźć przyjaciół i dom, a powodem jest to, co czytałem. Czuję, że nie zapomnę o tym, choć mogę zapomnieć o wszystkim. Królowa Zmarłych obiecała mi, że wkrótce znów zobaczę przyjaciół, zastanawiam się więc, czy nie są oni w niewoli u Powroźników. Spróbowałbym zasnąć, ale

gdy zamykam oczy, widzę ścianę włócznie, stratowane wiklinowe tarcze, ciała zabitych i białe mury świątyni.

ROZDZIAŁ XXV

Piszę to ja, Eurykles

Na życzenie twojej niewolnicy, Io, opisuję wydarzenia ubiegłej nocy i dnia, używając odpowiednich słów, zamiast słów, których używa ona. Prosi o to, ponieważ Spartiata Eutaktos kazał odebrać ci tę książkę, uważając, że właśnie jej pisanie zmąciło ci umysł. Ona chce przeczytać ci o wszystkim, kiedy książka zostanie ci zwrócona, ja zaś piszę lepiej od niej i mam drobniejsze pismo.

Zanim jeszcze zapiszę to, co mi poleciła zapisać, pozwól, powiem coś o sobie. Muszę to zrobić. Gdybym bowiem tu nie utrwalił opisu mojej osoby jako wskazówki dla twojej błędnej pamięci, jak miałbyś później przypomnieć sobie swego przyjaciela i towarzysza podróży na tę surową wyspę Pelopsa? Zrobię to teraz, niech tylko ułagodzę małą Io, zapalczywą jak osa, która gryzie wargi w zniecierpliwieniu.

A zatem, krótko: Urodziłem się w Milecie w Azji Mniejszej. Ojciec mój był, jak zapewniała mnie matka, znakomitym obywatelem mego rodzinnego miasta. Kiedy miałem zaledwie jedenaście lat, ukazała mi się we śnie Potrójna Bogini, wskazując mi liście pewnego drzewa i zachęcając, bym z ich pomocą pozbył się innego chłopca, z którego rąk spotykało mnie wiele niegodziwości. Po kilku pomyłkach znalazłem w świecie jawy właściwą roślinę i udało mi się wsunąć młody i delikatny liść między słodycze, które niby to jadłem, póki mi ich nie odebrał. Chorował przez kilka dni przed śmiercią, którą mądry kapłan, wezwany przez jego rodziców, przypisał najzupełniej słusznie strzałom Z Dala Godzącego Delijczyka.

Po śmierci tego chłopca złożyłem - jak możesz to sobie wyobrazić, drogi przyjacielu - wiele, wiele ofiar, i choć były to jedynie wróble, żaby i podobne stworzenia, ośmielałem się - albo raczej mam czelność - sądzić, że zostały przyjęte, jako ofiarowane szczerym sercem, choćby i dziecinny. Po mniej więcej roku dowiedziałem się o jej wielkiej świątyni w Karii, niedaleko od miasta, w głębi lądu. Udałem się tam, przebywając większą część drogi pieszo. Tam zaniósłem modły do tego przebiegłego posłańca, który użycza złodziejom swych uskrzydionych pięt i zdobyłem najbardziej odpowiednią ofiarę w postaci wielkiego czarnego królika z białym półksiężycem na czole. Kapłan bardzo mnie chwalił za to zwierzę, jego życzliwość pamiętam do dziś.

Po powrocie do Miletu dowiedziałem się, że matka skorzystała z mojej nieobecności i wyjechała, jedni mówili, że na Samos, inni, że na Chios. Była w tym wyraźnie ręka bogini,

zdecydowałem więc, że odtąd jedynie ona będzie mi matką. Związałem się jak najściślej z wszystkimi, którzy byli w jej łaskach i ofiarowałem swe usługi tym, którzy jej łaski szukali, jak kiedyś roztrotny Agamemnon zwany władcą narodów.

Mnie w każdym razie udzieliła swych łask w całej pełni. Nie zawaham się przed powiedzeniem wszystkim i wszędzie, że żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie znają jej tajemnic tak jak ja ani nie są bieglejsi w rzucaniu zaklęć, sporządzaniu trucizn czy wywoływaniu duchów. Ty sam byłeś obecny przy moim największym tryumfie, Latro, i modłę się, by boska Trioditis, która widzi zarówno przeszłość jak przyszłość, przywróciła ci pewnego dnia to, co straciłeś, abys mógł o tym świadczyć.

Ja sam jestem prawym synem Jona. Jestem wyższy niż przeciętni ludzie, mam postawę tancerza - raczej zgrabny niż muskularny. Mam wypukłe oczy i wydatne kości policzkowe, subtelny nos i wrażliwe usta. Bujne włosy na pół zakrywają moje wysokie czoło. Jeśli ta tupiąca nogą Io przeczyta ci to w najbliższym czasie, poznasz mnie po chlamidzie ufarbowanej na kolor soku z morwy.

Jako częsty gość w jej mieście, zaprzyjaźniłem się z twoją panią, Kalleos, a ten szczęśliwy przypadek stał się dla mnie podwójnie szczęśliwy dzięki sukcesowi, o którym już wspomniałem. Dość powiedzieć, że ty i ja, w towarzystwie innych, wśród których nie było płomiennookiej Io, poszliśmy z domu twojej pani na pewien cmentarz i tam odszukali Tę, którą sprowadziłem - przynajmniej na krótki czas - do Kraju Żyjących. Wszyscy patrzący zdumiewali się i gdyby trudno ci było uwierzyć w moje słowa, wróc do miasta, które opuściliśmy, a przekonasz się, że wszyscy o tym mówią.

Ułożyłem dla ciebie zaklęcie, które ma uspokoić twe myśli i przywrócić do zdrowia twój umysł - na prośbę zarówno twoją, jak Eutaktosa. Prawdę powiedziawszy, postępowałem, jakby każdy z was prosił o to oddzielnie.

Dla Księżycy jeden biały kamień. Dla Łowczyni jeden z tych kamiennych grotów, sporządzonych w czasach, gdy nie było jeszcze bogów. Dla Mroczonej - jeden czarny włos z głowy tego, kto poświęcił się jej bez reszty - czyli z mojej głowy. Kolcem dzikiej białej róży umoczoną we własnej krwi wypisałem na cyprysowej korze prośbę, którą zanoszę za ciebie do bogini. Wszystko to zawinałem w płat jeleniej skóry i zawiesiłem ci na szyi, wzywając boginię.

Sofiści mogliby powiedzieć, że wszystkie te rzeczy - kamień, strzałka, włos, modlitwa i skóra - nic nie znaczą, a co najwyżej kierują myśli kapłana i proszącego ku bogom. Zauważyłem jednak, że ci, którzy tak myślą, nie zyskują łaski. Dlatego też ja sam uważam, że znaczą one coś więcej. Io każe mi pisać, jak z Eutaktosem i kilkoma innymi towarzyszyliśmy

ci do ołtarza, który kazałem zbudować niewolnikom. Zapalono święty ogień, Eutaktos złożył za ciebie ofiarę, rozstawił wokoło wartowników i zostałeś tam sam.

Żałuję, że nie byłem obecny przy twojej porannej rozmowie z Eutaktosem, była tam jednak Io, która zakradła się potajemnie, z przebiegłością całkiem naturalną u półbarbarzyńskich hodowców bydła, z których się wywodzi. Jej opis tej rozmowy jest doprawdy zabawny.

Przyśniło ci się, że zbudził cię odgłos łamanej gałązki - według Io, powiedziałeś tak Eutaktosowi - i ujrzałeś wychodzącego z lasu starca, przygarbionego i siwobrodego. Wstałeś i spytałeś go, czy jest bogiem Asklepiosem. Zaprzeczył. Naciskany przez ciebie twierdził, że jest wprawdzie Asklepiosem, ale nie bogiem, tylko zwyczajnym śmiertelnikiem, zmuszonym służyć bogom. Spytałeś, czy mógłby cię uleczyć. Znow zaprzeczył, mówiąc, że morderczyni jego matki, której jest niewolnikiem, wysłała go z jej świątyni na Eubei do świątyni na wyspie Anadiomene, że niczego nie może zrobić i przy tych słowach zniknął.

Io mówi, że Eutaktos wpadł wtedy w gniew, krzycząc, że Asklepios na pewno nie użył takich słów, mówiąc o bogini. Tę właśnie chwilę wybrałeś - z pewnością mogłeś mądrzej wybrać, przyjacielu Latro - by spytać, czy Eutaktos zaprowadzi cię do twoich towarzyszy. Mówiłeś, że czytałeś w swojej książce o tym, jak odwiedziłeś Królową Podziemi, i że Eutaktos nie powinien sprzeciwiać się woli kogoś, do kogo wszyscy w końcu będziemy musieli pójść.

Na to Eutaktos rozgniewał się jeszcze bardziej. Kazał Basjasowi zabrać ci książkę i zwinęliśmy obóz. O tych zdarzeniach już zapomniałeś - tego przynajmniej lękamy się z Io. Przejdźmy do ostatnich wypadków, o których obecnie wiesz tyle, co my - taką mamy nadzieję - ale które zapewne umkną ci z pamięci, kiedy Io będzie czytać ci moje słowa.

Najpierw to, co dotyczy bogini. Asklepios - jak ci to wyjaśniłem - był synem jej brata bliźniaka, urodzonym przez śmiertelną, Koronis. Nosząc już jego dziecko, Koronis okazała mu niewierność, a gdy dowiedziała się o tym bogini, zabiła ją. Bóg jednak, uświadomiwszy sobie, że jej dziecko było także jego dzieckiem, uratował je z pogrzebowego stosu, wrywając je z płomieni i z łona matki zarazem i oddał chłopca na wychowanie komuś, od kogo nauczył się o sztuce uzdrawiania tyle, że prześcignął w niej i swego nauczyciela i wszystkich śmiertelników.

Nie sądzę, by mógł nazwać bliźniaczą siostrę swego zbawcy (i ojca) morderczynią, bogowie mają bowiem niezaprzeczone prawo do zabijania śmiertelników, tak jak my mamy prawo do zabijania dzikich bestii, a ta kobieta nie była bynajmniej niewinna. Rad jednak dowiaduję się, że w tej części świata Asklepios jest poddanym bogini. W oczach oddanego jej

Euryklesa stoi ona tak wysoko, że nic nie może wznieść jej wyżej, może to jednak być użyteczne.

Teraz o ostatnich wydarzeniach. Będziesz chciał wiedzieć, jakim sposobem twoją książkę mamy ja z Io, a nie ty. Zgodził się na to Spartiata Basjas, żywi bowiem dla was z Io przyjazne uczucia. Mówi on, że Eutaktos nie będzie miał zastrzeżeń, dopóki nie będziesz miał dostępu do książki. Tak więc kryjemy ją przed tobą i piszemy za ciebie.

Stoimy tej nocy przy drodze do Megary, przeszedłszy bez zatrzymania się przez Eleuzis. Pod Megarą obozuje - taka przynajmniej krąży plotka - regent ze swoją armią. Jego miasto nie sprawuje władzy w Megarze, jest ona jednak członkiem ligi i niewątpliwie część armii składa się z Megarejczyków. Możemy się spodziewać, że staniemy przed regentem, kiedy dotrzemy jutro do Megary. Dołożyłem starań, żeby dowiedzieć się o nim jak najwięcej, Io zaś uważa, że powinienem ci przekazać tę swoją wiedzę.

Mówi się, że nie ma on trzydziestki, że wzrost ma wyższy niż średni, że jest przystojny, choć ma blizny na twarzy, i jest muskularny - jak wszyscy ci wyspiarze. Podobno potrafi przekonywać, jak mato kto, choć mówi krótko i sucho, jak oni wszyscy. Pochodzi ze starszego królewskiego rodu, z Agiadów, jest więc dalekim krewnym owego wielkiego Likurga, którego kodeks praw wyróżnia jego naród z wszystkich innych. Dokładniej, jest synem Kleombrota, który był młodszym synem króla Anaksandrydesa. Jest przez to stryjem króla Plejstarcha, który przed rokiem zaledwie objął tron swego ojca i w jego imieniu pełni obowiązki regenta. Ma żonę i syna, Plejstoanaksa.

Co do jego zdolności wojskowych - wszystko inne nie ma dla nich znaczenia - zwycięstwo nad synami Perseusza, których armia była o tyle liczniejsza, jest najlepszym ich świadectwem, nie trzeba innego. A co do łaski bogów - któryż żołnierz bez niej zwycięży?

Mówię o nim z takim zainteresowaniem, gdyż przybył niedawno goniec z jakimś posłaniem, wszyscy mówią, że od niego i wszedł zaraz do namiotu Eutaktosa. Wkrótce potem wyszedł i, szukając ochłody, natknął się na Io. Zaprowadziła go do ciebie i dość długo rozmawialiście we troje. Potem on, upewniwszy się - tak mówi Io - że naprawdę niczego nie pamiętasz, chciał obejrzeć tę książkę, przyprowadziła go więc do mnie.

Nazywa się Pasykrates i jest najprzystojniejszym młodzieńcem z nich wszystkich, wysokim i o pięknych rysach, choć tak samo ponurym i upartym jak inni. Na jego żądanie pokazałem mu książkę i widziałem, jak się przekonał, że nie potrafi jej przeczytać. Rozwinął ją jednak do końca i obejrzał kwiat, a potem ostrożnie położył go na miejscu i zwinął z powrotem książkę. Pytał, czy byłem obecny przy tym, jak znalazł go Eutaktos, a ja potwierdziłem i opisałem mu tę scenę. Pytał, dlaczego Eutaktos uznał za celowe

przyrowadzenie mnie z tobą, na co odparłem, że musi o to spytać Eutaktosa. Pytał, skąd pochodzę i dlaczego opuściłem urocze brzegi Jonii, by przebyć Wodę. Zachęcany przez niego, opisałem, jak umiałem najlepiej, swe życie, dokładniej, niż to zapisałem tu, w książce. On sam służy Potrójnej Bogini - na dowód tego pokazał mi blizny na grzbiecie, które pozostały mu po chłóście otrzymanej przed jej ołtarzem w świątyni Ortii.

Powinienem chyba objaśnić ich zwyczaj, o którym pewnie nie wiesz. Co roku, kiedy chłopcy z tego rocznika przechodzą spod opieki swych nauczycieli pod opiekę swoich dowódców, wybiera się najlepszych i najsilniejszych do biegu między rzędami różeg na cześć bogini. Krew leje się tam obficie, słyszałem też, że zwykle trwa to dopóki, dopóty jeden czy dwaj chłopcy nie padną martwi. Powinienem dodać, że ci chłopcy mają za punkt honoru nie krzyżeć, nie wiem jednak, co dzieje się z takim, który krzyknie. Nic takiego nie zdarzyło się, jak sądzę, od wielu lat, a może w ogóle nigdy. Chłopców, którzy umrą w milczeniu, uważa się za złożonych w ofierze bogini. Smutne to, ale jeśli policzyć miejsca, gdzie składa się jeszcze takie ofiary - najmilsze bogini - palców jednej ręki wystarczy aż nadto! Tych, którzy przeżyli, szanuje się bardziej niż innych, do końca swoich dni otoczeni są łaską bogini.

Użyłem wobec Pasykratesa całej swej elokwencji i czaru, który wielu nazywa bez wahania ogromnym. Nie zaprzeczę, że sprawiłaby mi wielką radość miłość kogoś tak przystojnego i przy tym, jak ja poświęconego bogini - choć nie mogę powiedzieć, czy te rzeczy sprawiają radość i jej.

Mogę jedynie powiedzieć, i powiem, że Pasykrates nie okazał się nieczuły na moje wdzięki - inaczej niż ty, drogi Latro, chociaż ciężko mi to pisać. Przyglądamy się tym ludziom, którzy żyją tylko dla wojny, bezustannie przygotowują się do boju i myślą tylko o tym, jak są wspaniali. Co muszą myśleć, gdy po raz pierwszy usłyszą - z naszych ust - jak grają trąby elokwencji, jak donośnie wzywa filozofia? Czy nie powinni wynosić nas ponad zwykłych ludzi, tak jak my wynosimy ich w naszych myślach? Ośmielam się mieć nadzieję, że tak myśli wysłannik wielkiego regenta o twoim skromnym przyjacielu Euryklesie z Miletu.

ROZDZIAŁ XXVI

Pasykrates

Wysłannik regenta zwrócił mi zwój. Dziś rano odszukał mnie i spytał, czy pamiętam nasze spotkanie zeszłego wieczoru. Choć teraz tego nie pamiętam, wtedy musiałem pamiętać, bo tak mu odpowiedziałem.

- Wiesz zatem, że jestem gościem Pauzania - rzekł.

Skinąłem głową i powiedziałem, że się dziwię, iż nie porzucił nas w naszym powolnym marszu i nie wrócił z wiadomością od Eutaktosa.

- Jedynym poleceniem, jakie przyniosłem, było to, że ma cię nadal szukać, gdyby cię jeszcze nie znalazł, i wracać jak najprędzej, gdyby cię znalazł. To ciebie chce zobaczyć Pauzaniusz, nie mnie. Gdybym zaś pobiegł z powrotem, czy dotrzymałbyś mi kroku?

Wyznałem, że nie wiem, powiedziałem jednak, że mogę spróbować.

- Biegnijmy więc do tego drzewa na wzgórzu. Zobaczymy, kto jest lepszy w nogach!

Ledwie skończył mówić, a już pomknął jak strzała. Pobiegłem za nim, jak mogłem najszybciej. Mam dłuższe nogi, ale nie dogoniłem go, on zaś zdążył zatrzymać się przy drzewie i odwrócić, by patrzeć, jak nadbiegam.

- Mógłbym tak biec aż do Megary - powiedział. - Spójrz jednak na tego nieszczęsnego zółwia! - Był to Basjas, z którym dzielę namiot, a który w pancerzu i nagolennikach, wymachując mieczem, dawał z siebie wszystko.

- Tym nas nie dosięgniesz! Weź dłuższy miecz! - krzyknął Pasykrates. Basjas, widząc, że nie zamierzamy uciec z kolumny, zwolnił i przestał biec.

- Usiądziemy? - spytał Pasykrates. - Tamci i tak muszą wejść na to wzgórze. - W jego twarzy była ta surowa regularność, którą tak podziwiamy w posągach, ale jego oczy były okrutne jak oczy łasicy. Choć nie patrzył na mnie, wcisnąłem się głębiej w cień.

- Jak to się stało, że straciłeś pamięć?

- Nie wiem - odparłem.

- Może wie to dziewczynka albo ten Eurykles?

- A kim oni są? - zapytałem.

- To twoi przyjaciele, których Eutaktos zabrał wraz z tobą. Mówiłem z nimi wczoraj. Io była zresztą obecna przy mojej rozmowie z tobą - ta mała niewolnica. Mówi, że należy do ciebie.

- Pamiętam tę dziewczynkę, ale nie pamiętam, jak ma na imię.

- A co z Euryklesem?

Pokręciłem głową.

- Kiedy tu przybyłem, zastanawiałem się, czemu Eutaktos robił sobie z nimi kłopot.

Teraz wiem, dlaczego.

Potem nie mówiliśmy już nic, dopóki nie dołączył do nas Basjas.

- To był tylko wyścig - powiedział Pasykrates. - Nie grozi mi chyba utrata pracy, ale

Latro mógłby mnie zastąpić, gdybym okulał.

Basjas skinął głową, ocierając pot z czoła.

- To także zapaśnik - stwierdził.

- Wypróbowałeś go? - zapytał Pasykrates.

Basjas opadł przy nas, zdyszany i z poczerwieniałą twarzą.

- Pobitem go - powiedział - ale dopiero po pięciu starciach. Jest bardzo silny.

- Wygląda na takiego. Co o nim wiesz?

- Zapomina o wszystkim. Ma niewolnicę. Ja mam jego miecz. To już wszystko.

- Rozumiem. Latro - Pasykrates zwrócił się do mnie - jak mam na imię?

- Pasykrates - odpowiedziałem.

- Zgadza się. Skąd wiesz?

- Powiedziałaś mi.

Basjas wyjaśnił:

- Rano pamięta o wszystkim co się wydarzyło po rozbiciu obozu, ale to mija. W południe nie pamięta już niczego sprzed obudzenia się.

- I ta dziewczynka pamięta za niego?

- On miał jakąś książkę. Píše w niej, żeby ją czytać co rano, ale reszty nie możemy już przeczytać. Eutaktos kazał mi ją wziąć.

- Chcę, żebyś mu ją zwrócił - pomówię o tym z Eutaktosem. Latro, jeśli byś znów miał swoją książkę, czy mi ją przeczytasz?

- Jeśli zechcesz słuchać.

- A Pauzaniaszowi, regentowi Powrozu?

- Oczywiście.

- Dobrze. Chyba nie będę cię do tego zmuszał, bo może tam być coś, czego nie powinienem wiedzieć. Przekonamy się o tym wieczorem w Megarze. Basjasie, co z Euryklesem? Czy jest w czymś pomocny Latro?

- Nie tak bardzo, jak ta dziewczynka.

- Co o nim sądzisz? Basjas wyszczerzył zęby.
- Lepiej, żeby się trzymał z dala od Powrozu - powiedział. - Kobiety go zabiją.
- Naprzykrza mi się - powiedział Pasykrates na wpeł do siebie.
- Zdziel go pięścią, a przestanie.
- Nie w ten sposób. Jest u nas zwyczaj, Latro, że starsi przyjaźnią się z młodszymi.

Rozumiesz? To dobry system. Młodszy uczy się od starszego, a jeśli wpadnie w kłopoty, ma kogoś, kto się za nim wstawi. To nie jest tak.

Z roztargnieniem spytałem, jak to jest. Przyglądałem się szkarłatnemu kwiatkowi, kiwającemu się na wietrze, wydawał się coś oznaczać.

- To jakby mieć córkę. Tyle że samemu jest się tą córką.
- Założę się, że masz wielu za sobą.

- Oczywiście! - Pasykrates leżał na grzbiecie w rzadkiej trawie. Usiadł. - Jestem protegowanym Pauzanasza, i to się im podoba. Zwykła rzecz, a jednak wydaje się to dziwne. Wolałbym, żeby był niewolnikiem.

Basjas spytał, dlaczego, ale Pasykrates nie odpowiedział. Po chwili odezwał się:

- Czy zauważyłeś, jakie ma zimne ręce?

Niedługo potem dotarli do nas maszerujący i przyłączyliśmy się do nich. Rozglądałem się za dziewczynką, o której wspominał Pasykrates i wkrótce ją znalazłem. Żeby sprawdzić, czy zrozumiałem właściwie to, co usłyszałem wcześniej, odezwałem się:

- Mam dobre wieści, Io. Dostanę z powrotem mój zwój.
- To wspaniale! Znasz też moje imię!
- Pasykrates mi powiedział.

- I to on powiedział, że Eutaktos odda ci zwój? - Tak. Eutaktos jeszcze chyba o tym nie wie. Pasykrates każe mu to zrobić.

Io miała wątpliwości.

- Eutaktos jest znacznie starszy - zauważyła.
- Wiem o tym.

Kiedy przeszliśmy jeszcze kilka stadiów, jakaś wysoka kobieta w purpurowym płaszczu wręczyła mi zwój wraz z pisakiem, którego używam, zatkniętym za sznury.

- Trzymaj, Latro! - powiedziała. - Lochag kazał Basjasowi zwrócić ci go. Przechowywałem go dla ciebie i obiecałem zanieść ci go. - Wzięła mnie pod rękę.

- To zasługa Pasykratesa - szepnęła jej Io.

- Doprawdy? Całkiem przystojny z niego młodzieniec, ale nie tak przystojny, jak twój pan.

- A co to ma do rzeczy?

- Nic. Tak sobie pomyślałem. - Uścisnęła mi ramię. - Wiesz, Latro, jesteś na pewien sposób szczęściarzem. Gdybyś zechciał zmienić imię, wystarczyłoby ci powiedzieć przyjacielom, żeby od następnego rana nazywali cię nowym imieniem. Nie wiedziałbyś nawet, że byłeś kimś innym. Pewnie nie wiesz, czy nie zmieniałeś już imienia?

- Nie sądzę, żebym zmieniał. Czy chcesz zmienić swoje?

Skinęła głową.

- Moje imię oznacza „dobrą sławę”, co brzmi nieźle, ale wolałbym coś lepszego. Co sądzisz o imieniu Drakon?

- Czy nie powinno ono brzmieć Drakaina?

Kobieta roześmiała się, a Io rzekła:

- Dobrze powiedziane, panie!

- Czy wiecie, gdzie jesteśmy? Pasykrates mówił, że idziemy do Megary.

Zanim zdążyły odpowiedzieć, Basjas zwolnił, wchodząc między Io i mnie.

- Na tym rozwidleniu dróg skręcamy - oznajmił. - Wasza trójka, ja, Eutaktos i Pasykrates. Mamy się widzieć z regentem, a pozostali rozbiją obóz.

Zeszliśmy szybko na jakąś zakurzoną drogę, która nie wydawała się wcale ważniejsza od tej drugiej, gdy jednak osiągnęliśmy szczyt następnego wzniesienia, cała sceneria zmieniła się, jak zmienia się nocny krajobraz po wzejściu słońca.

Tysiąc namiotów stało w równych szeregach na falującej równinie. Za nimi wznosiły się białe mury jakiegoś miasta, a poza murami rozciągały się roziskrzone błękitne wody, cętkowane pianą. Słony, ostry wiatr marszczył powierzchnię wody w niezliczone fale, a poza tym niespokojnym morzem majaczył błękitny ogrom jakiejś wyspy. Io wykrzyknęła z radości:

- Patrzcie! Patrzcie! Czy to wyspa Pokoju? Przybiliśmy do niej na okręcie Hyperejdesa, ale nie pozwolił nam wysiąść. Czy to ona?

Basjas przejechał dłonią po jej ciemnych lokach.

- Zgadza się! - powiedział. - Masz oko do rozpoznawania terenu, mała. Gdybyś była Amazonką, zostałabyś pewnie strategiem.

Io pociągnęła mnie za chiton.

- Latro, to Zatoka Pokoju, o której opowiadał Hyperejdes - wyjaśniła. - Tam okręty Myśli pobiły barbarzyńców.

Pasykrates obrócił się jak żbik.

- Nasze okręty również walczyły - krzyknął oburzony - a nasz strateg, Eurybiades, dowodził połączonymi flotami!

- Nie krzycz na nią - powiedziałem. - Nie wiedziała o tym, ja także.

- Ale przynajmniej ona to zapamięta - parsknął Pasykrates - bo na nią krzyknąłem. Łagodne lekcje szybko są zapominane, a łagodny nauczyciel okazuje się ostatecznie złym nauczycielem - nie uczy. Dość o tym! Powiem Pauzaniaszowi, że nadchodzicie. - Biega tak szybko, że chyba tylko najlepszy koń mógłby go prześcignąć. Nie uszliśmy i stu kroków, a już był między namiotami.

Łzy ciekły po zakurzonych policzkach Io. Podniosłem ją i starałem się pocieszyć.

- Nic mi nie jest, panie - powiedziała. A potem. - On miał słuszość. Nie zapomnę, nawet jego imienia.

- Eurybiades?

- Pasykrates.

By odwrócić jej myśli, powiedziałem:

- Popatrz, ile tam namiotów. Cała armia tu obozuje, tysiące żołnierzy. Czy widzieliśmy już kiedyś obozującą armię, Io?

- To jeszcze nic - szepnęła ta kobieta. - Trzeba ci było widzieć obozowisko Wielkiego Króla. Było jak miasto - ale nie dorównałoby mu żadne miasto na świecie, może z wyjątkiem Babilonu.

Eutaktos musi mieć dobry słuch, bo ją dosłyszał.

- Widziałem tamten obóz - powiedział - a moi niewolnicy łupili namioty satrapów. Gdyby twój Wielki Król był tu z nami, nie miałby tego obozu za nic.

Namiot Pauzanasza jest większy od innych, wyszywany i obwieszony złotymi frędzlami. Musi to być część tego łupu, o którym mówił Eutaktos. Kiedy podeszliśmy, usłyszałem głosy, jeden - jak sądzę - Pasykratesa, drugi - szorstki i beznamiętny - głos młodego człowieka, nawykłego do rozkazywania i skrywania uczuć. Usłyszałem, jak Pasykrates mówił:

- ...Szpieg Wielkiego Króla.

Ten drugi odpowiedział:

- Szpieg jest jak kamień, który może zostać odrzucony.

Eutaktos kaszlnął, jak sądzę po to, by uprzedzić tych wewnątrz, że już przyszliśmy. Potem nie dosłyszałem już niczego.

U wejścia stali dwaj wartownicy, wysocy, w wieku Pasykratesa.

Nie pozwolili nam się zbliżyć. Stanęliśmy na boku - a raczej Eutaktos i Basjas stanęli, z dłońmi na rękojeściach mieczy. Io, kobieta i ja usiedliśmy na ziemi, gdzie piszę te słowa, wiem bowiem, że dobrze jest pisać, kiedy pamięta się zdarzenia.

Przeczytałem o Władczyni Gołębi i mam wrażenie, że odwiedziłem jakieś królestwo, wyższe i zarazem mniejsze niż to nasze. Czego ode mnie chciała? Byłem pewien, że czegoś chciała. Czy uzyskała to?

Nie potrafię powiedzieć, nawet po drugim czytaniu. Była przyjaciółką Kalleos, tego jestem pewien, ale czy Kalleos była moją przyjaciółką?

Władczyni Gołębi mówiła, że nie zapomnę o niej, chociaż o wszystkim zapominam. Nie pomyliła się. Kiedy czytam o niej, moje ciało ożywa na jej wspomnienie. Z pewnością była tą jedyną kobietą, którą się kocha. Albo nimi wszystkimi.

Muszę jednak odsunąć na bok jej wspomnienie i pomyśleć o tym, co powiem w tym namiocie. Pasykrates wkrótce chyba wyjdzie i zaprowadzi nas do regenta.

ROZDZIAŁ XXVII

Pauzaniasz

Regent urządził sobie namiot zdobycznymi rzeczami. Zasiada na szkarłatnych poduszkach, na dywanach pyszną się gryfy, czarne byki ścigane przez złociste lwy i dziwnie poubierani ludzie o czarnych, kręconych brodach. Powietrze przesycone jest zapachem, płynącym ze złotych lamp.

Pasykrates oznajmił:

- Dostojny Pauzaniasz, oto jest człowiek, którego przyprowadził lochag Eutaktos. Przepytałem go i jestem przekonany, o ile mogę to osądzić, że to jego widziałeś we śnie.

Regent wpatrywał się we mnie. Jego twarz pokryta bliznami wyglądała strasznie, ale i bez nich wydawałaby mi się straszna, twarda jak żelazo i okrutna. Chyba się uśmiechnął, bo blizna na policzku uniosła się w górę, nie byłem jednak tego pewien.

- Ten, którego widziałem, nosił wieniec z kwiatów. Przyjacielu, czy nosiłeś taki wieniec, kiedy cię znaleźli moi tarczownicy?

- Nie pamiętam - powiedziałem. - Być może napisałem coś o tym. Czy mogę zajrzeć?
- Uniosłem zwój.

Wargi regenta cofnęły się, odsłaniając zęby - duże i niezbyt białe.

- Dobrze, doskonale! A ten kwiat? - zapytał.

Odezwał się Pasykrates:

- Jeszcze tam był, kiedy oglądałem książkę, Wasza Wysokość. Mógł go tam włożyć lochag, nie sędzę jednak, żeby to zrobił.

Regent wskazał księgę:

- Rozwiń ją aż do końca - rozkazał.

Zrobiłem, co kazał, trzymając zwój w taki sposób, by widział pismo. Gdy rozwinąłem ostatni arkusz, zasuszony łubin wypadł mu na dłoń.

Pasykrates odchrząknął.

- Powinienem może dodać, Wasza Wysokość - powiedział - że zdaniem lochaga, w domu, w którym znaleziono tego człowieka odbywała się poprzedniego dnia uczta. Były tam kwiaty i wieńce dla gości także, oczywiście.

- To mi wystarczy. - Regent machnął ręką. - Chciałbym, żeby tu był Tejsamenos, ale to ten człowiek albo żaden! Wygląda całkiem jak tamten. Nie widziałem we śnie tej blizny, ale niewątpliwie zakrywał ją wieniec.

- Czy śniłeś o mnie? - spytałem.

- Tak. Śniła mi się Kora, we własnej osobie, uśmiechnięta i spowita w kwiaty. Powiedziała mi: „Za to, że dostarczyłeś mi tak wielu poddanych, ukazać ci tajemnicę, znaną tylko bogom”. Potem ujrzałem ciebie. W każdym razie, jak się nazywasz?

- Latro - odpowiedziałem.

- Widziałem cię siedzącego na sienniku. Była noc, ale palił się tam ogień i widziałem, jak światło migocze ci na twarzy. Trzymałeś tę książkę, rozwinąłeś ją, włożyłeś w nią ten kwiat i częściowo zwinąłeś, a potem pisałeś w niej. Bogini znikła, usłyszałem jednak jej głos. Powiedziała: „On zapomina o wszystkim, nie więcej wiedząc o przeszłości niż o przyszłości. Popatrz, kto stoi przy nim!” Za tobą, w cieniu, stała Nike.

- Mam więc przynieść ci zwycięstwo?

Wciąż z uśmiechem na swej zeszpeconej bliznami twarzy odchylił się do tyłu na poduszki.

- Niewielu ludzi wyróżnili bogowie - rzekł. - Kilku bohaterów, jak Perseusz, Tezeusz i mój przodek Herakles, którzy przeznaczeni byli do... do wielkości. - Odwrócił się do swego wysłannika. - Skąd ma tę bliznę, Pasykratesie?

- Nie wiem, Wasza Wysokość. Lochag przyprowadził dwoje innych razem z nim, małą niewolnicę, która pamięta za niego, i czarodzieja, o którym ci mówiłem. Czekają na zewnątrz z lochagiem i ouragosem, który pilnował go w czasie marszu.

- Wprowadź ich tu. Wszystkich.

Eutaktos wszedł pierwszy, Basjas ostatni. Wszyscy byli chyba trochę wystraszeni. Regent znów się uśmiechnął, widząc Io.

- Znasz historię swego pana, dziewczynko, jak mi powiada Pasykrates - powiedział.

Io lekliwie skinęła głową.

- Skąd ma tę bliznę?

- Nie byłam przy tym, panie.

- Ale wiesz, jak to było. Nie przejmuj się moją twarzą. Twarze pokonanych przeze mnie wyglądają gorzej.

- Była wielka bitwa. Nasi poszli z armią Wielkiego Króla, ale przegrali. Mój pan walczył w tej bitwie, tak sędzę.

- I ja walczyłem. Musisz mi jednak powiedzieć, dlaczego tak sędzisz.

- Bo przyprowadzono go do naszej świątyni wtedy, kiedy ta armia się cofnęła. Wtedy ujrzałam go po raz pierwszy.

- I miał wtedy bliznę?

- Nie wiem. Zakrywał ją zakrwawiony opatrunek. Pasykrates odezwał się:

- Jeżeli jednak walczył po stronie barbarzyńców, Wasza Wysokość...

- Przystojny z ciebie chłopiec - powiedział regent. - Jeśli jednak chcesz pozostać, kim jesteś, naucz się myśleć. Komu ukazała się Dziewczyna? Kogo obdarzyła łaską?

- Ach, rozumiem!

- Spodziewam się! Lochagu, cenię ludzi, którzy osiągają swój cel, którzy nie szukają usprawiedliwień, bo ich nie potrzebują. Nie zapomnę o tobie.

Eutaktos wyprężył się.

- Dziękuję, Wasza Wysokość! - powiedział.

- Ten twój człowiek miał staranie o...

- Latro - podpowiedziałem.

- O Latro, jak rozumiem?

- Tak jest, Wasza Wysokość - potwierdził Eutaktos.

- I dowiedział się o nim niemało, nie wątpię. Chcę go na jakiś czas zatrzymać. Ty możesz wracać do swego lochosu.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. - Eutaktos wyszedł, stąpając dumnie. Więcej go już nie widziałem.

- Dziewczynko, czy wiesz, że twoje i moje miasto nie są już wrogami?

Io skinęła głową.

- Mówił mi to Pindar - wyjaśniła.

- Ktoś z twojego miasta?

Znów skinęła głową.

- Powiedział, że nas uratowałeś.

- I miał słuszność. To prawda, że wasi mężowie walczyli ze mną, i bardzo dobrze walczyli, jak na cudzoziemców. Kiedy jednak wojna się kończy, jest skończona. Tak przynajmniej powinno być. Wojska Myśli chciały spalić wasze miasto. Nic pozwoliłem na to. Dziś twoje i moje miasto są przyjaciółmi.

- Mam nadzieję, że zawsze tak będzie, panie - powiedziała Io grzecznie.

- Kiedy będę miał chwilę czasu, chcę z tobą pomówić. Powiesz mi prawdę, a wszystko dobrze się dla ciebie ułoży. Będziesz miała nowe stroje i towarzyszy zabaw.

- Dziękuję ci, panie - powiedziała Io. - Tylko że ja nie należę do ciebie. Należę do Latro.

- Dobrze powiedziane, nie sądzę jednak, żeby miał coś przeciw temu. Czy masz coś przeciw, Latro?

Zaprzeciłem ruchem głowy.

- Ten twój żołnierz będzie nadal się wami opiekował. Całą trójką. - Spojrzał na Basjasa, który stał jak posąg, z rękami po bokach. - Głupiec, dziecko i szpieg, to chyba nie za wiele dla ciebie, ouragosie? Jak się nazywasz?

- Basjas, Wasza Wysokość! Nie, Wasza Wysokość.

- Dobrze. Tych dwoje nie sprawi ci kłopotu, Basjasie. Ten szpieg może sprawić. Gdyby tak było, zabij go. Jeśli nie będzie posłuszny, nie powinien żyć.

- Nie jestem szpiegiem! - wykrzyknęła kobieta w purpurowym płaszczu.

- Jesteś, oczywiście. Gdybym przedtem tego nie wiedział, wiedziałbym teraz, bo zbyt długo czekałeś z zaprzeczeniem. Pochodzisz z Miletu, tak przynajmniej mówiłeś memu wysłannikowi?

- Tak. I jestem...

- Hellenem, jak my wszyscy, oprócz Latro. Niemało Hellenów walczyło po stronie Wielkiego Króla.

- Ja nie walczyłam w ogóle.

- Z pewnością nie. Twój król nie jest głupcem, ani jego doradcy. Dość spojrzeć na twoją twarz, by wiedzieć, że bardziej użyteczny będziesz za frontem niż przed frontem. Wiem, co stało się z Miletem. Wielki Król zburzył wasze mury, a was zapędził do pasania kóz. Nie pytam, jak się z tego wykręciłeś, bo pewnie przygotowałeś jakąś opowieść. Mniejsza o to. Basjas nosi miecz - oby go nie musiał użyć.

- Chroni mnie...

- Jesteś pod władzą naszego prawa, a zgodnie z nim możemy zabić cię na miejscu. Basjas pozbędzie się jednego zmartwienia i jeśli skłamiesz, skręci ci kark.

Odezwał się Basjas:

- Był w obozie Wielkiego Króla, Wasza Wysokość. Słyszałem, jak opowiadał o tym Latro.

Regent rozłożył ręce.

- Mów! Albo zginiesz. Komu przekazywałaś informacje? - zapytał.

Kobieta szybko zdążyła się opanować.

- Wierz mi, najdostojniejszy...

Z szybkością pchnięcia włóczni Basjas chwycił ją za ramię. Sięgnęła mu paznokciami do twarzy, ale uderzenie w głowę posłało ją w drugi koniec namiotu.

Basjas wyciągnął miecz.

- Zaczekaj! - powiedział regent. Zwrócił się do mnie. - Widziałem ten twój krok. Broniłbyś przyjaciela, gdyby Basjas był tu sam. A gdyby go nie było? Gdybyś miał przeciw sobie tylko Pasykratesa i mnie?

- Gdyby nie wartownicy, zabiłbym was wszystkich albo spróbowałbym zabić.

- Nie, panie! - wykrzyknęła Io.

Regent uspokoił ją gestem dłoni.

- Twój pan jest dzielnym człowiekiem - powiedział. - I musi takim być, jeśli ma żyć wśród nas.

Kobieta podniosła się niezdarnie. W oczach miała łzy, ale i coś więcej także.

- Nie mam czasu do stracenia - rzekł do niej regent. - Możesz mówić i żyć albo milczeć i umrzeć. Wybieraj.

- Będę mówić - powiedziała. - Któżby wybrał inaczej? - Wygładziła płaszcz, jak to robią kobiety, dbające o swój strój, choćby miasto płonęło dookoła.

- Dobrze. Szpieg, który zeznaje, może być użyteczny. Użyteczny może żyć, i to dobrze. Komu przekazywałaś informacje?

- Artabazosowi.

- Coraz lepiej. A ich treść?

- Wystarczyłoby pół roku i kilka upominków, a obeszloby się bez walki.

- Nie uwierzył ci?

- Uwierzył, ale nie zdołał przekonać Mardoniosa.

Basjas upuścił miecz, który upadł ostrzem w dół, przebił dywan i utkwiał w ziemi. Podniósł rękę i z niedowierzaniem przyglądał się swojej dłoni. Palce były opuchnięte a skóra poszarzała.

- Niech się temu przyjrzę - powiedział regent, a gdy Basjas nie usłuchał, ostro nakazał.

- Zbliź się!

Basjas podszedł niby lalka poruszana sznurkami i wyciągnął rękę.

- Miał zatrutą szpilkę we włosach. - Regent spojrzał na kobietę. - Jaka jest na to odtrutka?

- Nie mam żadnej szpilki, Wasza Wysokość - powiedziała. - Możesz mnie obszukać, jeśli chcesz

- Ukryłeś ją, padając. Masz w tym wprawę. Jak masz na imię?

- Eurykles, Wasza Wysokość. Mówiono mi już o tym.

Regent skinął głową z roztargnieniem, po czym zwrócił się do Basjasa:

- Basjasie, powiedz wartownikom, żeby któryś zaprowadził cię do Kichesipposa, mojego lekarza. Inni nich podejda i usiądą przede mną. Dość mam kręcenia głową. Weźcie poduszki, jeśli chcecie.

Przyniosłem poduszkę kobiecie i drugą, dłuższą, dla Io i dla mnie. Kiedy kładłem je przed regentem, słyszałem jak Basjas rozmawia z wartownikiem na zewnątrz.

- Ty także, Pasykratesie - powiedział regent i wysłannik zasiadł po jego prawej ręce.

- Euryklesie, powiedz mi, czemu dałeś Artabazosowi taką radę?

- Bo była najlepsza, jaką mogłem dać - powiedziała kobieta. Przez chwilę zbierała myśli. - Wojna jest jedynie ostatnim środkiem, do którego ucieka się polityka. Nie ma żadnych pewnych zwycięstw, tak przynajmniej myślę. Król, który walczy, kiedy może osiągnąć swe cele przy pomocy czarki mądrości i garści złota, jest głupcem.

Regent uśmiechnął się.

- Uważasz swego Wielkiego Króla za głupca? - zapytał.

- Wielki Król odszedł. Mardonios był dobrym żołnierzem, ale głupim człowiekiem. Gdyby dowodził Artabazos...

- Gdyby dowodził Artabazos, co wtedy? Co z Hellenami? Jesteś jednym z nich, jak nam dopiero co przypomniałeś.

- Mielibyście własnego władcę, tak jak to jest obecnie i jak to jest w naszych miastach w Azji Mniejszej. Co za różnica? Po co miałyby ginąć dziesięć miriadów?

- Czy wiesz o innych, którzy myślą podobnie? W Myśli?

- Mam pewność, że tacy istnieją.

- Jesteś ostrożny. Ja również. - Regent spojrział na Io i na mnie. - Pozwólcie mi powiedzieć sobie coś, czego nie zauważacie. A raczej pozwólcie nam, mówiłem bowiem z Pasykratesem i jest on mojego zdania.

Kobieta pochyliła się w jego stronę, muskając palcami policzek.

- Tak, Wasza Wysokość?

- Cele nas czworga są tak zbliżone, że nie do odróżnienia. Powiem najpierw o Powrozie. My, Powroznicy, jesteśmy najlepszymi żołnierzami w świecie i Wielki Król o tym wie. Kto jednak zna wojnę, wie, że to nie zabawa, i kto mądry - ten jej unika, jeśli tylko może, tak jak mówisz. Co do chwały, mój stryj Leonidas zdobył jej dość przy Wrotach Gorących Źródeł, aby nasze imię przetrwało, dopóki Tantal się nie napije - że nie wspomnę o mojej własnej bitwie. Honorowy pokój jest naszym jedynym pragnieniem.

Kobieta zwana Euryklesem skinęła prawie niezauważalnie głową, wbijając oczy w regenta niby wąż, który unieruchamia wzrokiem ptaka.

- Kraj nasz dzieli się na tyle walczących z sobą miast, że nikt ich nie policzy, ani też się tym nie kłopotce. Każde skupisko chat na górskim zboczu stanowi własne prawa, bije własną monetę i wyprowadza w pole garstkę wojska, by zgnieść sąsiada. Jasne jest, że trzeba nam zjednoczenia pod przewodem najgodniejszego z naszych miast i szczęśliwym trafem jest to moje miasto.

- A jeszcze szczęśliwszym trafem - rzekła kobieta - mam oto przed sobą członka starszej dynastii tego miasta i przy tym najznakomitszego z jego żyjących przywódców.

- Dziękuję ci. - Regent pochylił łaskawie głowę. - Niestety, nasze miasto nie ma dość siły, by zjednoczyć pozostałe. Co więcej, nie jest dość bogate. Często myślałem, że gdybyśmy to my znaleźli srebro, a nie Myśl, gdybyśmy zdobyli skarbiec Krezusa... - Wzruszył ramionami i nie dokończył. - Przypuśćmy jednak, że dostalibyśmy pomoc - albo przynajmniej obietnicę - oddziałów posiłkowych. Jazdy, powiedzmy, bo tej mamy bardzo mało. Z taką obietnicą i odpowiednią ilością złota na dary dla przewidujących mężów można zdziałać wiele.

- Można, w istocie - potwierdziła kobieta.

Pasykrates mruknął:

- Wasza Wysokość, czy powinieneś mówić takie rzeczy przy tej dziewczynce?

- Mówić jakie rzeczy? Że zabiegam o honorowy pokój z Wielkim Królem i o pozycję Powrozu współmierną do jego zasług? Może to ona powtórzyć każdemu, kogo spotka!

Io odezwała się:

- Nie powtórzę nikomu. Nikomu, oprócz Latro, niczego nie mówię. Powiedziałeś jednak, że mamy wspólne cele.

- Szczęśliwy jest twój pan, mając taką niewolnicę, spostrzegłem to już wcześniej. Co do naszych celów, weźmy najpierw Euryklesa. Do ciebie wrócimy później. Eurykles służył Wielkiemu Królowi, jak sam to przed chwilą wyznał. Służy bezpośrednio Artabazosowi. Spodziewa się, jak każdy, nagrody za swe trudy. Wielki Król chce odzyskać poważanie, jakie tu utracił, i zyskać nową chwałę. Pokój i zjednoczenie pod przewodem kogoś, kto mu sprzyja...

Kobieta rzekła:

- To wszystko, czego mógłby pragnąć, Wasza Wysokość, to pewne. Trzeba by, naturalnie, wprowadzić w to kogoś z królewskich doradców.

- Naturalnie. Teraz, co do ciebie, dziewczynko. Twoje miasto było w przymierzu z Wielkim Królem i - jak ci mówił twój przyjaciel, Pindar - zostałyby zniszczone, gdyby nie działania mojego miasta i moje na jego korzyść. Czy to nie oczywiste, że to co dobre dla waszych najsilniejszych przyjaciół, jest dobre i dla was?

- Prawdę mówiąc, nie chodzi mi o moje miasto. Chodzi mi o Latro - odparła Io.

Odezwałem się:

- Który jest żołnierzem Wielkiego Króla. Masz mnie za głupca, książę Pauzanaszu, bo straciłem pamięć, i pewnie nim jestem. To jedno wiedziałem jednak zawsze, nawet gdy nie znałem mego imienia.

ROZDZIAŁ XXVIII

Mykale

Miejsce, o którym nikt chyba nigdy dotąd nie słyszał, jest dziś na ustach wszystkich. Połączone floty Myśli i Powroźników zadały tam barbarzyńcom kolejną straszliwą klęskę. Niektórzy mówią, że było to tego samego dnia, co wielka bitwa, w której zostałem ranny, inni - że musiało to być później, bo inaczej nie trzeba by aż tyle czasu, by dotarli do nas wiadomości. Ci pierwsi odpowiadają na to, że burze i przeciwne wiatry mogły opóźnić przybycie statku i że wiadomości dotarły najpierw do Myśli, a dopiero stamtąd do nas.

Io rzekła:

- Ach, mam nadzieję, że czarny człowiek ma się dobrze. Wiem, że nie pamiętasz czarnego człowieka, Latro, ale on był twoim przyjacielem jeszcze wcześniej niż Pindar i ja. Był z tobą, kiedy przyprowadzono cię do świątyni.

- Czy myślisz, że brał udział w tamtej bitwie? - spytałem.

- Mam nadzieję, że nie, ale prawdopodobnie tak było. Kiedy Hyperejdes sprzedał cię Kalleos, zatrzymał czarnego człowieka, a później miał dołączyć ze swymi okrętami do floty.

- Ja zatem mam nadzieję, że czarny człowiek ma się dobrze, a Hyperejdes nie żyje.

- Nie powinieneś tak mówić, panie. Hyperejdes nie był złym człowiekiem. Wyciągnął nas z tego lochu w Wieżowym Wzgórzu tylko dzięki swej wymowie i pozwolił odejść Pindarowi i Hilaejrze wtedy, kiedy powinien to zrobić, zgodnie z prawem.

Zanim napiszę o ostatnich wydarzeniach, powinienem opisać wcześniejsze, bo mogą wkrótce przepaść we mgle, której nie mogę przegnać z głębi myśli. Regent powierzył nas opiece swego wysłannika, który kazał swoim niewolnikom przynieść nasze rzeczy i namiot Basjasa.

Pokazał nam, gdzie stoi jego własny (przy namiocie regenta) i powiedział, żebyśmy ustawili namiot Basjasa przy tamtym. Nie myślałem, że sobie przypomnę, jak się ustawia namiot, ale gdy rozłożyłem wszystko na ziemi, przypomniały mi się kolejne czynności. Io pełzała pod płótnem nasączonym oliwą i trzymała maszty. Cieszyła się tym tak bardzo, że wszystko zajęło mi trzy razy więcej czasu niż powinno.

Wśród rzeczy Basjasa był miecz w pochwie zawieszony u pasa, o którym Io mówi, że jest mój. Przypasałem go i od razu poczułem się lepiej - mężczyzna bez broni jest

niewolnikiem. Io mówi, że Kalleos pozwalała mi go nosić, kiedy należałem do niej, i chyba dlatego nie czułem do niej urazy, o czym zapewnia mnie Io.

Potem przyszli niewolnicy Basjasa, wylęknieni, bo spodziewali się bicia. Zbierali chrust, kiedy niewolnicy Pasykratesa przyszli po rzeczy pana i ledwie zdołali się potem dopytać, co się stało. Wyjaśniłem im, że ich pan zachorował, i kazałem przygotować odpowiedni dla chorego posiłek.

Dobrze zrobiłem, bo niedługo potem jacyś niewolnicy przynieśli na noszach Basjasa. Był z nimi jakiś starzec, który przedstawił się jako Messeńczyk Kichesippos, ale jego wymowa jest taka sama jak Powroźników. Ręka Basjasa jest czarna i opuchnięta, a on sam wydaje mi się pogrążony we śnie. Czasem słyszy nasze rozmowy, czasem jest na to głuchy, a czasem zdaje się widzieć coś, czego my nie możemy dostrzec. Być może ja sam wyglądam tak w oczach innych, nie wiem.

Kichesippos powiedział do niewolników Basjasa:

- Waszego pana ukąsiła żmija, i to - sądząc z rozstawu kłów i z jego stanu - większa niż wszystkie, które dotąd widziałem. Naciąłem rany i wyssałem truciznę, najlepiej jak było można. Nie próbujcie tego robić po raz drugi, po pierwszym razie to już na nic. Niech odpoczywa, dopilnujcie, by mu było ciepło, i dajcie mu jeść, gdyby chciał. Niech je i pije wszystko, na co ma ochotę. Za łaską bogini może wyzdrowieć. Może jednak umrzeć.

Io spytała, czy niczego więcej nie możemy zrobić.

- O ile wiem, żmija nie została zabita?

Potwierdziłem skinieniem, Io zaś rzekła:

- Nawet jej nie widzieliśmy, panie. On uderzył kogoś, a ktoś inny powiedział, że tamten miał we włosach zatrutą szpilkę.

Kichesippos zaprzeczył:

- Szpilka nie mogłaby zawierać aż tyle jadu i zostawiłaby pojedyncze zadrapanie. Nie będę zdejmował opatrunku, żeby pokazać wam otworki, są jednak dwa.

Zadziwiła mnie przebiegłość małej Io, gdyby mu bowiem powiedziała, że mówił o tym jego pan, Pauzaniasz, Kichesippos na pewno nie zaprzeczyłby mu.

- Gdyby żmija nie żyła - ciągnął - mógłby mieć z tego pożytek. Jeszcze lepiej byłoby przyłożyć jej surowe mięso do rany - póki żyje, jad czerpie z niej moc, tak jak armia czerpie moc z istnienia miasta, które ją wysłało. Niczego innego nie mogę polecić.

- Mógłbyś zatem zbadać mego pana - powiedziała Io. - Być może regent wspominał ci o nim po dzisiejszej naradzie. On stracił pamięć.

- Zauważyłem tę bliznę. Zbliżył się młody człowieku, chciałbym jej dotknąć. Czy mógłbyś uklęknąć? Nie chodzi o poddanie się. Gdyby bolało, powiedz.

Uklęknąłem przed nim i poczułem, jak jego zwinne palce prześlizgują się po boku mej głowy. Io spytała:

- Czy jesteś kapłanem Asklepiosa? Kiedy Latro spał przy ołtarzu, Asklepios powiedział mi, że nie może mi pomóc.

- Obawiam się, że i ja nie mogę - powiedział Kichesippos. - Jeśli nie otworzę ponownie rany, a to mogło by go zabić. - Palce cofnęły się. - Możesz wstać, młody człowieku. Czy upuszczasz jakieś przedmioty? Czy się przewracasz? Czy cierpisz na zawroty głowy?

Zaprzeczyłem.

- Masz szczęście - wszystkich tych objawów należałoby się spodziewać. Czy nosiłeś hełm, kiedy cię zraniono?

Powiedziałem, że nie wiem.

- Prawda, straciłeś pamięć. Czy to jedyny objaw?

- Tak - odpowiedziałem.

Io odezwała się:

- Ukazują mi się bogowie. Czasami.

- Powtarzające się przywidzenia - stwierdził Kichesippos. - Młody człowieku, sądzę, że jakieś obce ciało wniknęło głęboko w twój mózg. To najprawdopodobniej odprysk kości, sądząc po ranie, znam jednak podobny przypadek - wtedy chodziło o mały grot strzały. O ile to cię pocieszy, gorzej już nie będzie, najprawdopodobniej. To coś może w końcu zaniknąć, zwłaszcza jeśli to odprysk kości. Jeżeli tak się stanie, uszkodzona część może - powiadam „może” - odtworzyć się, przynajmniej częściowo. Nie rób sobie wielkich nadziei. Trzeba na to lat, jeśli w ogóle do tego dojdzie, a prawdopodobnie nie dojdzie. Co do leczenia... - Wzruszył ramionami. - To nie wiem, ale modlitwy nigdy nie są całkiem daremne. Jeśli nawet nie zostaniesz uleczony, możesz uzyskać jakąś inną korzyść. Do Asklepiosa już się zwracałeś, jak mówi ta dziewczynka. Są też rozsiane po całym kraju przybytki herosów, którzy podobno uzdrawiają, chociaż za życia głównie zabijali. Któryś z nich może ci pomóc. Są też wielcy bogowie, jeśli ci się udało zwrócić ich uwagę. Tak czy owak, musisz nauczyć się żyć ze swoją niemocą. Czy pamiętasz, jak mam na imię?

- Kichesippos.

- Rano pamięta wszystko, co się zdarzyło wieczorem - wyjaśniła Io - ale w południe zapomina. Zapisuje to.

- Doskonale.

- Ale kiedy czytam ponownie to, co napisałem, zastanawiam się czasem, czy pisałem prawdę - powiedziałem.

- Rozumiem. - Kichesippos skinął głową samemu sobie. - Czy zapisałeś coś dzisiaj?

- Tak, kiedy czekaliśmy na widzenie się z regentem.

- A czy kusiło cię, by skłamać? Nie pytam, czy skłamałeś, tylko czy miałeś taką pokusę.

Zaprzeciłem.

- Bardzo więc wątpię w to, że kłamałeś w przeszłości. Kłamstwo to nałóg, tak samo jak picie. Ty mówisz prawdę, tak jak ją widzisz

Wyraziłem nadzieję, że się nie myli.

- Musisz pamiętać, że w życiu każdego zdarzają się wydarzenia tak niezwykle, iż tylko najbardziej pomysłowy kłamca umiałby je wymyślić. Choćby ta wielka bitwa pod Mykale - czy coś o niej słyszałeś?

- Nie - odparłem.

- Wiadomość o niej dotarła do regenta dopiero dzisiaj, a szlachetny Pasykrates, który miał ją wprost od mego pana, powiedział mi o tym, kiedy rozmawialiśmy o waszym biednym przyjacielu. - Starzec urwał, by zebrać myśli.

- Mykale leży na wybrzeżu azjatyckim. Król Leotychides natrafił tam na okręty barbarzyńców wyciągnięte na brzeg. Wróżby były pomyślne, nakazał więc natychmiast atak. Załogi ich okrętów były wzmocnione armią z Suzy, wydawało się więc, że walka będzie zażarta. Jednak barbarzyńcy, nie mogąc na dłuższą metę sprostać zdyscyplinowanym oddziałom, załamali się. Nasi, oczywiście, utrzymali szyki, ale niektórzy mężowie z innych miast pobiegli za nieprzyjaciółmi i mieli szczęście, bo zdołali dopaść palisady, zanim zamknięto wrota. To dobiło barbarzyńców, my zaś spaliliśmy ponad trzysta okrętów. - Zatarł dłonie. - Ludzie ze stu okrętów spalili trzysta okrętów i zniszczyli całą armię! Kto za sto lat w to uwierzy? Wielki Król zbuduje niewątpliwie nowe okręty i wystawi nowe armie, ale nie w tym roku i nie w przyszłym.

- A tymczasem będzie mu potrzebny każdy żołnierz - powiedziałem.

- Wyobrażam sobie - zgodził się ze mną Kichesippos.

Do czasu odejścia starego lekarza zrobiło się prawie ciemno. Kazałem niewolnikom przygotować nam posiłek, a kobieta w purpurowym płaszczu przyłączyła się do nas, kiedy jedliśmy.

- Nie macie nic przeciw temu, że zjem trochę? - zapytała. - Doleciał mnie zapach. Jesteśmy teraz sąsiadami, czy wiecie?

- Nie - powiedziała Io. - Nie wiemy, gdzie mieszkasz.

- U tego urodziwego Pasykratesa. Teraz go jednak nie ma, a jego niewolnicy nie chcą mnie słuchać.

Jedzenia wystarczyło zaledwie dla Io, Basjasa i dla mnie, poszedłem więc do namiotu Pasykratesa, gdzie zastałem jego niewolników gotujących sobie posiłek. Jeden uciekł, ale chwyciłem pozostałych dwóch za gardła, stuknąłem o siebie ich głowami i powiedziałem, że mają przynieść jedzenie i że następnym razem, jeśli nie posłuchają kobiety, wepchnę im twarze w węgle.

Kiedy wróciłem do naszego namiotu, kobieta powiedziała:

- Jęczmień, krew i bób - tak jak mówiłam. Po skosztowaniu jęczmienia i bobu wolę już chyba krew. Bób, w każdym razie, jest odpowiednim pożywieniem dla umarłych.

Spytałem, czy ma zamiar umrzeć.

- Nie, ale udajemy się tam, nie słyszeliście? Teraz do Powrozu, żeby dostojny Pauaniasz mógł się przespać z żoną, a potem nad Acheron, by mógł poradzić się cieni. Powinna to być ciekawa podróż.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzamy odwiedzić zmarłych? - spytała Io.

Kobieta skinęła głową. Chociaż czułem niejasno, że kiedyś uważałem ją za mniej pociągającą, nie mogłem nie spostrzec, jak urocza była jej twarz w blasku ognia.

- Przynajmniej ja i regent - odparła. - Trzeba wam było widzieć, jak był zachwycony, gdy mu ktoś powiedział, kim jestem. Natychmiast po mnie posłał i chyba zamierza mnie prosić o wywołanie tam dla niego paru duchów.

- Czy to daleko? - dopytywała się Io.

- Nad Acheron? Ależ nie, to po prostu po drugiej stronie grobu.

Powiedziałem jej, żeby nie kpiała sobie z Io.

- Ach - powiedziała. - Wybieracie więc dłuższą drogę. Nie, to naprawdę niedaleko, Io. Dwa albo trzy dni do Powrozu i chyba niewiele dłużej nad Acheron - jeśli wsiądziemy na statek w zatoce, a chyba wsiądziemy. Przy okazji - zwróciła się do Io - czy mogłabyś pożyczyć mi grzebień? Mój gdzieś mi zginął.

Io niechętnie wyjęła rogowy grzebyk. Kobieta przeciągnęła nim po swych ciemnych włosach, które wyglądały, jakby nigdy nie były czesane, nie mogły być w większym nieładzie.

- Chcę mieć dłuższe włosy - powiedziała. - Ci Powroźnicy noszą długie, zauważyliście? Podobno czeszą je przed bitwą. Widzicie? Żadnych zatrutych szpilek.

Niewolnicy Pasykratesa przynieśli misę bobu, trochę suszonej ryby, bochenek jęczmiennego chleba i czarę wina. Kazałem Io zobaczyć, czy Basjas jadł. Powiedziała, że chce pić, dałem jej więc kubek zmieszanego z wodą wina z czary i pół bochenka chleba.

- Zjedz coś sam - powiedziała kobieta. - Nie dostaniesz niczego lepszego.

- Zjem - odparłem. - Czy mogę jednak o coś cię spytać? Twój język nie jest moim językiem ojczystym i czasem wydaje mi się, że nie znam go tak dobrze, jakbym chciał.

- Oczywiście.

- Powiedz mi, czemu wszyscy nazywają cię Euryklosem, jeżeli to imię męskie?

- Ależ to jest pytanie osobiste.

- Czy odpowiesz na nie?

- Jeśli mogę i tobie zadać takie pytanie.

- Oczywiście.

- Inni nie domyślają się, kim naprawdę jestem. Myślą, że jestem mężczyzną. Ty też tak dawniej myślałeś. Zapomniałeś o tym.

- Postaram się nie zdradzić twojej tajemnicy.

Uśmiechnęła się.

- Możesz o tym mówić, jeśli chcesz. Hippokleidesowi jest wszystko jedno, jeśli znasz to powiedzenie.

Zaraz potem Io wyszła z namiotu i za chwilę wróciła, przynosząc pół kubka wina.

- Nie chce jeść chleba - powiedziała. - Dałam go jego niewolnikom. Mówili, że ich jedzenia też nie chciał jeść, oprócz paru łyków rosołu.

Kobieta zwana Euryklosem zadrzała.

- Jeśli nie dbasz o to, że ludzie wiedzą o tobie, jak mamy cię nazywać? - spytałem.

- Czemu nie Drakainą, jak to sam proponowałeś? Drakaina z Miletu. Przy okazji, czy słyszałeś o bitwie i o tym, co zrobili potem Milezyjczycy?

- O Milezyjczykach nie słyszałem. Czy nie posłano ich do pasania kóz, w głąb kraju? Tak mówił regent.

- Ach, nie. Tylko niektórych, z najznacniejszych rodzin. I nie do pasania kóz. Tak naprawdę to posłano ich do Suzy jako zakładników. Kiedy mieszkańcy mego pięknego miasta usłyszeli o Mykale, powstali przeciw barbarzyńskiej załodze i wszystkich pozabijali.

- Nie jestem pewien, czy to pochwalam, bo sam jestem barbarzyńcą.

- Ja też nie - powiedziała Drakaina. - To mnie stawia w dwuznacznej sytuacji, nieprawdaż? Lubię takie. - Podniosła się i zwróciła Io grzebień.

- Czy nie zadasz mi tego osobistego pytania? - zapytałem.

- Nie - odparła. - Zaczekam z tym. Może później.

Kiedy znikła w namiocie Pasykratesa, Io spojrzała z niesmakiem na grzebyk.

- Będę musiała go umyć - powiedziała.

ROZDZIAŁ XXIX

Kraj Milczenia

Ziemia, którą rządzą Powroźnicy, jest krainą surowych gór i szerokich żyznych dolin. Mamy za sobą dzikie wzgórza Krainy Niedźwiedzi, gdzie obozowaliśmy zeszłej nocy i gdzie Basjas zbudził mnie swymi jękami. Io mówi, że poprzedniej nocy obozowaliśmy pod Wieżowym Wzgórzem i że ukryła ten zwój, jak to zrobiła wcześniej, kiedy byliśmy tam uwięzieni, bo bała się, że mogą mi go zabrać. Mówi też, że część żołnierzy pochodziła z tego miasta i że odłączyli tam od armii.

Dziś rano, kiedy byliśmy jeszcze w Krainie Niedźwiedzi, zastanawiałem się, dlaczego Kraj Milczenia nosi taką nazwę. Kiedy zatrzymaliśmy się w tamtej wiosce na pierwszy posiłek, zaszedłem do jednego z domów, by spytać mieszkańców.

Nie było tam nikogo, wszyscy byli - jak sądziłem - w polu. Io mówi, że Basjas powinien mnie pilnować, ale jest na to zbyt chory, a Pasykrates, który pilnował mnie w czasie marszu, pobiegł naprzód.

Szedłem tak od domu do domu, przystając, by wejść w niskie drzwi i kaszłąc od dymu z palenisk. Raz znalazłem garnek kipiący na ogniu, a raz nie dojeżdżony placek jęczmienny, nie było tam jednak ani mężczyzn, ani kobiet, ani dzieci i zacząłem w końcu myśleć, że są niewidzialni dla oczu śmiertelników albo że są duchami zmarłych, które Powroźnicy zmusili w jakiś sposób do pracy.

W piątym z rzędu domu, do którego zaszedłem, była kuźnia. Płonął w niej ogień, a w kleszczach tkwił na wpół uformowany, jarzący się kawał żelaza. Widząc to, pojąłem, że kowal nie może być dalej niż o krok lub dwa. I rzeczywiście, znalazłem go przykucniętego za stołem, kryjącego się pod swym skórzanym fartuchem, narzuconym na stół. Wyciągnąłem go stamtąd i zmusiłem do wstania. Jego posiwiła głowa sięgała mi do ramienia, był jednak muskularny, jak wszyscy w tym zawodzie.

Po wielekroć prosił mnie o wybaczenie, powtarzając, że nie chciał okazać mi braku szacunku i że tylko zląkł się widoku obcego. Powiedziałem, że nic mu nie zrobię i że chcę po prostu zadać mu kilka pytań.

Wtedy przestraszył się jeszcze bardziej; twarz mu poszarzała, zaczął udawać głuchego, a potem, kiedy na niego krzyknąłem, udawał, że mówi tylko jakimś gulgoczącym narzeczem i nie może mnie zrozumieć. Wyciągnąłem Falcatę i przyłożyłem mu do gardła,

chwycił jednak mą rękę w przegubie i wykręcił tak mocno, że aż krzyknąłem, a wolną ręką porwał swój młot. Śmierć zajrzała mi w oczy - ujrzałem jej nagą czaszkę, szczerzącą zęby.

I oto Śmierć znikła, znów była tylko twarzą kowala, jeszcze bledszą niż przedtem, z otwartymi ustami i wywróconymi oczami. Odgłos, z jakim młot wypadł mu z ręki i uderzył w klepisko, wydał mi się zbyt głośny, jak na te hałasy, które budzą nas ze snu.

Puściłem go, on zaś odchyłał się w tył, aż wbity w plecy oszczep przytrzymał na chwilę ciało. Ostrze wychynęło mu z piersi pod naporem ciała. Było szerokie na dwa palce, z kutego żelaza, błyszczącego w świetle paleniska. Potem osunął się na bok i upadł.

Jeden z niewolników Powroźników stał w drzwiach, trzymając drugi oszczep.

- Dziękuję! - powiedziałem. - Zawdzięczam ci życie. Oparłszy stopę o ciało, wyciągnął oszczep i wytarł grot w skórzany fartuch kowala.

- To moja wioska - powiedział, po czym dodał, wskazując grot. - On to wykuł.

- Zabiłby mnie jednak, chociaż nie zrobiłbym mu krzywdy.

- Myślał, że zrobiłbyś i że byłoby to dla niego zgubą, gdyby go ujrzano rozmawiającego z cudzoziemcem. Będzie to i moja zguba, jeśli mnie z tobą zobaczą.

- Niech więc nas nie zobaczą - powiedziałem i zawlekliśmy ciało w miejsce niewidoczne z ulicy. Kiedy zaś ukryliśmy je i zagrzebaliśmy w pyle ślady krwi, wyprowadził mnie tylnymi drzwiami na podwórko, gdzie zasłaniała nas kuźnia i zwały węgla drzewnego.

- Nie pamiętasz mnie? - spytał.

- Nie - zaprzeczyłem. - Wiele zapominam.

- Tak mi też mówiłeś, po tym jak ujrzelśmy czarnego boga. Jestem Kerdon, Latro. Czy masz jeszcze swoją książkę? Pewnie pisałeś tam o mnie, chociaż mówiłem ci, żebyś tego nie robił.

- Jesteśmy więc przyjaciółmi? Czy dlatego mnie uratowałeś?

- Możemy być, jeżeli dotrzymasz obietnicy.

- Jeżeli coś ci obiecałem, zrobię to. Jeżeli nie obiecałem, dam ci wszystko, o co poprosisz. Uratowałeś mi życie.

- Chodź więc ze mną dziś w nocy do świątyni Wielkiej Matki. To niedaleko stąd.

Gdy mówił, usłyszałem jakiś słaby odgłos - szelest spódnicy albo szelest, z jakim prześlizguje się wąż. Potem ucichł, a kiedy się rozejrzałem, nie zobaczyłem niczego.

- Chętnie to zrobię - powiedziałem - jeśli będę mógł, ale odchodzimy stąd, gdy tylko niewolnicy skończą jeść. Wieczorem będziemy daleko.

- Przyjdiesz jednak, jeżeli będziesz mógł, nie zapomnisz?

- Do wieczora? Nie. Ale do jutra, być może, zapomnę.

- Dobrze. Wyprowadzę cię, gdy tylko obóz zaśnie. Wasi niewolnicy nie doniosą na nas, a ten Powroźnik w twoim namiocie jest zbyt chory, by coś spostrzec. - Zaczął się zbierać do odejścia.

- Zaczekaj. Jak to się stało, że się tu znalazłeś, kiedy potrzebowałem twojej pomocy?

- Śledziłem cię od Megary, wiedziałem jednak, że rozmowa nic nie da, dopóki się tu nie znajdziemy. Wiedziałem, że tu będziemy, bo nasza wioska leży przy drodze do Powrozu i należy do Pauzanasza. Kiedy zobaczyłem, że oddalasz się bez straży, zrozumiałem, że to szansa dla mnie. Poszedłem za tobą, licząc na spotkanie sam na sam. I z jej łaski tak się stało.

Nie zrozumiałem go.

- Ta kuźnia należy do regenta? - zapytałem.

- Ta wioska, pola i my wszyscy. Pomagałem Kichesipposowi zanieść tego Powroźnika do waszego namiotu. Nie poznałeś mnie.

- Nie - przyznałem.

- Wiem, że nie poznałeś. Muszę już iść, ale przyjdę wieczorem. Nie zapomnij.

- Co z... - Skinąłem głową, wskazując martwego człowieka w kuźni.

- Dopilnuję tego - powiedział. - To wyłącznie nasza sprawa.

Kiedy wróciłem do lasu, w którym tarczownicy jedli posiłek, ustawiali się już oni w szyku marszowym, a kilku spóźnionych niewolników gasiło ogniska i zbierało garnki. Przemaszerowaliśmy dziarsko przez wioskę pod muzykę fletów, kiedy jednak dotarliśmy do tej rzeki, okazało się że most stoi w płomieniach. Chociaż niewolnicy ugasiłi wkrótce ogień, nawierzchnia mostu była zniszczona, postanowiono więc zatrzymać się tu na noc. Wszyscy i tak byli zmęczeni marszem przez Krainę Niedźwiedzi, mówili też, że most będzie jutro naprawiony.

Niewolnicy Basjasa musieli dziś rano nieść go na noszach, a także nieść nasz namiot i inne rzeczy. Spytałem, czy im nie za ciężko. Odpowiedzieli, że nie - tyle samo musieli nosić, kiedy odchodzili z Kraju Milczenia, by walczyć z Wielkim Królem; nieśli wówczas zapasy na dziesięć dni. Zaproponowałem, że pomogę im nieść nosze, chyba chętnie by się zgodzili, bali się jednak, że mogą być ukarani.

Spytałem, czy Basjas ma własną wioskę i czy oni z niej pochodzą. Odpowiedzieli, że ma tylko folwark i że mieszkają tam, i pracują wszyscy trzej. Chyba dostaną polecenie zabrania go tam, na południe, póki nie wyzdrowieje. Ma on też dom w Powrozie, ale na folwarku będzie mu lepiej. Gdyby umarł, gospodarstwo przejdzie na własność jakiegoś krewnego.

Nie wyglądało na to, że boją się ze mną rozmawiać, wspomniałem więc, że mieszkańcy wioski bali się. Odpowiedzieli, że w wojsku jest inaczej, lepiej, i że nikt nie doniesie, że mówią z cudzoziemcem, jeżeli muszą nosić mu namiot i gotować posiłki, że jednak byłoby lepiej, gdybym nie rozmawiał z niewolnikami innych. Basjas jest chyba łagodniejszym panem niż regent, chociaż może tylko dlatego, że nie jest tak bogaty. Ktoś, kto posiada tylko folwark i trzech niewolników, nie może sobie pozwolić na stratę choćby jednego.

Wszedłem potem do namiotu i rozmawiałem z nim, opowiadając mu o spaleniu mostu. Coraz bardziej ciekawił mnie ten dziwny kraj. Chociaż nic nie mogę powiedzieć o zwyczajach innych narodów, czuję pewność, że te, które poznałem, nie są podobne, i nie wydaje mi się normalne to, o czym tu słyszę.

Był słaby, ale chyba nic go nie bolało. Io mówi, że czasem ma gorączkę, wydaje mu się wówczas, że znowu jest chłopcem, i mówi o swoich dawnych nauczycielach, ale nie zachowywał się tak, kiedy z nim rozmawiałem.

Mówiłem mu o moście, on zaś powiedział, że niewolnicy zza rzeki zrobili to, spodziewając się, iż wybierzemy inną drogę - że tutejsi niewolnicy będą chcieli pozbyć się nas jak najprędzej. Nie powiedziałem mu oczywiście nic o Kerdonie ani o tym, co się zdarzyło w kuźni. Pytał o pola, które mijaliśmy, czy były już zaorane pod jesienne siewy.

Dziwiłem się, sądząc, że widział je na własne oczy, gdy maszerowaliśmy, powiedział jednak, że przespał większą część drogi, a i tak z noszy nie mógłby wiele widzieć, bo zasłaniaли mu ci obok. Powiedziałem, że wszędzie jeszcze widać ścierniska, pewnie dlatego, że tak wielu mężczyzn jest w wojsku.

- Czas orać - mruknął. - Przed deszczami.

- Obawiam się, że jeszcze przez jakiś czas nie będziesz mógł orać. Twój niewolnicy z pewnością sobie z tym poradzą, dogładani przez ciebie.

- Ja nigdy sam nie orzę. Przestałbym być Powroźnikiem, rozumiesz? Na Długim Wybrzeżu tarczownicy mają gospodarstwa i niewolników i sami także pracują na roli. Chciałbym tak. Przydałaby się dodatkowa para rąk, ale ja muszę ćwiczyć innych.

- Wojna jest prawie skończona - powiedziałem. - Tak przynajmniej mówią.

- O, nie. Wielki Król powróci. Jeżeli nie powróci, my pójdziemy łupić Suzę i Persepolis. Albo też będzie inna wojna. Zawsze jest jakaś wojna.

Chciało mu się pić. Przyniosłem wody z wolno płynącej, zielonej rzeki i zmieszałem z winem.

Kiedy podawałem mu kubek, powiedział:

- Nie mógłbym już zmierzyć się z tobą, Latro. Dziś pokonałbyś mnie. Kiedyś cię jednak pokonałem. Pamiętasz?

- Nie, nie pamiętam - odparłem.

- Pisałeś o tym, kiedy skończyliśmy. Czytaj swoją książkę.

Wkrótce potem opuściłem go. Usiadłem w słońcu przed namiotem, by czytać - jak mi to doradził. Nie wiedząc, gdzie szukać opisu naszych zapasów, a nawet tego, czy w ogóle taki opis jest w mojej książce, rozwinąłem zwój do połowy i przeczytałem o tym, jak nekromanta Eurykles wskrzesił z martwych jakąś kobietę. Byłem rad, że jest dzień i co kilka linijek podnosiłem oczy znad papirusu, by popatrzeć na płynącą obok, spokojną rzekę i na smugę czarnego dymu, unoszącą się z belek, które niewolnicy ściągnęli z mostu.

Po jakimś czasie Drakaina podeszła i usiadła przy mnie. Śmiała się, widząc moją minę i spytała, o czym myślę.

- Myślę, że pamięć to straszna rzecz - chociaż chciałbym ją mieć.

- Ależ dlaczego, jeśli to takie straszne?

- Bo bez pamięci gubię się, a to jest jeszcze gorsze. Ten dzień jest jak kamień wzięty z pałacu i zaniesiony do dalekich krajów, których mieszkańcy nie wiedzą co to mur. Tym właśnie są dla mnie wszystkie dni.

- Musisz więc cieszyć się każdym przychodzącym dniem, bo każdy z nich jest wszystkim, co posiadasz.

- Tak, ale pomyśl o tych niewolnikach z wioski, którą przechodziliśmy. Każdy dzień musi dla nich wyglądać jak poprzedni. Gdybym mógł odnaleźć swą ojczyznę, mógłbym tam żyć tak jak oni. Wiedziałbym, co się zdarzyło poprzedniego dnia, choćbym tego nie pamiętał.

- Jakaś bogini obiecała ci, że wkrótce połączysz się z przyjaciółmi - powiedziała. - Tak mi przynajmniej mówiono.

Ogarnęła mnie radość. Bezwiednie chwyciłem ją w ramiona i pocałowałem. Nie opierała się, a jej wargi były chłodne jak strumień z połyskującymi kamieniami, w którym kiedyś obmywałem twarz i brodziłem.

- Chodź! - powiedziała. - Możemy pójść do namiotu Pasykratesa i zasznurować wejście. Mam tam wino, a jego niewolnicy przyniosą nam jedzenie. Możemy nie wychodzić aż do rana.

Poszedłem za nią, nie pomyślawszy nawet o obietnicy danej Kerdonowi. W namiocie było ciepło, ciemno i cicho. Rozwiązała purpurowe sznury, które przytrzymały jej płaszcz.

- Czy pamiętasz, Latro, jak wygląda kobieta?

- Oczywiście - odpowiedziałem. - Nie wiem, czy widziałem kiedyś jakąś, ale wiem, jak wygląda.

Płaszcz opadł do jej stóp.

- Zobacz więc jak wyglądam ja. - Ściągnęła chiton przez głowę. Wypukłości jej bioder były jak kołyszące się morze w bezwietrzny dzień, a jej piersi wznosiły się dumnie, jak kopuły świątyń, pokryte krwawnikami i śniegiem. Skóra węża opasywała ją w stanie.

Dotknęła jej, widząc moje spojrzenie.

- Nie mogę tego zdjąć - powiedziała. - Ale nie jest to chyba konieczne.

- Nie - powiedziałem.

Zaśmiała się, głaszcząc mnie i całując.

- Nie przypominasz sobie, Latro, jak siedzieliśmy obok siebie na zboczu wzgórza, na tej tu wyspie. Ależ miałam wtedy na ciebie ochotę! A teraz należysz do mnie.

- Tak - powiedziałem. A jednak wiedziałem już, że tak nie jest, chociaż płonąłem z pożądania. Pragnąłem jej jak umierający wody, jak głodny chleba, jak słaby korony, ale nie pragnąłem jej jak mężczyzna kobiety i nic na to nie mogłem poradzić.

Szydziła ze mnie i zadusiłbym ją, ale jej oczy odebrały siłę moim dłoniom, oderwała je.

- Przyjdę do ciebie, kiedy wszędzie Księżyc - powiedziała. - Będiesz wtedy silniejszy. Czekać na mnie.

Siedzę zatem przy ogniu i piszę to, z nadzieją, że któregoś dnia zrozumie wszystko, co się wydarzyło, i przypatruję się ćmie latającej wokół ognia, czekając na wzejście księżyca.

ROZDZIAŁ XXX

Wielka Matka

Strasliwa bogini niewolników ukazała się zeszłej nocy. Dotknąłem jej i wszyscy ją ujrzeli. To było straszne. Cały obóz jest poruszony, ale nie muszę śpieszyć się z pisaniem. Most nieprędko będzie naprawiony. Zdążę przeczytać to wiele razy, aby nigdy tego nie zapomnieć.

Kerdon podpełzł do ogniska, przy którym siedziałem, patrząc w płomienie i przykucnął przy mnie.

- Tej nocy wystawiono warty - szepnął. - Musimy uważać. Nie ma jednak Skrytego, a to jest więcej, niż mogłem się spodziewać.

Drakaina mogła jeszcze nadjeść, a Kerdon nie żałowałby nam pewnie paru chwil spędzonych razem, spytałem więc, kim jest ten Skryty, i dodałem:

- Myślę, że wszyscy tu jesteście skryci.

- To ten młodzik. - Kerdon splunął w ogień. - Skryci są zawsze młodzi, bo młodzi nie mają wątpliwości.

- Ja też jestem młody - powiedziałem. - I ty też.

Parsknął śmiechem.

- Nie, nie nadajesz się na Skrytego - powiedział. - Ani ja. Poza tym oni są młodszy od nas. To Powroźnicy, wybrani z najlepszych rodzin - rodzin, do których należą całe wioski i wiele folwarków. Czy słyszałeś o sędziach?

Pokręciłem głową, zadowolony z tej nowej zwłoki.

- Tu rządzą sędziowie. Królowie udają, że rządzą. Dowodzą armiami, walczą w pierwszym szeregu i często giną. Naszym krajem rządzi jednak pięciu sędziów. Prawo powiada, że tylko królowie mogą prowadzić wojny. Co roku jednak sędziowie spotykają się, by zdecydować o wojnie, i to jest sprzeczne z prawem.

- Jeśli co roku macie nową wojnę, musicie chyba mieć ją stale.

- I mamy. - Obejrzał się niespokojnie. - To wojna z nami.

- Z niewolnikami? - Uśmiechnąłem się. - Nie prowadzi się wojny z własnymi niewolnikami.

- Słyszałem to już, kiedy byłem na północy z armią. Tamtejsi panowie śmiali się z tego, tak samo jak ty. Tutaj tak jest. Co roku głośniejsze się w tajemnicy za wojną, i jest to wojna

z nami. Sędziowie zwracają się do młodych mężczyzn, którzy przed tą pełnią, kiedy chłostano ich dla Auge, byli jeszcze chłopcami. To oni zostają Skrytymi. Wyglądają na niedoświadczonych tarczowników, ale każdego z nich ma pod opieką jeden z sędziów. Skryty ma prawo zabijać nas, kiedy zechce. Jednego Skrytego chyba znasz. Tam stoi jego namiot. Czy pamiętasz jego imię?

Był to ten namiot, do którego wzięła mnie Drakaina. Pamiętałem, co powiedziała.

- Pasykrates - odparłem.

Kerdon skinął głową.

- Skąd możesz wiedzieć, jeżeli to tajemnica? - zapytałem.

- Mają coś w spojrzeniu. Zwyczajnemu Powroźnikowi - Równemu, jak choćby temu w twoim namiocie - wolno zabijać tylko własnych niewolników. Gdyby zabił cudzego, choćby należącego do Sasiada, musi za niego zapłacić. Skryty patrzy na ciebie, a jego ręka sięga po sztylet, może dlatego, że ludzie cię szanują, a może tylko dlatego, że rozmawiasz z cudzoziemcem. - Kerdon otrząsnął się jak człowiek, który budzi się ze złego snu. - Czas iść - powiedział. - Najwyższy czas. Będziesz musiał zostawić ten miecz.

Odpiąłem Falcatę i złożyłem ją w namiocie. Kerdon szedł o jakieś trzy kroki przede mną.

- Śpieszmy się - powiedział. Ledwie skończył, coś poruszyło się przy jego nodze i krzyknął. Okrzyk był stłumiony, bo zakrył usta dłonią. Io musiała go jednak usłyszeć przez sen, bo wybiegła z namiotu, kiedy przy nim klęczałem.

- Co się stało, panie? - zapytała.

Powiedziałem, że nie wiem. Zaniósłem Kerdoną do ogniska i w jego blasku zobaczyłem na jego nodze dwie ranki. Pięć razy z rzędu napelniałem usta krwią. Kiedy skończyłem, Io przyniosła wino. Przeplukałem usta i polałem winem rany. On w międzyczasie okrył się kroplistym potem.

Spytałem Io, czy niewolnicy Basjasa także się obudzili. Powiedziała, że nie, ale że może ich obudzić.

- Nie - wykrztusił Kerdon.

Io powiedziała:

- Kiedy Basjas został ukąszony, lekarz regenta mówił, żeby go trzymać w cieple. - Skinąłem głową i kazałem jej przynieść mój płaszcz.

- Musisz iść beze mnie - wyszeptał Kerdon.

- Jeżeli chcesz.

- Musisz iść. Po pierwszym posiłku uratowałem cię, pamiętasz?

- Tak - powiedziałem. - Pójdę, jeśli tego chcesz.

Io okryła go i otuliła moim płaszczem, a potem napełniła kubek i przytrzymała mu go przy ustach.

- Idź z biegiem rzeki. Zobacysz biały kamień i ścieżkę. Idź tą ścieżką. Jest tam las, w którym nigdy nie ścinamy drzew - nawet do budowy domów... tam ognisko.

- Rozumiem - powiedziałem i wstałem.

- Zaczekaj. Musisz jej dotknąć. Dotknij jej, a odpłacisz mi się.

- Zrobię to.

- Zajmę się nim, panie - powiedziała Io. - I ukryję go, kiedy się rozwidni, jeśli zdoła przejść kawałek. On chyba nie chce nikogo wołać na pomoc.

Pobiegłem - po części dlatego, że Kerdon kazał mi się spieszyć, po części zaś ze strachu przed wężem. Wystawiono warty, jak mówił, ale nietrudno było prześlizgnąć się między nimi i zsunąć w dół brzegu, w cień. Rzeka - nazywa się, jak sądzę, Eurotas - prawie wyschła w letnich upałach. Wilgotny grunt głużył kroki. Pachniało zgnilizną.

Biały kamień ustawiono przy ścieżce jako drogowskaz. Szeroka dolina Eurotasu nie jest kamienista ani piaszczysta, rośnie tu pszenica i jęczmień. Ścieżka zaczynająca się przy kamieniu wspięła się zaraz na brzeg, przecięła ścierniska z dala od domów i poprzez pastwiska owiec, między wzgórzami na wschodzie, dosięgła w końcu lasu karłowatych drzew - lasu pełnego pni po wyrębie.

Dziwne, że nie zgubiłem tej ścieżki, tak łatwo było ją zgubić w słabym świetle księżyca, niedawno deptało ją jednak wiele nóg. Na łąkach owce musiały przekraczać ją tam i z powrotem, ale ślady ich ostrych kopytek byty wszędzie pozacierane przez łagodniej stąpających. W lesie, w zaroślach po obu stronach ścieżki, nadłamane gałązki sączyły jeszcze przy dotknięciu sok.

Ścieżka wspięła się kolejno na dwa wzgórza, trzecie wyglądało, jakby było rozszczerzone siekierą rąbiącą drwa. Kiedy przeszedłem między kamiennymi ścianami, wszedłem niby do sali o kolumnach z omszałych pni drzew, tak porośniętych mchem, że przy ich dotknięciu miało się wrażenie głaskania jakichś potężnych zwierząt. Były to dęby szerokie jak głazy i wysokie jak maszty okrętów.

Jakiś lew wyszedł z mroku pod drzewami na polanę zalaną księżycowym światłem, o jakieś pół stadionu ode mnie, i odwrócił głowę z czarną grzywą, by na mnie spojrzeć. W chwilę później znowu znikł w cieniu. Czekałem, bojąc się, że jeśli pójdę naprzód, natknę się na niego. Gdy tak stałem, natężając słuch, by złowić choć najlżejszy odgłos, usłyszałem śpiew dzieci.

Coś w ich pieśni zapewniało mnie, że nie muszę lękać się nawet lwa w tym zaczarowanym miejscu. Nie ufałem temu i czekałem jeszcze chwilę, a potem ruszyłem znów naprzód i wkrótce zobaczyłem przez liście czerwone migotanie ognia. Szedłem przedtem cicho, ale teraz starałem się iść jeszcze ciszej, chcąc rozpoznać obrzęd, na który przybyłem, zanim spostrzegą mnie inni wierni.

Ołtarz był płaskim kamieniem, leżącym na dwóch ustawionych pionowo, a jego powierzchnia sięgała mi do pasa. Dzieci, które słyszałem wcześniej, tańczyły między dwoma ogniskami, stąpając w świetle księżyca wolno i uroczyście, w takt uderzeń kamiennych młotów i w rytm melodii wysokich czystych głosów. Poza nimi w cieniu drzew, jak wierzby poruszane wiatrem, szemrały głosy kobiet i mężczyzn. Kerdon nazwał to miejsce świątynią Wielkiej Matki i kazał mi jej dotknąć, ale nigdzie nie widziałem bogini.

Klekot młotów był jak bicie mego serca. Przez długą chwilę słuchałem śpiewu dzieci i patrzyłem, jak tańczą. Dziewczęta miały wieńce z kwiatów, a chłopcy ze słomy.

Klekot ustał.

Mali tancerze zamarli w swoim kręgu. Kobieta, która trzymała młoty, podniosła się, inna zaś poprowadziła ją naprzód. Dziecko stojące najbliżej ołtarza - dziewczynka - poszło z nimi.

Kiedy doszły do ołtarza, kobieta i dziewczynka powstrzymały tę kobietę z młotami - była ślepa. Dotknęła młotami ołtarza i położyła je na nim. Z pomocą tej drugiej kobiety podniosła dziewczynkę na ołtarz. Wybrała jeden z młotów i obeszła powoli ołtarz, aż stanęła przy jego szczycie, w pobliżu głowy dziewczynki.

Kiedy szła, i ja szedłem - znacznie szybciej niż ona, miałem jednak dłuższą drogę do przebycia. Tak długo okrążałem polanę, póki ołtarz nie znalazł się między mną a patrzącymi, a kiedy podniosła młot, wykrzyknąłem jakieś imię i rzuciłem się naprzód.

Kobieta obdarzona wzrokiem podniosłaby oczy, i wtedy mógłbym zdążyć. Ślepa kapłanka nie zrobiła tego. Kamienny młot opadł, rozbryzgując mózg dziewczynki na kamieniu.

Wtedy ujrzałem Wielką Matkę - starą kobietę o połowę wyższą ode mnie, pochyloną nad swą kapłanką i maczającą palce we krwi. Była boginią, to prawda, lecz wiekową i szaloną, w podartej sukni, poszarzałej z brudu. Nie dotknąłbym jej, mimo tego wszystkiego, co byłem winien Kerdonowi. Obróciłem się, by uciekać. Wtedy coś uderzyło mnie w głowę i upadłem, rozciągając się na ziemi.

Zanim zdołałem się podnieść, dopadła mnie setka niewolników. Jedni trzymali znalezione w lesie kije, inni mieli tylko pięści. Jeden z nich krzyknął, by się odsunęli, i uniósł

nóż ogrodniczy. Puścili mnie, a potem rzucili się do ucieczki, jakby to oni mieli umrzeć. Zahaczyłem stopą kostkę niewolnika, a drugą nogą kopnąłem go w kolano. Upadł.

Gdy się gramoliłem, spośród drzew wynurzyli się Powroźnicy, w tak prostym szeregu jak na placu ćwiczeń i z pochylonymi, długimi włóczniami. Porwałem nóż ogrodniczy i zabiłem nim niewolnika, który miał mnie zabić. Nóż okazał się lepszą bronią, niż na to wyglądał.

Wtedy zrozumiałem, że tamci nie widzą bogini. Jakiś mężczyzna chwycił kapłankę za ramię, by ją odprowadzić na bok i przez chwilę stał wewnątrz postaci Wielkiej Matki jak ogień w słupie dymu.

- Nie piję krwi, której dotknęło żelazo - powiedziała.

Próbowałem wyjaśnić, że to nie dla niej zabiłem człowieka z nożem ogrodniczym, gdy wtem chwyciła mnie w ramiona Drakaina.

- Dzięki Auge! - krzyknęła. - Myślałam, że cię zabiją.

- Skąd się tu wzięłaś? - spytałem. - Przyglądałaś się?

Pokręciła swą uroczą główką, a klejnoty w jej uszach zabłyśły w świetle księżyca.

- Przyszłam z Powroźnikami, albo raczej przyprowadziłam ich tu. Udało mi się znaleźć to miejsce - i ciebie, Latro - chociaż im by się to nie udało.

Powroźnicy dotarli do nas, kiedy to mówiła. Wierni znikli, oprócz martwego mężczyzny i martwej dziewczynki na ołtarzu. Znikła też wśród dębów ich straszliwa bogini, chociaż słyszałem jej starczy, zgrzytliwy głos, gdy mówiła do swego ludu.

ROZDZIAŁ XXXI

Słowa Matki Ga

Proroctwo bogini jeszcze rozbrzmiewa mi w uszach. Muszę je tu zapisać, chociaż gdyby przeczytał je ten Skryty, Pasykrates, na pewno usiłowałby mnie zabić.

Nie było go w świątyni Wielkiej Matki, ja jednak myślałem, że dowódca Powroźników (którzy zgromadzili się, by popatrzeć na ołtarz i na dziewczynkę) może być Pasykratesem i spytałem go, jak się nazywa.

- Eutaktos - odpowiedział. - Nie pamiętasz naszego marszu z Myśli?

- Oczywiście, że nie pamięta, szlachetny Eutaktosie - powiedziała Drakaina. - Wiesz, jak z nim jest. Ale co z tobą? Pamiętasz mnie?

Eutaktos odpowiedział grzecznie:

- Wiem, kim jesteś, pani, i widzę, jaką przysługę wyświadczyłaś dziś Powrozowi.

- A co z Euryklesem z Miletu, który maszerował z nami? Gdzie jest teraz?

- Tam, gdzie go posłał regent - rzekł Eutaktos. - Nie myślisz chyba, że wtykam nos w jego sprawy? - Odwrócił się do swoich. - Co tak stoicie, niezdary? Ściągnijcie ją i rozwalcie ten ołtarz!

Spytałem, czy pochowa dziewczynkę.

- Nie. Niech bogowie sami chowają swoich umarłych - powiedział. - My musimy troszczyć się o naszych. Ale, Latro! - Jego szorstki głos złagodniał odrobinę. - Nie próbuj więcej załatwiać takich spraw samotnie. Poproś o pomoc. - Jeszcze mówił, gdy ośmiu tarczowników uniosło krawędź ołtarza, który runął z łoskotem. Było tam chyba ze trzydziestu tarczowników, cała enomotia.

Kiedy weszliśmy pod drzewa, ktoś rzucił kamieniem. Tak się zaczęło. Kamienie i ciężkie polana leciały na nas przez całą drogę do rozszczerzonego wzgórza. Jakiś tarczownik został trafiony w nogę i choć mógł jeszcze iść kulejąc, drugiemu wkrótce złamano nogę. Dwaj tarczownicy przywiązali swoje czerwone płaszcze do drzewców włóczni i ponieśli go.

W rozpadlinie kamienie były o wiele większe i uderzały o wiele mocniej, bo rzucali je ze szczytów wzgórz mężczyźni. Przedtem, zza drzew, rzucały chyba głównie kobiety i chłopcy. Drakaina i ja ociążaliśmy się, nie mając pancerzy, ale tarczownicy podnieśli swe wielkie hoplony nad głowy i ruszyli naprzód. Krzyki ze szczytów wzgórz i szczęk kamieni o

brząz hoplonów rozbrzmiewały tak głośno, jakby stu kowali naraz waliło w sto kowadeł, pokrzykując przy kuciu. Ogłuszyło to i oszołomiło nas wszystkich, może prócz Drakainy.

Wzięła mnie pod ramię i odciągnęła w cień, z którego przed chwilą wyszliśmy.

- Zabiją nas tu - powiedziałem.

- Z pewnością zabiją nas tam - wskazała przed siebie. - Widzisz chyba, że Powroźnicy nie przejdą?

Nie przeszli. Ostatni z tarczowników zatrzymali się i cofali przed kamieniami.

- Prawdopodobnie tamci zablokowali jakoś tę ścieżkę. Albo też czterech czy pięciu uzbrojonych niewolników stanęło tam, gdzie się ona rozszerza. Jeden czy dwóch Powroźników musiało walczyć z nimi wszystkimi. Walcząc w falandze, mogą być najlepszymi żołnierzami na świecie, ale wątpię, by w pojedynkę byli lepsi od innych.

Pozostali wkrótce poszli w ślady cofających się. Prawie każdy podpierał ramieniem z włócznią rannego towarzysza i próbował odbijać kamienie tarczą. Eutaktos ryknął:

- Z powrotem do ognisk! Niedługo się rozwidni.

Drakaina krzyknęła. Obróciłem się w samą porę, by zobaczyć błysk noża. Potem znikła. Kobieta, która ją zaatakowała, wrzasnęła i upadła.

Inna kobieta i jakiś chłopiec rzucili się na mnie w ciemnościach, a ja ciąłem ich nożem ogrodniczym, choć nie powinienem się tym chwalić. Przyjrzałem się im, już martwym, i ujrzałem, że zabiłem czyjąś żonę i chłopca, może dwunastoletniego. Ona uzbrojona była w nóż kuchenny, on w sierp³. Widząc ten sierp, zatęskniłem za swym mieczem, jako że nóż ogrodniczy nie był żadną bronią. Kobieta, która zaatakowała Drakainę, wiła się w agonii, ale po samej Drakainie nie było śladu.

Przyłączyłem się do Powroźników, pomagając nieść jakiegoś rannego. Rzucano jeszcze więcej kamieni, kiedy przebijaliśmy się na polanę. Zostałem trafiony dwa razy, ale nie upadłem i kości miałem całe. Gdy maszerowaliśmy wcześniej do rozpadliny, Powroźnicy utrzymywali szyk i nie zwracali uwagi na pociski. Teraz kilku coraz to rzucało się między drzewa. Dwa razy zabili jakichś niewolników, ale jeden z tych Powroźników nie wrócił.

Ogniska przygasały, więc kilku z nas zajęło się rannymi, a pozostali - ja wśród nich - zbierali drewno, jakie można było znaleźć, i rzucali w płomienie. Kiedy znów usłyszałem w dąbrowie głos bogini, powiedziałem Eutaktosowi, że niewolnicy wkrótce nas zaatakują.

Podniósł wzrok znad umierającego Powroźnika, przy którym czuwał, i spytał, dlaczego tak myślę. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, pośród drzew zaryczał lew i zawył wilk.

³ łacińskie *falx* - G.W.

Stu ludzi odpowiedziało im, jakby sami byli lwami i wilkami. Każdy z nich trzymał kamień, podbiegał, by go rzucić, a potem cofał się w mrok. Podnosiliśmy kamienie, które dawało się odnaleźć, i odrzucaliśmy je, ale większość ich ginęła w ciemnościach.

W końcu zaatakowali nasz krąg. Walczyłem, oparty plecami o jeden z kamieni podtrzymujących przedtem ołtarz, nie był on jednak dość wysoki, by mi zapewnić należytą osłonę. Obok mnie padł jakiś tarczownik, potem drugi, a potem przestałem słyszeć głos Eutaktosa, zagrzewający do walki. Walczyłem dalej w pojedynkę, otoczony przez niewolników z maczugami i siekierami. Wszystko to zajęło mniej czasu, niż opisanie tego.

Nagle usłyszeliśmy zgrzytliwy głos bogini:

- Czekajcie! - I choć niewolnicy nie zdawali sobie chyba sprawy, że go słyszą, posłuchali mimo to.

Długimi krokami podeszła do ognisk; przelanie takiej ilości krwi musiało ją ożywiać, chociaż nie przywracało jej młodości. Lew i wilk swawoliły wokół niej jak psy i choć niewolnicy Powroźników nie mogli jej widzieć, widzieli zwierzęta i cofali się z przerażeniem. Kiedy tak stała przede mną, znów byłem dzieckiem stojącym twarzą w twarz z tą staruchą z jaskini na wzgórzu.

- To ty - powiedziała. - Przychodzisz znów odwiedzić Matkę Ga. Europa przyniosła mi twoją prośbę, a moja córka mówiła mi, co ci obiecała. Czy pamiętasz Europę? Albo moją córkę, Korę?

Jeżeli nawet je znałem, zagubiły się we mgle, zagubiły na zawsze, jakby nigdy ich nie było.

- Nie. Nie pamiętasz - powiedziała i choć tak była olbrzymia, jej głos wydał mi się słaby, gdy do mnie mówiła, ledwie ją słyszałem poprzez warczenie zwierząt i krzyk niewolników. - Czemu mi nie grozisz tym nożem do żywoplotów? - spytała. - Groziłeś Korze! Czy boisz się jeszcze mojego lwa?

Zaprzeciłem ruchem głowy, bo gdy mówiła, napłynęły wspomnienia Kory i Europy.

- Nie boję się - odparłem - ale gdybym cię zabił, Matko, kto by mnie uleczył?

- Na tę wilczycę, którą ssali twoi ojcowie! Uczysz się mądrości! Niewolnicy patrzyli na mnie, jakbym oszalał. Opuścili swoją broń, ja zaś, gdy Matka Ga mówiła, rzuciłem nóż, podszedłem do niej i dotknąłem jej ramienia.

Niewolnicy podnieśli głośny krzyk, gdy położyłem na niej dłoń, ale szybko ucichli. Gdy się zbliżyli, u wielu z nich dojrzałem łzy - mężczyźni płakali tak samo jak kobiety i dzieci. Dotykałiby jej chyba, gdyby mogli, ale lew i wilk ruszyły im naprzeciw, jak owczarki zaganiające owce.

- Bogini! - zawołał jeden z niewolników. - Wysłuchaj naszych skarg!

- Słuchałam wiele razy waszych skarg - powiedziała Matka Ga.

Jej głos brzmiał teraz jak śpiew ptaka w blasku słońca tych krajów, które zatoneły na zawsze.

- Już pięćset lat jesteśmy w niewoli ludzi z Powrozu!

- I jeszcze pięćset. Przecież jest was siedmiu na każdego z nich. Czemu miałabym wam pomagać? Wtedy wyprowadzili naprzód ślełą kapłankę, która zawołała:

- My ci oddajemy cześć! Kto będzie dbał o twoje ołtarze, gdybyśmy utracili wiarę?

- Są miliony takich, w innych krajach - odpowiedziała jej Matka Ga. - I takich, dla których nie jestem jeszcze zgarbiona i stara - urwała, oblizując dziąsła. - Przyjęłabym jednak tej nocy jeszcze jedną ofiarę. Jeśli zgadzacie się ją złożyć, zrobię wszystko, co w mej mocy, by was uwolnić. Ofiara nie musi umrzeć. Czy ją złożycie?

- Tak! - wykrzyknęli kapłanka i mężczyzna, który mówił przedtem, a po nich wszyscy pozostali. Potem Matka Ga powiedziała im, czego od nich żąda, a ślepa kapłanka znalazła ostry krzemień, szukając go po omacku i na czworakach jak zwierzę.

Dwa razy próbował uderzyć, lecz wstrzymywał dłoń przy pierwszej krwi. Choć Matka Ga powiedziała, że nie musi on umrzeć, jego potomstwo umarło tej nocy aż do dziesięciu tysięcy pokoleń, i wiedział to równie dobrze jak ja. Stał tyłem do Matki Ga i do mnie, wokół niego stłoczyli się inni niewolnicy, zagrzewając go i obiecując mu wystawne nagrody - jakiś nowy dach, jakąś mleczną kozę. Mogłem wymknąć się w ciemnościach, gdybym chciał, czekałem jednak, równie zafascynowany jak wszyscy.

Potem było uderzenie, w którym nie było wahania. Jego męskość pozostała mu w dłoni, wyglądając jak podroby ze sklepu rzeźnika, kiedy ją podniósł w górę. Ktoś wziął ją od niego i położył na obalonym ołtarzu, on zaś stał z rozstawionymi szeroko nogami, krwawiąc jak kobieta - albo raczej jak byk, kiedy zostaje wołem. Inni zmusili go do położenia się na ziemi i tamowali krwotok pajęczynami i mchem.

- Słuchajcie mnie! - powiedziała Matka Ga. Stała teraz wyprostowana i wydawało się, że zaświeciło jakieś wielkie światło - światło, przed którym zasłaniało nas jej ciało. - Ten człowiek jest moim świętym do końca swoich dni. W nagrodę za tę ofiarę będę walczyć dla was, starając się uczynić jego pana, księcia Pauzanasza, królem tego kraju.

Podniosły się pomruki sprzeciwu, a kilku niewolników zaczęło protestować.

- Uważacie go za największego waszego wroga, powiadam wam jednak, że stanie się on największym waszym przyjacielem i będzie może waszym królem, odwróciwszy się od

własnego rodu. Może się nam jednak nie udać i jemu, i mnie. Jeśli tak się stanie, zniszczę Powróż...

Niewolnicy ryknęli tak głośno, że niczego nie mogłem usłyszeć.

- Potem - ciągnęła dalej - musicie powstać przeciw Powroźnikom, wasze kosy mają ścinać ich włócznie, wasze sierpy wytrącać im miecze. Najpierw jednak kamienie przeciw hełmom. Tak pokonaliście ich tej nocy. Pamiętajcie!

Potem znikła, a polana zdawała się ciemna i oddalona od świata. Jedno ognisko dogasało, a drugie już tylko się żarzyło. Na noszach powiązanych winoroślą pół tuzina mężczyzn poniosło mężczyznę, który sam pozbawił się męskości. Za nimi poszli inni, niosąc ciała zabitych w tej walce krewnych. Jakieś kobiety prosiły, bym poszedł z nimi, obiecując, że zajmą się moimi obrażeniami. Bałem się jednak iść, pamiętając o kobiecie, którą zabiłem. Powiedziałem im więc, żeby poszły za mężami. Zrobiły, co kazałem, i zostawiły mnie samego z martwymi.

Chociaż nóż ogrodniczy nie nadaje się do kopania, zdołałem nim wygrzebać niewielki, płytki grób w miękkiej ziemi polany. Pochowałem w nim dziewczynkę, której nie udało mi się uratować i przywaliłem grób kamieniami, którymi w nas rzucano. Jednym z martwych Powroźników był chyba Eutaktos, którego znałem kiedyś, w jakichś zapomnianych czasach. Chociaż jednak zdarłem z kilku hełmy, by przyjrzeć się ich twarzom, nie miałem pewności, widziałem bowiem Eutaktosa tylko przelotnie i w blasku ogniska.

Nie wiem już także, kim były Kora i Europa. Nie wiem też, co dla mnie znaczyły, chociaż przypominam sobie, że niedawno to wiedziałem. Ich imiona i to wspomnienie nękają mnie tak samo jak myśl, że lew i wilk wciąż mogą być w pobliżu. Mamrotałem bezustannie: „Kora” i „Europa”, gdy podkładałem do dogasającego ogniska i nosiłem płonące polana, by rozniecić na nowo to drugie, aż w końcu „Kora” i „Europa” przestały znaczyć dla mnie cokolwiek, przestały nawet być imionami.

I tak - chodząc tam i z powrotem między ogniskami - doczekałem się świtu, zanim udałem się w drogę przez rozszczerzone wzgórza. Przedtem na tej wąskiej ścieżce leżały ciała wielu Powroźników, było też wiele kałuż krwi, ale niewolnicy odciągnęli ciała w cień drzew, gdzie leżały zakryte zielonymi odroślami dębów. Nie sądzę, by innym Powroźnikom udało się je znaleźć.

Z miejsca, w którym przedtem wzięła mnie pod rękę Drakaina, mogłem widzieć starą boginię idącą doliną - kobietę wyższą niż bywają kobiety, jednocześnie ciemniejszą i jaśniejszą niż wierzchołki drzew, które musnął świt. Przystanęła, jak sądzę, przy grobie, bo po jakimś czasie znikła mi z oczu i usłyszałem jej łkanie.

Gdy minąłem rozszczerzone wzgórze, wyrzuciłem swoją broń i pośpieszyłem, przez pokryte rosą pola, do obozu nad brzegiem Eurotasu, gdzie piszę w porannym słońcu te słowa. Powitała mnie Io. Kiedy już opowiedziałem jej coś niecoś o zdarzeniach tej nocy i kiedy opatrzyła moje sińce, zaprowadziła mnie z dumą do Kerdon, którego ukryła w sianie dla mułów. Kerdon zmarł jednak w czasie jej snu i był już zimny i sztywny.

ROZDZIAŁ XXXII

Tu, w Powrozie

Na obcych patrzy się z największą podejrzliwością. Dziś rano Drakaina, Io i ja poszliśmy zobaczyć słynną świątynię Ortii. Jej otoczenie na brzegu rzeki musiało kiedyś być oddzielone od miasta, obecnie jednak Powroźnicy pobudowali sobie domy aż do granicy świętego obszaru. Drakaina powiedziała:

- W Imperium otaczamy nasze miasta murami i tak powinno być. Kiedy stoisz po jednej stronie muru, jesteś w mieście, kiedy po drugiej - za miastem. Tu, przy tych wszystkich porzucanych wioskach, nic nie jest pewne. W Myśli jest prawie tak samo marnie, ale mają przynajmniej posterunki na drogach.

- Wielki Król zburzył wasze mury - przypomniała jej Io. - Tak mówił regent.

- To prawda - odpowiedziała Drakaina. - Ale Lud z Parsy ma poczucie przyzwoitości. Mury są symbolem miasta, więc ich zburzenie znaczy tyle, co zniszczenie miasta. Powróż już jest zniszczony - albo powiedzmy raczej, że nigdy nie istniał. To są po prostu cztery wioski, nic dziwnego, że nazywają to miasto rozproszonym.

Niewolnicy odwracali od nas twarze, kiedy ich mijaliśmy, i nawet Sąsiedzi, których spotykaliśmy, nie chcieli z nami rozmawiać. Powroźnicy zatrzymywali nas i wypytywali, kobiety równie często jak mężczyźni, i wiele razy mówiono nam, że nie jesteśmy mile widziani. Prędko wpadliśmy na pomysł, by odpowiadać, że chętnie udamy się gdzie indziej, jeśli tylko ich regent nam pozwoli, co skutecznie zamykało im usta.

Drakainę wyraźnie dziwiły te spotkania.

- Nigdzie na świecie mężczyźni nie mają mniej swobody, a kobiety więcej - z wyjątkiem może kraju Amazonek - stwierdziła.

- Czy one naprawdę istnieją? - spytała Io. - Basjas mówił kiedyś, że mogłabym być wśród nich strategiem.

- Oczywiście, że istnieją. - Drakaina wzięła mnie pod ramię. - Musiałabyś jednak udać się daleko na północ i na wschód - znacznie dalej na wschód, niż leży moje miasto. I musiałabyś zostawić Latro tu, ze mną. Amazonki nie lubią cudzoziemców, podobnie jak Powroźnicy, a wszystkich mężczyzn uważają za szpiegów.

- Takie plemię nie może istnieć - powiedziałem. - Wymarłyby w ciągu jednego pokolenia.

- One śpią z młodymi mężczyznami z plemienia Synów Skolota. Jeśli urodzi się potem dziewczynka, ucinają jej lewą pierś, by mogła strzelać z łuku. Chłopców ofiarowują swej bogini, by zapewnić sobie jej łaskę. Tak przynajmniej słyszałam. Muszę przyznać, że sama nigdy nie widziałam żadnej z tych kobiet wojowniczek.

Kiedy to mówiła, pomyślałem o śnie, który miałem zeszłej nocy, może później go tu opiszę.

- Jest tam! - wykrzyknęła Io, wskazując palcem.

- Tak jak się spodziewałam. Oni tu nie wiedzą, jak wygląda prawdziwa świątynia. Kto nie podróżował na wschód, nie może tego wiedzieć, ale niektóre z tutejszych są przynajmniej piękne. Ta nie jest. Prawdę mówiąc, gdyby całe to miasto zostało zniszczone, nikt nie odgadłby, przyglądając się ruinom, że pół świata drżało na dźwięk jego imienia.

Świątynia była rzeczywiście mała i bardzo prosta, jej kolumny były zwykłymi drewnianymi słupami, pomalowanymi na białą. Zdjąłem swój miecz i zapiąłem pas wokół jednego z nich.

- Powinniśmy złożyć jakąś ofiarę - powiedziała Io. - Widzicie tę misę? Czy macz jakieś pieniądze, panie?

- Ja się tym zajmę - powiedziała Drakaina i podrzuciła jedną z tych żelaznych monet Powroźników, aż zadzwoniła o brzeg brązowej misy.

Kiedy weszliśmy ze słonecznego blasku portyku do ciemnego wnętrza, Io spytała:

- Skąd ją wzięłaś?

- Sza!

Największe wrażenie zrobił na mnie wiek tej świątyni, i może należałoby powiedzieć, że jej wiek był jedyną rzeczą, która robiła wrażenie, on jednak czynił z niej miejsce naprawdę święte - dom zbudowany dla boga, kiedy świat był jeszcze młody, a ludzie nie zapomnieli jeszcze, że bogowie, kiedy się z nich drwi, wymierzają nam karę, porzucając nas.

Jakaś kapłanka - już siwowłosa, ale równie wysoka jak ja i trzymająca się prosto jak włócznia, wysunęła się z alkowy.

- Witam was - rzekła - w tym domu w imię Łowczyni, a w tym kraju w imieniu rodu Heraklidów.

- To prawda - przyznałem - że wszyscy jesteśmy tu cudzoziemcami, pani. Przybyliśmy tu jednak z rozkazu waszego regenta, wielkiego księcia Pauzanasza, który nie pozwala nam stąd odejść.

Drakaina dodała pośpiesznie:

- Mamy jednak swobodę poruszania się w tym mieście, ja zaś jestem kapłanką waszej bogini.

Siwowłosa kobieta skłoniła nieznacznie głowę.

- Jako taka, możesz tu składać ofiary, kiedy sobie życzysz - powiedziała do Drakainy.

- Nikt ci nie przeszkodzi. Gdyby ktoś cię pytał, powiedz mu, że masz moje pozwolenie. Jestem Gorgo, córka Kleomenesa, matka Plejstarcha i wdowa po Leonidasie.

- Zatem regent jest... - zaczęła Drakaina.

- Moim stryjecznym bratem - dokończyła kapłanka. - Czy macie ochotę zobaczyć podobiznę bogini? - Poprowadziła nas do drewnianej figury popękanej i poczerniałej z wieku.

- Nazywamy ją Ortią, znaleziono ją bowiem tak wyprostowaną, jak ją widzicie, w czasach kiedy nasi praojcowie podbijali ten kraj.

Wytrzeszczone oczy posągu bogini nadawały jej obłąkany wyraz. W każdej dłoni ścisnęła węża.

- Jest z cyprysowego drewna, cyprys jest jej świętym drzewem. Wąż w jej prawej dłoni jest wężem empirejskim, w lewej wężem chtonicznym. Trzyma oba i stoi pomiędzy nimi. To jedyna bogini, która łączy niebo z ziemią i światem podziemnym. Kiedy się tu pojawia, występuje najczęściej jako wąż.

- Czy mogłaby pomóc memu panu? - spytała Io. - Bogini Zbóż rzuciła na niego klątwę.

Drakaina dodała:

- Składałam już ofiary w jego intencji naszej potrójnej bogini. Czy pamiętasz Basjasa, Io? Obiecał zanieść jej wiadomość. - Odwróciła się do kapłanki. - I Latro ma się znacznie lepiej. Jego pamięć została mu odebrana i wciąż niczego nie pamięta, ale zachowuje się tak, jakby pamiętał.

- Bogini się gniewa - powiedziałem.

- Dlaczego? - Oczy Gorgo były wielkie i chłodne, o rzadkiej barwie błękitu, połyskujące jak lód.

- Nie wiem - odparłem. - Czy jednak nie widzisz, jak patrzy na Drakainę?

Dłoń Io pomknęła do ust, by stłumić nerwowy chichot.

- Nie - powiedziała cicho kapłanka. - Nie widzę tego. Ty jednak widzisz. Co zrobiła ta kobieta?

Nawet w półmroku świątyni mogłem dojrzeć bladość twarzy Drakainy.

- To obłąkany, najczciodsza królowo - powiedziała pośpiesznie. - Pasykrates, ja i ta dziewczynka opiekujemy się nim.

- Pasykrates jest wspaniałym młodzieńcem i wiernym sługą bogini... - powiedziała kapłanka.

- Jak i ja - dodała Drakaina. - Jeśli jest ze mnie niezadowolona...

- Zostaniesz ukarana.

Kiedy Gorgo to powiedziała, zapadła cisza, która trwała tak długo, aż stała się nie do zniesienia. W końcu Io spytała:

- Czy to tu chłocze się chłopców?

- Tak, dziecko. - Kącik ust kapłanki uniósł się o wysokość ziarnka pszenicy. - W tym mieście my, dziewczęta, otrzymujemy takie samo wychowanie jak chłopcy, ale tego nam zaoszczędzono. Na ołtarzu umieszcza się pożywienie bogini. Starsi mężczyźni stają tam, gdzie stoicie wy i na zewnątrz, w portyku - aż do granicy okręgu świątyni. Chłopcy muszą przebiec między nimi, wziąć pożywienie, a potem przebiec z powrotem. W czasie biegu są bici. Czy widzicie ślady ich krwi, pozostawione na posadzce? Tak uczą się tego, co wiedzą od dawna kobiety, że bez kobiet nie byłoby pożywienia dla mężczyzn. Nigdy tego nie zapomnę, bo byli tego dnia bici. W Efezie stoi posąg tej bogini o stu piersiach. Lekcja jest taka sama.

Kiedy wyszliśmy ze świątyni, czekał na nas Pasykrates.

- Mój niewolnik mówił mi - zwrócił się do nas - że poszłicie oglądać rzeczy godne widzenia. Większość przyjezdnych odwiedza najpierw to miejsce.

- Czy są jeszcze inne? - spytała Drakaina.

- Nie jesteśmy tak bogaci jak Wieżowe Wzgórze - przyznał Pasykrates, prowadząc nas dalej - a jednak są tu rzeczy interesujące. Studnia, którą zamierzam wam pokazać, znana jest dziś we wszystkich cywilizowanych krajach.

- Doprawdy? - Uśmiechnęła się do niego; coś w ostrych rysach jej twarzy sprawiało, że jej uśmiech niepokoił. - Czy to taka, jak ta w Hyzjaj, która pobudza wszystkich do prorokowania? - zapytała.

- Nie - odpowiedział Pasykrates i zastanowił się. - Już chciałem powiedzieć, że w tej studni nie ma żadnych czarów. Kiedy jednak myślę teraz o tym, widzę, że ma ona pewną moc, i to moc, która może szczególnie cię zainteresować. Zmienia ona mężczyzn w kobiety.

- Wygląda na to, że wszyscy są dziś przeciw tobie, nawet Łowczym - odezwała się Io.

Drakaina miała tak gniewną minę, że bałem się o Io, chociaż ona, jak to dziecko, nie przejmowała się tym.

- O co chodzi, dziewczynko? - spytał Pasykrates. - Powiedz mi

- Latro powiedział, że bogini jest na nią wściekła. Czasami Latro widzi rzeczy, których nie widzą inni. Czasami widzi też bogów i rozmawia z nimi.

- Jakie to ciekawe! Powinienem wypytać cię o niego dokładniej, kiedy się spotkaliśmy. Zmarnowałem tylko czas z jakimś Euryklosem. Co widziałeś, Latro?

- Tylko to, że patrzyła na Drakainę z wściekłością - tak właśnie, jak przed chwilą Drakaina na Io.

- I to właśnie Ortia zsyła nagłą śmierć kobietom. Szkoda, że nie jesteś mężczyzną, Drakaino. Przy okazji, czy to twoje prawdziwe imię?

Drakaina udawa, że nie słyszy.

- Ona też opiekuje się młodymi zwierzętami i dziećmi - powiedział Pasykrates do Io. - Czy o tym wiesz? Nasi chłopcy modlą się do niej, nim otrzymają chłostę, i jej poświęcają koniec swojego dzieciństwa. Ona jednak bardziej dba o dziewczęta. Źle będzie z tym, kto skrzywdzi tu dziewczynkę, chyba że jest u niej w łaskach.

- Źle będzie z każdym, kto skrzywdzi Io, dopóki ja żyję - rzekłem.

Pasykrates skinął głową i dodał:

- I ty możesz być narzędziem jej sprawiedliwości. Mogę i ja.

Tak rozmawiając wędrowaliśmy przez miasto. Kiedy przez jakiś czas niczego się nie mówiło, zaryzykowałem pytanie o domy, mówiąc, że dziwi mnie widok tak wielu okien w jakimś mieście jego narodu.

- Ach, byłeś przecież w Myśli, choćbyś tego nie pamiętał - powiedział. - Oni myślą tylko o tym, że ich okradną. My nie. Jesteśmy zbyt biedni, niewiele można tu kupić. - Uśmiechnął się. - Ale oto ta studnia. Zajrzyjcie do niej, a przekonacie się, że jest godna widzenia.

Io rzuciła się naprzód i podciągnęła na obmurowanie, by zerknąć w głąb.

- Szkielety! - zawołała.

Kiedy Pasykrates doszedł do studni, usiadł na murze obok Io.

- Czy tylko kości widzisz, mała Io? - zapytał. - Z pewnością jest tam coś jeszcze?

- Tylko muł i woda - odparła.

- Tak, ziemia i woda. Jestem, jak widzicie, mądrym przewodnikiem. Przeprowadziłem was tu w południe, kiedy słońce sięga dość głęboko w dół, byście mogli zobaczyć dno. Nie jest to bardzo głęboka studnia. Może dlatego wysycha - albo prawie wysycha. Drakaino, nie chcesz spojrzeć?

Zajrzałem do studni. Jak mówił Pasykrates, słońce sięgało prawie do połowy głębokości i dawało dość światła, by zobaczyć resztę. Byli tam zamknięci trzej czarnobrodzi mężczyźni. Na ramionach nosili ciężkie złote bransolety, a złociste rękojeści ich mieczów wysadzane były klejnotami. Jeden ścisnął swą rękę w przegubie, z twarzą wykrzywioną

cierpieniem, drugi zakrywał twarz dłońmi, a trzeci szlochał, z twarzą zwróconą w górę i wyciągał do mnie rękę.

Pasykrates powiedział:

- Wielki Król przysłał tu swoich posłów, domagając się ziemi i wody na znak podległości. Byli z nich dzielni mężowie, gdy tu przybyli, ale bali się jak kobiety, gdy ich tu wrzucaliśmy, aby sami wzięli sobie jedno i drugie. Trzeba wam było słyszeć ich wrzaski. Drakaino, lepiej tam zajrzyj. Nie popchnę cię. - Zsunął się z obmurowania i odszedł.

- Myślałam, że on lubi Wielkiego Króla - powiedziała cicho Io.

- Jest zazdrosny - parsknęła Drakaina - bo regent woli mnie. Latro to zrozumie, chociaż ty może nie. Kiedy weszliśmy do świątyni, pytałaś, skąd mam monetę, którą ofiarowałam. Dał mi ją książę Pauzaniusz i wiele innych rzeczy także. Jak ci się podoba ta suknia? - Poglądziła purpurową tkaninę. - To przędza jakichś ciem, sprowadzona z końca świata. Kiedyś należała do jakiejś szlachetnej pani z Suzy.

- Jest piękna! - powiedziała Io ze szczerym podziwem. - Ale skoro znów ze mną rozmawiasz, powiedz mi, jak wytłumaczyłaś wszystko regentowi? Byłaś mężczyzną, kiedy widział cię po raz pierwszy, a teraz jesteś kobietą, on zaś nie jest taki jak Latro.

- Powiedziałam mu prawdę - że bogini spełniła moje życzenie. Wierz mi, że to nie zmniejszyło jego szacunku dla mnie.

- Strzeż się - powiedziała Io. - Ona może ci to zabrać. Drakaina pokręciła głową i wydało mi się, że słucha kogoś innego niż Io.

- Czuję, że będę żyła długo - powiedziała - i że byłam tym, czym jestem, odkąd pierwsze gwiazdy przybrały swą postać.

Potem włóczyliśmy się po mieście, nie mówiliśmy jednak niczego godnego przypomnienia, tyle że Drakaina wspomniała o jakimś niewolniku, którego oddałem jej jakiś czas temu. Kiedy spytałem, co się z nim stało, powiedziała, że umarł.

Przyglądaliśmy się nagim kobietom biegającym i rzucającym dyskiem, co Io uznała za niesmaczne, i obejrzelśmy koszary, gdzie spijają Powroźnicy. Potem wróciliśmy do tej twierdzy na wzgórzu w środku miasta, zatrzymując się na jakiś czas, by przyjrzeć się niewolnikom wznoszącym grobowiec Leonidasa. Było to we wiosce zwanej Pitana, która leży w pobliżu tego wzgórza. Nie wiem, co może oznaczać ta nazwa. Może „legion”. Io mówi, w każdym razie, że w armii regenta jest mora o takiej nazwie.

Piszę to w twierdzy, korzystając ze słabnącego światła słońca, które wpada przez strzelnicę. Drakaina przyszła właśnie powiedzieć, że to nasz ostatni dzień w Powrozie.

CZEŚĆ IV

ROZDZIAŁ XXXIII

W tym cienistym wąwozie

Mroczny Acheron przecina skały niby nóż i wpada w końcu w głąb ziemi, zdążając do Krainy Zmarłych. Nigdzie indziej nie są oni tak blisko żyjących, nigdzie indziej nie dają się tak łatwo przywołać - jak mówi Drakaina, która wciąż jeszcze przygotowuje się do tego obrzędu. Jak widzę, księżę Pauzaniasz własną ręką kopie ofiarną jamę, a tymczasem Io karmi paprociami czarnego baranka i czarną owieczkę, które składa on w ofierze. Napelniliśmy z Pasykratesem dzbany wodą z Acheronu i odciążyliśmy muły, które dźwigały miód, mleko, wino i inne potrzebne rzeczy. Piszę to, bo Io mówi, że zbyt długo już nie pisałem, i rzeczywiście - kiedy przeczytałem, co napisałem ostatnio, okazało się, że byliśmy wtedy w Powrozie, o którym młodzi przybocznicy księcia mówią jak o miejscu bardzo odległym.

Piszę też, bo nie chcę, by przypadły wspomnienia o śnie, który miałem zeszłej nocy. Był to sen o statku, o pękatym handlowcu z białym łabędziem na rufie, z szerokim, pasiastym żaglem głównym i pochylonym przednim masztem. Otworzyłem właz na pokładzie i zszedłem do jaskini, gdzie urocza królowa i posępny król zasiadali na czarnych kamiennych tronach, pośród zapachu śmierci. Trzy psy szczekały, królowa zaś rzekła:

- On schodzi ze świata, jego misja się dopełnia.

Mówiła coś jeszcze, czego nie zapamiętałem. Kiedy opowiadałem Io o statku, powiedziała, że to ten, na którym tu przyплыliśmy. Jeśli tak, jakaś część mego umysłu przechowuje wspomnienia, choć ja nie mogę ich przywołać. To z pewnością dobry znak. Być może wkrótce odnajdę swoją przeszłość, może nawet wśród tych wilgotnych i posępnych skał. Pauzaniasz skończył kopać swoją jamę, a Pasykrates obwiesza baranka wieńcami z cykuty i ruty. My będziemy nosić wieńce z ziół.

Przyszedł, ja zaś go widziałem! Drakaina odprawiła libacje z mleka, miodu, słodkiego wina i wody i posypała ziemię mąką. Trzymała baranka, a księżę Pauzaniusz wygłaszał inwokację:

- Przybądź, dostojny Agiado! Udziel mi rady, a sprawię, że cały świat będzie pielgrzymować do twego grobu i składać ci ofiary. Czy mam szukać pokoju, czy dążyć do wojny? Czy prawdziwy był mój sen, mówiący, że ten niewolnik przyniesie mi zwycięstwo? Jak mam się tego dowiedzieć? Przybądź! Ty, którego kocham po śmierci tak, jak kochałem za życia!

Drżącą dłonią ujął miecz i odrąbał głowę czarnemu barankowi, a potem czarnej owieczce. Krew trysnęła do jamy. Drakaina puściła bezwładne ciała i zaczęła śpiewać w jakimś nieznanym języku.

W jednej chwili skała za jej plecami rozszczępiła się i wystąpił z niej król w zbroi, z zakrwawionym nożem w dłoni, z krwawiącymi ranami na rękach i ze zwieszoną głową. Strach było na niego patrzeć. Ukląkł i pił opary z jamy jak pasterz pije ze źródła, a gdy się napił, jego rany przestały krwawić i wyglądał prawie, jakby żył. Nie był przystojny, bo jego twarz nosiła tak ślady wina, jak i noża, otaczała go jednak ta władcza aura, jaką niewielu posiada. Drakaina upadła w ataku, z pianą na ustach. Z tych ust wydobywał się męski głos, szybki i twardy jak trzaśnięcia bicia.

Bratanku, szukaj pokoju.

Nie pij z zapomnienia zdroju.

Pytaj, jaka twierdzy dola

Mężów z Koprowego Pola.

Po ostatnim słowie Drakaina wydała głośny okrzyk, a skała, która zamknęła się poprzednio, znów się otworzyła, by przyjąć umarłego króla. W jego orszaku kroczył teraz szczupły, fantastycznie przyodziany mężczyzna z rozwichrzonymi włosami. Kiedy odeszli, Drakaina osłabła i zwymiotowała. Popęzła, by napić się mleka, które pozostało z libacji.

Księżę odetchnął głęboko, czoło miał zroszone potem.

- Czy się powiodło? - zapytał. - Kto mi to wytłumaczy? - Otarł dłonie o chiton. - Kto do mnie mówił, Pasykratesie?

Pasykrates spojrzał na Drakainę. Nie otrzymawszy od niej żadnej pomocy, zaryzykował.

- Zapewne twój stryj, król Kleomenes. Jedyne on zginął... - zawahał się, i dokończył słabym głosem - szukając śmierci.

- Z własnej ręki. Możesz to powiedzieć. Zbzcześcił świętą ziemię Wielkiej Bogini i jej córki, prowadząc wojska do Przyjścia. Wszyscy wiedzą, jak został ukarany. Co z drugą linijką?

- Ostrzega cię przed winem, które wpędziło go w szaleństwo, a także - poprzez skojarzenie - przed obrażaniem bogów, co uczynił. Postawiłeś trzy pytania, Wasza Wysokość. Sądzę, że pierwsze dwie linijki wiersza twego stryja odpowiadają na pierwsze dwa pytania. Masz szukać pokoju i masz wierzyć w swój sen, bo jeśli nie uwierzysz, obrazisz bogów.

- Doskonale. - Skinął głową Pauzaniasz. - Ci zaś, którzy walczyli na Koprowym Polu, to tarczownicy z Myśli, oblegający teraz warowne miasto Sestos. Kleomenes walczył z nimi, dwukrotnie najeżdżając Długie Wybrzeże. Ja powinienem im pomóc, szukając dziś pokoju z Myślą, a później z Persepolis. To zdaje się mówić Kleomenes.

- Pytałeś, wasza Wysokość, jak się dowiedzieć, czy twój sen zesłali bogowie. Król Kleomenes każe ci spytać mężów z Myśli, jaka będzie dola twierdzy. Czemu nie posłać by do Sestos jakiegoś symbolicznego oddziału, wydzielonego z twojej świty. Powiadają, że to najsilniejsza twierdza w świecie. Jeżeli padnie, dowiesz się, że twój sen był naprawdę zesłany przez Dziewczynę. Jeżeli nie, będzie to porażka Myśli, nie nasza. Wydaje mi się, że takiej rady udziela ci twój dostojny stryj, i nie widzę w niej słabych stron.

Uśmiech wykrzywił twarz Pauzaniusza.

- Tak, ryzyko jest niewielkie - powiedział. - A lud Myśli weźmie to za przyjazny gest, mój gest, bo Leotychides się wycofał. Zwłaszcza arystokraci tak to przyjmą. Dowodzi Ksantippos. - Parsknął śmiechem. - Nie miałbyś chyba nic przeciw temu, by poprowadzić setkę moich bohaterów na nową wojnę trojańską, Pasykratesie? Czy raczej - szybko nogi Achillesie? Będzie to wspaniała przygoda, jedna z tych, w których zdobywa się reputację.

Pasykrates przyglądał się swoim stopom.

- Zostanę albo pójdę - odparł - jak mój strateg rozkaże.

- Pójdiesz więc i będziesz miał oczy otwarte. - Książę otarł płaszczem miecz.

- A ja, Wasza Wysokość, muszę iść z nim - powiedziałem.

- Panie, możemy zginąć! - protestowała Io.

- Ty nie musisz iść, ale ja tak. Jeżeli bogowie mówią, że przyniosę regentowi zwycięstwo, muszę stać przy jego sztandarze.

- Oto twój pierwszy ochotnik, Pasykratesie. Czy go weźmiesz?

Pasykrates skinął potakująco głową.

- Wasza Wysokość, chętnie zabrałbym całą trójkę - powiedział - z powodu, który Latro właśnie podał. Ta próba nie będzie ważna bez niego. Dziewczynka będzie dbać o niego, a czarodziejka może być pomocna przy... hm...

- Układaniu warunków poddania się. - Księżę wstał.

- Właśnie tak, Wasza Wysokość.

- Dobrze więc, to mi ułatwi sprawy w domu. Gorgo jej nie lubi.

Kiedy wijąca się górską ścieżka doprowadziła nas tu znów, regent kazał swej straży przybocznej sformować falangę; ta straż przyboczna składała się z trzystu wybranych przez niego nieżonatych mężczyzn.

- Tarczownicy z Powrozu - zaczął. - Powroźnicy! Słuchajcie. Wiecie o sławnym zwycięstwie pod Mykale. Nie ma wśród nas nikogo, kto nie chciałby tam być. Dowiedziałem się właśnie, że nasi sprzymierzeńcy, zazdroszcząc nam sławy, nie poprzestali na tym. Gdy nasze okręty powróciły do domu, oni pozostali na Wodzie i obiegli Sestos, miasto Wielkiego Króla!

Choć młodzi tarczownicy stali na baczność, podniosło się wśród nich poruszenie, jak porusza się las, kiedy słyszy odległy pomruk burzy.

- Kiedy wrócimy, powiem sędziom, że należy wysłać armię na pomoc tamtym - co jednak będzie, jeśli Sestos padnie przed jej przybyciem? Wiecie, że spóźniliśmy się na Koprowe Pole. Słyszeliście chyba, że Mężowie z Myśli przywłaszczyli sobie chwałę zwycięstwa w cieśninie Pokoju? Pytam was: czy pozwolimy im mówić, że sami zdobyli Sestos?

Trzysta gardeł ryknęło: - Nie!

- I ja także mówię „nie!” - Regent przerwał, a młodzi ludzie czekali w napięciu. - Wszyscy znacie Pasykratesa i wiecie, że ufam mu całkowicie. Pasykratesie, wystąp!

Pasykrates opuścił pierwszy szereg falangi, by stanąć przy regencie, i nawet mnie wydawał się młodym bohaterem, gdy tak stał w swej lśniącej zbroi.

- Pasykrates poprowadzi stu ochotników pod Sestos. Kto nie chce być ochotnikiem, pozostaje w szeregach. Ochotnicy! Wystąp!

Formacja runęła w przód jak fala, jak jeden mąż. - Wybierze on - krzyknął regent. - Pasykratesie, wybierz swoją setkę! Chwilę wcześniej Io spytała, o czym piszę.

- O wyborze stu ochotników - odpowiedziałem.

- A co z tym, co robiliśmy w wąwozie, co z zabiciem tych czarnych baranków?

Odpowiedziałem, że o tym już pisałem.

- Czy myślisz, że tak naprawdę było? Ze król Kleomenes mówił przez usta Drakainy?

- Wiem, że tak było - odrzekłem. - Widziałem go.

- Chciałabym, żebyś go dotknął. I ja mogłabym go wtedy zobaczyć.

- O, nie. Przeraziłby cię. - Opisałem jej jego wygląd, szczególnie zaś jego okropne rany.

- Widziałam już niejedno. Ty tego nie pamiętasz, ale widziałam, jak zabijałeś niewolników Powroźników i widziałam Kekropsa, po tym jak go zabił morski potwór. Czy uważasz, że Pasykrates zrozumiał słowa Kleomenesa?

Słyszając to, Drakina usiadła.

- Pamiętasz je? - zapytała. - Jak brzmiały?

- Nie wiesz tego? To ty je wymawiałaś.

- Nie - odparła Drakaina. - To nie ja mówiłam. Niczego nie pamiętam.

Io wyrecytowała cztery linijki, tak jak je zapisałem, i dodała:

- Pasykrates nie ma chyba racji. Myślę, że Kleomenesowi chodziło o prawdziwy pokój, a nie o wysłanie wojska pod Sestos. To miał na myśli, kiedy kazał regentowi pytać o los twierdzy. Nie dowiedziałby się tego, gdyby nie wysłał ludzi.

- Miał na myśli to, że nikt nie zdobędzie tej twierdzy - powiedziała Drakaina. - Widziałam Sestos i możecie mi wierzyć - mają rację ci, którzy mówią, że to najsilniejsza twierdza w świecie. Mówi się o murach Babilonu, ale przez te mury przepływa rzeka. To dzięki temu ludzie z Parsy zdobyli je jako pierwsi. Sestos nie ma takich słabych punktów. Co do zabiegania o pokój, Kleomenes wie, że Demaratos - dziedzic młodszej korony Powrozu - jest doradcą Wielkiego Króla. Ma on naturalnie nadzieję na zawarcie układu, który pozostawi starszą koronę Agiadom i odda Demaratosowi młodszą. Gdyby taka ugoda została zawarta przed dwoma laty, można by zapobiec całej tej wojnie. Spytałem ją, czy już się czuje lepiej.

- Tak, dziękuję. Słabo mi, ale wygląda na to, że będę silniejsza niż zwykle, kiedy już nie będzie mi słabo. Wiesz, co mam na myśli. - Uniosła w dłoniach swe pełne piersi i pogładziła je, przypominając przyszłe rozkosze. - Jakaś częśćka mnie samej wie, że to, co w tym życiu najlepsze, jest jeszcze przede mną.

- Ile razy żyjesz? - spytała Io. - Czy istnieje jakieś źródło, w którym kąpiesz się, by odzyskać dziewictwo?

Drakaina uśmiechnęła się do niej, a jej urocza twarz miała wygładzony wyraz, kiedy tak się uśmiechała.

- Nie fruważ zbyt blisko mnie, wesoły ptaszku - odezwała się do Io - bo zaśpiewasz inną piosenkę.

Io przysiadła u mych stóp.

- To ty, Drakaino, musisz nauczyć się śpiewać na nową nutę - powiedziała. - Księżę Puzaniasz lubi cię, ale my idziemy z Pasykratesem, który cię nienawidzi.

- Ponieważ weszłam między niego a regenta - całkiem dosłownie. Tak bywa. Kiedy regent znajdzie się o sto mil od nas, rzeczy będą wyglądały inaczej, zobaczycie. - Drakaina wstała z gracją, jaką posiada niewiele kobiet. - Teraz porozmawiam sobie ze szlachetnym Pasykratesem. To on będzie nam przydzielał miejsca na statku. Mam ochotę na kabinę dowódcy i dostanę ją, możecie się założyć. - Kiedy się patrzyło na połysk jej czarnych włosów i grację, z jaką kołysała biodrami, wydawało się całkiem możliwe, że dostanie tę kabinę.

Kiedy odeszła, Io skrzywiła się z niesmakiem.

- Gdyby ktoś ją tak pokrajał, jak to mówiłeś o Kleomenesie - stwierdziła - poruszałaby się jeszcze do zachodu słońca.

Nie chciałem karać Io, powiedziałem jednak, że było to, jak na dziewczynkę, paskudnie powiedziane, jeśli nawet imię Drakaina oznacza smoczycę.

- Była przedtem Euryklesem z Mitetu - odparła Io. - Wiem, że tego nie pamiętasz, Latro, ale tak było. Eurykles był mężczyzną i kiedy mieszkaliśmy u Kalleos, spędzał czasem noc w jej pokoju. Nie przepadałam za Euryklesem, lubiłam go jednak o wiele bardziej niż Drakainę. Drakaina mówi, że przemienił się w nią za sprawą czarów. Moim zdaniem, to ona jakimś sposobem przemieniła go w siebie.

Spytałem, jak wyglądał ów Eurykles. Kiedy go opisała, pojąłem że to on był człowiekiem idącym za królem Kleomenesem.

Goniec ksiązęcy przyszedł niedawno powiedzieć mi, że księżę przyśle po mnie. Mówił, że mam się umyć i włożyć najlepsze szaty, co też zrobiłem. Pytałem, czy będzie obecny, odpowiedział jednak, że ma załatwić w mieście sprawy zaopatrzenia dla naszej wyprawy do Sestos. Zapewne przyślą po mnie tarczownika ze straży przybocznej, jednego z tych, którzy nie płyną do Sestos.

Io mówi, że krążą pogłoski, jakoby jakiś statek przywiózł czarnoksiężnika regenta.

ROZDZIAŁ XXXIV

W namiocie regenta

Nie było nikogo, by mnie powitać.

- Czekaj tu - powiedział młody tarczownik, który mnie przyprowadził. Gdy odwracał się, by odejść, dodał: - Niczego nie dotykaj.

Nie sądzę, żebym kiedyś coś ukradł, ale dla złodzieja byłaby ta rzeczywiście pokusa. Były tam srebrne, złote i kryształowe lampy, i wiele miękkich dywanów i poduszek. Długi nóż w zielonej pochwie ze złotymi okuciami wisiał na jednym z masztów namiotu, a gryf z kości słoniowej rozpościerał skrzydła nad hebanowym cokołem.

Podziwiałem go właśnie, kiedy wszedł regent, prowadząc z sobą małego, przebiegłego Hellena.

- To jest ten niewolnik - powiedział, padając na poduszki. - Latro - Tejsamenos, mój wieszczek.

Nie znałem tego słowa i ta niewiedza musiała się odbić na mojej twarzy. Tejsamenos wymamrotał:

- Zwyczajny rozmówca bogów, panie, pokorny tłumacz wróżb.

- Tejsamenos doradzał mi pod Gliną. Każdy, kto zna rezultat, rozumie, dlaczego go cenię.

- Jego Wysokość opowiedział mi swój sen. Chciałem ujrzeć człowieka ze snu. Czasem Jego Wysokość przychyła się do moich próśb. Panie Latro, zauważyłem, że podziwiałeś ten posążek, kiedy wchodziliśmy. Czy wiesz coś o tych potworach?

- Czy naprawdę istnieją? Nie, nie wiem.

Regent rzekł:

- Mówiono mi, że żyją one w kraju tych Synów Skolota, którzy zbuntowali się przeciw linii królewskiej, i że gromadzą one złoto.

- Które nie jest warte tyle, co ta rzeźba, Wasza Wysokość - powiedziałem.

Tejsamenos wymamrotał:

- Ja bym przyjął, że spotyka się je na północ i na zachód od kraju Issedonów. Mówi się, że wylupują one jedno oko tym, którzy szukają ich skarbów, a jednookich zabijają. Moje informacje mogą być jednak błędne, Wasza Wysokość, a twoje właściwe.

Regent roześmiał się.

- Nie, to ty masz słuszość - powiedział. - Czuję to. Doniesienia o podobnych rzeczach są zwykle tym ciekawsze, im dalej je od nas odsuwają.

Tejsamenos skinął głową i uśmiechnął się.

- Nie przypuszczam, panie, żebyś widział te stworzenia? - Zwrócił się do mnie.

- Skąd mogę wiedzieć? - odparłem. - Wyczytałem dziś w mojej książce, że widziałem już regenta, kiedy byliśmy w Powrozie. Jeżeli mówił ci o mnie, musiał też powiedzieć, że straciłem pamięć.

- A jednak przypomniałeś sobie tego potwora, panie. Widziałem to po twoich oczach.

- Nie przypominam sobie, co o nich wiedziałem, jeżeli wiedziałem, ani jak się tego dowiedziałem, ani gdzie.

Regent parsknął śmiechem, po czym zwrócił się do nas:

- Usiądźcie obaj. Zaniedbuję obowiązki gospodarza. Latro, Tejsamenosie... - Odwrócił się do wieszczka. - Czy wolisz być Tejsamenosem z Elidy czy z Powrozu? - zapytał.

- Wasza Wysokość wybierze, co uważa za właściwe, by uczcić swego sługę - odparł Tejsamenos.

- Tejsamenosie z Elidy, zatem! Latro, pozwoliłem po bitwie Tejsamenosowi odwiedzić rodzinę. Szkoda, że nie był przy mnie, kiedy śniłem o tobie, by wytłumaczyć mi mój sen, ale opowiedziałem mu go teraz - i uważa, że pojąłem znaczenie snu bez jego pomocy.

- Odwiedzić moje siostry i ich mężów, panie. Nie było mi dane oglądać synów ani córek. - Tejsamenos westchnął. - Nieunikniony zabrał mi zaś moją biedną żonę, jeszcze podczas ostatnich igrzysk.

Chrząknąłem. Nie myślałem, że wypadnie mi z głowy to, co chciałem powiedzieć, taka możliwość jednak kazała mi się śpieszyć.

- Jeśli pozwolisz, wróżbito: czemu mówisz mi „panie” - zapytałem - gdy regent zwie mnie niewolnikiem?

- Taki ma zwyczaj - rzekł regent szorstko.

Tejsamenos wymamrotał tak cicho, że ledwie go było słychać:

- Grzeczność nigdy się nie marnuje, panie, zwłaszcza grzeczność wobec niewolnika. My, niewolnicy, znamy jej wartość. - Zwracając się do mnie, dodał: - Nie będziesz mógł zatem odpowiedzieć na nasze pytania. To wielka szkoda, ale jeśli poprosimy, byś spróbował, nie będziesz chyba miał nam tego za złe.

- Przynies trochę wina - powiedział regent do Tejsamenosa. - Wypijesz pucharek, Latro?

- Na to pytanie odpowiem - rzekłem. - Tak. Io jednak może wam powiedzieć o mnie więcej niż ja sam.

- Niedawno ją wypytywałem - powiedział regent - i mogę w paru słowach powiedzieć Tejsamenosowi, czego się dowiedziałem. Spotkała cię we Wzgórzu. Byłeś ciężko ranny. Usiłowałaś objąć posąg Rzecznego Boga i przyprowadzono cię do tamtejszej wyroczni. Wyrocznia oddała ją tobie i wyznaczyła pewnego obywatela, by cię zaprowadził do Przyjścia. Wszyscy troje byliście uwięzieni w Wieżowym Wzgórzu, dopóki nie uwolnił was pewien dowódca okrętu z Myśli. W Przyjściu bogini zjawiała ci się we śnie i obiecała połączenie cię z przyjaciółmi. Potem lochag - którego posłałem, by cię odszukał - znalazł cię i przyprowadził do mnie.

Tejsamenos lał w puchary wino, tak stare i tak dobre, że jego woń napełniła nawet to wonne powietrze.

- Dziękuję - powiedziałem, przyjmując puchar.

- Nie wyglądasz na zadowolonego. O co chodzi?

- Wiele mi powiedziałaś, Wasza Wysokość, ale nie to, co chciałem usłyszeć.

- To znaczy?

- Kim są moi przyjaciele, gdzie jest mój dom, co mi się przytrafiło i jak mogę zostać uleczony.

- Tu są twoi przyjaciele - przynajmniej dwaj. Ja jestem twoim największym przyjacielem i każdy, kto jest ze mną, również nim jest. Czy wiesz, jaką obietnicę otrzymałem we śnie?

- Tak. Rozmawialiśmy dziś o tym w wąwozie.

Tejsamenos mruknął:

- Zapewne więc wiesz, co sprawia, że jesteś talizmanem zwycięstwa?

- Nie mam pojęcia.

Regent powiedział:

- Pomyślałem najpierw, że urodziliśmy się w tej samej chwili - wiadomo, że takie dzieci łączy szczególna więź. Tejsamenosie, co ty na to?

Wróżbita nie wyglądał na przekonanego.

- Chyba jest młodszy - powiedział. - Nie przypuszczam, panie - zwrócił się do mnie - żebyś wiedział, w jakim dniu się urodziłeś.

- Rzeczywiście, nie wiem - odparłem. Regent wzruszył ramionami.

- Więc może tak jest, jak mówiłem? - powiedział. - Mam dwadzieścia osiem lat. Czy myślisz, że możesz być w tym wieku, Latro? Mów. Nic ci nie grozi.

- Wydaje mi się, że dwadzieścia osiem lat to za wiele, Wasza Wysokość. Myślę więc, że muszę mieć mniej.

Tejsamenos wstał.

- Trafne spostrzeżenie, panie - rzekł do mnie - i zgadzam się z nim. Czy mogę raz jeszcze zwrócić twoją uwagę na tę wspaniałą rzeźbę? Czy możesz mi powiedzieć, jak się nazywają takie potwory?

- Zbrojni w Szpony - odrzekłem.

- Otóż to - wyszeptał Tejsamenos. - Bóg, który odebrał ci pamięć, pozostawił ci to. Któryż człowiek pojmie ich zamysły?

Regent wypił.

- Słyszałem to tysiące razy - powiedział. - Kto zrozumie zamysły bogów? Wszyscy pytają, nikt nie odpowiada. Otóż ja jestem człowiekiem, prawie królem - czy wiesz, że wielu naszych Powroźników nazywa mnie królem Pazuaniaszem, Tejsamenosie? Spróbuję więc. Ty, Latro!

Byłem bardzo ostrożny.

- Nie jestem pewien, Wasza Wysokość, czy cię rozumiem - stwierdziłem.

- Nazwałem cię kiedyś głupcem. Od tego czasu widziałem dość, by wiedzieć, że jesteś wszystkim, tylko nie głupcem.

- A jednak jest tu głupiec, Wasza Wysokość, jeśli wierzysz, że jestem powiernikiem bogów.

- Stąpasz po niebezpiecznym gruncie, panie - rzekł Tejsamenos.

- Jeśli w to wierzysz, Wasza Wysokość, byłbym głupcem, gdybym tego nie powiedział.

Regent posłał swój krzywy uśmiech Tejsamenosowi.

- Widzisz, co mam na myśli? - zapytał. - Gdyby to był pięciobój, wygrałby wszystkie konkurencje.

- Jeżeli łączy nas szczególna więź, Wasza Wysokość, mógłbyś także zostać obity, gdyby mnie bito.

- I wyścigi rydwanów także. Ależ, Latro, przyjacielu - będę cię nazywał przyjacielem, a nie niewolnikiem - ty sam nie wiesz, o czym wiesz. Nie pamiętałeś, jak nazywają się te skrzydlate potwory, dopóki cię nie spytaliśmy, prawda?

Pokręciłem przecząco głową.

Tejsamenos mruknął:

- Tak też jest chyba z naradami bogów. Jeśli ci je przypomnimy, czy powiesz o nich Jego Wysokości?

- Oczywiście, jeśli tego chce. Chociaż jednak Io mówi, że w Myśli zamiatałem podłogi u jakiejś kobiety, nie zamiatałem chyba przedsionka Olimpu.

- Zaczniemy więc od skromniejszych spekulacji - powiedział Tejsamenos. - Wiesz, że istnieje wielu bogów.

- Wszyscy to wiedzą, jak sądzę. - Upiłem łyk wina.

- Mówiłeś kiedyś Jego Wysokości, i niewątpliwie to prawda, że byłeś żołnierzem Wielkiego Króla.

- Czuję, że nim jestem - odparłem.

- Musisz więc coś wiedzieć o tych barbarzyńcach, panie. Musiałeś przemaszerować przez Parsę, bo armia Wielkiego Króla przeszła tamtędy. Czy wiesz, że mają oni tylko jednego boga, którego nazywają Ahura-Mazda?

- Nic o nich nie wiem - odpowiedziałem. - A przynajmniej niczego nie pamiętam.

- Składają jednak ofiary słońcu, księżycowi i ziemi, i wodzie, i ogniovi. Możliwe jest - mówię to jako sofista - że jest tylko jeden bóg. Możliwe jest, że jest ich wielu. Nie jest jednak możliwe, że jest tylko jeden bóg i jednocześnie wielu. Zgadzasz się z tym?

- Czasem jedno słowo oznacza dwie różne rzeczy. Kiedy kulbaczyłem muła, wiązałem juki powrozem.

Książę Puzaniasz parsknął śmiechem.

- Doskonale! - zawołał. - Teraz jednak, gdy biedny Tejsamenos jest w trudnym położeniu, pozwól mi być obrońcą Ahura-Mazdy. Powiadam, że jak jeden jest król w Persepolis, tak może być tylko jeden bóg. Czemu miałby tolerować innych? Zniszczyłyby ich i pozostał sam. Wskaż mi jakiś błąd w tym rozumowaniu, jeśli zdołasz

- Wasza Wysokość, gdybyś naprawdę był magiem - to jest kapłanem owego Ahura-Mazdy - chyba byś tak nie powiedział. Powiedziałbyś, że bóg nie może być tylko jeden, ale że musi ich być dwóch, tak jak dwóch królów w Powrozie. Regent wyciągnął puchar, a Tejsamenos nalał mu wina.

- Czemu tak mówisz, panie? - zwrócił się do mnie.

- Tak powiedzieliby magowie, nie ja. Rozumowaliby tak: istnieje na świecie dobro, istnieje więc też dobry bóg - pan mądry. Istnieje też jednak i zło, musi więc być także pan zły. W istocie jedno wynika z drugiego. Nie może być dobra bez zła ani zła bez dobra.

Regent rzekł:

- My tu uważamy, że dobro i zło pochodzą od tych samych bogów i że ten sam człowiek czasem jest dobry, a czasem zły.

- Wasza Wysokość, mag powiedziałby: nazywamy więc dobrego Ahura-Mazdą, a złego - Angra-Mainju, złym duchem. Jeżeli dobry jest naprawdę dobry, czy nie odsunie od siebie kłamstwa?

Regent skinął głową.

- To jednak nie wyjaśnia istnienia Orith - tych innych bogów - powiedział. - Co z ziemią, ogniem, wiatrem i tak dalej?

Tejsamenos pochylił się, by lepiej słyszeć.

- Będę mówił w imieniu maga i własnym. Nie sądzę, by nie mogło istnieć dobro bez zła ani zło bez dobra. Czy dla ślepego noc bez dnia nie trwa wiecznie? Jeżeli Ahura-Mazda...

Gdy to mówiłem, wszedł tarczownik ze straży przybocznej i zwrócił się do regenta:

- Przybył dowódca statku, Wasza Wysokość.

- Musi więc poczekać. Mów dalej, Latro.

- Jeżeli Ahura-Mazda istnieje, Wasza Wysokość, służy mu wszystko, co żyje - i dąb, i mysz, która gryzie korzeń dębu. Gdyby nie było dębów, nie byłoby może i myszy, gdyby nie było myszy, nie byłoby kotów, a gdyby nie było kotów, nie byłoby dębów. Czy nie ma on jednak sług potężniejszych niż ludzie i dęby? Z pewnością ma, bo zbyt wielka przepaść dzieli Ahura-Mazdę od ludzi i dębów. Każdy król ma jakiegoś doradcę o autorytecie niewiele mniejszym niż królewski, oni zaś mają własnych ministrów o podobnej władzy. Poza tym, istnienie słońca, księżyca, ziemi i ognia, i wody to niewątpliwy fakt.

- Ale istnienie Ahura-Mazdy nie jest takim faktem. Pij swoje wino, Latro.

Upiłem łyk i ciągnąłem dalej:

- Wasza Wysokość, pomyślmy o wielkim mieście, jak Suza. W tym mieście stoi pałac, równie wielki. Pod murem pałacu przykucnął mały żebrak - i to ja nim jestem.

- Czy królem w tym pałacu jest Ahura-Mazda?

Zaprzeczyłem:

- Nie, Wasza Wysokość, sądząc po tym, co widziałem, ja, mały żebrak Latro, władcami pałacu są słudzy. Raz kucharz dał mi mięsa i chleba. Widziałem też na własne oczy rządę, prawdziwie wielkiego pana, Wasza Wysokość.

Regent wstał. Zaraz też wstał Tejsamenos. I ja zrobiłem to samo.

- I jest wielkim panem - dla małego żebraka, choć nie dla siebie samego, zapewne - dokończył regent. - Pomówimy jeszcze o tym, kiedy wrócisz z Sestos. Czy chcesz zobaczyć statek?

- Tak. Nawet, jeśli to ten, którym tu przyплыliśmy, chciałbym go zobaczyć, Wasza Wysokość. Nie pamiętam go.

- To jeden z tych, którymi tu przyплыliśmy - powiedział regent, gdy wyszliśmy z wonnego powietrza namiotu w jeszcze wonniejsze powietrze wieczoru. - Ale nie ten, którym płynąłeś z Io. Tamten zabieram do Olimpii.

Tarczownik czekał z kimś przed namiotem. Regent odezwał się:

- Ty jesteś Nepos, dowódca statku.

Dowódca statku zrobił krok w przód.

- Ten sam - powiedział. Włosy połyskiwały mu w świetle księżyca jak piana morską.

- Znasz swoje zadanie i przyjmujesz je?

- Mam przewieźć do Sestos stu Powroźników i dwustu siedemdziesięciu niewolników. I jakąś kobietę, która musi mieć dla siebie kabinę.

- I dziewczynkę niewolnicę, wraz z niewolnikiem, którego widzisz przed sobą - rzekł regent.

- Możemy zajmować tę samą kabinę - powiedziałem - albo spać na pokładzie, jeśli nie ma dla nas kabiny.

- Prawie wszyscy będą musieli spać na pokładzie. I tak będzie ciasno.

Regent spytał:

- Czy statek pomieści ich wszystkich i żywność dla nich?

- Tak, Wasza Wysokość, ale bez wygod.

- Niepotrzebne im wygod. Wiesz, że nie będziesz mógł wplynąć do portu w Sestos? Jest obłożony, a inne porty Chersonezu należą jeszcze do Wielkiego Króla.

- Wiem. Wyszadzę ich na brzeg po tej stronie półwyspu, z łodzi. Tak będzie bezpieczniej.

- Dobrze, a teraz chodź z nami. Obiecałem Latro, że będzie mógł zobaczyć na statek. Musisz go nam wskazać. - Regent rozglądał się za Tejsamenosem, ale ten gdzieś przepadł. Tarczownik podjął się znalezienia wróżbity, ale regent powstrzymał go: - Tacy jak on muszą mieć trochę swobody, jeśli mamy na nich polegać. - Kiedy ruszyliśmy, dodał: - Chyba szkoda mu było nóg. Musieliśmy dać mu obywatelstwo, żeby nam pomógł pod Gliną, ale żaden z niego Powroźnik.

Chociaż księżyc stał nisko i wygięty był jak mój miecz, noc była jasna i gwiazdzista. Wspięliśmy się na urwisko nad miastem, skąd mieliśmy piękny widok na małą przystań.

- Oto „Nauzykaa” - rzekł z dumą dowódca statku. - Ta najbliższa wyjścia z zatoki. - Jego statek był tylko ciemną plamą na ciemnej wodzie, chciałem jednak być już na pokładzie. Czułem, że nic mnie tu nie trzyma.

Regent powiedział:

- Myślę, że będziesz się śpieszył z powrotem, nauarcho.

- Pragnę ci służyć, Wasza Wysokość, ale...

- Odejdź - rozkazał.

Myślałem, że wrócimy do obozu, regent jednak stał w miejscu i po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że nie patrzy na statek, ale na morze, w stronę Sestos i świata poza morzem.

Kiedy się w końcu odwrócił, powiedział cicho:

- A gdyby tak o małym żebraku - nie nazywajmy go Latro, ma na imię Pauzaniasz - gdyby o małym żebraku dowiedział się król? Musisz mi pomóc, a ja pomogę tobie. Dam ci wolność i o wiele więcej jeszcze.

Powiedziałem, że nie sądzę, bym mógł coś zrobić, ale że będę szczęśliwy, robiąc wszystko, co będę mógł.

- Myślę, że możesz zrobić bardzo wiele. Znasz tych służących, Latro. Może zdołasz ich namówić, by mnie wpuścili do pałacu.

Odwrócił się. Tarczownik, który nam towarzyszył, kiedy wspinaliśmy się stromą ścieżką na urwisko, poszedł za nami, równie cicho jak zawsze.

Odkąd wróciliśmy do obozu, myślałem o tym, co mówił regent, i o wszystkim, o czym tu pisałem. Męczyło mnie to, że się przyczyniłem do powstania tak wielkiego i straszliwego zamysłu, chociaż nie mogłem tego powiedzieć, rozstając się z regentem. Jak może człowiek, choćby był księciem i regentem, wejść do pałacu, którego żaden człowiek nie oglądał? Zostać przyjacielem monarchy, którego ministrami są bogowie?

Jest jeszcze coś, chociaż nie wiem, czy o tym pisać. Przed chwilą, kiedy już miałem wejść do namiotu, który Io i ja dzielimy z Drakainą i Pasykratesem, usłyszałem, tuż za uchem, osobliwy, chytry głos Tejsamenosa:

- Zabij człowieka z drewnianą nogą. - Kiedy się obejrzałem, nikogo w pobliżu nie było.

Nie mam pojęcia, co to może znaczyć ani kim może być ten człowiek z drewnianą nogą. Może to wiatr splatał mi figła? A może nie tylko tracę pamięć, ale i popadam w obłąd, a ten głos był zjawą zrodzoną z kryjącej wszystko mgły?

ROZDZIAŁ XXXV

Statki mogą żeglować po lądzie

Nasz statek przeprowia się dziś przez ten przesmyk. Niemało już przeczytałem w tym zwoju i znalazłem wiele rzeczy, które mnie intrygują, może więc powinienem opisać naszą przeprawę przez przesmyk, zanim stanie się jeszcze jedną zagadką.

Obudziłem się między Io, śpiącą pod moim ramieniem, a obudzoną już Drakainą, z drugiego boku. Mówi ona, że spaliliśmy tej nocy z sobą, ale nie wierzę jej. Choć jest tak urocza, oczy ma twarde jak kamienie, ja zaś nigdy nie obcowałem z kobietą, gdyby obok spało dziecko. Nie wierzę też, żeby mężczyzna mógł to robić nie budząc dziecka. Ponadto, choć nie przypominam sobie poprzedniej nocy, to chyba bym sobie przypomniał, kiedy mi o tym powiedziała, i dlatego nie dałem wiary jej słowom. Co prawda, mówi też, że wypilem za dużo wina.

Czy to prawda czy nie - nie wiem. Wstałem i ubrałem się, ona także. Io też się obudziła i narzeka, bo nie miała okazji uprać swego małego peplosu, kiedy byliśmy na morzu, i nadal nie ma tej okazji, chociaż stoimy na kotwicy.

Nasz statek jest większy od tych, które widziałem tego rana w przystani. Io mówi, że czekaliśmy wczoraj cały dzień na naszą kolej na pochylni i że trudno się na nią dostać, jeśli nie da się łapówki zarządzającemu. Dziś rano ten młody człowiek, który śpi w naszej kabinie, urządził swojej setce pobudkę (śpią na pokładzie razem ze swymi niewolnikami i żeglarzami, obudziło mnie ich tupanie) i kazał im wiosłować do miasta. Io powiedziała, że przyglądaliśmy się wczoraj statkom i że woły ciągną je po pochylni znacznie wolniej, niż porusza się idący człowiek. Widzę, że to prawda - a zatem mogliśmy i my pójść do miasta. Jeśli „Nauzykaa” dostanie się na pochylnię, szybko ją dogonimy.

- Byliśmy już tutaj, Latro - mówiła. - Żołnierze, którzy zabrali nas niewolnikom Powroźników byli z tego miasta. Nie znajdziesz tego w swojej książce, bo wtedy ja ją miałam. Widzisz to wzgórze? Tam nas trzymali, dopóki nie przybył Hyperejdes i nie przekazali mu nas. Byli z nami Pindar, Hilaejra i czarny człowiek i nigdy nie zapomnę, jak rozkuwali nasze kajdany - Hyperejdes kazał im to zrobić po rozmowie z nami - i wyprowadzili nas na słońce. Stamtąd, z góry, widać całe miasto, które jest naprawdę piękne. Czy chcesz je zobaczyć? Chciałabym spojrzeć na miejsce, gdzie nas trzymali.

- Tak, chodźmy tam - powiedziała Drakaina. - Może cię znowu zamkną. Ale czy strażnicy pozwolą nam wejść na górę?

- Na pewno - odparła Io. - Pozwalają każdemu. Na szczycie jest świątynia poświęcona bogini pani Kalleos i parę innych świątyń.

To miasto pełne jest ludzi, a wszyscy dokądś się spieszą. Wielu z nich to niewolnicy i robotnicy, którzy chodzą bez odzienia (prócz nakrycia głowy), ale jest też wielu bogaczy, noszących złote pierścienie i łańcuchy wysadzone klejnotami, o włosach pachnących wonnościami. Mężczyźni każą nosić się po mieście w lektykach. Drakaina mówi, że w Myśli używają ich tylko kobiety i chorzy i że to miejsce bardziej przypomina wschód, z którego ona pochodzi. Prawdziwi bogacze mają własne lektyki i czterech lub sześciu niewolników jednakowo ubranych, którzy ich noszą. Ci, którzy chcą uchodzić za bogatych, wynajmują lektyki z dwoma lub czterema nosicielami.

- Gdybyśmy mieli pieniądze - powiedziała Drakaina - moglibyśmy wynająć dwie lektyki i nie musielibyśmy wspinać się po tych wszystkich stopniach. Ty i Latro w jednej, a ja w drugiej. - Chyba chciała zaproponować Io wspólną podróż, ale widząc minę dziewczynki, zrezygnowała z tego.

- Ty masz pieniądze - powiedziała Io. - Mówiłaś, że dał ci je regent, płaciłaś też przewoźnikowi. Wynajmij sobie lektykę, a Latro i ja pójdziemy piechotą.

Przytaknąłem, bo prawdę mówiąc, chciałem rozprostować nogi, które ostatnio zaczynały odczuwać brak ćwiczeń.

- Nie mam tyle - powiedziała Drakaina. - Moglibyśmy jednak coś sprzedać.

Io spojrzała na nią spode łba.

- Co? - zapytała. - Sprzedać jeden z tych pierścieni? Czyżby były naprawdę złote?

- Nie moje pierścienie. Mamy inne towary, jeśli tylko znajdziemy odpowiedniego nabywcę.

Jakiś żołnierz próbował precyzyjnie się obok nas, ona zaś złapała go za ramię.

- Nie teraz! - powiedział, a kiedy zobaczył, jak jest urodziwa, dodał: - Wezwij mnie wieczorem, nie pożałujesz. Jestem Hippagretas, lochag straży miejskiej. Naprzeciw świątyni Boga Kamienia w rynku, drugie drzwi po stronie północnej.

- Nie jestem z Wieżowego Wzgórza - powiedziała Drakaina. - Nie mówię, że nie chciałabym mieć tak dostojnego i przystojnego kochanka, chcę cię jednak tylko spytać, kto dowodzi armią tego miasta.

- Naszym strategiem jest Korostas.

- A gdzie możemy go znaleźć? Czy mógłbyś nas zaprowadzić?

- W cytadeli, oczywiście. Ale nie mogę was zaprowadzić. Bardzo bym chciał, ale mam ważne sprawy do załatwienia.

Uśmiechnąłem się, słysząc, że nawet żołnierze śpieszą się w tym mieście niby kupcy. Drakaina uśmiechnęła się również, po czym zapytała:

- Czy Korostas mógłby nie wynagrodzić dowódcy, który przyprowadza mu ludzi przynoszących informacje?

- Masz jakąś wiadomość dla stratega?

- Mam informacje, które przekażę tylko jemu osobiście. Mogę ci jednak chyba powiedzieć, że właśnie zeszedliśmy ze statku wiozącego przybocznego regenta Powrozu.

Po chwili Drakaina i Hippagretas siedzieli w jednej dużej lektyce, a Io i ja w drugiej, każdą zaś niosło na ramionach czterech nosicieli.

- Ty i czarny człowiek musieliście tak nosić Kalleos - powiedziała Io. - Ale was było tylko dwóch, a założyłem się, że Kalleos ważyła tyle, co my oboje razem.

Spytałem, czy musieliśmy się wspinać na tak strome zbocza, ona jednak zaprzeczyła:

- Bywało stromo, ale nigdy nie aż tak. Nie wiedzieliście, że was śledziłam - zachichotała. - Byłam ciekawa, który z was zmęczy się pierwszy, ale żaden się do tego nie przyznał.

Powiedziałem, że żaden mężczyzna nie lubi się przyznawać, że jest słabszy niż inny.

- Wiele kobiet lubi - to jeden z powodów, dla których wolimy mężczyzn, łatwiej ich wykorzystywać. Spójrz tam, już widać wodę. A tam jest ta pochylnia, trzydzieści sześć stadiów z zatoki do morza Saros. Tak mówił ten człowiek, z którym wczoraj rozmawialiśmy.

Spytałem, czy Drakaina była wtedy z nami.

- Nie. Została na pokładzie, bo i Pasykrates został, jeśli chcesz wiedzieć. Poszliśmy z dowódcą statku, a oni wyglądali na zadowolonych, że wychodzimy.

Ledwie ją słyszałem. Parę kroków po tym, jak wspomniała o wodzie nosiciele zakręcili, wspięli się jeszcze odrobinę i jasny skrawek wody, który przedtem wskazywała Io, urósł w lazurowe morze. Tak dorasta dziewczynka, która staje się kobietą, gdy tylko na chwilę spuścisz ją z oka. Uderzyło mnie też, że to właśnie morze było światem, a wszystko inne - to miasto, ta piętrząca się wapienna skała, nawet statki, które unosiły się na nim i ryby, które w nim pływały, były tylko wyjątkami, osobliwościami, jak te skrawki liścia czy słomki, które widzi się w kulce bursztynu.

Ja sam byłem marynarzem na tym morzu, żeglarzem zdany na łaskę wiatru i fal, zagubionym w mgłach i słuchającym uderzeń fal o rafy skalistego brzegu.

- To tu - powiedziała Io, gdy nosiciele postawili naszą lektykę przed jakimś ponurym budynkiem. - Tu nas trzymali, Latro, w piwnicy. Długo się do niej schodziło. - Drakaina i lochag wyszli już ze swojej lektyki.

Po upale i jaskrawym słońcu na zewnątrz wewnątrz robiło wrażenie jaskini. Rozumiem teraz, czemu tak wielu bogów i bogiń żyje, jak powiadają, pod ziemią albo wśród wiecznych śniegów na szczytach gór. Niewątpliwie robiliśmy to samo, gdybyśmy nie byli przywiązani do naszych pól, które dostarczają nam pożywienia.

Korostas okazał się być muskularnym mężczyzną w pancerzu z gotowanej skóry, wytłaczanej w lwie głowy. Ich warczące paszcze obudziły we mnie jakiś dawny lęk i przez chwilę zdawało mi się, że widzę, jak jakiś lew staje na tylnych łapach i grozi jakiemuś tłumowi zębami i pazurami.

- Byłaś na statku tego młodego Powroźnika? - spytał Korostas. - Widzę, że sami nie jesteście Powroźnikami.

- Ja jestem ze wschodu - odparła Drakaina. - Ten człowiek - który, nawiasem mówiąc, niewiele zdoła ci powiedzieć - jest barbarzyńcą, ale ani on, ani ja nie umiemy powiedzieć, z jakiego plemienia pochodzi. Ta dziewczynka jest ze Wzgórza.

- A twoje informacje?

- A twoja zapłata?

- Zależy od tego, co usłyszę. Jeśliby to miało uratować moje miasto - uśmiechnął się - to może i dziesięć talentów. W innym przypadku mniej.

- O ile wiem, nic obecnie nie grozi twemu miastu.

- Świetnie. Zdziwiłabyś się, ilu ludzi przychodzi ostrzec mnie przed jakąś wyrocznią albo czymś podobnym. - Wyjął srebrną sowę i trzymał ją w dłoni. - Powiedz teraz to, co przysłaś mi powiedzieć, a zobaczymy, czy jest tego warte. Mój czas nie jest nieograniczony.

- To dotyczy wyroczni - powiedziała Drakaina. - Pewnego snu, w który regent wierzy bez zastrzeżeń. - Wyciągnęła rękę.

- I dotyczy to mego miasta?

- Nie bezpośrednio. Może w końcu.

Korostas odchylił się w tył w swym krześle z kości słoniowej, inkrustowanym granatami i topazami.

- Twój statek to „Nauzykaa” z Ajgaj płynąca do Stuokiego - powiedział - Na pokładzie jest stu młodych Powroźników, wysłanych przez regenta, by zanosili modły w świątyni Królowej Niebios dla dopełnienia jakiegoś ślubu.

Io uśmiechnęła się, zakrywając usta dłonią, a Drakaina rzekła:

- Powiedzieli ci to żeglarze. Wypytywaliście ich.

- I tych młodych Powroźników - dodał Korostas. Widząc, że Drakaina milczy, mruknął: - Kiedy mogliśmy. - I upuścił sowę na jej dłoń.

- Tych stu ludzi nie udaje się do Stuokiego ani w ogóle na Wyspę Ciemnej Twarzy. Nie wysłano ich też dla spełnienia ślubu ani w żadnej świętej sprawie.

- To, oczywiście, wiem - powiedział Korostas, mierząc wzrokiem Drakainę. - Byli w pełnej zbroi, kiedy przyszli dziś straszyć rządcę pochylni. Argiwi nie są aż tak głupi, żeby wpuścić za bramy stu uzbrojonych Powroźników. - Wyjął następną sowę.

Drakaina pokręciła głową.

- Dziesięć - powiedziała.

- Absurd!

- Powiem ci jednak za darmo, że są to ludzie wybrani i pouczeni przez samego regenta.

- Wiem to, odkąd młody Hippagretas powiedział mi, że wspomniałaś o przybocznym regenta na pokładzie.

Spytałem, czy „Nauzykaa” dostanie się dziś na pochylnię.

- Aha! - Korostas łypnął okiem. - Możesz więc mówić. Niczego jednak nie wiesz o tym wszystkim.

- Nie - powiedziałem. - Niczego.

- Myślicie, że kobieta może dostać więcej i ma mniejsze szanse trafienia na tortury? Mylicie się. Odpowiedź na twoje pytanie; czy ten statek przeprawi się przez przesmyk dziś, czy też nigdy - zależy od tego, jakie polecenie prześlę zarządcy pochylni. A to zależy od tego, co tu sobie powiemy. - Spojrzał znów na Drakainę. - Pięć sów za prawdziwy cel podróży.

- Tylko jedno słowo - odparła.

- Zgoda, ale żadnych sztuczek.

- Sestos.

Przez chwilę myślałem, że strateg zasnął. Zamknął oczy i oparł podbródek na piersi. Potem znów otworzył oczy i wyprostował się.

- Zgadza się? - spytała Drakaina.

- A sen, który kazał mu to zrobić?

Drakaina wstała, chowając sześć srebrnych sów w fałdach szaty. - Musimy już naprawdę iść - powiedziała. - Ta dziewczynka chce zobaczyć ze szczytu wasze miasto.

- Jeszcze jedna za sen.

- Chodźmy, Io. Latro! - Drakaina zbierała się do wyjścia.

- Trzy.

Drakaina nie siadała już.

- Ten sen... - zaczęła.

- Kto to był? Łowczyni?

- Królowa Podziemi - odparła. - Gdyby to była Łowczyni, nie opowiadałabym ci o tym wszystkim. Obiecała mu, że twierdza upadnie, kiedy tylko ci młodzi ludzie pod nią przybędą, a regent uwierzył jej bez zastrzeżeń. Teraz wiesz wszystko to co ja.

Gdy Korostas odliczał jeszcze trzy sowy, spytał:

- Czemu to Królowa Podziemi? To powinien być Wojownik, a może nawet Słońce.

Drakaina uśmiechnęła się.

- Jesteś strategiem, a nigdy nie widziałeś zdobytego miasta? - zapytała z niedowierzaniem. - Wierz mi, niewiele jest potem wojskowych parad i światła, ale śmierć ma mnóstwo roboty.

Na zewnątrz spytała nosicieli, czy lochag im zapłacił, a kiedy potwierdzili, kazała im zanieść nas do świątyni na szczycie. Protestowali, mówiąc, że zapłacono im tylko za przeniesienie nas z miasta i odniesienie na miejsce. Drakaina rzekła im:

- Oszczędźcie mi waszego zuchwalstwa. Odbyliśmy tu naradę ze strategiem Korostasem i jeśli nie chcecie uczciwie zapracować na swoje pieniądze, każe on wychłostać was na rynku. - Po tych słowach zrobili, co im kazała.

Świątynia była niewielka, ale piękna w każdym szczególe, o smukłych marmurowych kolumnach z wyszukаныmi głowicami. Jej fronton przedstawia jakiegoś młodzieńca ofiarującego trzem dziewczynom jabłko.

Kiedy nosiciele nie mogli nas słyszeć, Io szepnęła:

- Nie powiedziałaś mu o Latro. Myślałam, że chcesz to zrobić.

- Oczywiście, że nie. A gdyby Korostas zechciał go tu zatrzymać? Myślisz, że regent nie odgadłby, że ktoś się wygadał? I że to ty albo ja? Patrz teraz na ten widok, mówiłam Korostasowi, że ci na nim zależy.

Io patrzyła, i ja także, z uczuciem, że wiatr od morza nigdy już nie będzie tak świeży ani słońce tak jasne. Białe miasto Wieżowego Wzgórza rozpościerało się pod nami na dwóch tarasach. Jego zatoka ciągnęła się na zachód niby wielka błękitna droga, obiecując wszystkie nietknięte bogactwa słabo zaludnionych krajów zachodu, i nagle poczułem pragnienie udania się tam.

- Na wszystkich Dwanaścioro, to „Nauzykaa”! - wykrzyknęła Io. - Widzisz ją, Latro? Jeszcze nie na płozach, ale czeka już na wejście na nie. Popatrz na ten jej ostry dziób!

- Prawdziwy mały żeglarz - uśmiechnęła się Drakaina.

- Kybernetes uczył mnie, kiedy żeglowaliśmy z Hyperejdesem. Rozmawiałam też z naszymi żeglarzami zamiast zadzierać nosa.

Minęła nas jakaś kobieta, ozdobiona klejnotami i pachnąca wonnościami, ze złotymi dzwoneczkami we włosach, które zadźwięczały, gdy odwracała głowę, by uśmiechnąć się do Drakainy; niosła za uszy dwa zajączki.

ROZDZIAŁ XXXVI

Do Gorących Wrót

Statek może żeglować dwoma szlakami, jak to nam wyjaśnił dowódca naszego statku. Ten siwy i tęgi starszy człowiek o zeszywniałych stawach naprawdę zna się na morzu. Spostrzegłszy, że go nie rozumiem, usiadł na zwoju liny i narysował mi wybrzeże na pokładzie kawałkiem kredy.

- Tu jest ta pochylnia, gdzie się przeprawialiśmy - mówiąc to, rysował - a tu jest Woda i Pokój.

Io spytała:

- Czy ta nazwa⁴ naprawdę znaczy „pokój”? Tak mówi Latro. Wygląda na to, że dużo się tam wojuje.

Dowódca statku spoglądał w dal, ponad tańczącymi falami.

- To dlatego, iż w dawnych czasach uzgodniono z Czerwonymi, że na tę wyspę nie będzie napadów - powiedział. - W dawnych czasach - w czasach mego dziada - każdy zabierał, co zdołał zabrać, i nie było to żadną hańbą. Statek przyplęwał do miasta i jeżeli jego dowódca uważał, że załoga potrafi je zdobyć, próbował tego. Jeżeli spotykałeś statek, który mógł pokonać cię, uciekałeś, a jeśli nie uciekałeś dość szybko, traciłeś swój statek. Człowiek wiedział wtedy na czym stoi. Teraz może być pokój, a może też być wojna, i ani ty tego nie wiesz, ani on. Zeszłego roku ci Czerwoni byli najlepsi we flocie Wielkiego Króla. Mówię o najlepszych żeglarzach - najlepszymi morskimi wojownikami byli ci z Kraju Rzeki. Ci Czerwoni walczyliby na wyspie Pokoju, gdyby wylądowali. Stare przyrzeczenia się nie liczą, a nowe nie są dotrzymywane. Dawniej królowie szukali punktów, w których chcieli tego samego. Zawierali wtedy uczciwy układ i dotrzymywali go, a gdyby tego nie robili, okryliby się hańbą i spotkałaby ich kara boska i kara z rąk własnego ludu. Dziś każdy usiłuje przechytrzyć drugiego. Co za korzyść z układu, którego ten drugi nie dotrzyma, widząc, że to oszustwo?

- Tam z tyłu musi być Myśl - wskazała Io.

- To Sznur. Myśl jest tam, na wzgórzu. Wcale się tam nie wybieram. I tak mijamy to wszystko. Jesteśmy tutaj. - Pociągnął linię wybrzeża na północ, a potem narysował przy nim długi kształt. - To Wyspa Bogata w Bydło, dobre miejsce do hodowli owiec. Ze zwykłą

załogą omijałbym ją z daleka, kanał jest wąski, a wiatr wieje przeważnie z północy. Ale z tymi wszystkimi tęgimi chłopcami przy wiosłach nie ma potrzeby tego robić, jak powiada szlachetny Pasykrates. Noc spędzimy przy Gorących Wrotach i będzie mógł złożyć swoją ofiarę. Nie ma to jak porządny wiatr, ale ten głębinowy wieje w tę stronę, która ci odpowiada.

Przez „głębinowy wiatr” rozumiał długie wiosła, które jeden lub dwóch ludzi ciągnie wstając z miejsca. Jest ich po dwadzieścia na każdej burcie. I ja także zmieniam się przy jednym z nich z ludźmi z Powrozu. Ciężka to praca i pokrywa pęcherzami dłonie, ale pomaga przy niej śpiew i wzmacnia ona całe ciało. Moja głowa ma krótką pamięć, ale ramiona, nogi i grzbiet nie zapominają. Mówią mi one, że marnowały się w bezczynności i że pragną walczyć z tym błękitnym olbrzymem. Tak też robię i śmieję się, widząc, jak ludzie - którzy tak często zmuszają zwierzęta do pracy - wiosłują, by przewieźć przez morze ryczącego byczka, przywiązanego do głównego masztu.

Wszystko to są zapewne rzeczy bez znaczenia, ale pierwsze, o których pamiętam po obudzeniu się ze snu.

Przy wiosłach można było zatrudnić tylko osiemdziesięciu, a nas było ponad czterystu, licząc Pasykratesa, mnie i załogę. Taka liczba pozwalała wszystkim na odpoczynek znacznie dłuższy niż wiosłowanie. Kiedy słońce było w połowie drogi do wzgórz po lewej, zaczął wiać wiatr w plecy. Załoga podniosła oba żagle i wciągnęliśmy wiosła. Pasykrates zaproponował zapasy. Na pokładzie nie było miejsca na żadne inne zawody, jedynie na zapasy albo walkę na pięści. Jakaś urocza kobieta o imieniu Drakaina przyszła popatrzeć i zajęła miejsce tuż przy mnie. Ma na sobie purpurową suknię i mnóstwo klejnotów, a Powroźnicy natychmiast zrobili jej miejsce, musi być kimś ważnym.

Wdychając wiatr, powiedziała:

- Czuję rzekę - w tym powietrzu czuć krokodyle. Czy wiesz, co to takiego?

Odpowiedziałem, że wiem i opisałem je.

- Nie pamiętasz jednak, gdzie je widziałeś?

- Nie.

- Czy weźmiesz udział w zapasach, kiedy przyjdzie twoja kolej? Przerzuć tego drugiego za burtę. Zrób to dla mnie.

Zwycięzcy robili to często, by popisać się siłą. Statek ciągnął za sobą linę i pokonany podpływał do niej i wspinał się na pokład, wielu zaś mówiło, że lepiej przegrać niż wygrać,

⁴ Salamis. Latro tłumaczy fenicki rdzeń słowa. G.W.

tak przyjemne było pogrążenie się w chłodnej wodzie. Obiecałem Drakainie, że to zrobię, jeśli zdołam.

- Jesteś dobrym zapaśnikiem - sama widziałam. Prawie pokonałeś Basjasa, a gdybyś chciał, pokonałbyś go, tak sędzę.

- Czy jest tu Basjas? - spytałem, nie znałem bowiem imion większości ludzi z Powrozu i myślałem, że mógłbym znów się z nim spotkać.

- Nie - potrząsnęła śliczną główką. - Odszedł do Bogatego.

Zląkłem się, usłyszawszy to, że się splamiłem jego krwią, wiem bowiem, że coś jest ze mną nie w porządku.

- Czy to ja go zabiłem? - spytałem.

- Nie - powiedziała. - Ja to zrobiłam.

Potem wypadła kolej na mnie.

Pasykrates wyznaczył mi siebie za przeciwnika. Jest bardzo szybki, ale ja jestem chyba trochę silniejszy. Czułem, że mogę wygrać pierwszą rundę, ale właśnie gdy miałem rzucić go na pokład, wyslizgnął mi się spod ręki i poczułem się jak ktoś, kto wyważa otwarte drzwi.

Oparłem się biodrem o balustradę, a Pasykrates chwycił moją prawą nogę pod kolanem i przerzucił mnie przez nią.

Jakże chłodna była ta woda i jak pachnąca! Zdawało mi się, że nie powinienem nią oddychać, jak to robiłem, choć jednak była dużo chłodniejsza niż powietrze, dodawała sił niczym wino.

Kiedy otworzyłem oczy, poczułem się jak zawieszony w niebie, niby słońce. Wszędzie wokół mnie była błękitna woda, ciemniejszy błękit nade mną i jaśniejszy pode mną, gdzie pełzał jakiś wielki, brunatny ślimak o muszli porośniętej mchem, wlokąc za sobą pienisty ślad.

- Witaj! - powiedział jakiś głos nade mną. Spojrzałem w górę i zobaczyłem jakąś dziewczynę, nie starszą od Io. Jej włosy były ciemniejsze niż suknia Drakainy - tak ciemne, że niemal czarne. Wyglądały prawie jak chmura lub jak aureola, nie jak ludzkie włosy.

Usiłowałem przemówić, ale woda wypełniała mi usta i nie wydobył się z nich żaden dźwięk, tylko bańki powietrza, które opadły na ów blady grunt i znikły.

- Jestem Thoe, córka Nereusa - powiedziała dziewczyna. - Mam czterdzieści dziewięć siostr starszych ode mnie. Wolno nam pokazywać się tym, którzy mają wkrótce umrzeć.

Musiła dostrzec lęk w moich oczach, bo roześmiała się i zrozumiałem, że mówiła to, by mnie przestraszyć. Zęby miała drobne i bardzo ostre.

- Nie, tak naprawdę, nie utoniesz. - Ujęła moją rękę. - Czy czujesz, że się dusisz?

Dałem znak głową, że wszystko w porządku.

- Widzisz, nic ci nie grozi, dopóki jesteś ze mną. Kiedy jednak odejdę, musisz wracać tam na dół, jeżeli nie chcesz umrzeć. Śmiertelnicy nie widują nas zbyt często, bo mogliby domyślić się rzeczy, których im wiedzieć nie wolno. Śmiertelne kobiety prawie nigdy nas nie widują. Możemy ukazywać się dzieciom, kiedy tylko chcemy, bo zapominają, tak jak ty.

Wiła się w wodzie jak wąż i przyzywała mnie ręką do siebie. Krzyknąłem, ale wypchnąłem tylko wodę z ust.

- Mówiła mi o tobie Europa. Jest moją przyjaciółką, choć ma o sobie zbyt wysokie mniemanie, bo sypia ze Zstępującym. Ojciec ukazuje się czasami przed burzą żeglarzom, kiedy myśli, że burza zabije ich wszystkich. Czy wiesz o tym?

Obejrzała się przez ramię, by zobaczyć moją odpowiedź, ja zaś zaprzeczyłem ruchem głowy.

- Żeglarze mówią wtedy: „Patrzcie! To starzec morski!” - i zwijają żagiel, i rzucają kotwicę, i czasem uchodzą z życiem. To ładnie z jego strony, że ich ostrzega, nie sądzisz?

Skinąłem głową. Płynęliśmy wciąż w górę, zataczając koła, tak jak sokół wznosi się we wstępującym prądzie powietrza. Brunatny ślimak wydawał się teraz bardzo mały, widziałem jednak jak ludzkie nogi młóć wodę wokół niego.

- Czasami zaś moje siostry i ja ukazujemy się statkom, które mają właśnie uderzyć o rafy. Wołamy, by ostrzec je, ale nasze głosy poza wodą są tak wysokie, iż żeglarze mówią sobie, że śpiewamy, by ich zwabić w śmierć.

Z tych jej słów odgadłem, czemu nie mogę mówić. Nastroiwszy głos na najwyższe tony, powiedziałem, że to niesprawiedliwe z ich strony.

Zaśmiała się, słysząc moje krakanie.

- Czasem to jednak robimy - odparła. - Widzisz, czasem statki nie rozbijają się, staramy się więc przywołać je na powrót, żeby nie mieć kłopotów. Czeszemy sobie nawzajem włosy i podziwiamy swą urodę, jak to robią śmiertelne kobiety. Nie oszukujemy ich, bo czasem sypiamy z nimi - jeżeli któryś przeżyje rozbicie się statku. To będzie mój pierwszy raz.

Dopóki tego nie powiedziała, wydawało mi się, że zostałem rzucony do innego świata, z którego nie będę mógł powrócić i zbyt byłem oszołomiony jego pięknem i jego obcością. Teraz zrozumiałem, że gdybym tylko mógł dotrzeć do tego powietrza w dole, znów znalazłbym się przy Drakainie i wśród zapaśników na pokładzie. Pokazałem, co zamierzam zrobić, a Thoe złapała mnie za włosy.

- Nie masz się czego bać - powiedziała. - Rodzimy wasze dzieci w morzu, więc toną. -
Gdy zaś spostrzegła moje przerażenie, dodała: - Pocałuj mnie przynajmniej, zanim
odejdiesz, żebym się nie musiała wstydzić przed siostrami.

Jej smukłe, chłodne ramiona owinęły się wokół mojej szyi. Gdy jej wargi musnęły
moje, wydawało mi się, że przeżyłem życie w gorączce i nie pragnąłem już niczego więcej
niż ochłodzenia się na zawsze w lodowatych falach północnych mórz, gdzie śnieg opada z
nieba na wodę, niczym puch białych gęsi.

Przebiłem głową powierzchnię. Otrząsałem wodę z włosów, a gdy otworzyłem usta,
by zaczerpnąć tchu, wypłułem jeszcze więcej wody, jak ją wypłuwa kamienna twarz jakiejś
fontanny. Woda była gorzka i słona. Wyciekała mi też z nozdrzy i parzyła je.

Fala rozbiła mi się na głowie, gdy tak plułem i łapałem dech. Nie pamiętałem, czy
jestem dobrym pływakiem, czy nie - z pewnością nie mogłem pływać tak jak Thoe - czułem
jednak, że Pasykrates nie wyrzuciłby mnie za burtę, gdyby nie wiedział, że umiem pływać, i
zanim to przemyślałem do końca, już płynąłem, choć nie wiedziałem dokąd.

Było prawie ciemno i gdy tak płynąłem, unoszony przez fale i znów rzucony w dół,
ukazały się gwiazdy, jedna po drugiej, przybierając kształty bogów i zwierząt. Odszukałem
Wielką Niedźwiedzicę i z jej pomocą Gwiazdę Polarną. Dowódca statku mówił, że północny
wiatr przeszkadzałby nam, płynęliśmy zatem na północ, mając stały ląd na zachodzie, a
Wyspę Bogatą w Bydło na wschodzie. Starąłem się mieć Gwiazdę Polarną po prawej, w
nadziei natrafienia na ląd albo na statek.

Thoe przeskakiwała nad falami, jakby skakała z kamienia na kamień i zatrzymała się,
by stanąć na brzegu i śmiać się ze mnie. Kiedy dotknęła stopą piasku, znikła, a jej śmiech był
już tylko chłupotem fal. Przez długą chwilę leżałem rozciągnięty jak wyrzucone na brzeg
zwłoki, zbyt zmęczony, by robić cokolwiek.

Pragnienie kazało mi wstać. Zmieszany z cichym śmiechem fal dochodził do mych
uszu chichot strumienia, cieszącego się z tego, że dotarł do morza i odpocznie. Poszukałem
go, znalazłem go i piłem długo, i choć widziałem w oddali czerwoną poświatę ogniska i
słyszałem głosy ludzi, nie poszedłem ku nim, póki nie napełniłem wodą żołądka. Niedawno
pytałem Drakainę, który z bogów stworzył świat. Mówiła, że stworzył go Fanes,
czteroskrzydły i czterogłowy, męski i kobiecy zarazem. Jakże okrutny był Fanes, gdy uczynił
morze słonym i jak wielu musiało przez to zginąć!

Głosy należały do mężów z Powrozu. Kiedy ich zobaczyłem, zacząłem się
zastanawiać, czy Thoe celowo przyprowadziła mnie do nich. Przypomniałem sobie, jak nasz
dowódca statku mówił, że Pasykrates chce przy Gorących Wrotach odprawiać jakąś ofiarę.

Ujrzałem kilka kamiennych kolumn, a przed nimi ołtarz, na którym płonęło drewno uzbierane na brzegu. Pasykrates trzymał na postronku byczka, którego szyję opasywał niezdarnie uwity wieniec.

- ...i wstaw się za nami, wielki Leonidasie, wstawcie się za nami wszyscy bohaterowie, kiedy będziemy musieli zdać sprawę z tego, co się stało z niewolnikiem, z Latro. Ty wiesz, że nie towarzyszy mu zwycięstwo i nie darzy go łaską żaden bóg - przemawiał, a gdy wymówił słowo „bóg”, święty nóż przeciął gardziel byczka, wyprawiając go do Leonidasa.

Któż oparłby się takiej sposobności? Wstępując w krąg światła, oznajmiłem:

- Bogowie mówią co innego, Pasykratesie!

Nie pamiętając przeszłości, nie umiem powiedzieć, czy było w niej wiele podobnych kulminacyjnych momentów. Wątpię w ta Widok tych mężów, tak twardych, tak silnych, tak dumnych ze swej twardości i siły, stojących niby dzieci, z rozdziawionymi ustami, zmył ze mnie resztki zmęczenia.

- Pozwolono ci wrzucić mnie w morze, bym mógł pomówić z pewną nereidą, imieniem Thoe. Wróciłem teraz i jestem gotów dokończyć naszego spotkania. Inni walczyli do trzech razy - nie do jednego.

Przez chwilę panowała cisza tak zupełna, że potrzaskiwanie ognia na ołtarzu wydawało mi się szumem pożaru jakiegoś miasta. W oddali, na górze, którą nazywają Kallidromos, ryknął lew. Na ten dźwięk mężowie z Powrozu ryknęli także, tak głośno, że zagłuszyli fale i zawodzący wiatr.

Zanim przebrzmiał ich okrzyk, Pasykrates i ja zwarliśmy się w uścisku ciaśniejszym niż kochankowie. Znałem już jego siłę, a on moją. Starał się podnieść mnie, ale zbyt mocno go ścisnąłem i powoli, powoli, przegiąłem go w tył. Mógłbym skrzyć mu kark, gdybym chciał, łamiąc mu kręgosłup, jak żołnierz opętany żądzą krwi chwyta i łamie włócznię przeciwnika, ale nie pragnąłem krwi, jedynie zwycięstwa, i rzuciłem nim tylko o ziemię.

Io wypadła, śmiejąc się dźwięcznie jak skowronek, z czarą wina w ręku i ściereczką do otarcia mi twarzy. Jakiś Powroźnik użyczył tego samego Pasykratesowi. Inny, starszy o rok czy dwa, zapytał:

- A co z ofiarą? To przecież świętokradztwo.

Pasykrates odrzekł:

- To zawody na cześć Leonidasa, jak tamte na cześć Patroklosa. Zwycięzca dokończy ofiary.

Kiedy znów się zwarliśmy, był dwa razy silniejszy niż przedtem. Zmagaliśmy się chyba całą noc, ale ani ja nie mogłem powalić jego, ani on mnie.

Potem nadeszła chwila, kiedy blask ognia padł mi na twarz i nasze spojrzenia się spotkały. Lew ryknął znowu, tym razem bliżej i głośno jak róg wojenny, ponad krzykami mężów z Powrozu. Pasykrates zeszywniał.

- Patrzysz jak lew - wykrztusił.

- A ty jak chłopiec - odpowiedziałem, i podniósłszy go nad głowę, zacząłem oddalać się od ołtarza, aż poczułem, że fale liżą mnie po kostkach, a wtedy rzuciłem go w morze. Lew ryknął po raz trzeci. Potem już go nie słyszałem.

ROZDZIAŁ XXXVII

Leonidasie, Iwie z Powrozu!

- Wysłuchaj naszej modlitwy! - zaintonowałem. Miałem na sobie chiton, który przechowała mi Io, wieniec z polnych kwiatów i pas. - Przyjmij nasz hołd! - Nie wiem, jaki duch mnie natchnął, że dodałem: - Nie o zwycięstwo prosimy, lecz o męstwo! - Z tyrał słowami rzuciłem w ogień tłuszcz i serce byczka, a mężowie z Powrozu odśpiewali jakąś pieśń marszową.

Ofiara była dokonana. Pół tuzina niewolników rzuciło się na byczka z nożami i siekierami i porąbało go na kawałki. Wkrótce każdy z nas miał w ręku patyk z zatkniętym kawałem mięsa. Było też wino, chleb jęczmienny, ser, solone oliwki, rodzyнки i suszone figi.

- To najlepszy posiłek, jaki jemy, odkąd przebywamy wśród tych okropnych ludzi, Latro - powiedziała Io. - Masz szczęście, że nie pamiętasz, cośmy dotąd jedli.

- To mi wystarczy - powiedziałem. Byłem tak głodny, że zmuszałem się do żucia mięsa, by nie łykać całych kawałków.

- Mnie też. Nigdy jednak, przynigdy, nie próbuj ich zupy. My próbowaliśmy. Gdyby ktoś chciał wlać mi tę zupę do gardła, wolałabym je sobie poderznąć. - Podeszła do tułowia i zatknęła na patyku nowy kawałek mięsa. - To jest tak dobre, jak obiad u Kalleos, a nie wiem, co można lepszego powiedzieć o jedzeniu. Jeśli chcesz jeszcze mięsa, lepiej bierz, póki jest. Niewiele już zostało.

- Nie. Zjem coś innego. Samo mięso psuje żołądek.

- I pomyśleć, że Drakaina straciła to wszystko! - zachichotała Io.

- Straciła? Gdzie ona jest?

- Wciąż na okręcie. - Io wskazała zatokę, gdzie nasz okręt stał na kotwicy w blasku księżyca. - Pasykrates myślał, że nigdy nie wrócisz, bo rzuciła na ciebie urok, w każdym razie mówił, że tak myślał. Moim zdaniem szukał, na kogo by zwalić winę i wybrał właściwą osobę. Została więc tam, ze związanymi na plecach rękami i z zawiązanymi ustami, żeby nie mogła rzucać uroków.

- Muszę z nim o tym pomówić - powiedziałem.

Z resztką bochenka w ręku podszedłem do ogniska i usiadłem przy nim, mówiąc:

- Racz przyjąć pozdrowienie, najszlachetniejszy Pasykratesie.

- Ach. Oto i zwycięzca. A jednak wciąż jeszcze niewolnik. Nie powinienem poniżać się i bogowie ukarali mnie za to.

- Rzekłeś. Jesteś naszym dowódcą, panem naszego okrętu i wszystkich na pokładzie. Nie pamiętam już jednak, czyim jestem niewolnikiem, jeśli jestem niewolnikiem. Twój sługa - nie mówię, że twój niewolnik - prosi cię, byś uwolnił kobietę zwaną Drakaina. Nie wyrządziła mi dziś żadnej szkody. Czy wyrządziła jakąś tobie?

- Nie - odrzekł. - Rano ją uwolnimy.

- Pozwól mi więc popłynąć do okrętu i powiedzieć strażnikowi, że kazałeś ją uwolnić. Spojrzał na mnie kpiąco.

- Popłynąłbyś tam, gdybym pozwolił? - zapytał.

- Pewnie.

- Nie musisz. - Odwrócił się do jednego ze swoich towarzyszy. - Weź łódź i paru żeglarzy i każ im uwolnić tę kobietę. Przyprowadź ją tu.

Tamten skinął głową, wstał i zniknął w mroku.

- Co do ciebie, Latro, chcę byś poszedł ze mną. Czy wiesz, co to za miejsce? - zapytał.

Odrzekłem:

- Nazywają je Gorącymi Wrotami, nie wiem jednak czemu. Składaliśmy ofiarę Leonidasowi, sądzę więc, że jest on herosem i że jest tu pochowany.

- Był - powiedział Pasykrates. - Nasi ludzie wykopali jego ciało - to co zdołali odnaleźć - i odesłali je do Powrozu. Było poćwiartowane. - Splunął. - Wielki Król wystawił głowę Leonidasa na włócznie.

Po drodze spytałem go o zapach, który unosił się w powietrzu. Przypominał woń zepsutego jajka, a był tak silny, że tłumiał nawet zapach morza.

- To źródła. Tryskają z ziemi. Nie są, jak inne źródła, zimne i czyste, ale parujące i cuchnące. Jestem w tym miejscu po raz pierwszy, ale w Powrozie mówiono mi, że dlatego nazwano je Gorącymi Wrotami. Woda z nich może zaszkodzić, leczy jednak wiele chorób, tak mi przynajmniej mówiono. To droga do tych kipiących źródeł.

- Czy tam właśnie idziemy? - spytałem.

- Nie, tylko do zburzonego muru. Chodziłem ze swymi ludźmi oglądać go za dnia, zanim wróciłeś z morza. Chcę ci go pokazać i powiedzieć, co się tam zdarzyło. Zapomnisz o tym, zacząłem jednak myśleć, że jesteś uchem bogów i że to oni słuchają za ciebie albo zabierają ci wspomnienia tego, co usłyszałeś. O tym powinni dowiedzieć się bogowie.

- To tam - wskazałem. - Tam gdzie ten człowiek czesze włosy. - Widziałem go wyraźnie w świetle księżyca. Nagi i muskularny cesał swe długie, ciemne kędzioły grzebieniem z muszli.

- Czy widzisz kogoś czeszącego włosy? - zapytał.

- Tak - odrzekłem. - I drugiego - rzuca właśnie dyskiem. Nie może to być jednak mur, którego szukasz. Ten nie jest zburzony.

- Ci, których widzisz, muszą być duchami - powiedział Pasykrates. - Leonidas i jego Powroźnicy ćwiczyli tu przed bitwą i przygotowywali się do pogrzebu. Jesteśmy tu sami, a mur leży zburzony przed nami. Wielki Król zniszczył go, by jego wojsko mogło przejść.

- Leonidas został więc zabity, armia zaś twego miasta zniszczona?

- Nie miał żadnej armii, tylko trzystu Powroźników, parę tysięcy niewolników - on pierwszy ich uzbroił - i jakiś tysiąc niepewnych sprzymierzeńców. Sędziowie polecili mu utrzymać tę drogę wokół Kalidromosu i utrzymywał ją przez trzy dni, walcząc z wojskiem Wielkiego Króla, dopóki nie zginął on sam i wszyscy którzy z nim byli. Wielki Król miał, jak mówiono, trzy miliony ludzi - z tego połowa, to wojownicy, a reszta, to poganiacze mułów i podobni.

- To przecież niemożliwe - powiedziałem. - Tak niewielu ludzi nie mogłoby bronić tego miejsca, mając tak wielu przeciw sobie.

- Tak też myślał Wielki Król. - Pasykrates obrócił się nagle ku mnie. - To chyba łąza spadła mi na rękę? Nie jesteś Powroźnikiem, Latro, czemu więc płaczesz?

- Bo musiałem widzieć tę bitwę - odpowiedziałem. - Musiałem brać w niej udział - i zapomniałem o tym.

W murze były wąskie wrota, które otworzyły się, kiedy mówiłem i wyszedł z nich siwobrody mężczyzna w zbroi. Kiedy się zbliżył, spostrzegłem, że jest jednooki. Opisałem go Pasykratesowi i spytałem, czy to Leonidas.

- Nie. To musi być wieszczek Leonidasa, Megistias, który mówił językami wszystkich stworzeń. - Choć głos Pasykratesa był spokojny, był to spokój kogoś, kto całą siłą woli trzyma na wodzy strach.

Megistias stał chwilę przed nami, z bladą i zapadniętą twarzą, z jednym okiem, gorejącym w świetle księżyca jak oko starego, na pół oślepego jastrzębia. Wymamrotał coś, czego nie zrozumiałem i przesunął dłoń przed moją twarzą.

Potem zniknął. Stałem w pierwszym szeregu, wśród innych, uzbrojonych tak samo jak ja - w dwa oszczepy, hełm, napierśnik, płytę na plecy i prostokątną tarczę.

Odwracając się do swojej setki, krzyknąłem:

- Teraz, kiedy Nieśmiertelnych już nie ma, nie mógłby nas spotkać większy honor niż walka w obronie Króla Wszystkiego, Króla Czterech Stron Świata, Króla Narodów, króla Parsy, króla Medii, króla Sumeru, króla Akkadu, króla Babilonu i króla Kraju Rzeki! Cenimy ten zaszczyt i okazemy się go warci! - Niewiele zwracałem uwagi na sens tego, co wtedy mówiłem, ale świadomość tego, że mówię we własnej mowie, a towarzysze mnie rozumieją, sprawiła, że jej kadencje brzmiały mi piękniej niż muzyka.

Kiedy się odwróciłem, zrozumiałem, czemu to wtedy mówiłem. Jakaś grupka wydarła się z zamętu, wyrabując sobie drogę wśród tłumu, poganianego biczami dowódców, było ich jednak najwyżej trzydziestu, nie było więc powodu do niepokoju.

Na mój rozkaz wszyscy naraz rzucili pierwszy oszczep, a potem drugi. Nasze oszczepy nie były podobne do lekkich strzał łuczników, prócz szybkości miały i swój ciężar. Przebijały hoplony naszych wrogów i dziurawiły ich pancerze. Padło ich pół tuzina po pierwszym rzucie, a jeszcze więcej po drugim - kiedy wszyscy wyciągnęli miecze.

Kolejny rozkaz. Zwarliśmy tarcze i ruszyliśmy do ataku. Sprzyjał nam pochyły stok.

- Kasjusz!

Mój przeciwnik był wyższy ode mnie, jego hełm miał wysoki grzebień, a jego poznaczona ciosami zbroja była inkrustowana złotem. Rzucił się w oczy, ale jego własne paliły się nie do mnie, lecz do Wielkiego Króla, który siedział na tronie, na wzgórzu za nami. Ja byłem tylko przeszkodą, która na chwilę zagradza drogę, a po chwili nie będzie zagradzać. Chciałem krzyknąć, że jestem takim samym człowiekiem, jak on, że mój honor i moje życie są mi równie cenne, jak jemu. Żaden z nas nie miał jednak tchu ani dość czasu, żeby krzyczeć.

Machnąłem z całej siły falcatą i tnąc z góry, wbiłem ją głęboko w krawędź jego hoplonu. Ostrze utkwilo w brązie, a skręt jego ramienia wyrwał mi falcatę z dłoni.

Rozbrojony, wciąż zagradzałem mu drogę, parując tarczą każdy cios i ustępując za każdym razem tylko o krok. Padł idący po jego prawej i ten po lewej. Upadłem, potknąwszy się, nie wiem o co. Przebiegł obok mnie, wysunąłem jednak ramię ze skórzanej pętli przy tarczy i, na wpół leżąc, cisnąłem mu tarczę w plecy.

Tyle że nie była to tarcza, a płaszcz pod którym spałem. Usiadłem i przetarłem oczy. W uszach wciąż rozbrzmiewał mi zgiełk bitwy. Ciała zabitych wchłaniały przelaną krew i znów stawały się żywymi, śpiącymi ludźmi, którzy poruszali się i chrapali przez sen. Leonidas stał się dogasającym ogniskiem. Wstając, ujrzałem, jak armia Wielkiego Króla - dumni jeźdźcy i zalęknieni poborowi - wtapia się w zbocza Kalidromosu.

Nie mogłem i nie chciałem już spać. Dorzuciłem do ognia i przez chwilę rozmawiałem z Drakainą, która też się zbudziła. Powiedziała, że Falcata to imię, które nadałem swemu mieczowi, nie zaś nazwa tego rodzaju mieczy, ta bowiem brzmi „kopis”.

Potem przypomniałem sobie mapę, którą narysował dowódca okrętu, i to, jak zmagalem się na pokładzie z Pasykratesem. Zapisałem to wszystko. Pisałem też o nereidzie Thoe, o moim śnie i o całej reszcie. Io także zbudziła się i przeczytała mi napisy na kolumnach. Są trzy napisy.

Pierwszy:

*Z trzema setkami po dziesięć tysięcy tu niegdyś wojował,
Z Wyspy Ciemnej Twarzy czterotysięczny ów lud.*

Drugi:

*Pomnik sławnego, to jest Megistiasa - któremu Medowie
Życie wydarli, gdy bieg przeszli Spercheju tu wód -
Wieszczka, co widząc wyraźnie, te Kery zbliżają się czarne,
Króla Powrozu w ów dzień nie chciał porzucić i zbiec.*

Trzeci:

*Zanieś, wędrowcze, tę wieść między Powrozu mieszkańców:
Legliśmy tutaj, by ich słowu posłuszni się stać.*

Żeglarz, który słuchał, jak Io czytała, powiedział, że te wiersze, które oboje z Io uważamy za bardzo piękne, ułożył pewien starzec, imieniem Symonides, ale że on nie zna tamtego osobiście.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Niepogoda

Fale przewalały się przez dziób cały dzień, a gwałtowny wiatr, który żeglarze nazywają Hellespontyjczykiem, powodował groźne przechyły. „Gdyby naprawdę wiał stamtąd, niczego nie moglibyśmy zrobić - powiedział mi dowódca statku - wiałby bowiem prosto w dziób”. Dmie on jednak z tych ziem północnych, o których mówi się, że są nie zamieszkane z powodu pszczoł, przez które są zajęte. Ściągnąwszy więc żagiel na prawą burtę, ile się tylko dało, pędziliśmy przez łomocące w nas morze, jakby nasza pękata, kołysząca się „Nauzykaa” była rydwanem wyścigowym, i tuż po nadejściu świtu minęliśmy wyspę, którą żeglarze nazywają Łodzią.

Jeśli jest to łódź, jest to łódź płonąca, gdyż tu właśnie, jak powiadają, ma swój warsztat Bóg Kowal, a żagiel łodzi jest w istocie dymem podnoszącym się z jego kuźni. Powiadają też, że ten bóg zbudował kiedyś metalowego człowieka, który miał strzec Wyspy Kłamców, ale to jego cudowne dzieło zostało zniszczone przez załogę statku ze Stukiego.

Z wyjątkiem dowódcy statku, kilku żeglarzy i mnie, wszyscy inni padli ofiarą morskiej choroby. Dowódca statku zapewnia mnie, że to nic poważnego i samo przejdzie, kiedy morze się uspokoi, że to tylko sztuczka Bogów Morza dla oszczędzenia zapasów dzielnych statków poprzez upewnienie się, iż żarłoczni pasażerowie ofiarują im to, co zjedli, i więcej już nie zjedzą.

Czy to prawda, czy nie - nie wiem, ale ta morska choroba dotknęła wszystkich Powroźników, jak również Io, panią Drakainę i wielu z załogi. Gdy tak niewielu zdolnych jest do pracy, potrzebny jest każdy. Przyłączyłem się do tych żeglarzy, którzy wciąż obsługiwali statek, czasem pomagając przy wiośle sterowym, czasem przykładając się do liny, by ustawić żagiel do wiatru, czasem wspinając się na główny maszt (to było trudne, bo ociekał wodą), by wciągnąć lub opuścić żagiel. Robiliśmy to wszystko, gdy „Nauzykaa” podskakiwała jak Pegaz albo nurzała się jak dzik, zamieniając to, co kiedy indziej byłoby zwykłą harówką, w wielkie zapasy z morzeni. Myślałem wtedy o szczęśliwym życiu żeglarzy i o tym, by przyłączyć się do załogi i żyć tak jak oni, ale nie powiedziałem niczego dowódcy.

Raz już mogło się wydawać, że morze gra ze mną zbyt ostro. Stałem na nadburciu, usiłując uwolnić reję przedniego masztu i zablokowany fał, gdy poczułem, że statek ucieka mi spod nóg, i wpadłem w wodę. Fala uniosła mnie jednak natychmiast i cisnęła na pokład, nieco

- przed głównym masztem. Szczęściem wylądowałem na nogach i odtąd załoga traktowała mnie z szacunkiem. Bałem się, że może się to powtórzyć, i gdybym urósł w dumę, morze upuści mnie na głowę albo na pośladki, starałem się więc zachowywać skromnie i chwalić dziki majestat morza, jeśli zdarzała się okazja do rozmowy. Ofiarowałem też Bogu Morza monetę, którą znalazłem zawiązaną w róg chitonu - to mój najstarszy, który Io radzi mi nosić przy złej pogodzie.

Zaraz po dojściu słońca do zenitu słabnący wiatr przyniósł deszcz. Dowódca statku przyszedł ze mną pogadać i przypadkiem wspomniałem o monecie, mówiąc, że choć była mała i miedziana, Bóg Morza musiał ją przyjąć.

Zgodził się ze mną i opowiedział mi historię (którą tu zamieszczam jako przestrożę dla samego siebie na przyszłość) o królu Polikratesie, któremu wszystko szło szczęśliwie, zdobył wiele miast i pokonał wszystkich przeciwników. Zawarł ponadto związek przyjaźni z królem Kraju Rzeki, który był w owym czasie najpotężniejszym władcą w świecie. Wielkie powodzenie Polikratesa budziło w nim troskę, aż w końcu rzekł:

- Przyjacielu Polikratesie, bogowie wynoszą ludzi wysoko tylko po to, by ich strącić w dół, jak chłopcy, którzy wynoszą naczynia na wieżę, aby je zrzucić z jej szczytu. Musi ci się zdarzyć jakieś nieszczęście. Pomyśl, co uznajesz za twą najbardziej wartościową rzecz?

- Ten pierścień ze szmaragdem - odrzekł Polikrates. - Dostałem go od ojca i odkąd zacząłem go nosić, uważano mnie za nie byle kogo z powodu jego piękności. Mieszkańcy mojej wyspy powierzyli mi rządy, które sprawowałem z powodzeniem i szczęściem.

- Wyrzuć go więc do morza, aby ugłaskać bogów - poradził mu król Kraju Rzeki. - Może, jeśli to zrobisz, pozwolą ci dożyć pogodnej starości.

Polikrates przemyślał tę radę i wracając z Kraju Rzeki, zdjął z palca pierścień i wrzucił go do morza. Kiedy znalazł się w domu, jego poddani urządzili mu uroczyste powitanie i przynieśli wiele darów pochodzących z łupów ze spalonych przez niego miast i zdobytych statków. Ten przyniósł ozdobną zbroję, inny naszyjnik ze złota i hiacyntu, trzeci płaszcz z byssu i tak dalej. Na końcu przyszedł ubogi rybak.

- Wasza Dostojność - powiedział. - Mogę ofiarować ci tylko tę rybę, najpiękniejszą jaką dziś złowiłem, i proszę, przyjmij ją.

- Przyjmuję - odrzekł łaskawie Polikrates. - My zaś zapraszamy cię na ucztę, starcze i zobaczysz swą rybę na moim stole.

Stary rybak nie posiadał się z radości. Odstąpił na bok, wyjął nóż i rozpruł brzuch rybie. Nim jednak dokończył, wypadł z brzucha ryby cudowny pierścień ze szmaragdem i potoczył się pod stopy Polikratesa.

Wszyscy obecni wzniesli okrzyk radości, uważając to za znak, że ich król jest ulubieńcem bogów. Polikrates jednak zapłakał, widząc, że jego ofiara została odrzucona. Wkrótce potem został zwabiony w śmiertelną pułapkę przez jednego z satrapów Wielkiego Króla. Tamten nie podbił jeszcze wtedy Kraju Rzeki i uważał wszystkich przyjaciół króla tego kraju za swych wrogów.

Choć wiatr zmałał, nie ucichł zupełnie i zanim nadeszła noc, ujrzeliśmy ciemny ląd, mający przez zasłonę deszczu. Mężowie z Powrozu krzyčeli z radości i nalegali, by natychmiast lądować. Dowódca statku nie miał nic przeciw temu, gdyż po tej stronie lądu nie ma portów i nie jest to bezpieczne miejsce dla statków. Kiedy ładowano łódź, usiłował odkupić mnie od Pasykratesa, proponując mu cztery miny, potem pięć, a w końcu sześć, tyle że ostatnie dwie spłaciłby w ciągu roku.

- Zmarnujecie go na brzegu - powiedział. - To najlepszy żeglarz, jakiego w życiu widziałem, i ulubieniec bogów w dodatku.

- Nie sprzedam go za żadną cenę - powiedział Pasykrates. - Należy do regenta, nie do mnie. Może zresztą masz szczęście - ulubieniec bogów to człowiek niebezpieczny.

Tak więc wylądowaliśmy w deszczu z tymi wszystkimi mężczyznami z Powrozu, którzy w jednej chwili cieszyli się, że opuszczają statek, a w następnej klęli, starając się uchronić przed przemoczeniem swój oręż i zapasy żywności. Myślałem, że zobaczę miasto, ale był tam tylko obóz, namioty, szałas i statki wyciągnięte na brzeg. Io nie wiedziała niczego o Sestos, spytałem więc Drakainę, która powiedziała, że miasto leży o dwadzieścia stadiów w głąb lądu. Deszcz odpowiadał jej nie bardziej niż Powroźnikom, wyglądała jednak tak uroczco w mokrej sukni przylegającej do ciała i z oczami lśniącoymi wśród błyszczących kropel, że mężczyźni z Powrozu przestawali przy niej narzekać, prężyli piersi i udawali, że niepogoda nie robi na nich wrażenia.

Pasykrates wspiął się jednak na skałę i przyglądał morzu. Widziałem troskę w jego twarzy, spytałem więc, gdy zszedł, o co chodzi.

- Ten deszcz zapowiada koniec pory żeglugi - powiedział. - Liście niedługo żółkną i przyjdą sztormy, gorsze niż ten dzisiejszy. Będą trudności z wyżywieniem i z powrotem do domu, kiedy miasto padnie. - Posłał mi krzywy uśmiech i dodał: - Musisz się śpieszyć.

Nie byłem pewny, co ma na myśli, Io mówi mi jednak, że mam zdobyć to miasto dla regenta Powrozu, tyle że nikt nie wie jak.

Maszerowaliśmy do Sestos długo i w chłodzie. Powroźnicy pozawijali się w swoje szkarłatne płaszcze, a Drakaina wynajęła dwóch żeglarzy, którzy zrobili dla niej lektykę

nakrytą żaglowym płótnem. Okrywałem swym płaszczem Io i siebie i chyba było nam cieplej niż pozostałym, ponieważ było nas dwoje.

- Ależ ty urosłaś! - powiedziałem. - Kiedy o tobie myślę, wyobrażam sobie kogoś znacznie mniejszego, a ty sięgasz mi głową do żeber.

- Dzieci w moim wieku szybko rosną - powiedziała. - Przy tym, wędrując z tobą, miałam dużo słońca i dużo ruchu, czego brakuje większości dziewcząt. Jedzenie też było dobre - i u Hyperejdesa, i u Kalleos. To Kalleos dała ci ten płaszcz, panie, byś ukrył pod nim miecz, wychodząc w nocy na ulicę, by nie zatrzymywali cię łucznicy. Wiem, że tego nie pamiętasz, ale to było tej nocy, kiedy Eurykles wywołał ducha.

- Kto to jest Eurykles? - spytałem.

- Pewien nasz znajomy. Czarownik. Odszedł i chyba już nie wróci. Kalleos będzie go pewnie brak Czy wciąż masz swoją książkę?

- Tak. Trzymam ją w swoim worku. Mam też twoje ubrania i twoją lalkę.

- Moja lalka się połamała. - Io wzruszyła ramionami. - Ale chcę ją mieć i taką. Czy to dla ciebie nie za ciężko? Mogę nosić swoje rzeczy. Jestem w końcu twoją niewolnicą.

- Nie. Mógłbym długo nosić ten worek i chyba będę musiał. Powroźnicy muszą nosić więcej, z tymi ich hełmami i włóczniami, zbroją i wielkimi hoplonami.

- Ale oni mają swoich niewolników do noszenia namiotów i zapasów, i innych rzeczy - zauważyła Io. - Na Wyspie Ciemnej Twarzy ich niewolnicy nosili im wszystko, z wyjątkiem mieczy. Nie wiem, czemu nie robią tego tutaj. Może obawiają się, że zbyt obciążeni niewolnicy przewracaliby się w tym błocie.

- Wtedy by ich po prostu bili - powiedziałem. - Tu jest Imperium i wiedzą, że może na nich uderzyć jazda Wielkiego Króla.

Io zwróciła ku mnie ociekającą wodą buzię.

- Skąd to wiesz, panie? - zapytała. - Czy przypomniałeś sobie?

- Nie. Wiem o takich rzeczach, ale nie wiem, skąd to wiem.

- Musisz to wszystko zapisać, kiedy dojdziemy pod Sestos. Wszystko, co zapamiętałeś z dzisiejszego dnia. Nie zawsze będę przy tobie. Słyszałam, jak dowódca statku chciał cię kupić, panie. Zapisz, że nie jesteś niewolnikiem, nawet jeśli...

- Wiem - powiedziałem. - Chciałbym jednak zostać na tym statku. Statki handlowe odwiedzają wiele portów i są tam ludzie z wielu innych.

- Mógłbyś więc tak odnaleźć swoją ojczyznę. Rozumiem.

- Lubię też taką pracę, choć nie lubię myśli o porzuceniu opiekuna.

Io podniosła palec do ust.

Wciąż nie było widać murów. Ściemniło się na długo przedtem, zanim dotarliśmy na miejsce i rozstawiliśmy namioty. Pasykrates, Io i ja śpimy w jednym, razem z niewolnikami Pasykratesa. Drakaina dzieli namiot z dwoma Powroźnikami, chyba po to, by żaden się jej nie narzucał.

Dziś wieczorem jedliśmy bób, cebulę i suchary - skromny posiłek po tak długim marszu w deszczu, ale mamy jeszcze trochę wina. Powroźnicy żartują, że pójdą po coś więcej do Sestos, a niektórzy kradli chyba żywność żołnierzom z Myśli. Nietrudno zauważyć, ile jest nieprzyjaźni między tymi miastami, chociaż są sprzymierzeńcami - „przyjaciółmi”, jak to brzmi w ich języku. Sprzymierzeńcy muszą być przyjaciółmi w czynach, nie w słowach, jeśli ma to być coś więcej niż pozory przymierza.

Dziś nie ma księżyca i gwiazd, jest mżawka, prawie mgła. Siedzę u wejścia do namiotu, gdzie dymiące ognisko rzuca dość światła, bym mógł pisać. Mówią, że brakuje drewna na opał, mając jednak pod swymi rozkazami stu Powroźników i ponad dwustu zbrojnych niewolników, Pasykrates zdobędzie wszystko, czego mu trzeba. Podrzucam więc, gdy ogień przygasa.

Kiedy byłem dzieckiem, zbieraliśmy odcięte pędy winorośli, by je palić - pamiętam to. Pamiętam, jak matka śpiewała, przysiadając przy ogniu, by mieszać coś w małym, czarnym garnku i jak mi się przyglądała, śpiewając, by sprawdzić, czy mi się podoba jej śpiew. Kiedy był przy tym ojciec, wycinał z trzciny fujarki i te wtórowały jej pieśni swą pieśnią. Naszym bogiem - przypomniałem to sobie właśnie - był Lar. Ojciec mawiał, że pieśń matki podoba się Larowi. Pamiętam, jak myślałem sobie, że rozumiem to lepiej niż on, i jak byłem dumny z siebie i tajemnicy (jak bywają mali chłopcy), bo wiedziałem, że Lar był tą właśnie pieśnią, a nie czymś innym. Pamiętam, jak leżałem pod wilczą skórą i patrzyłem, jak Lar przemyka od ściany do ściany, śpiewając i drażniąc się ze mną. Próbowałem go schwytać i budziłem się, przecierając oczy, a matka śpiewała przy ogniu.

ROZDZIAŁ XXXIX

Machiny wojenne

Wieże oblężnicze i tarany są wszędzie po tej, zwróconej do lądu, stronie miasta, a przy każdej parę setek ludzi, by ją chronić przed wypadami obrońców. „Dzięki temu barbarzyńcy nie wiedzą, gdzie uderzymy” - wyjaśniał Ksantippos, strateg z Myśli. Pasykrates spytał oczywiście, gdzie uderzymy, ale Ksantippos pokręcił głową, zrobił mądrą minę i powiedział, że brał pod uwagę kilka miejsc. Wydaje mi się, że nie podjął jeszcze decyzji, bo żadne miejsce nie jest dostatecznie osłabione.

Chyba jednak zaprzęgam wóz przed końmi. Powiniennem najpierw powiedzieć, że Pasykretes, Drakaina i ja poszliśmy dziś rano do Ksantipposa. Dorównuje mi on prawie wzrostem, skronie ma posiwiałe, jest uprzejmy, ale pełen rezerwy, typowy stary arystokrata z Myśli - jak powiada Drakaina.

Powitał nas serdecznie w namiocie pozbawionym jakichkolwiek oznak bogactwa czy zbytku. Wystrzępiony żagiel pokrywał ziemię, a stołki wyglądały na zrobione na poczekaniu.

- Jesteśmy zachwyceni - powiedział - że Powroźnicy zdecydowali się do nas dołączyć. Jakże podnosi na duchu widok starej przyjaźni, odnowionej w obliczu wspólnego wroga. Czy mam rozumieć, że inne wasze statki zostały zepchnięte z kursu przez wczorajszy sztorm? Miejmy nadzieję, że dziś przybędą bezpiecznie.

- Dlaczego? - spytał wprost Pasykrates. - Czy wam brakuje ludzi?

- Nie, bynajmniej. Czego nam naprawdę trzeba, to wyłomu w tych murach. - Ksantippos zaśmiał się cicho, a jego przenikliwe, szare oczy udzieliły i nam swojej wesołości.

- Mówi się, że w środku jest tylko pięciuset barbarzyńców - i kilka tysięcy Hellenów. Spodziewam się jednak, że wypowiedzą posłuszeństwo, gdy tylko zacznie się natarcie.

Pasykrates potwierdził:

- My, Hellenowie, jesteśmy z tego znani, wyjąwszy mężów z mego miasta. Nasze natarcie zacznie się zaś...?

- Gdy tylko zrobimy wyłom w murach. W przyszłym miesiącu, powiedziałbym. Czy dowództwo sprawuje król Leotychidas, czy też księżę Pauzaniasz, jeśli wolno spytać?

- Żaden z nich - odpowiedział Pasykrates. - Nie będzie też innych statków. Był tylko jeden, my zaś już przybyliśmy.

Nie sposób było powiedzieć, czy Ksantippos był rzeczywiście zdziwiony, czy tylko udawał zdziwienie. Wygląda mi on na jednego z tych ludzi, którzy tak długo skrywają swe uczucia, aż w końcu przestają je rozpoznawać i mogą wpaść we wściekłość albo zakochać się, nie będąc tego świadomi.

- Jestem w służbie regenta. - Pasykrates zdjął z palca żelazny pierścień i podał go Ksantipposowi. - Zastępuję go.

- Pozwól więc, że pogratuluję mu za twoim pośrednictwem jego wielkiego zwycięstwa. Sprawiłoby mi największą przyjemność zrobienie tego w przyszłości osobiście. Nie wątpię, że ty sam miałeś niemały udział w tej chwalebnej bitwie. Ja, niestety, byłem przy flocie! Czy zechciałbyś odrzucić, choćby na chwilę, tę tak czasem krępującą zwięzłość, z której słyną twoi rodacy i opowiedzieć mi - dla oświecenia mnie jako stratega, że się tak wyrażę, a także dla mej przyjemności - czego dokonałeś?

- Spełniłem swój obowiązek - powiedział mu Pasykrates.

Potem pytał go o postępy oblężenia, ale niewiele się dowiedział.

- Sam widzisz. - Ksantippos rozłożył ręce. - Najważniejsze, to zachować elastyczność, która umożliwi wykorzystanie, a w istocie rozpoznanie sposobności.

- Spodziewasz się jednak, że Sestos upadnie w ciągu miesiąca?

- Albo nieco później, być może. Z pewnością przed nastaniem zimy, chociaż możliwe, że zobaczymy jej początki. Mówiono mi, że w mieście mają bardzo niewiele żywności, a to nie Powroźnicy, którym wystarcza kęs chleba i garść oliwek.

- Twoi ludzie powinni chyba teraz siać na przyszłoroczne zbiory.

- To w większości ludzie z miasta - uśmiechnął się Ksantippos.

- Wy, Powroźnicy, lubicie mówić, że my wcale nie mamy żołnierzy - tylko szewców, murarzy, kowali i im podobnych. Czasem ma to swoje dobre strony.

- A wy - powiedział Pasykrates - lubicie mówić, że my, Powroźnicy, nie znamy się na obleganiu miast. - Opanował się. - Przybyłem tu, by ci przekazać od regenta wyrazy szacunku.

- Uważaj je za przekazane.

- I by powiedzieć, że będziemy musieli korzystać z waszych zapasów. Żywności mamy ledwie na parę dni. Nie wystawisz chyba na próbę dawnej przyjaźni? Za kęs chleba i garść oliwek poprowadzimy wasze natarcie. Wystarczy, że pójdziecie za nami.

Ksantippos wciąż się uśmiechał.

- Doceniamy wasze bohaterstwo - powiedział.

- Przekonasz się, jakiego ducha doda twoim ludziom świadomość, że prowadzą ich tarczownicy z Powrozu. - Pasykrates wstał, a Drakaina i ja wraz z nim. - Co do oblegania miast, wiemy o nich więcej, niż myślicie. - Wyciągnął dłoń z rozstawionymi palcami. - Policz, Ksantipposie. Twierdzą, że Sestos upadnie, zanim skończysz.

- Przynosisz więc podwójnie dobre wieści - odrzekł spokojnie Ksantippos. - Nie tylko, że dostaliśmy posiłki z Powrozu, ale że miasto padnie w ciągu pięciu dni. Mam nadzieję, że nie myślisz o pięciu miesiącach? Chciałbym spytać, zanim odejdziesz, po co przyprowadziłeś na rozmowę ze mną tego człowieka i tę kobietę?

Nie czekając na odpowiedź Pasykratesa, zwrócił się do Drakainy:

- Czy jesteś babilonką, moja droga? Cudowne miasto i słusznie cenione dla urody swoich kobiet. Przed tą nieszczęsną wojną miałem przyjemność je odwiedzić. Mam nadzieję tam wrócić, kiedy moi współobywatele mnie wypędzą, a obawiam się, że jest to bardzo prawdopodobne.

- Możesz spytać - odrzekł Pasykrates. - Nie otrzymasz jednak odpowiedzi.

Już na zewnątrz Drakaina powiedziała:

- Nie powinniśmy z tobą przychodzić. Będą nas mieli na oku.

- Czarodziejka, a nie potrafi się wymknąć paru sklepikarzom! - parsknął Pasykrates. - Jak zamierzasz dostać się do miasta?

- Nie zamienię się w nietoperza, jeżeli to masz na myśli. Nie wcześniej niż będę musiała, a nie miałam dotąd okazji ocenić trudności.

- Ani ja - przyznał Pasykrates. - Masz słusność. Zróbmy obchód murów.

Deszcz ustał, ale ciężkie, szare chmury wisiały nad Sestos, my zaś musieliśmy wybierać drogę wśród błota. Zauważyłem, że niektórzy żołnierze z Myśli noszą zimowe buty, my wszyscy byliśmy jednak w sandałach. Od murów aż do odległych wzgórz rozciągały się melancholijne ruiny domów, które stały kiedyś poza właściwym miastem. Dziury, będące przedtem piwnicami, pełne były czarnej wody, pokruszonych cegieł i osmalonych belek, wystających nawet tam, gdzie ludzie z Myśli porobili prowizoryczne drogi i ścieżki.

Nie odeszliśmy dalej niż o parę stadiów, gdy dogoniła nas Io, rozbryzgując bosymi nogami błoto.

- Jaki był Ksantippos? - spytała.

Powiedziałem, że jeśli wobec barbarzyńców jest choćby w połowie tak sprytny jak wobec nas, miasto padnie w ciągu pięciu dni, jak mu to obiecał Pasykrates.

- To dlatego, że ty tu jesteś. Nieprawdaż, Pasykratesie?

Powroźnik udał, że jej nie słyszy. Wyprzedził nas o kawałek drogi.

- Musimy dostać się do środka - powiedziała do Io Drakaina. - Jesteś bystrą dziewczynką, miej więc oczy otwarte.

- Miałam już - szepnęła Io. - Mogę wprowadzić cię do środka, kiedy zechcesz, byle nikt nie patrzył.

- Jak? - zapytała zdumiona Drakaina, po czym pośpiesznie dodała: - Nie, nie teraz, później - kiedy będziemy same. Czy widzieliście kiedyś takie mury? - zwróciła się do wszystkich. - Wielki Król zrobił z nich zamek, który zamyka całe to wybrzeże.

- A my przynieśliśmy klucz, jeśli sen regenta się sprawdzi - rzekła Io. - Pasykrates zamierza szturmować miasto za dzień albo dwa. Tak pod waszą nieobecność mówili między sobą Powroźnicy.

- Któż jednak otworzy skrzynię, jeżeli klucz jest w środku? Ja zamierzam dostać się do miasta razem z Drakainą - powiedziałem.

- Panie, przysłała cię tu Dziewczyna. Ty tego nie pamiętasz, ale ja pamiętam. Powiedziała, że znajdziesz tu przyjaciół. To się może nie spełnić, jeśli wejdiesz do wewnątrz. Poza tym będę musiała iść z tobą. Należę do ciebie i muszę za ciebie pamiętać.

- Na pewno nie! - syknęła Drakaina.

- Słusznie, nie będę narażał jej życia. Io, sprowadzę cię do siebie później, jeżeli zdołam.

- Tam jest jezioro! - Wskazała Io, z pewnością po to, by odwrócić uwagę.

- Nie - powiedziała Drakaina. - To jest cieśnina.

Byliśmy tam po paru chwilach. Jak zauważyła Io, ta cieśnina nie była szersza niż małe jezioro - mogliśmy widzieć ludzi pracujących na przeciwległym brzegu - i choć na północnym wschodzie łączył się on z horyzontem, na południowym zachodzie widzieliśmy, jak się zdawało, jego koniec. Kiedy patrzyliśmy na wodę, jakiś trójrzędowiec pojawił się, jakby się zrodził ze skalistego brzegu, i bijąc sześcioma białymi skrzydłami, zdawał się lecieć po falach, gdy śpieszył dołączyć do innych, blokujących Sestos.

Io rzekła:

- Jeżeli łączy się ona z morzem, dziwię się, że nie wyładowują zapasów tutaj. Byłoby znacznie bezpieczniej.

- Byłoby dużo niebezpieczniej - powiedziałem - jeżeli to wybrzeże na wschodzie uznaje jeszcze władzę Wielkiego Króla.

Pasykrates przyglądał się w milczeniu tej scenie. Teraz rzekł:

- To tutaj, mała Io, dzielny Leander przepływał z brzegu na brzeg, by odwiedzić ukochaną. Widzę, że znasz tę historię.

- Tak - odparła Io. - Ale pewnej nocy utonął, ona zaś rzuciła się ze szczytu wieży. Nie wiedziałam, że to było tutaj. Pasykrates obdarzył ją swym gorzkim uśmiechem.

- Jestem pewien, że gdybyś poszła do miasta, pokażą ci tę właśnie wieżę - powiedział - i ślady jej krwi na bruku, to bardzo możliwe.

- Nie wydaje się to daleko. Założę się, że przepłynęłabym.

- Nie próbuj - ostrzegłem ją. - Czy nie widzisz, jak szybko nadpływa tamten statek? Musi tu być silny prąd.

- Możesz próbować, Io, jeżeli o mnie chodzi - dodała Drakaina - ale twój pan ma słuszną rację. Często też zdarzają się tu sztormy. Czy nie myślałeś, Pasykratesie, że tam gdzie przepłynął jeden, mogą przepłynąć także inni?

Pasykrates skinął powoli głową.

- Pływak może jednak unieść co najwyżej sztylet. Tuzin tarczowników wystarczyłby aż nadto przeciwko setce tak uzbrojonych. Nie myślałem o zdobywaniu miasta przez pływaków. Zastanawiałem się nad tym, jak Ksantipoos zdobywa swoje informacje - powiedział Pasykrates, odwrócił się na pięcie i ruszył drogą, którą przyszlismy.

- Piękna Helle też tu utonąła - powiedziała Drakaina - kiedy spadła z grzbietu Złotego Barana, i tak nadała imię temu miejscu. Widzisz, że to niebezpieczne wody. - Uśmiechnęła się do Io tak, jak mogłaby się uśmiechać łasica do szpaka, choć widziałem, że stara się być miłą.

- Nie znam tej historii - rzekła Io. - Opowiedz mi, proszę, o tym Złotym Baranie.

- Z przyjemnością. Należy on do Wojownika i pasie się na niebie pomiędzy Bykiem i Rybą. Przypomnij mi którejś jasnej nocy, żebym ci go pokazała. Kiedyś, dawno temu, przybył na ziemię i wmieszał się w losy dwojga dzieci, Fryksosa i Helle, które stały się ciężarem dla ich macochy, Ino. Wojownik chciał niewątpliwie zrobić z Fryksosa bohatera, czy kogoś w tym rodzaju. Ino wezwała Białą Boginię, która jest jedną z postaci Potrójnej Bogini. Tak czy owak, baran postanowił pokrzyżować jej plany. Przywdziawszy złoty kozuch, zbliżył się do dzieci, które bawiły się na łące, obiecując, że je przewiezie na swym grzbiecie, a gdy tylko się wdrapały, skoczył w powietrze. Kiedy był właśnie tu, w najwyższym punkcie lotu, Helle spadła i utonąła, jak mówiłam.

- A co się stało z jej bratem? - spytała Io.

- Baran zaniósł go do Ai, na wschodnim krańcu Euksynu, sądząc, że tam będzie bezpieczny. Poleciał go królowi, zawiesił na drzewie złoty kozuch i wrócił do nieba. Byłam księżniczką w Ai...

- Zaczekaj chwilę. Myślałam, że to było setki i setki lat temu.

- Żyjemy wiele razy - powiedziała Drakaina - i w wielu różnych ciałach. Przynajmniej niektórzy z nas żyją. Byłam księżniczką w Ai i kapłanką Enodii, tak jak teraz. Powiedziałam memu ojcu, zgodnie z prawdą, że bogini mówi, iż zostanie zabity przez obcego. Jako że Fryksos był jedynym obcym w okolicy, na niego wypadło. Kazałam memu ulubionemu pytonowi pilnować złotego runa, a potem...

Natknęliśmy się na Pasykratesa, który zatrzymał się, by obejrzeć jedną z tych pochylni budowanych przez ludzi z Myśli. Zrobiona była z ziemi, poprzekładanej dla wzmocnienia krzyżującymi się belkami.

- Dziecinne - powiedział.

Zaryzykowałam stwierdzenie, że wydaje mi się dobrze skonstruowana.

- Czy tak? A jak będziesz ją budował, kiedy się zbliży do murów? Musi być wtedy najwyższa, obrońcy zaś będą posyłać ci na głowę deszcz kamieni i włóczni. Może i płonąca smołę.

- Przydzielilibym każdemu robotnikowi człowieka z tarczą - powiedziałem. - Hoplon jest dostatecznie duży, aby ochronić dwóch ludzi przed kamieniami i włóczniami z góry. Skoro już o tym mowa, do przeciągania pni można by użyć wozu z mocnym dachem, a większa część pracy mogłaby być wykonana od wewnątrz, po zdjęciu podłogi. Postawiłbym też wszystkich łuczników i procarzy w połowie drogi stąd do muru. Nieprzyjaciele musieliby się dwa razy zastanowić, zanim zaczęliby rzucać kamienie i włócznie. Tamci mogą stać wzdłuż parapetu tylko w jednym szeregu, ale moi łucznicy i procarze mogliby utworzyć cztery albo i pięć linii, więc na każdy pocisk tamtych odpowiadałoby czterema albo pięcioma.

Pasykrates podrapał się w brodę i nie odpowiedział.

Niedługo potem doszliśmy do takiego właśnie wozu, o jakim mówiłem, z zawieszonym w nim rozłupanym taranem. Niewątpliwie widziałem go już wcześniej, nie uświadamiając sobie tego, i ten widok kazał mi mówić to, co mówiłem. Przystanąłem i spytałem ludzi naprawiających taran, jak to się stało, że się zламаł. Jeden z nich wskazał wąskie drzwi u podstawy muru.

- Próbowaliśmy w nie uderzyć - powiedział - ale oni mieli kłodę trzy razy grubszą od tej, nad drzwiami. Wisi na łańcuchu, mogą więc nią kołysać i ściągać z powrotem. Kiedy ten stary baran wysunął się ze stodoły, tamten wypadł i przetrącił mu grzbiet z brązu, tak jak to widzisz.

Choć Pasykrates jest młody, aż do tej chwili nie robił wrażenia chłopca.

- Powiedz im, co robić, Latro - poprosił. - Jestem pewien, że wiesz.

- Przede wszystkim muszą pochwycić tamtą kłodę - stwierdziłem - albo jej łańcuch, przytrzymując je czymś tak ciężkim, że ludzie na murze nie zdołają ich wciągnąć. Ten wóz, który nazywają stodołą, wydaje się dość ciężki. W dachu jest masa grubego drewna, a te koła są z masywnego dębu i tak szerokie, jak obie moje nogi. Belkę taranu wymieniono już na mocniejszą. Gdybym był dowódcą, umieściłbym jakieś kolce po jej bokach i po bokach wozu. Kłoda nadzieje się sama na jedne albo drugie, kiedy tylko uderzy.

Jeden z tych, którzy mocowali nową belkę w jej uwięzi, przerwał pracę i przekroczył na naszą stronę.

- Jestem Jaltos - powiedział. - Dowodzę tu i dziękuję ci za radę, skorzystamy z niej. Czy dobrze słyszałem, że ten Powroźnik nazwał cię Latro?

- Tak, to moje imię - potwierdziłem - a przynajmniej tak mnie nazywają twoi rodacy.

- Jest tu pewien dowódca okrętu. - Wskazał coś. - Widzicie tę wieżę na kołach? Obijają ją skórą z przodu i po bokach, aby się nie zapalała, a on nadzoruje tę pracę. Zapomnisz przy nim języka w gębie, jeśli wiesz, co mam na myśli, ale zna się na skórze i na handlu skórą.

- Hyperejdes! - krzyknęła Io.

- To właśnie on - widzę, że się już kiedyś spotkaliście. On czasami opowiada o jakimś niewolniku, zwanym Latro, do którego się przyzwyczaił. Ten chłop był osłabiony umysłowo, sądząc z tego, co mówił Hyperejdes, ale widać było, że go lubił. Przehandlował go jakiejś heterze w zamian za ileś tam uczt - chyba po to, żeby go trzymać z dala od walki.

Drakaina rzekła:

- Nie nazwałabym Latro osłabionym umysłowo, ale on z dnia na dzień o wszystkim zapomina. - Rzuciła drwiące spojrzenie na Powroźnika. - Jest też niezwykajny pod innymi względami, nieprawdaż Pasykratesie?

- Nawet kobiety małomówne mówią za wiele. - Pasykrates ujął Drakainę za ramię, aby ją odciągnąć od Jaltosa.

Io przyglądała się tamtej wieży na kołach. Teraz pociągnęła mnie za płaszcz.

- Spójrz, panie - wskazała ręką. - Tam, na tej drabinie. To czarny człowiek!

ROZDZIAŁ XL

Wśród zapomnianych przyjaciół

Serce pamięta, nawet jeśli nie pozostał żaden ślad po twarzy czy głosie. Czarny człowiek nadbiegł, krzyząc i wymachując rękami, i choć nie wiem: ani gdzie się spotkaliśmy, ani dlaczego go kocham (niewątpliwie jest to gdzieś zapisane w tym zwoju), nie mogłem przestać się uśmiechać. Nie zastanawiając się wcale, uściskałem go jak brata.

Kiedy krzyząc waliliśmy się po plecach i ściskaliśmy się z całej siły jak dwaj zapaśnicy, Pasykrates próbował go wypytywać, ale uśmiechał się tylko i kręcił głową.

Io wyjaśniła:

- On rozumie - w każdym razie większość z tego, co się mówi - ale nie może albo nie chce mówić.

Drakaina powiedziała coś wtedy w chrapliwej, szybkiej mowie, co zabrzmiało mi nie lepiej niż skrzywienie i zgrzytanie kamieni młyńskich, i ku zdumieniu mojemu i Io, czarny człowiek odpowiedział jej natychmiast w tym samym języku.

- Wasz przyjaciel mówi językiem Aramu - powiedziała Drakaina do Io. - Nie tak dobrze jak Lud z Parsy, ale prawie równie dobrze jak ja.

- Spytaj go, jak się tego nauczył - rzekł Pasykrates.

Znów mówiła do czarnego człowieka, a gdy odpowiedział, rzekła.

- On mówi: „Przez trzy lata byłem w armii. Maszerowaliśmy z Nysy do Kraju Rzeki, z Kraju Rzeki przez pustynię do Czerwonego Kraju, potem przez wiele innych krajów”. Mówi także: „Mój król nie jest poddanym Wielkiego Króla, ale Wielki Król dał mu złoto i wiele pięknych rzeczy i przyrzekł, że będzie wieczny pokój między naszymi krajami, jeżeli nasz król pošle mu tysiąc ludzi. Ja szedłem na czele stu dwudziestu - byli to wszyscy młodzi mężczyźni z naszego okręgu - i nauczyłem się mówić tym językiem, by rozumieć życzenia Władców z Parsy”. Trochę to skróciłam - dodała Drakaina.

- Spytaj go, jak spotkał Latro - zażądała Io.

- „Widziałem, że dotknęła go ręka boga. Tacy ludzie są święci, trzeba się nimi opiekować”.

Io zaczęła pytać o Hyperejdesa, ale Pasykrates uciszył ją.

- Czy on chce wrócić do swego kraju? - zapytał.

Zanim Drakaina zdążyła coś powiedzieć, czarny człowiek skinął głową i zaczął mówić, ona zaś tłumaczyła jego słowa:

- Tak, bardzo by chciał. Mówi: „Tam jest mój ojciec i matka, moje obydwie żony i mój maleńki synek”.

- Czy w tym mieście są jacyś inni ludzie z jego kraju? - pytał dalej Pasykrates.

- Mówi, że nie wie, ale nie sądzi, by tak było. Sądzi, że odeszli z armią na południe. Mówi: „Gdyby tu byli, pokazaliby mi się na murach”. I chyba ma słuszość - widać go było z daleka, kiedy pracował na tej wieży, musiały go widzieć setki ludzi z miasta.

- Powiedz mu, że żądam od niego, by zaniósł do miasta posłanie ode mnie.

Io zaprotestowała. Nie chciała, jak sądzę, stracić znów z oczu czarnego człowieka, zaraz po tym jak go znaleźliśmy.

- On należy do Hyperejdesa! - krzyknęła na koniec.

- Który z pewnością się zgodzi, dla dobra naszej sprawy. - Stwierdził spokojnie Pasykrates. - Jego miasto mu to wynagrodzi.

- On mówi, że Latro i ta dziewczynka muszą iść z nim razem. - powiedziała Drakaina.

Uśmiechnąłem się, Io zaś zachichotała, spoglądając na Pasykratesa.

- A to czemu? - zapytał.

Teraz czarny człowiek przemawiał długo, dotykając piersi i wskazując podbródkiem Io i mnie, i Sestos, raz zaś udawał, że naciąga łuk.

- On mówi - Drakaina zwróciła się do Pasykratesa - że jako niewolnik nie zrobi tego, o co prosisz, że niewolnik jest niewolnikiem, dopóki pozostaje pod nadzorem. Jeśli wróci on do Ludu z Parsy, znów będzie żołnierzem, jako żołnierz zaś nie zrobi tego, o co prosisz, dopóki nie uwolnisz Latro, i Io także. Mówi, że możesz zmusić go, by poszedł do miasta, ale kiedy tam się znajdzie, nie przekaze twego posłania - naopowiada tylko kłamstw.

Teraz uśmiechnął się nawet Pasykrates.

- Z mojej strony - dodała Drakaina - przypominam ci, że to ja jestem osobą wysłaną przez twego regenta do tych barbarzyńców - nie ten czarny człowiek. Nawet nie ty.

- A jednak inny posłaniec może być użyteczny, zwłaszcza taki, który mówi ich językiem. Jego cena jest zbyt wysoka, ale spodziewam się, że może zostać obniżona.

Powiedziałem, że chętnie pójdę do Sestos, jeśli tego zechce.

Pasykrates nie wyraził jednak zgody.

- Gdybyś zginął - powiedział - jak wyjaśniłbym to regentowi? Nie, ty musisz pozostać przy mnie, dopóki miasto się nie podda i nie wrócimy do domu.

Czarny człowiek, napotkawszy moje spojrzenie, wskazał wieżę, a potem przemówił do Drakainy. Ta zaś zwróciła się do Pasykratesa:

- On pragnie ci pokazać, co buduje. - Tłumaczyła słowa czarnego człowieka.

- I ja chcę to zobaczyć - powiedziałem. - Chodźmy Io. - Podejrzewałem, że czarny człowiek chce się znaleźć pod opieką człowieka zwanego Hyperejdesem. Nie pamiętałem go, ale Io zdawała się go lubić i czarny człowiek mógł mieć słuszość, uważając, że będzie mu lepiej z tamtym niż z tym Powroźnikiem.

- Ty wiesz wszystko o sztuce oblężniczej - rzekł Pasykrates, gdy zbliżyliśmy się do wieży. - Objasnij mi to.

Powiedziałem, że niewiele jest do wyjaśniania, kiedy się widzi wieżę. Była to drewniana wieża na kołach. Jej tył pozostawiono otwarty, dla zmniejszenia ciężaru, ale przód i boki były obite deskami, dla ochrony przed strzałami i obite skórą - by ochronić deski przed zapaleniem. Zanim popchnie się wieżę ku murom, nasącza się tę skórę wodą, przy użyciu szmat na długich drągach. Na dodatek wieszka się w wieży skórzane wiadra z wodą dla załogi.

- Nasi wrogowie postawią naprzeciw tej wieży swoje najlepsze oddziały - powiedział.

- Tak, ale w wieży też będą dobrzy wojownicy - odrzekłem.

Kiedy tak rozmawialiśmy, czarny człowiek gdzieś przepadł. Teraz pojawił się, prowadząc z sobą jakiegoś łysego męża w skórzanym pancerzu. Tamten na nasz widok osłupiał, a potem uśmiechnął się szeroko i zawołał:

- W imię Stojącego Kamienia! Latro i mała Io! Nie spodziewałem się zobaczyć was znowu, zanim nie wrócimy do Myśli. Jak się tu dostaliście? Czy ten zuch Pindar jest z wami?

Głaskał Io po głowie, ona zaś objęła go i przez chwilę wydawało się, że jest zbyt wzruszona, by móc mówić.

- Chyba nie pamiętasz poety Pindara, prawda Latro? Ani tej jego dziewczuchy, Hilaejry? Powroźnik wystąpił naprzód.

- Jestem Pasykrates - powiedział. - Syn Polidektesa. Reprezentuję tu księcia Pazuanasza, syna Kleonbrota, zwycięzcę spod Gliny i regenta Powrozu.

- Hyperejdes - powiedział Hyperejdes. - Syn Jona... - Io szepnęła mi później, że miał na myśli to, iż pochodzi z plemienia Jonów i jest z tego dumny i że Pasykrates jest Dorem. - ...Dowódca „Europy”, „Ejdy” i „Klytii”. Moje okręty teraz nie pływają. - Zwrócił głowę ku zachodowi. - Leżą na brzegu, a większość moich ludzi zatrudniona jest przy tych konstrukcjach.

- Mówiono mi, że sprzedałeś tego niewolnika pewnej heterze w twoim mieście.

- Kalleos, zgadza się. - Hyperejdes urwał, przenosząc wzrok z Pasykratesa na Drakainę, jakby się zastanawiał, które z nich mogłoby narobić mu kłopotu. - Oczywiście nie całkiem legalnie, bo kobietom w moim mieście nie wolno posiadać majątku. Wszystko jest na nazwisko jakiegoś jej niby siostrzeńca. Sporo mu za to płaci co roku.

- My w Powrozie jesteśmy rozsądniejsi - i nie lubimy kłamstw. Latro i ta dziewczynka należą obecnie do regenta, odstąpieni przez twoją heterę.

- Powinien zapłacić! - zaskomlała Io.

- Zapłaci, możesz być pewna. W Powrozie jednak chłoszcze się dzieci, które odzywają się nie pytane, zapamiętaj to! - Pasykrates nie spuszczał oczu z Hyperejdesa. - Jako stratega Powroźników, bardzo mnie ciekawi twoja wieża, dowódcu. Jak to osiągniesz, że jej szczyt zrówna się ze szczytem muru, jeżeli nie mogłeś zmierzyć wysokości muru?

Hyperejdes odchrząknął, po czym stwierdził:

- Z całym szacunkiem, strategu, oba te stwierdzenia są niezupełnie prawdziwe. Szczyt ma przewyższyć mur, żeby nasi łucznicy mogli strzelać w dół do nieprzyjaciół. Mogliśmy też zmierzyć mur i zmierzylśmy. Zechcesz przejść przed wieżę? - Poprowadził, a potem wskazał w górę. - Widzisz te drzwi? Uchylają się w dół i zawisają poziomo na blankach. Jak pewnie zauważyłeś, z tyłu wieży są schody, i wszystko co nasi ludzie mają do zrobienia - to wbiec po schodach i wyjść na mur.

- Musiał to być dzielny człowiek, ten kto mierzył żerdzią mur - rzekł Pasykrates. - A może było to w nocy?

- Ach, nie. - Rozbawienie wykrzywiło usta Hyperejdesa. - Sam to mierzyłem i w pełnym świetle dnia. Podejź no tu, Ojorze! To łucznik.

Jakiś wielki brodacz w szerokich spodniach podszedł do nas, powłócząc nogami. Trzymał w ręku młot. Choć nie miał łubiów na grzbiecie ani kołczana przy pasie, wyglądał jednak na łuczника.

- Przywiązaliśmy sznur do strzały - ciągnął Hyperejdes. - Ojor wystrzelił tak, że strzała upadła u stóp muru, potem ściągnęliśmy strzałę, by zmierzyć sznur. Dało nam to odległość od miejsca, gdzie stał Ojor, do podstawy muru.

- Ale ta odległość nie jest równa wysokości muru, chyba że szczęśliwym trafem - rzekł Pasykrates.

- Nie, oczywiście. Potem wbiliśmy w ziemię miecz, tak że miał równo łokieć wysokości. Kiedy cień muru dotknął miejsca, gdzie stoi Ojor, zmierzylśmy cień miecza i podzieliliśmy długość sznura przez długość cienia i w wyniku uzyskaliśmy wysokość muru: czterdzieści siedem łokci.

Łuczniczka Ojor uśmiechnęła się do mnie i dotknęła czoła, co oznaczało pozdrowienie.

Kiedy wróciliśmy do namiotu Pasykratesa, odesłał on Io i Drakainę, a potem wyciągnął rękę.

- Widzę, że nosisz swój miecz, Latro - rzekł. - Daj mi go.

Odpiąłem klamrę pasa.

- Możesz go obejrzyć - powiedziałem - o ile nie masz złych zamiarów.

- Daj mi go - powtórzył.

Ta właśnie stanowczość jego słów zdradziła mi jego zamiary. - Nie! - powiedziałem i zapiąłem klamrę.

Gwizdnął. Przypuszczam, że zdecydował, iż potrzebuję nauczki, nim jeszcze wyszliśmy na obchód murów, a może nawet zanim nas wezwał Ksantippos, bo jego niewolnicy zjawili się natychmiast - jeden z dwoma oszczepami, a drugi z biczem, skorpionem o trzech ogonach. Weszli z tyłu namiotu, a Pasykrates, z dłonią na rękojeści miecza, zastąpił przednie wejście.

- Ci ludzie mogą mnie zabić - powiedziałem - ale nie będą mnie bili. - Przypomniałem sobie, co mówił o jakiejś kobiecie, która sprzedała mnie regentowi. - A gdyby mnie zabili, co powiesz swemu panu?

- Prawdę - wymamrotał Pasykrates. - Sestos nie upadło, ty byłeś leniwy i zuchwały, chciałem cię ukarać, a ty stawiałeś opór.

Jego hoplon stał przy wejściu, oparty o ścianę namiotu. Wprawnym ruchem wsunął ramię w skórzaną pętlę i ujął uchwyt.

- Teraz odłóż ten miecz i zdejmij płaszcz i chiton, jak rozsądny człowiek - powiedział.

- Nikt nie uważa was, Powroźników za rozsądnych ludzi - odparłem.

- I dlatego inni są naszymi niewolnikami albo wkrótce nimi będą. - Spojrzał na swoich prawdziwych niewolników. - Kej rosie, Tekmarosie, nie zabijcie go tylko!

Nie byli przygotowani na ujęcie kogoś uzbrojonego i to, co się potem zdarzyło, byłoby śmieszne, gdyby nie było tak straszne. Niewolnik ze skorpionem posuwał się pierwszy, smagając powietrze ze świstem, który miał zapewne mnie przestraszyć. Postąpiłem naprzód i ciąłem po rzemieniach z niewyprawnej skóry. Odskoczył w tył i nadział się przy tym na jeden z oszczepów trzymany przez stojącego za nim niewolnika. Straszne było nie to, że zginął, lecz to, że nie zginął na miejscu. Z ostrzem oszczepu wbitym w plecy pozostał przy życiu, krwawiąc i łapiąc powietrze jak ryba nabita na ościę. Upuścił skorpiona. Chwyliłem go - i robiąc to, spostrzegłem Pasykratesa, tuż przy mnie. Rączka była z twardego drewna, a rzemienie zakończone ciężarkami mogły łatwo oplątać człowieka; rzuciłem tym w jego nogi.

Był szybszy. Rączka uderzyła w brąz hoplonu. Machnąłem Falcata, tnąc z góry na dół, najmocniejszym z wszystkich cięć. Znow był szybszy. Podniósł hoplon, by zablokować jej ostrze, ale wgryzło się w brąz niczym w ser, przecinając hoplon aż do samego środka, a potem wyskoczyło z niego, jak ryś skacze ze skały.

Pasykrates wrzasnął. Był to wysoki, przeraźliwy krzyk, jak krzyk kobiety - chociaż rzucił się na mnie jak mężczyzna i zmusił mnie do odskoku.

Przy ramieniu miałem ścianę namiotu, ten zwój leżał na moim sienniku pod lewą ręką. Schyliłem się, by go podnieść. Chyba to mnie ocaliło. Oszczep przemknął tak blisko mej głowy, że poczułem powiew. Krew pociekła mi z ucha.

Oszczep przebił bok namiotu. Poszerzyłem cięciem otwór, wypadłem i pobiegłem na wschód, obok namiotów, przez jakieś półka, ku Parsie i Persepolis - w serce Imperium, choć nie umiałbym powiedzieć, jak to jest, że znam nazwy tych miejsc.

Kiedy dotarłem do wzgórz i nie byłem w stanie dłużej biec, znalazłem tę wnękę w skale i zatrzymałem się, by odpocząć. Tętno waliło mi w głowie, jak szum jakiejś wezbranej wielkiej rzeki. Wiszące nad ziemią szare chmury rozdzieliły się i pojawiło się słońce - purpurowa moneta ustawiona na horyzoncie poza mną. Zatakowałem mchem krwawienie z ucha, wytarłem ostrze Falcaty suchymi liśćmi i, rozwinąwszy zwój, przeczytałem wystarczająco dużo, by zrozumieć, że muszę pisać.

Pisanie pozwoliło mi złapać oddech i nadśłuchiwać odgłosów pogoni. Niczego nie usłyszałem. Gdy wszędzie księżyc, pobiegnę dalej. To ważne, to bardzo ważne, bym nie zapomniał, że uciekam i przed czym uciekam. „Muszę pamiętać za ciebie” mówiła mi ta dziewczynka, Io, gdy wędrowaliśmy pośród żołnierzy i machin wojennych z Myśli. Chciałbym, żeby tu ze mną była.

ROZDZIAŁ XLI

Jesteśmy w Sestos

Posłała mnie tu bogini i nie był to wcale sen. Jakże łatwo byłoby mi napisać, że śniłem, jak to już tyle razy pisałem, w tylu różnych miejscach. Wiem jednak, że nie śniłem, bo śnił mi się inny sen, zanim zjawiła się bogini.

Był to sen o miłości. Kobieta ze snu była kruczowłosa, albo też wydawała się taka w świetle księżycy, a w jej oczach błyszczało pożądanie. Chwyciła mnie i przywarła do mnie biodrami! Jakieś jezioro, ciemne i ciche, odbijało srebrne gwiazdy. Wzdłuż całego zaś brzegu mężczyźni w rogatych maskach, o pożądliwym spojrzeniu, płásali z uwieńczonymi winoroślą kobietami przy łoskocie tamburynów i grzechotaniu krotali.

Potem się zbudziłem.

Kobieta znikła, instrumenty ucichły. Moje rozdarte ucho paliło i rwało. Dookoła stały surowe, ciemne skały. Powietrze było chłodne, wróżące śnieg. Słyszałem, jak wiatr buszuje wśród dębów i wiedziałem - choć nie wiedziałem skąd - że ten szelest to myśli Jowisza, boga który rządzi bogami i mało dba o ludzi. Wyglądało mi to na szaleństwo: czarne myśli powtarzające wciąż na nowo jedno lub dwa słowa, gdy ten, kto myśli oddaje się rozważaniom o zemście.

Usiadłem i noc stała się znów jak inne. Wiatr przechadzał się wśród drzew, a przybywający księżyc wisiał nisko na zachodzie. W oddali zawył wilk. Zesztywniałem z zimna, ale nie miałem ochoty znów się zawijać w płaszcz; czułem natomiast, że powinienem wstać i uciekać przed jakimś niebezpieczeństwem, i chociaż nie mogłem przypomnieć sobie, przed czym uciekałem, czułem, że groźba się nie zmniejsza. Przeciągnąłem się i spojrzałem w dół, szukając zwoju, który ukryłem wśród kamieni.

Dech mi zaparło i omal nie krzyknąłem, odstępując chwiejnie znad krawędzi otchłani, nad którą spałem. Wydała mi się studnią bez dna, a przynajmniej bez takiego dna, którego mogłoby sięgnąć srebrne światło księżycy i gwiazd. Drżącą ręką wrzuciłem w nią kamień i nasłuchiwałem. Niczego nie usłyszałem, chociaż wyteżalem słuch przez wiele uderzeń przerażonego serca.

Chociaż mój kamień zapewne wciąż spada, i spadać będzie wiecznie, coś poruszyło się w przepaści. Choć nie miała końca, miała boczne ściany. Plamy bieli i najbledszej zieleni, drobne i odległe, roily się na nich, jakby to mrówki pełzły po ścianach zamkniętego

grobowca. Czasem zdawało się, że przelatują z jednej strony na drugą, przemykając jak nietoperze i migocąc niby świece z sitowia.

- Znalazłeś mnie - powiedział ktoś za moimi plecami. - Już przyszedłem.

Odwrociłem się i zobaczyłem jakąś dziewczynę, może piętnastoletnią, siedzącą na kamieniu. Jej suknia utkana była z posępnych liści jesieni - żółtych, rdzawych i brunatnych, a na czole miała wieniec z czarnym jak heban klejnotem. Chociaż miała księżyc za sobą, widziałem wyraźnie jej twarz. Wydała mi się wygłodniała i chora, jak twarze tych dzieci, które sprzedają swe ciała w dzielnicach biedaków.

- Nie odgadłbyś, co działo się z twoją książką - powiedziała. - Weź ją i odejdz od moich drzew.

Kiedy tak mówiła, bałem się jej jeszcze bardziej niż tej przepaści. Gdybym się tak nie bał, pewnie nie wykonałbym polecenia.

- Zwinęłam ci ją ciasno, związałam i wepchnęłam pisak za sznury. Zatknij zwój za pas. Masz wiele do zrobienia, zanim znów zaczniesz pisać.

- Kim jesteś? - spytałem.

- Nazywaj mnie Dziewczyną, jak wtedy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- Jesteś więc boginią? Nie sądziłem...

Uśmiechnęła się cierpko.

- Że wciąż mieszkamy się w wasze wojny? - zapytała. - Nieczęsto to robimy, Niewidzialny Bóg gaśnie jednak i nie jesteśmy już zagubieni w jego blasku. Nigdy nie odejdziemy całkowicie.

Skloniłem przed nią głowę.

- Jak mogę ci służyć, Dziewczyno? - spytałem.

- Po pierwsze - zdejmując dłoń z rękojeści miecza, do której się zabłąkała. Wierz mi, to ostrze jest wobec mnie bezsilne.

Opuściłem rękę.

- Po drugie - spełniając moje polecenia. W ten sposób wyręczysz mnie w zrobieniu tego, co konieczne, a czego się podjęłam dla dobra Matki. Nie pamiętasz tego, obiecałem jednak połączyć cię znów z towarzyszami.

- Nie zasłużyłem na tyle dobroci - powiedziałem, jękając się prawie z radości, którą zapłonęło mi serce.

- Robię to dla mojej matki, nie dla ciebie. Nie musisz mi dziękować ani ja tobie. Jeśli - jak wszyscy niewolnicy - pogodzisz się z biciem, moje zadanie będzie łatwe.

- Nie jestem niewolnikiem - powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

- Czy tak, Latro? - zapytała - Nawet moim?

- Jestem twoim czcicielem, Dziewczyno.

- Obrotny w języku, jak zawsze. Żaden człowiek nie przewyższy swych bogów, Latro, nawet w kłamstwie.

- Mówiłaś, że obiecałaś mi powrót do swoich, Dziewczyno. Jeśli to było kłamstwo, lepiej mnie zabij.

- Dotrzymam obietnicy - powiedziała. Oblizwała wargi. - Jestem jednak głodna. Jak mi się odpłacisz, Latro, kiedy zrobię to, czego pragniesz? Czy setką byków dymiących na moich ołtarzach?

- Zabiłbym je wszystkie, i to z pieśnią na ustach, gdybym je miał. Nie mam niczego, prócz tego, co widzisz.

- Książka, miecz, pas, sandały i poszarpany strój. I ciało - ale o nie cię nie poproszę, i tak niedługo będzie moje. Czy rzuciłbyś na mój ołtarz resztę?

- Wszystko, Dziewczyno.

- Io także?

- Kto to jest Io? - spytałem.

- Niewolnica. Mówi, że twoja. Czy oddasz mi ją dobrowolnie?

Czułem do siebie wstręt, ale skinąłem głową.

- Wystarczy, że mi ją wskażesz, Dziewczyno.

- W takim razie nie poproszę cię o nią. Ani o twoją książkę, ani o miecz, ani o resztę rzeczy. Poproszę cię o coś mniejszego - o wilka.

- Tylko o wilka, Dziewczyno? - Moja dusza podskoczyła z radości. - Jesteś zbyt dobra, nazbyt miłosierna.

- Wielu tak powiada. Tak, o wilka. Ten wilk jest poświęcony mojej matce, wiedziałbyś to, gdybyś nie zapomniał. Ponadto, dopilnuję, by do ciebie przyszedł i wycisnę na nim swą pieczęć, abyś go rozpoznał.

- Czy nie zapomnę?

Choć między nami a wschodzącym słońcem było wzgórze, wiedziałem, że słońce jest tam, gdzie je wskazywała.

- W lecie, kiedy dni były długie, przed nadejściem wieczoru zapominałeś o poranku. Teraz, kiedy wilki znowu wyją, dni są krótsze i będziesz o mnie pamiętał. Wilk cię zaatakuje, ale nie lękaj się go. To będzie ten właśnie wilk.

- Według twego rozkazu, Dziewczyno. I chętnie.

- Mniej chętnie, zapewne, kiedy nadejdzie czas. Najpierw jednak musisz wrócić pod mury, spod których uciekłeś. Wrócić o świcie. Czy to zrobisz?

- Już jest świt - powiedziałem. - Czy zdołam biec tak szybko? Jeśli zdołam, zrobię to.

- Twoi wrogowie czyhają na twe życie. Bądź ostrożny. Gdy słońce wstanie, zobaczysz kobietę prowadzącą dziecko za rękę. Wyciągnij miecz i daj go temu dziecku. Zrozumiałeś?

Skinąłem głową.

- Postąpię dokładnie tak, Dziewczyno - odparłem.

- Potem, kiedy znajdziesz wilka, złap go za ucho, poderżnij mu gardło i wypowiedz moje imię. Idź teraz, zrób to, a moja obietnica zostanie spełniona.

Miasto leżało daleko poza zasięgiem wzroku, na zachodzie, a jednak ujrzałem je - jego szare groźne mury z setką wież, wznoszące się wysoko nad namiotami oblegających. Znikło, gdy pobiegłem ku niemu, ale nie przestawałem biec, przeskakując kamienie i okrążając ścierniska, dopóki naprawdę nie dotarłem do namiotów, które widziałem przedtem oczami bogini.

Żołnierze budzili się, poderwani ostrym dźwiękiem trąb. Zapinali pancerze, chwyтали włócznie i hoplony znaczone odwróconym wołem Myśli i stawali w nierównych szeregach, prostujących się wkrótce wśród przekleństw enomotarchów. Niektórzy spoglądali na mnie ciekawie, pomachałem więc nad głową tym zwojem, by wzięto mnie za posłańca. Nikt mnie nie zatrzymał.

Namioty skończyły się. Dotarłem do miejsca, gdzie pod murami stały dawniej domy i sklepy. Były spalone, ale nie umiałbym powiedzieć, czy przez oblegających, czy przez obleganych. Stały tam wieże na kołach i zaopatrzone w koła szopy, a także pochylnie z gliny i drewna. Porozrzucane kamienie i dachówki ze zrujnowanych domów przy każdym kroku groziły mi potknięciem. Wśród ruin spostrzegłem raz wyszczerbioną patelnię, innym razem rozerwany sznur koralu. Pomyślałem o niedoli tych nieszczęsnych kobiet, których zapewne nigdy nie zobaczę.

Wkrótce znalazłem się w zasięgu strzału z murów. Jakiś łucznik uprzejmie powiadomił mnie o tym, posyłając mi świszczącą strzałę przed oczami. Ugrzęzła w poczemialej ziemi. Zatknałem zwój za pas i odbiegłem dalej.

Słońce było już sporo nad horyzontem za moimi plecami. Dziewczyna kazała mi oddać miecz dziecku „gdy słońce wzejdzie”, ale wydawało się to już niemożliwe. Wciąż jednak biegłem, truchtem, okrążając mury i szukając kobiety i dziecka.

Cały czas kusiło mnie, by skrócić sobie drogę, zmniejszając promień krzywizny. Jeszcze dwóch łuczników wystrzeliło do mnie, a ich strzały - po długim locie - padały mi prawie u nóg.

Zatoczyłem już półkole, gdy je zobaczyłem - kobietę w purpurowej sukni i dziewczynkę w szarym, podartym peplosie, trzymające się za ręce i idące tak blisko murów, że żołnierze mogliby zabić je kamieniami, gdyby chcieli.

W tej właśnie chwili jakiś ranny krzyknął, wyciągnął miecz i rzucił się ku mnie. Jego odwaga zdumiała mnie, bo niedługo przedtem stracił lewe przedramię. Kikut był zabandażowany poniżej łokcia, a bandaż zakrwawiony. Wyciągnąłem miecz, nim przypomniałem sobie słowa Dziewczyny, która zapewne chciała, bym go nie użył w walce z jednorękim. Wydawało się to sprawiedliwe - z pewnością był on jeszcze osłabiony z powodu rany. Podbiegłem, najszybciej jak mogłem, do kobiety z dziewczynką i podałem miecz dziewczynce, rękojeścią naprzód.

Przyjęła go bez wahania, kiedy jednak znów się odwróciłem, inni biegli już za jednorękim. Jeden upadł z gardłem przebitym strzałą, ale dwaj pozostali chwycili jednorękiego, wrywając mu miecz i ciągnąc w bezpieczne miejsce. Kiedy śledziłem ich wzrokiem, oblało mnie złote światło. Słońce weszło nad miejskim murem i był to jakby drugi świt.

Inni jednak ludzie - tarczownicy w pancerzach - wypadli spod muru, by nas zabrać. Wciągnęli mnie z kobietą i dziewczynką w wejście osadzone tak głęboko w murze, że wyglądało jak tunel zakończony wąskimi drzwiami.

Kiedy te drzwi się otworzyły, znaleźliśmy się w oblężonym mieście. Piętrowe i nawet dwupiętrowe domy cisnęły się w wąskiej uliczce. Tylną ścianę wielu z nich stanowił mur. Ludzie, którzy nas trzymali, nie różnili się wyglądem od tamtych za murem, z którymi toczyli wojnę, ale byli też z nimi żołnierze zupełnie do nich niepodobni - żołnierze, których kędzierzawe brody były czarne, a nie brunatne, i którzy nosili obszerne spodnie - żółte, niebieskie i zielone.

Zaprowadzili nas do cytadeli i zabrali z sobą kobietę i mój miecz. Jesteśmy teraz zamknięci w wartowni, gdzie ponaglany przez Io (dziewczynka jest bowiem tą niewolnicą, którą zgodziłem się ofiarować Dziewczynie), piszę tę relację.

ROZDZIAŁ XLII

Nie bez pomocy

Pokonałem jednak trzech ludzi ze straży przybocznej satrapy Suzy. Byli Hellenami, chociaż w Sestos nie rządzą Hellenowie, jak to się dzieje wszędzie, gdzie żyją Hellenowie po tej stronie Wody. Io tłumaczyła mi to, kiedy skończyłem pisać o tym, jak nas schwytano.

- Tym lepiej dla nich - powiedziałem. - Przyjmując, że ludzie z Parsy są mądrzy i sprawiedliwi. Ci Hellenowie są butni, chciwi i niesforni, o błyskotliwych umysłach zapewne, ale nie rozumiejący naprawdę ani obowiązków obywateli, ani majestatu państwa.

Zgodziła się ze mną, a potem spytała szeptem, czy myślę, że ktoś nas słucha.

- Nie - odpowiedziałem. - Mówię to, co myślę - to po prostu prawda.

- Ależ ja sama jestem Hellenką, panie.

- Myślałem o mężczyznach. Kobiety są zapewne lepsze, chociaż rozwiążle.

- Mówisz tak dlatego, bo znasz jedynie te z domu Kalleos. Czy ją pamiętasz? Albo Fye? Albo Zoe, albo którąś z pozostałych?

Zaprzeczyłem.

- Wiem tylko - powiedziałem - jacy wydają mi się być Hellenowie. - Starłem się nie być uszczypliwy. - Mają piękne i bardzo dobre dzieci.

Uśmiechnęła się.

- Jestem jedynym dzieckiem - powiedziała - z którym miałeś do czynienia. Może jednak masz rację co do mężczyzn i kobiet. Co wiesz o Ludu z Parsy?

- Dowodzili żołnierzami, którzy przyprowadzili nas do tego miasta. Jestem pewien, że widziałem ich już przedtem, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

- Ja widziałam ich we Wzgórzu. Nie mówią po naszemu i ukrywają swe kobiety przed spojrzzeniami jeszcze staranniejsze niż mieszkańcy Myśli. Wczoraj widziałam jednego z nich na murze. Dowiedziałam się wtedy, jak Drakaina dostanie się do Sestos.

Spytałem, czy Drakaina to kobieta w purpurowej sukni. Io zaś potwierdziła.

- Chciała dostać się do środka, by mówić do Ludu z Parsy w imieniu regenta, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Jeszcze wczoraj ty, ona i Pasykrates chodziliście oglądać te wieże na kołach i widziałam na murze jakiegoś człowieka z Parsy, który się jej przyglądał. Na jego kołpaku i w pierścieniach tkwiły klejnoty, musiał więc być kimś ważnym, a ze sposobu, w jaki patrzył na Drakainę, widać było, że jeśli zbliży się ona do murów, on wyśle żołnierzy, by

ją pojмали. Potem walczyłeś z Pasykratesem i uciekłeś, a ja pomyślałam, że powinnam iść za nią i spróbować skłonić tamtego, by ci pomógł. Powroźnicy prawdopodobnie zabiliby cię, gdyby cię znów schwytali.

- Kto to jest Pasykrates? - spytałem, bo przykro mi było słyszeć, że przed nim uciekłem.

- Jest dowódcą Powroźników - powiedziała Io. - Albo był. Jeśli chcesz, opowiem ci o nim, a potem możesz o nim przeczytać w swojej książce. Chyba będziemy mieli dużo czasu.

Io nie zaczęła jeszcze mówić, gdy drzwi rozwarły się szeroko. Spodziewałem się zobaczyć żołnierzy, którzy nas tu przyprowadzili, może z jakimś dowódcą z Parsy, ale wszyscy, okazało się, byli barbarzyńcami w długich spodniach i z głowami owiniętymi w tkaniny. Przekonałem się, że wiem już, jak mogą wyglądać ich twarze i jak mogą być uzbrojeni. Nie wiem, czy przypomniałbym to sobie, gdybym ich nie zobaczył, napiszę więc o tym.

Ich ręce i twarze to jedyne części ciała, których nie zakrywają, a czasem zakrywają nawet twarz, podciągając tkaninę, która osłania szyję, by chronić usta i nos przed pyłem. Zamiast sandałów noszą buty - które wyglądają na bardzo niewygodne - tak że nie widać ani kawałka stopy. Hellenowie często noszą jaskrawe stroje, ale są one jednobarwne, może z wyjątkiem lamówki. W strojach Ludu z Parsy widzi się naraz pół tuzina kolorów. Nawet żołnierze - jak ci, co po nas przyszli - nie noszą prawie zbroi.

Ich włócznie nie są wyższe od tych, którzy je noszą. Zamiast zaostrzonego okucia na końcu drzewca, które może służyć jako drugie ostrze w razie złamania się włóczni, stosują oni kulisty ciężarek. Myślę, że to dobry pomysł. Zbyt krótka włócznia byłaby po złamaniu drzewca bezużyteczna, ale ciężarek daje możliwość użycia złamanej włóczni jako maczugi. Ten ciężarek przesuwają środek ciężkości włóczni ku tyłowi, tak samo jak żelazne okucie.

Ludzie z Parsy nie rozstają się ze swymi łukami i łubiami. Mają do nich więcej zamiłowania niż inne narody, z pewnością zaś żaden naród nie kocha łuku bardziej niż oni. Ich łuki sporządzone są z drewna i rogu, związanych razem ścięgna i wyginają się na zewnątrz, gdy nie są napięte. Ich strzały są niewiele dłuższe niż łokieć i mają żelazne ostrza. Jedne mają niebieskie lotki, inne szare. Noszą je w łubiach razem z łukiem.

Ich obosieczne miecze są proste i krótkie. Miecze żołnierzy, którzy po nas przyszli miały rękojeści zakończone lwimi głowami z brązu, a żołnierzy Artayktesa - do którego nas zaprowadzono - miały złote lwie głowy. Bardzo to pięknie wygląda, ale prawdę mówiąc, te miecze są tylko długimi sztyletami, dobrymi do rzucania - i niczego więcej. Niektórzy ludzie

z Parsy nie mają nawet mieczy. Noszą zamiast nich topory na długich drzewcach i wolałbym taki topór niż ich miecz. Ci topornicy noszą przy pasie nóż.

Artayktes ma siwą brodę i jeszcze ciemniejsze i surowsze oczy niż inni jego rodacy. Nosi wysadzany klejnotami kołpak i wiele pierścieni - myślę więc, że to jego widziała Io na murze. Kobieta, którą Io nazwała Drakainą, siedziała po jego prawej stronie, nie ze skrzyżowanymi nogami - jak on, ale podwinąwszy swe zgrabne nogi na bok i przyklękąwszy, by ukazać ich wdzięk. Kiedyśmy weszli, zasłoniła nos i usta końcem barwnego szala.

Zwrócił się do niej w języku, którego nie znałem, ona zaś pochyliła głowę.

- Pan mój powiedział, więc tak będzie - odparła.

Odezwał się w mowie Hellenów:

- Twój język jest przydatniejszy niż mój, zwłaszcza w tej rozmowie. Oni nie rozumieją naszego?

- Nie, panie mój.

- Wyjaśnij im więc, czemu przyprawiono ich do mnie.

Drakaina odwróciła się. Zdawało się, że wygląda z okna sali posłuchań Artayktesa, widziałem jednak jej utkwiony we mnie wzrok.

- Mówiłam memu panu - odezwała się do mnie - co zrobiłeś z Pasykratesem i powiedziałam, że pobijesz niewątpliwie trzech naraz. Ma on straż przyboczną złożoną z wojowników z Sestos i trzech zgodziło się z tobą walczyć - nie na włócznie, ale na gołe pięści, jak walczą zawodnicy w pankrationie. Czy znasz te zawody? Jedyłą bronią są rzemienie.

Już miałem zapytać, co takiego zrobiłem z Pasykratesem - przed którym uciekłem według Io - kiedy Artayktes klasnął w dłonie i wartownik wprowadził tych trzech. Wszyscy byli mojego wzrostu, dobrze zbudowani, w pełni sił.

- To nieuczciwe! - protestowała Io.

Drakaina zgodziła się z tym:

- Masz słuszność, cóż, kiedy ludzie z Parsy nie lubią przechwałek. Zapomniałam o tym. Kiedy słyszą przechwałki, stawiają sobie za punkt honoru doprowadzenie do ich wypełnienia, nawet gdyby chwalił nas ktoś inny. Mój pan uważa chyba Latro za mojego kochanka, chociaż obie wiemy, że tak nie jest.

- Nie ma w tym twojej winy - powiedziała cierpko Io.

Przyglądałem się tamtym trzem. Gdybym zdołał zabić przywódcę, odebrałoby to ducha pozostałym. Często przywódca staje pomiędzy swymi ludźmi, ale w bitwie honorowe jest miejsce na prawym skrzydle. Zdejmując pas z mieczem wyszeptałem:

- Pomóż mi, Dziewczyno!

Natychmiast otworzyły się ponownie drzwi komnaty Artayktesa i weszli jeszcze dwaj mężczyźni, tak samo nadzy jak pierwsi trzej. Żaden z nich nie był olbrzymem, pierwszy był jednak tak przystojny i tak wspaniale zbudowany, że każdy musiałby przy nim wydawać się szpetnym. Drugi był starszy, lecz jeszcze silny, opalony na brąz i posiwiwały, z przebiegłością w oczach. Żaden nie zrobił niczego, by mi pomóc. Stali przy drzwiach nieruchomo, z opuszczonymi rękami. Trzej stojący przede mną nie zwrócili na tamtych uwagi.

Artayktes powiedział:

- Jest was trzech na jednego. Zabijcie go i wracajcie do swoich zajęć.

Sestyjczycy z prawej i lewej postąpili naprzód, by wraz z trzecim otoczyć mnie. Wiedziałem, że byłaby to moja zguba i przesunąłem się ku temu z lewej, tak że przez chwilę musiał walczyć ze mną sam na sam.

Zwarł się ze mną. Uderzyłem go pięścią poniżej pępka i głową w twarz. Padł na wznak, a z nosa trysnęła mu krew. Natychmiast ów starszy mężczyzna rzucił się na niego, przyciskając twarz do jego twarzy, jak to robią całujący się kochankowie. Aż do tej chwili nie byłem pewien, czy pozostali widzą tych dwóch, którzy przybyli później, ale kiedy spojrzałem na nich, zrozumiałem. Krążyłem i robiłem uniki, mając pewność, że zwłoka działa na moją korzyść.

Nie myliłem się. Posiwiwały mężczyzna wstał z ustami purpurowymi od krwi i chwycił od tyłu jednego z moich przeciwników. Choć ten go nie widział, jego ruchy spowolniały.

- Jestem Odys, syn Laertesza i król Itaki - wyszeptał posiwiwały. - Trzeba nam więcej krwi, dla syna Peleusa.

- Wątpię w to - powiedziałem, widząc że ostatni Sestyjczyk śledzi wzrokiem moje oczy, a nie ręce.

Kiedy było już po walce, Drakaina uśmiechnęła się - mogłem dostrzec jej wargi przez cienką tkaninę szala.

- Pan mój, Artayktes - powiedziała - uważa wiadomości, które przyniosłam, za zbyt ważne, by tu pozostać w zamknięciu. Ponadto w mieście brakuje żywności - mieszkańcy gotują już skórzane pasy z łózek.

Artayktes wypowiedział kilka gniewnych słów, ale nie uciszył tym Drakainy.

- Przedtem miał nadzieję na odsiecz - ciągnęła dalej. - Nie nadeszła, chce więc odejść, zabierając swoich i cudzoziemców. Hellenów zamierza tu pozostawić, wiedząc, że uzyskają takie warunki poddania, które oszczędzą ich domy i mury. Kiedy zanieś moje wiadomości, dostanie od Wielkiego Króla, armię i wróci tu, by zgnieść tych barbarzyńców, jeśli odważą się tu zostać. Mówiłam mu, że oddałeś swój miecz w służbę Wielkiego Króla i widział dopiero co, że jesteś wojownikiem, z którym trzeba się liczyć. Pyta, czy nie udałbyś się z nim do Suzy, gdzie spodziewa się znaleźć Wielkiego Króla.

Skinąłem głową, dodając:

- Tak, oczywiście.

Artayktes spytał ze swym chropawym akcentem:

- Czy nie jesteś z Hellenów? Wyglądasz jak oni.

- Nie, panie mój - odparłem.

- Udowodnij to. Niech usłyszę twój ojczysty język. Ci Hellenowie nie znają żadnego poza własnym.

Zrobiłem to, co chciałem, przysięgając w języku, w którym to piszę, że nie obowiązuję mnie wierność Myśli, ani żadnemu innemu miastu. Nie przypuszczam, by mnie zrozumiał, ale wyglądał na przekonanego. Wyjął spośród szkarłatnych poduszek, na których siedział, mój miecz i wręczył mi go.

- Wyruszmy nocą - powiedział. - Barbarzyńcy będą spać, oprócz kilku wartowników. Nikt nie może wiedzieć. Mieszkańcy tego miasta mówią Żółtemu Koniowi wszystko, czego się dowiedzą, choćby nie wiem ile razy przysięgali wierność. Masz jechać przy mnie i mieć przy sobie tę kobietę. Dopilnuj, żeby jej się nic nie stało. - Nazywał „Żółtym Koniem” Ksantipposa.

Kiedy wyszliśmy z tej sali przyjęć o jaskrawych obiciach ścian, Drakaina powiedziała:

- Musisz pomyśleć o uzbrojeniu. Czy nie chciałbyś mieć oprócz miecza także tarczy i włóczni? A co z hełmem?

Io powiedziała:

- Nosileś jakieś okrągłe blachy na piersiach i na plecach, kiedy spotkałam cię, panie.

Skinąłem głową.

- Chcę mieć tarczę i hełm - powiedziałem - jeśli zanosi się na prawdziwą walkę. Zamiast włóczni wezmę parę oszczepów.

Zbrojownia mieściła się w najniższej części cytadeli. Prosiłem o prostokątną tarczę średniej wagi, ale mieli tylko hoplony - okrągłe i bardzo ciężkie - albo bardzo lekkie pelty w kształcie półksiężyca.

- Te są znakiem mojej bogini - powiedziała Drakaina, podnosząc jedną z nich. - Takich używają tessalscy oszczepnicy.

Powiedziałem jej, że wiklina obłożona skórą powstrzyma jedynie strzały i pociski proc.

- Nie muszą się martwić o nic więcej - powiedziała. - Trzymają się z dala od włóczy.

Byłem zaniepokojony, wiedziałem bowiem, że jeśli w ogóle dojdzie do walki, będzie gorąco i nie będę mógł uciekać przed włóczy.

- Wypróbuj ten, panie - powiedział zbrojmistrz. - To najmniejszy hoplon jaki tu mamy.

Jest szeroki na łokieć i na dłoń - właśnie go zmierzyłem - i obity jest brązem, jak wszystkie hoplony, ale pod spodem ma drewno i skórzaną wyściółkę i rzeczywiście jest najlżejszy.

- Jest tu piękny hełm - zawołała Io.

- Piękny dla Hellena - powiedziałem. - Nie chcę jednak, żeby Ludzie z Parsy wzięli mnie w ciemnościach za Hellena.

Zbrojmistrz strzelił palcami.

- Zaczekaj chwilę, panie. Chyba mam to, czego szukasz. - Wrócił, niosąc hełm w kształcie wysokiej czapki. Kiedy go przymierzyłem, zrozumiałem natychmiast, że musiał być na mnie robiony.

- Słyszałem, jak ludzie opowiadają o Kraju Czapki, gdzie nosi się czapki tego kształtu - mówiła Io. - Takie nosili łucznicy na okręcie Hyperejdesa, tyle że były z lisich futer. Nie wiedziałam, że robią i takie hełmy. Czy to daleko stąd?

- Po drugiej stronie morza Helle - powiedział zbrojmistrz. - Potem jeszcze spory kawałek lądem. Zabrałoby to trzy do czterech dni. Czy macie łódź?

Io roześmiała się i rzekła:

- Ja się tam nie wybieram.

- Uznałem to za szczególnie zły znak.

Dostałem też pancerz - nie jeden z tych ciężkich pancerzy z brązu, jakie noszą tarczownicy, ale taki z wielu warstw pikowanego płótna. Stanowi całkiem dobrą osłonę, a nie waży więcej niż ciepły płaszcz. Najłatwiej poszło z oszczepami, bo w zbrojowni było, ile kto chciał, dobrych oszczepów.

- Satrapa przydzielił mi dom - powiedziała Drakaina, kiedy zbierałem swój rynsztunek. - Idę przespać się trochę przed nocą. Nie powinien mnie oglądać z podkrążonymi

oczami. - Zawahała się. - Będziesz tam mile widziany, chociaż nie wiem, czy byłoby to mądre.

Powiedziałem jej, że chcę wejść na mury i obejrzeć okolicę.

- Jak sobie życzysz.

- Mogę cię oprowadzić, panie - powiedział zbrojmistrz. - Nazywam się Oschos.

- Mój pan nie ma pieniędzy - poinformowała go Io.

- Rozmawiał jednak z satrapą - uśmiechnął się Oschos - więc chyba będzie je miał. -

Do mnie powiedział: - Nasza cytadela przylega do muru od wschodu, panie. Można więc, zaczynając stąd, iść dookoła, przechodząc przez wieże strażnicze.

Kiedy szliśmy wzdłuż muru, przyglądałem się równinie i wzgórzom poza nią. Hellenowie, jak mówi Artayktes, będą się spodziewać prób ucieczki na południe i zachód. Krótki marsz w tę stronę doprowadziłby nas do miejsca, w którym moglibyśmy bez trudu przebyć łodzią cieśninę, unikając blokujących ją okrętów. On jednak zamierza spróbować od północnego wschodu i dotrzeć łodem do portowych miast morza zwanego Propontydą. Ponieważ był z nami Oschos, nie mogłem zwracać na ten kierunek więcej uwagi niż na inne, obejrzałem więc wszystko, nawet port, gdzie statki z Sestos pochylały swoje osmalone maszty nad pokrytą plamami wodą.

Kiedy zeszliśmy z muru, minęliśmy marmurowy budynek, pilnowany przez eunuchów, z którego kilku niewolników wynosiło jakieś skrzynie i kosze.

- Co to takiego? - spytała Io.

Oschos popatrzył z respektem.

- Dom kobiet naszego satrapy - odparł.

Io zauważyła, że wygląda raczej jak grobowiec.

- To był grobowiec - poinformował ją Oschos. - Słyszałem, że on wykorzystuje je tak przy każdej okazji. Uważa, że gynajkejon pozbawiony okien jest bezpieczniejszy, i kto nie przyzna mu racji?

Kiedy zostaliśmy tu sami, Io zauważyła:

- Nie chciałabym być Artayktesem, kiedy umrze. Podziemnym bogom nie spodoba się ten jego zwyczaj umieszczania swoich konkubin w grobowcach.

- Kto to są podziemni bogowie? - spytałem, wieszając swoją nową tarczę. Czulem, prawdę mówiąc, że znam przynajmniej jednego.

- Bogowie umarłych - odpowiedziała. - Jest ich właściwie wielu. Ich królem jest Bogaty, a ich królową jest Kora, Dziewczyna. Do nich należy cała podziemna kraina - Chtonios, świat duchów.

Kiedy to piszę, Io śpi. Gdy nadejdzie noc, pojedę z Artayktesem i Ludem z Parsy, związany słowem, zapewne w świat duchów. Zostawię tu Io, jak to przepowiedziała. Zapewne nie zobaczę jej już nigdy. Przed chwilą odsunąłem jej włosy z brązowego policzka, zastanawiając się, czy jakaś twarz była mi kiedyś droższa niż jej. Choć nie mam pewności, wydaje mi się to niemożliwe. Ależby się ze mnie śmiała, gdyby się zbudziła i zobaczyła, że płaczę,

ROZDZIAŁ XLIII

Żołnierz z mgły

Zagubiłem się w nocy i jej lotnych oparach. Zapomniałem już prawie, jak się zaczęła ta noc.

Leżałem na jakimś wyrku w zimnym i ciemnym pokoju, w którym pod jedynym wysokim oknem z wąskimi schodkami urządzono miejsce dla łucznika. Chyba w nim zasnąłem, przy mnie zaś spało jakieś dziecko, dziewczynka.

Przyszła po mnie jakaś urocza kobieta w towarzystwie groźnego włócznika. Musiałem spodziewać się ich przyjścia, bo natychmiast wstałem i przy świetle lampy, którą niósł włócznik, nałożyłem pancerz i hełm, zatknąłem za pas ten zwój i wziąłem swój hoplon i oszczep. Wiedziałem chyba, dokąd i po co idziemy, ale i to zaginęło we mgle.

- Niech Io śpi - powiedziałem do kobiety. - Tu będzie bezpieczna.

Kobieta skinęła głową i uśmiechnęła się, przykładając palec do ust. Przed śmiercią powiedziała, że nazywa się Eurykles.

Śpieszyliśmy ciemnymi, wąskimi ulicami, w których cuchnęły nieczystości, i przyłączyliśmy się do milczącego tłumu przed bramą. Kobieta powiodła mnie ku przodowi, mówiąc:

- Artayktes i jego straż przyboczna będą tu lada chwila. Wtedy ruszymy.

Pytałem ją, kim są pozostali, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, jacyś jeźdźcy wjechali w tłum. Ich przywódca, brodacz na białym koniu, przemówił w języku, którego nie rozumiałem, i ku swemu zdumieniu, ktoś inny, kto chwycił czaprak tamtego, przemówił po nim w mowie, w której to piszę. Oto co powiedział:

- W najświętsze boskie imię Słońca, czy nasze położenie wydaje się wam rozpaczliwe? Pomyślcie tylko! Tu byliśmy spędzeni jak króliki, bez jedzenia, i nawet bez wody zdatnej do picia. Kiedy następne słońce, boski zwiastun Ahura-Mazdy, zasiądzie na swoim tronie, będziemy wolni, wszyscy, i znowu będziemy w Imperium. Tak będzie, jeżeli postąpimy jak mężczyźni. Ci, którzy walczą, muszą wciąż nacierać. Ci, którzy nie walczą, muszą pomagać swym braciom. Jeźdźcy, nie porzucajcie swych pieszych braci walczących samotnie! Niechybnie dowie się o tym Asza! Dowiem się i ja - a czego się dowiem, powiem wkrótce Wielkiemu Królowi. Uderzajcie na skrzydła tych, którzy nacierają na waszych pieszych braci i brońcie mojego dworu.

To nie wszystko, co mówił, ale włócznik klepnął mnie po ramieniu i nie słuchałem już dłużej. Prowadził dwa konie i wręczył mi wodze siwego ogiera, gryzącego wędzidło. Kobieta spytała:

- Czy jeździsz konno?

Nie byłem pewien. Odpowiedziałem:

- Kiedy muszę.

- Dzisiaj musisz. Wsiadaj, on mnie podsadzi.

Wskoczyłem na grzbiet siwka i przekonałem się, że moje kolana wiedzą coś o koniach, choćby umysł o tym nie pamiętał.

Włócznik, szczerząc zęby, chwycił kobietę w pasie i podniósł, aż usiadła za mną. Mimo że tyle zapomniałem, pamiętam jeszcze błysk jego zębów w ciemnościach i jej ramię, obejmujące mnie w pasie i ten jej pizmowy, kwiatowy zapach letniej łąki, gdzie wąż wiję się wśród kwiatów.

- Nareszcie wiem, czemu Lud z Parsy każe swym kobietom nosić spodnie. - Słyszałem przy uchu jej głos, uniesiony z podniecenia. - Przez tysiąc lat nie myśleli o tym, ale chodzi o to, by mogli uciekać z nimi co koń wyskoczy. - Ktoś wykrzyknął rozkaz i wrota otworzyły się ku nam. - Trzymaj się Artayktesa - powiedziała. - Przy nim będą najlepsze oddziały.

Gdy odjechaliliśmy o pół stadionu od bramy, od przystani nadpełzła mgła. Za naszymi końmi turkotały kryte wozy. Kobieta powiedziała:

- Nieprzyjaciel już o nas wie. Gdyby te koła nie robiły tyle hałasu, usłyszałbyś krzyki ich straży.

Spytałem, wskazując wozy, po co tu one.

- Dla kobiet Artayktesa. Jego żona i jej córki jadą w pierwszym, a jego konkubiny w pozostałych - zawahała się. Usłyszałem jak łapie oddech. - Ale gdzie jest on sam? Gdzie jego przyboczni?

Za wozami szło kilka tuzinów pieszych żołnierzy, niosących prostokątne tarcze, a przed nimi maszerował jeden, który niósł na drzewcu orła. Serce omal mi nie wyskoczyło z piersi na ten widok - tak jest i teraz, na myśl o nim - choć nie umiałbym powiedzieć dlaczego.

Rozległ się okrzyk z tysiąca ust. Obróciłem się w siodle i ujrzałem wielkie hoplony i długie włócznie nieprzyjaciół, wychylające się z mgły, a ponad nimi czarną chmurę pocisków z proc, oszczepów i strzał. Czekali tylko, aż ostatni nasi żołnierze wyjdą z bramy, wiedząc zapewne, że Hellenowie wewnątrz zamkną ją przed wracającymi. Ich falanga była jak płot z włóczni.

- Ruszaj! - krzyknęła kobieta. - Oszukał nas! Musi myśleć, że jestem szpiegiem. Opuścił miasto inną drogą.

Zanim skończyła, puściłem cugle i wbiłem pięty w żebra siwka. Skoczył naprzód niby jeleń. Przemknęliśmy między ostatnim wozem a żołnierzami idącymi za orłem, ale mgła kryła następną falangę, równie straszliwą jak pierwsza. Skierowałem siwka w bok i uderzyłem cugłami, gdy ujrzałem, że trzecia falanga obraca się, by zamknąć drogę - między nią bowiem a tą drugą, w zwężającej się przestrzeni, rozproszeni byli jedynie procarze i łucznicy.

Tarczownicy w zwartym szyku, groźni z frontu, byli bezradni, gdy galopowaliśmy wzdłuż ich flanki. Rzuciłem jeden z moich oszczepów w lewo, drugi w prawo, i każdy z nich musiał trafić w cel, chociaż nie widziałem ginących nieprzyjaciół. Jakiś brodaty łucznik założył już na cięciwę przeznaczoną dla mnie strzałę, ale byliśmy szybsi i poczułem, jak jego kości łamią się pod kopytami siwka.

Jeźdźcy podążali za mną - bezlitośni jeźdźcy z Parsy - a cięciwy ich łuków śpiewały. Zawróciliśmy co do jednego i spadliśmy od tyłu na falangę, szarpiąc miękkie grzbiet tego potwora z brązu i żelaza, kładąc tarczowników jak kosiarze kładą zboże. Falcata kosiła ich włócznie i rozłupywała hełmy, oni zaś, ginąc, padali w suchą, żółtą trawę pod pobłękitniałym nagle niebem.

To już wszystko, co mogę sobie przypomnieć. Kiedy uniosłem głowę, przewalająca się mgła zakryła jezioro. Gdzieś wrzasnęła kobieta, która przedtem leżała przy mnie. Kiedy usiłowałem wstać, dotknąłem zakrwawionego miecza, na pół zagrzebanego w błocie.

- Nie miałem pewności, że to mój. Potykając się i kuśtykając, szukałem jej między umierającymi i martwymi.

Znalazłem ją tam, gdzie ciała leżały najgęściej. Rozrzucone pod jej nogami klejnoty połyskiwały w świetle gwiazd, a czarny wilk rozdzierał jej gardło. Jego przednie pazury przyciskały ją do ziemi, ale tylne nogi wlokły się bezwładnie i wiedziałem, że ma przetrażony grzbiet.

Wiedziałem też, że to człowiek. Pod warczącą maską wilka kryła się twarz łuczника, trzymające kobietę pazury były dłońmi, jeśli nawet były pazurami. Szukając zdobyczy, wilk powlókł się ku mnie, nie bałem się go jednak, broniąc się sztychem miecza.

- Więcej niż bracia - powiedział. - Ta kobieta okradłaby mnie. - Słyszałem go, choć nie mówiły tego wielkie szczęki.

Skinąłem głową.

- Miała sztylet, spodziewałem się, że mnie zabije. Teraz musisz ty. Pamiętasz, Latro? Więcej niż bracia, choćbym zginął.

Spoza wilka i kobiety patrzyła na mnie jakaś dziewczyna - dziewczyna w wieńcu na głowie i w sukni utkanej z kwiatów. Jej jaśniejsza twarz była beznamiętna, czułem jednak jej zadowolenie.

- Pamiętam o twojej ofierze, Dziewczyno, i widzę na nim twoją pieczęć. - Złapałem wilka za ucho i przeciąłem mu gardło, wymawiając jej imię.

Spóźniłem się. Kobieta wiała się jak robak przecięty lemieszem, z otwartymi ustami i wysuniętym daleko językiem. Dziewczyna znikła. Ktoś za mną zawołał:

- Lucjusz!... Lucjusz!

Nie od razu się odwróciłem. To, co brałem za język kobiety, było węzem o lśniących łuskach. Na pół wysunięty z jej ust, był grubszy niż mój przegub. Moje ostrze ukąsiło go w grzbiet, zdawał się jednak być twardszy niż brąz. Odczołgał się błyskawicznie, znikając w nocy i we mgle.

Kobieta uniosła głowę.

- Eurykles - usłyszałem jej szept. - Matko, to ja, Eurykles! - Przy ostatnim słowie upadła w tył i odeszła, pozostawiając tylko cuchnące już rozkładem zwłoki.

Odszedł także człowiek-wilk. Na jego miejscu leżał człowiek. Jego broda zeszywniała od krwi, a kark był zgięty jak złamane źdźbło trawy. Uścisnął mi dłoń umierając.

- Lucjusz!... - Dobiegło znów wołanie. Dopiero wtedy, zbyt późno, zacząłem go szukać.

Znalazłem go przy połamanym orle. Miał na sobie lwią skórę, ale jakaś włócznia rozdarła mu udo, a jakiś sztylet przebił jego pancerz z łusek z brązu. Ten lew umierał.

- Lucjusz!... - mówił w mojej ojczyściej mowie. - Lucjusz, czy to naprawdę ty?

Mogłem tylko skinąć głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Najostrożniej jak umiałem, ująłem jego dłoń.

- Jak dziwne są wyroki bogów! - wyszeptał. - Jak okrutne.

(Takie są ostatnie słowa pierwszego zwoju.)